

E.G. SCOTT

NIC

O MNIE

**NIE
WIESZ**

Czyta się z zapartym tchem.
Mistrzowska półka.

A.J. Finn, autor *Kobiety w oknie*

E.G. SCOTT

NIC

OMNIE

**NIE
WIESZ**

przełożył
Jacek Żuławnik



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: *The Woman Inside*

Projekt okładki: *Katarzyna Konior/bluemango.pl*

Redakcja: *Dorota Kielczyk*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska, Lilianna Mieszczkańska*

Fotografia wykorzystana na okładce

© Mayer George/Shutterstock

Copyright © 2019 by E.G. Scott

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2020

© for the Polish translation by Jacek Żuławnik

ISBN 978-83-287-1252-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2020

Naszym Rodzicom

Spis treści

Prolog

Część pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

Część druga

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

Część trzecia

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

Epilog

Podziękowania

Prolog

Błyska szerokim białym uśmiechem i wsiada do krwistoczerwonego bmw. Silnik ożywa z cichym warkotem. Chrzęst kamyków pod kołami przypomina mi dzień, kiedy zostałam tu przywieziona po raz pierwszy. Okoliczności były zupełnie inne. Miałam zostać w tym miejscu na zawsze.

Tamtego wieczoru nic nie widziałam – nie miałam pojęcia, dokąd mnie zabiera, musiałam polegać na innych zmysłach. W ciemnościach szum drzew targanych wiatrem równie dobrze mógł być łoskotem fal oceanu. W powietrzu intensywna woń sosen mieszała się z posmakiem soli. Gdy poczułam, że auto zwalnia, i usłyszałam czyjeś kroki na żwirze, serce mi zamarło. Nawet nie przypuszczałam, jak bardzo zmieni się moje życie, kiedy się zatrzymamy.

Łagodny dźwięk klaksonu wrywa mnie z zamyślenia. Stoję przed domem. Macham na pożegnanie, a trzy kanarkowe karaty na moim palcu lśnią w promieniach zachodzącego słońca. Bmw przyspiesza, wyrzucając żwir spod kół. On ogląda się raz jeszcze i puszcza do mnie oko. Kontury jego przystojnej twarzy w bocznym lusterku coraz bardziej się rozmywają, w końcu znikają. Myślę, że jeszcze go zobaczę.

Przekraczam próg i z uśmiechem zamykam drzwi, odgradzając się od świata. Wiele musiało się wydarzyć, abym mogła zrobić ten jeden krok w nowym życiu. Teraz to mój dom.

Ogarniam wzrokiem wspaniałe wnętrze. Zimny beton, na którym leżałam ledwo żywa tamtej nocy, i wszystko wokół nijak się ma do tego, co teraz. Wyciąg dwustronnego kamiennego kominka majestatycznie wznosi się aż do szczytu katedralnego sufitu, potem płynnie przechodzi w komin. Przez liczne okna wpadają promienie słońca i tworzą kolorowe smugi światła na drewnianej podłodze. Przez kilka minut stoję w wejściu, rozkoszuję się widokiem. Otwarte piętro wygląda jak galeria dla chóru, a hol – jak nawa.

Oglądam wszystkie pomieszczenia, powoli chłonę każdy szczegół. Wracam myślami do swojego ostatniego pobytu tutaj. Było ciemno, leżałam ciężko ranna, nie wiedziałam, czy przeżyję. Dziś każdy centymetr tego wnętrza zyskuje nowe znaczenie. Przesuwam dłońmi po starannie dobranych drewnie,

kamieniu i granicie. Zdejmuję buty, żeby poczuć pod stopami wspaniałą strukturę rozmaitych materiałów.

Przechodzę obok drzwi do piwnicy – wiem, że minie jeszcze dużo czasu, zanim będę mogła je otworzyć, nie myśląc o tamtej pierwszej nocy w ciemności. Cieszę się jednak, że wróciłam, i to na własnych warunkach. To, co mroczne, postanowiłam zostawić tam, na dole, pod kluczem. Teraz pora zacząć wszystko od początku.

W powietrzu unosi się zapach silnego detergentu. To właściwie jedyny ślad po tym, co się tu wydarzyło. I niech będzie. Wcale mi nie przeszkadza. Przypomina o ciężkiej walce, jaką stoczyłam. W domu panuje cisza. Spokój. Ogarnia mnie uczucie, które dotąd z uporem tłumiałam: błogie szczęście – zagnieżdża się gdzieś między sercem a gardłem.

Paul jest wszędzie. W podłodze z drewna wiśniowego i sosnowej konstrukcji dachu. W szerokim panoramicznym oknie, które ciągnie się przez całą długość domu od strony ogrodu i wychodzi na gęsty szpaler drzew na tle nieba. Boli mnie to, że ten dom nie powstał dla mnie. Ale zbudowano go z miłości. I rozpaczy.

Zamykam oczy i przypominam sobie tamtą noc. Pomruk silnika jego samochodu. Ciemność. Porzucenie, potem odnalezienie. Druga szansa na to, by mieć wszystko, czego zawsze pragnęłam.

Najciemniejsze drogi w końcu zawsze prowadzą do światła.

Część pierwsza

1

REBECCA

Po

Duff ostrzega nas przed nimi, zanim zabrzmie dzwonek do drzwi.

Paul odkleja się od mojego nagiego ciała, wskakuje w sportowe spodenki i koszulkę. Ja leżę nieruchomo pod chłodną kołdrą, odwrócona do niego plecami. Pomimo wzajemnego rozczarowania i frustracji daje mi szybkiego całusa i zbiega po schodach przywitać nieproszonych gości, którzy przerwali nam nieudaną próbę porannego seksu.

Z walącym sercem zakładam koszulę nocną na gołą skórę. Czekam, aż Paul i pozostali przejdą do kuchni – towarzyszy im radośnie Duff, nasz nowofundland; skrobie pazurami najpierw po drewnie, potem po kafelkach. Dopiero po chwili wychodzę na korytarz i zatrzymuję się u szczytu schodów. Nie widzą mnie, za to ja słyszę ich pytania i spokojne odpowiedzi Paula.

Czekam na swoją kolej, żeby do niego dołączyć, potem idę na dół, z każdym stopniem powtarzając w duchu mantrę. *Nie złapią nas. Nie złapią nas. Nie złapią nas. Wywiniemy się z tego.*

Na tym etapie nie zdaję sobie jeszcze sprawy, że wizyta dwóch detektywów to najmniejszy problem tego dnia.



Zarabiam na handlu prochami.

Absurdalnie dobrze mi za to płacą. Od dwudziestu lat poznaję lekarzy i potrzeby ich pacjentów. Wiem doskonale, czego brakuje tym drugim do poprawy stanu ducha i ciała. Potrafię rozmawiać z lekarzami tak, aby bez utraty poczucia wyższości nade mną ufali mi na tyle, by mnie wysłuchać i zapragnąć tego, co staram się im sprzedać. W moich ustach nazwy leków i opisy efektów ubocznych brzmią jak poezja. Wystarczy mi kilka minut, by się zorientować, która z naszych magicznych pigułek zadziała dla danej osoby

cuda. Szczególnie dobrze znam chemiczną „magię”, która działa na mnie. Liczy się samoświadomość.

Docieram do biura grubo po dziewiątej. Wydarzenia poranka wytrąciły mnie z równowagi. Czuję, że z detektywami poszło nam całkiem nieźle, ale wątpliwości i niepokój zostały. Jadąc do pracy, łyknęłam nadprogramową pigułkę na uspokojenie, by odzyskać choć pozory opanowania.

Migające czerwone światełko na moim telefonie nie wróży nic dobrego. Mark przysłał mi mail z prośbą o stawienie się w jego gabinecie i niemal w tej samej chwili powtórzył ją w esemesie. Podnoszę głowę i widzę, że stoi w drzwiach swojego gabinetu, jak zawsze z kawą ze Starbucksa – na kubku kasjer niechlujnie napisał „Marv”. Pomimo nastroju reaguję na to śmiechem. W drugiej ręce Mark trzyma swój nieodłączny rekwizyt: niezapalane kubańskie cygaro, które będzie żuł i ośliniał cały dzień, by wieczorem zasiąść w domowym zaciszu i wreszcie puścić je z dymem. Zwykle jego mina wyraża samozadowolenie, teraz jest poważny – nietypowe. Gestem przywołuje mnie do siebie i odwraca się na obcasach butów od Gucciego. Komuś by się tu przydało trochę xanaxu. I chyba nic dziwnego. On też ma kłopoty w domu.

Zerkam w stronę jego gabinetu, unosząc brwi. Zostawiam swoje rzeczy na fotelu przy biurku. Staram się nie zwracać uwagi na zagadkowe spojrzenia kolegów i koleżanek. Większość z nich jedzie na prochach, od alprazolamu po zoloft[1], ale kilku osobom zaleciłabym zwiększenie dawki. Pomimo dostępu do najlepszych poprawiaczy nastroju tworzymy wyjątkowo nieszczęśliwą gromadę.

Tłumię lęk, który zaczął we mnie narastać z chwilą pojawienia się porannych gości. Pomagam sobie połówką oxy; popijam ją kawą, koniecznie czarną, bo mleko i cukier zabijają. Idę do gabinetu Marka.

– Usiądź, Rebecca.

Natychmiast zauważam, że zamyka drzwi inaczej niż dotychczas, kiedy boksy pustoszały, a on próbował mnie przekonać do zalet „magicznej” butelki wódki, znanej z tego, że kiepskie pomysły zamienia w „takie, którym nie sposób się oprzeć” (jak na przykład gwałtowne ściąganie ubrań). Pechowo dla Marka nie wierzę w magię, w dodatku zarówno wódka, jak i on sam przyprawiają mnie o mdłości. Bez Sashy stał się bardziej namolny, a niepokojące tempo, w jakim rośnie mój głód i wyczerpują się zapasy cudownych środków, znacząco utrudnia mi to, żeby odmawiać szefowi.

– Mark... – Posyłam mu najbardziej wstydlivy ze swoich uśmiechów i nawijam kosmyk włosów na palec. – Co ty taki poważny?

Nie wygląda na rozbawionego. Jest zły. Wiem dlaczego.

Trzy tygodnie temu odeszła od niego żona – przynajmniej tak mu się wydawało. Teraz się okazuje, że zaginęła. Trudno stwierdzić, czy Mark wie, że zostałam o tym poinformowana przez policję. Jeżeli Sasha i ja rzeczywiście się przyjaźniłyśmy, a nie tylko udawałyśmy, to może mam jakieś pojęcie na temat tego, gdzie przebywa. Choć nie jestem przekonana, czy podzieliłabym się tą uprzywilejowaną wiedzą z detektywami. Z pewnością nie przyznałabym się ani przed Paulem, ani przed policją, że jej nieobecność w ogóle mi nie przeszkadza.

Przez jego twarz przemyka cień jakiegoś zatroskania, ale czoło szybko się wygładza. Nie, to jednak nie o tym chce ze mną mówić. Trochę się dziwię, że przychodzi do pracy pomimo toczącego się śledztwa, ale podejrzewam, że po prostu biurowa rutyna go uspokaja. Doskonale rozumiem tę potrzebę przewidywalności w sytuacjach kryzysowych. Paul i ja zachowujemy się dokładnie tak samo.

Chciałabym mu współczuć, ale wiem, jak beznadziejnym jest mężem. Nieraz słuchałam opowieści Sashy o jego obojętności, kiedy przebierałyśmy się przed aerobikiem na rowerkach, i nieraz docierały do mnie biurowe plotki o jego niewierności. Poza tym regularnie od lat i z pierwszej ręki dociera do mnie wyborby zestaw najgorszych tekstów Marka na podryw.

Zastanawiam się, czy powiedzieć mu o swoich porannych gościach, ale chyba lepiej nie mówić. W zamyśleniu bierze łyk kawy. Pochmurnieje.

– Rebecca, nie mogę cię dłużej chronić. Ludzie zaczynają zadawać pytania. Ktoś anonimowo doniósł gorze, że nasze relacje w pracy „budzą wątpliwości”. Wsiedli na mnie ci kretyni z kadr. Nie wiem, z kim rozmawiałaś, ale to była kolosalna głupota. Czasy są takie, że przez durne żarty to ja wylecę z roboty, nie ty. Do tego pojawiły się spekulacje na temat twojego dostępu do próbek leków.

Moje spanikowane synapsy dopiero po chwili zaczynają jarzyć. Środek przeciwbólowy, który łyknęłam rano, wywołuje u mnie lekką paranoję i dezorientację. Nie wiem, jak Markowi odpowiedzieć, więc tylko kiwam głową i naśladowuję jego powagę.

– Jesteś... a raczej byłaś świetną przedstawicielką handlową. Bo stajesz się coraz bardziej nieudolna i przynosisz firmie wstyd. Rozumiem, że lubisz się nawalić, ja też lubię, tyle że ostatnio za często sięgasz po próbki i ludzie zaczęli to zauważać.

Kurwa. Powoli dociera do mnie, do czego Mark zmierza. To głupie, ale wyobrażam sobie Saszę, jego żonę, jak zawzięcie pedałuje na rowerku obok mnie. Sumiennie przychodziła rano na każde zajęcia, czy słońce, czy deszcz – aż nagle przestała.

– Biorę tylko to, co dostaję od ciebie. Słowo. – To oczywiście kłamstwo.

– Masz coraz gorsze wyniki. Od kilku miesięcy dziwnie się zachowujesz. Daj spokój, Rebecca, przecież sama dobrze wiesz, że ten szajs ma fatalne efekty uboczne. Za dużo łykasz, postępujesz jak żółtodziób. Poza tym, bądźmy szczerzy, robisz się odrobinę za stara na przedstawicielkę handlową.

Cały Mark: wbić nóż i jeszcze nim obracać. Nie potrafi się powstrzymać. Spinam się.

– Mark, zdajesz sobie sprawę, ile pieniędzy zarobiłam dla firmy i ile dzięki mnie nie straciła...

– Rebecca, proszę cię. Mam teraz większe problemy niż twoja sprawa. Powiem krótko: wylatujesz. Możesz odejść z godnością, złożyć wymówienie ze skutkiem natychmiastowym i nie zwracać już na siebie więcej uwagi. Albo oficjalnie zarzucę ci podkradanie próbek, ale wtedy na pewno zrobi się o tym głośno. Ochronię cię przed tymi z kadr, jeśli zgodzisz się rozstać po cichu. Myślę, że wyjście z twarzą leży w twoim interesie.

Tak jak w jego interesie leży to, żebym sama odeszła. Zdaje sobie sprawę, że jeśli mnie zwolni, spróbuję przerzucić winę na niego, opowiadając w kadrach o „durnych żartach” szefa. Mało tego, mogę im zdradzić wszystko, co wiem na temat kłamstw Marka w związku z pewnym wyjątkowo nieudanym badaniem jednego z leków. Czuję jednak, że akurat tę informację da się lepiej wykorzystać w inny sposób, dlatego postanawiam zachować ją na czarną godzinę. Tak czy owak, potrzebuję Marka bardziej niż on mnie.

– Rebecca?

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć.

– Nie rób sceny – uprzedza. – Chyba że chcesz też zerwać nasz układ poza pracą. Bo jeśli chodzi o firmę, to by było na tyle.

Ton jego głosu jest tak stanowczy i karcący, że zapiera mi dech w piersi. Cieszę się jednak, że nie odciął mnie zupełnie od źródła. I wiem, że to byłaby „kolosalna głupota”, gdybym zwróciła na siebie, a więc też na niego, jeszcze więcej uwagi.

Kręci mi się w głowie. Muszę wyjść na powietrze. Podnoszę się z fotela, idę do swojego stanowiska i zabieram torebkę. Kiedy sięgam po laptopa, podbiega do mnie Christina, asystentka Marka – dwudziestopięcioletnia kobieta o rybich ustach, ubrana w sukienkę bardziej odpowiednią do kasyna – i wyrywa mi komputer.

– To sprzęt firmy. – Posyła mi złośliwy uśmiech, pokazując nienaturalnie białe zęby. Wiem, że nigdy mnie nie lubiła.

Nie oglądam się za siebie. Czuję, że się na mnie gapią. W miarę opanowana docieram do windy i dopiero tam pozwalam sobie na pojedynczy szloch, który szybko tłumię, tak mocno nabierając powietrza, że ciśnienie omal nie rozerwie mi żeber.

Kiedy wysiadam na parterze, mam już gotowy plan działania. Będę musiała trochę oszukać Paula, żeby się zgodził pojechać ze mną na lotnisko. Pytanie jednak, czy naprawdę chcę, aby był częścią mojego nowego życia, takiego, jakim je sobie wyobrażam.

Siadam za kierownicą, zapinam pas, przekręcam kluczyk w stacyjce i dopiero wtedy wypuszczam powietrze. Otwieram schowek. Paszport leży tam, gdzie go zostawiłam po ostatniej wizycie w wydziale komunikacji. Wyjmuję go i chowam do torebki. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie pojechać do domu, by się spakować, ale dochodzę do wniosku, że kupimy wszystko, czego będziemy potrzebowali, kiedy już znajdziemy się poza granicami kraju. Nowy start, nowa garderoba. Czuję ukojenie na myśl o ciepłych promieniach słońca na twarzy i ramionach i popijaniu margaritą łatwo dostępnych środków przeciwbólowych. Bilety kupię w sieci, w drodze na lotnisko. Szarpnę się na klasę biznes. Zasłużyłam sobie.

Włączam iPada. Dobrze, że mam jeszcze w połowie naładowaną baterię, powinno wystarczyć na załatwienie wszystkiego, zanim trzeba będzie go podpiąć. Ostatnio nie zaglądałam na konto oszczędnościowe, które mamy razem z Paulem, i nie pamiętam, ile dokładnie pieniędzy udało nam się zgromadzić, ale spodziewam się, że milion z górką. Otwieram aplikację Citibanku, loguję się za pomocą wspólnego loginu i hasła.

Na widok mizernej sumy dosłownie mnie zatyka. Mam mętlik w głowie. Kilka razy odświeżam stronę, ale wciąż pojawia się ta sama niewielka kwota. Zdecydowanie za mało. Nie chce mi się wierzyć. Muszę pójść do banku. Ledwo powstrzymuję atak paniki.

Wyjeżdżając z parkingu, zauważam ich szarego forda crown victorię. Niższy przelotnie zerka w moją stronę i po chwili jeszcze raz odwraca głowę, jakby miał spóźniony refleks. Szybko włączam się do ruchu, żeby mnie przypadkiem nie skojarzył. Spoglądam we wsteczne lusterko i widzę, jak ich wóz zajmuje miejsce obok tego, na którym stałam. Z samochodu wysiadają dwie znajome postacie i ruszają w kierunku wind.

Sprawy błyskawicznie idą ku gorszemu.



Nie pamiętam, kiedy ostatnio wchodziłam dalej niż do holu z bankomatem. Tym razem nie mam wyboru, bo na ekranie maszyny wyświetla się ta sama żałośnie mała suma, którą zobaczyłam w aplikacji.

Siedzący po drugiej stronie kontuaru spocony kierownik oddziału wydaje się wyjątkowo poirytowany, że nie poprzestałam na skorzystaniu z automatu i postanowiłam poprosić o pomoc kogoś z personelu. Widać, że zamiast obsługiwać wzburzoną klientkę, i to przed południem, wolałby się zająć czymś innym. Dobrze by mu zrobiło dziesięć miligramów klonopiny w trzygodzinnych odstępach do końca jego cuchnącego żywota.

Przykro mi, Jasonie, ale straciłam dostęp do walizki pełnej pigułek, do której mogłabym sięgnąć, by nam obojgu ułatwić tę rozmowę. Choć jeszcze nie całkiem do mnie dotarło, że zostałam zwolniona, to jednak uświadamiam sobie, że już zapomniałam, kim jestem bez pracy. Nie wiem, co bym odparła, gdyby ktoś mnie teraz zapytał: Czym się zajmujesz? Zastanawiam się też, co powiedzieć Paulowi.

Jason w pocie czoła, unikając kontaktu wzrokowego, szuka moich pieniędzy, a ja w tym czasie próbuję uporządkować wydarzenia tego dnia. W pewnym momencie przechodzi obok nas ładna pracownica banku i szczebiocze „dzień dobry” tak radosnym głosem, że mam ochotę podstawić jej nogę. Rzeczywiście dobry, nie ma co. Wizyta policji. Zwolnienie z pracy. Utrata oszczędności całego życia. Dostawa prochów zagrożona. Czuję na zmianę wściekłość i niedowierzenie.

Kierownik kilka razy nerwowo odchrząkuje, po czym piskliwym głosem potwierdza to, co już wiem.

– Szanowna pani, saldo pani konta wynosi pięć tysięcy dolarów. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Czyli jakieś dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć tysięcy mniej, niż powinno. Jego słowa – a także to, że nazwał mnie „szanowną panią”, jak jakąś matronę – doprowadzają mnie do furii. Znow odzywa się panika.

– Czy zechciałby mi pan wytłumaczyć, jakim sposobem wyparowały nasze oszczędności z dwudziestu lat? – pytam tak głośno, że Jason się wzdryga.

– Wygląda na to, że w ciągu ostatnich kilku tygodni współwłaściciel rachunku dokonał szeregu wypłat i przelewów na znaczne kwoty. – Luzuje krawat pod szyją.

Paul. To był jego pomysł, żebyśmy założyli wspólne konto w dniu ślubu. Mieliśmy zbierać pieniądze na budowę własnego domu, o którym rozmawialiśmy od pierwszej randki. Czuję, jak spada mi ciśnienie. Paul jednak nie zasługuje na to, żebym go zaprosiła na swoje wieczne wakacje.

Mam ochotę złapać z blatu tabliczkę z nazwiskiem Jasona i wepchnąć mu ją do tego tłustego gardła. Nie przyznam się przecież, że zamierzałam wypłacić całą tę sumkę, którą odkładałam, i odlecieć z nią gdzieś daleko, a on właśnie podciął mi skrzydła.

– Nie, nie przyjmuję tego do wiadomości! Jak to możliwe, że mąż bez mojej zgody, bez mojego podpisu na, nie wiem, jakimś świstku, wybrał wszystkie pieniądze?! – Sama jestem wstrząśnięta opryskliwością, z jaką się do niego zwracam.

Moje wzburzenie zwraca uwagę kolegów i koleżanek biednego Jasona. Pewnie cieszą się, że nie podeszłam do ich stanowisk. Na czole i górnej wardze kierownika pojawiają się świeże kropelki potu. Jason przebiega palcami po klawiaturze komputera i mruży oczy, wpatrując się w ekran, a ja czuję, że leki zaczynają działać. Rozchodzą się po moim organizmie, docierają do receptorów, nieznacznie wyciszają panikę i łagodzą nudności. Najważniejsze to nie wpaść w szal. Dam radę.

Wsuwam dłoń do kieszeni żakietu, wydaję pigułkę o doskonałym podłużnym kształcie i niby od niechcenia wkładam ją do ust. Zaczyna się rozpuszczać na języku, a jej słodki chemiczny smak przynosi natychmiastową

ulgę. Zwykle nie biorę aż tyle w ciągu dnia, ale dzisiejsze wydarzenia uzasadniają odejście od normy.

Zastanawiam się, kto mógł być autorem „anonimowego donosu” do kadr. Nie jestem zaskoczona, że mam wrogów w biurze, ciekawi mnie tylko, który z nich za tym stoi. Wracam myślami do bieżącej sytuacji, zanim pogubię się w domysłach. Rozwiązanie tej zagadki musi poczekać.

Rozglądam się po pustkowiu, jakim jest zastawiona boksami sala operacyjna banku. Kilka młodych osób w uniformach stażystów siedzi przy swoich stanowiskach. Twarze rozświetla im blask ekranów telefonów. Sądząc po ruchach dłoni, wszyscy przeglądają te czy inne serwisy i w ten sposób usiłują zabić nudę. Powstrzymuję się, żeby nie wybuchnąć, kiedy Jason mamrocze, że tak, Paul, mój odpowiedzialny, przewidywalny, sumienny mąż od pewnego czasu regularnie uszczupla stan wspólnego konta. Ostatniej operacji dokonał dosłownie wczoraj.

Tak jakby przygotowywał własny plan uciezki.

Jason przepasza i proponuje, że prześle mi mailem kopie dowodów wypłat, z datami i sumami, na co tylko kiwam głową i bąkam coś, co przypomina „dobrze”. Zbieram się w sobie i wstaję. Kiedy ruszam do wyjścia, czuję, jak ze złości trzęsą mi się nogi.

W samochodzie łapię się na tym, że zaczynam podśpiewywać piosenkę z radia, choć przecież wiem, że to nijak nie może być właściwa reakcja na zdarzenia dzisiejszego dnia. Wiosenne niebo jest jak przejrzysta kopuła, moje myśli są równie klarowne. Uświadamiam sobie, że jest pierwszy kwietnia. Prima aprilis. No to dopiero psikusy. Nagle dociera do mnie, że skręcam na podjazd przed swoim domem, ale nie zapamiętałam nic, co działo się po wyjściu z banku. Czas też płata dziś figle.

Nie widzę auta Paula. Nic dziwnego – wystarczy spojrzeć na zegarek. Na szczęście brak też innych wozów. Zmieniam zdanie – lepiej, żeby nikt nie wiedział, że jestem w domu. Cofam na drogę, skręcam za róg i parkuję na rzadko uczęszczanej uliczce, którą najwyżej kilka razy dziennie jeżdżą dzieciaki z sąsiedztwa.

Wchodzę na podwórze od tyłu i zamykam za sobą furtkę. Upewniam się, że zamek zaskoczył.

W kilku krokach docieram do kuchennych drzwi, otwieram je kluczem, przecinam pomieszczenie i kieruję się prosto do salonu – tam, na kanapie, jest

laptop Paula. Uradowany moim widokiem Duff zrywa się z podłogi. Trąca nosem moją dłoń i wymownie spogląda w kierunku kuchni, gdzie wisi smycz. Stać mnie jedynie na poklepanie go po wielkiej głowie.

Odwraca się do mnie czarno-białym zadem i pełen prostego szczęścia błogo zwala swoje siedemdziesięciokilogramowe cielsko u moich stóp. Uwielbiam go, ale zawsze był przede wszystkim psem Paula. Szlag mnie trafia na myśl o tym złodzieju i kłamcy. Łapię Duffa za obrozę, ciągnę do kuchni i wypuszczam na dwór. Wolę zostać sam na sam z komputerem. Marudzi przez chwilę, a potem puszcza się biegiem w drugi koniec podwórza, bo zwabiła go wiewiórka.

Mamy zwyczajny, nieudziwniony dom. Skromny, jednopiętrowy. Stoi trochę z dala od głównej ulicy, na narożnej działce. Teren na tyłach jest otoczony białym parkanem. Sto czterdzieści metrów kwadratowych, dwie sypialnie (w jednej Paul urządził sobie domowe biuro), dwie łazienki. Kiedy przed dziesięcioma laty przeprowadzaliśmy się tu z nieporównywalnie droższego, niespełna sześćdziesięciometrowego mieszkania na Manhattanie, mieliśmy wrażenie, że przenosimy się do pałacu.

Z początku, czyli przez pierwszych kilka lat, potrafiliśmy spędzać w pościeli długie godziny spleceni w miłosnym uścisku. Potem ochłonęliśmy i dotarło do nas, że przydałyby się drzwi wewnętrzne i więcej prywatnej przestrzeni. A później pojawił się Duff. Jako półroczny psiak ważył czterdzieści pięć kilo i wtedy całkiem dosłownie zabrakło nam miejsca w łóżku.

Wzięliśmy Duffa, żeby zastąpił nam dzieci, na które nie mogliśmy się zdecydować. Zawsze chciałam mieć dzieci, mimo że bałam się narazić je na krzywdę podobną do tej, jakiej sama zaznałam. Moje pragnienie posiadania szczęśliwej rodziny na wzór tych z filmów czy z telewizji pogłębiło się, kiedy poznałam Paula – wtedy nadzieja stłumiła cichy szept wątpliwości.

Głos Paula w dyskusji okazał się najdonońniejszy. Jego starannie przygotowana diatryba o tym, jak dzieci niszczą doskonale funkcjonujące małżeństwo i że większość ludzi decyduje się na potomstwo wyłącznie z powodu wysokiego mniemania o sobie, w końcu zwyciężyła. Na dobre i na złe, pozwoliłam mu rozstrzygać w najważniejszych kwestiach dotyczących naszego życia. Bywały jednak chwile, kiedy zastanawiałam się, czy naprawdę podzielam jego zdanie, czy raczej boję się, że go stracę, jeśli je zakwestionuję.

Pewnego dnia po suto zakrapianym późnym śniadaniu wybraliśmy się na spacer po okolicy i przechodząc obok sklepu zoologicznego, zakochaliśmy się od pierwszego wejrzenia w zwodniczo drobnym maluchu. Podjęliśmy decyzję pod wpływem impulsu, ale z silnym przekonaniem. Uznaliśmy, że wspólne wychowywanie szczeniaka będzie rozsądnym kompromisem. Żadne z nas nie miało zwierząt w dzieciństwie, za to zawsze marzyliśmy o czworonogu. Po pewnym czasie Duff – imię nadał mu Paul – ważył już więcej niż ja, a tylko trochę mniej niż jego pan, przejadał jedną czwartą tego, co wydawaliśmy na czynsz, i okazał się ostatecznym włochatym argumentem za emigracją z miasta.

Przed laty załadowaliśmy rzeczy z naszego mieszkania na niedużą furgonetkę do przeprowadzek i wyruszyliśmy w drogę do Stony Brook na Long Island, rodzinnego miasta Paula. Przyjaciel rodziny zaproponował nam zakup naszego pierwszego wspólnego domu w okazyjnej cenie. Pięć minut spacerem od wody i podwórze dwa razy większe od naszego lokum na Manhattanie pomogły złagodzić szok towarzyszący rozstaniu z miastem. Wszystko układało się wspaniale i sądziliśmy, że może być już tylko lepiej. Bardzo się myliliśmy.

Spoglądam w stronę otwartej na salon kuchni i dostrzegam swoje odbicie w wiszącym nad kominkiem lustrze w pozłacanej ramie, kupionym lata temu na wyprzedaży. Wyglądam na zmęczoną wydarzeniami dnia, patrzę błędnym wzrokiem i mam podpuchnięte oczy, jakbym przepłakała całą noc. Moje brązowe włosy sprawiają wrażenie bardziej matowych niż zwykle, a skóra jest ziemista. Wiele razy słyszałam, że jestem piękna – lecz z pewnością nie dziś. Zdarza mi się uronić łzę, nigdy jednak nie byłam beksą.

Należę sobie dużą szklaneczkę czegoś mocniejszego. Co z tego, że dopiero południe? Pora dobra jak każda inna. Otumaniające działanie leków zaczyna słabnąć, uwalniając emocje, których akurat teraz nie potrzebuję. Dobrze wiem, że kolejny proszek mogę wziąć najwcześniej za dwie godziny. Nie chcę, żeby oni wszyscy mieli satysfakcję z mojej śmierci wskutek przypadkowego przedawkowania.

Razem z Paulem niespecjalnie przepadamy za alkoholem, dlatego jedynym mocniejszym napojem, jaki udaje mi się znaleźć, jest szampan z ostatniej rocznicy ślubu. Dobry, drogi trunek na wyjątkowe okazje – musiał kosztować z dwieście dolarów. Paul przyniósł tę butelkę na dziewiętnastą rocznicę razem z naręczem czerwonych róż i złotą bransoletką od Tiffany'ego. A ja co mu

dałam? Marną kartkę z życzeniami, kupioną w pośpiechu w papierniczym, do którego wstąpiłam, wracając z zajęć aerobiku na rowerku. Zażenowana i trochę zawstydzona wycofałam się i zamknęłam w sobie. To była pierwsza rocznica od co najmniej czterech lat, którą oboje postanowiliśmy uczcić.

Paul odszedł od ustalonego scenariusza i mnie zawstydził.

Zachowywał się czule i sentymentalnie, a ja nie potrafiłam wykrzesać z siebie choćby odrobiny życzliwości. Od kiedy Paul stracił firmę, nasze uczucia względem siebie przypominały huśtawkę. Praktycznie przestaliśmy uprawiać seks. Brałam wtedy więcej leków, niż powinnam, i moje libido w zasadzie nie istniało. Tam, gdzie wcześniej płonęło pożądanie, znajdowałam już tylko rozdrażnienie. Oznajmiłam, że nie mam ochoty na kaca po szampanie i wolę iść spać. Odsunął się ode mnie i odparł, że skoro zamierzam się położyć, to on pójdzie się przejechać. Nie przyszło mi do głowy zapytać, dokąd się wybiera.

Nagle zmiany, jakie w ciągu ostatnich kilku tygodni zaszły w zachowaniu mojego drogiego męża, zyskują nowe znaczenie. Czuję, że mam *déjà vu*. Sygnały, na które przymykałam oko, bo dbałam wyłącznie o własne interesy, w zatrważającym tempie nabierają ostrości. Niesamowite, jak – przy wystarczająco silnej woli – jesteśmy w stanie zaciemniać oczywistości, aż stają się niemal niewidoczne.

Nalewam sobie kieliszek i od razu wypijam. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby odezwać się do Paula po wyjściu z biura. A przecież do niego pierwszego powinnam dzwonić w sytuacjach kryzysowych. Zwłaszcza po tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło. Telefon leży tu, obok mnie, a jednak mam wrażenie, jakby znajdował się poza moim zasięgiem. Nie mogę powiedzieć Paulowi, że zostałam zwolniona. Jeśli to zrobię, zacznie dociekać i z pewnością założy, że chodziło o leki. W sumie będzie miał rację, ale tego też mu nie przyznam.

Nie powinnam pozwalać Markowi na takie zachowanie, ale po tym, jak sytuacja wymknęła się spod kontroli tamtego wieczoru w naszej sypialni, po prostu się godziłam i już. A nawet oczekiwałam, że będzie to robił razem ze mną. Co ciekawe, uwaga, jaką mnie darzył, działała motywująco w pracy i odciągała myśli od domu. Poza tym miał dostęp do rozmaitych środków pobudzających i chętnie mi go udzielał.

Chyba trochę czułam, że przygoda z branżą farmaceutyczną zbliża się do końca. Nie mogła tego zmienić żadna ilość przyjmowanych leków. Tyle tylko,

że to najgorszy moment z możliwych. Nie chodzi wyłącznie o próbki, które sobie przywłaszczyłam, ale o mój wiek i konkurencję na rynku pracy. I moją coraz słabszą wydajność. I wiedzę na temat Marka.

Nowi lekarze domagali się nowych przedstawicieli handlowych. Moje z trudem zdobyte znajomości, grono lojalnych, choć nie zawsze poprawnych lekarzy, topniały w miarę jak stara gwardia odchodziła na emeryturę i zastępowała ją świeża krew, ambitny, trzydziestoparoletni narybek po studiach. Następcy opanowali miasto i przedmieścia, zapełnili je doskonale prosperującymi gabinetami, do których ściągali załęknieni, apatyczni, sparaliżowani bezsilnością pacjenci. Młodzi idealiści w swych pachnących farbą przychodniach odznaczyli się naiwnością, dzięki której wygospodarowywali godzinę z niewiarygodnie napiętych grafików, by móc poświęcić ją młodej, pięknej przedstawicielce handlowej, a nawet zamówić nowy lek tylko po to, żeby ponownie ich odwiedziła. Ostatnio jednak z coraz większym trudem przychodziło mi zapełnianie karneciku.

Szampan przyjemnie szumi mi w głowie. Układam się na kanapie. Sięgam po laptopa Paula, smakuję veuve clicquot z udawanym znawstwem, zbieram włosy w kok i wzdycham, jakbym wiedziała, że ktoś mnie obserwuje. Niezła ze mnie dama. Biorąc pod uwagę historię naszego związku, można pomyśleć, że to nie pierwszy raz, kiedy szpieguję Paula. Zasadniczo by się zgadzało. Głupio sądziłam, że mamy to już za sobą. Niesamowite, jak szybko miejsce zaufania zajmuje coś, co ledwo się tli.

Łatwo wchodzę do systemu. Znam wszystkie hasła Paula, bo zawsze są takie same – albo moje przezwisko, albo data naszego ślubu. Przyglądam się zdjęciu na tapecie. Jest stare, z pierwszych lat naszego małżeństwa, zostało zrobione latem, kiedy przeprowadziliśmy się do East Village i zaczęliśmy pracować już na poważnie, tak by odłożyć pieniądze na życie, którego oboje bardzo pragnęliśmy: nieskrępowane strachem ani wątpliwościami. Dwoje głupich dzieciaków z optymizmem patrzących w przyszłość i szaleńczo w sobie zakochanych. Jestem lekko zaskoczona tym, że Paul ozdobił pulpit naszym wizerunkiem. Moja tapeta – widoczek morza – wydaje się przy tym porażająco banalna. Patrząc na siebie sprzed lat i z trudem rozpoznaję własne oblicze. Bardziej lśniące oczy i gładsza skóra. Uśmiecham się, spoglądam na Paula zamiast w aparat. On ma twarz zwróconą do obiektywu i uśmiech tak szeroki, że mam wrażenie, jakby wręcz powiększał się na moich oczach. Mój mąż nie zestarzał się aż tak mocno. Miał wtedy bardziej gibkie ciało, mniejsze

zakola i włosy nieprzyprószone siwizną. Przyglądam się twarzy, którą oglądam częściej niż własną, i jej nie rozpoznaję.

Klikam ikonkę poczty, powoli nabieram powietrza i szykuję się na ponowne pierwsze spotkanie ze swoim mężem.

2

PAUL

Przed

Oboje z żoną kłamiemy, tyle że każde na swój sposób. To jedna z ciekawszych rzeczy, o których człowiek przekonuje się po prawie dwudziestu latach małżeństwa. Ja mam swobodne podejście do szczegółów, ona – skłonność do wybiórczości.

Kiedy się poznaliśmy, byliśmy ludźmi z trudną przeszłością. Wydaje mi się, że zarówno dla niej, jak i dla mnie kłamstwo to kwestia kontroli. Próba radzenia sobie z przeszłością poprzez przekształcanie teraźniejszości. Wyjaśniła mi to pani psychiatra, która zajmowała się moim przypadkiem, kiedy byłem mały. Zapamiętałem jej słowa chyba dlatego, że bardzo, bardzo chciałem zrobić na niej dobre wrażenie.

– *Paul, zwracaj się do mnie „pani doktor A.”, dobrze? – Od jej uśmiechu robi mi się ciepło w środku.*

– *Dobrze.*

– *Paul, czy rozumiesz, co się stało z twoimi rodzicami?*

– *Tak, pani doktor A.*

– *Czy rozumiesz, że to był wypadek? I nie wydarzył się z twojej winy?*

– *Tak, pani doktor A.*

– *Paul, spójrz na mnie. Nie zrobiłeś nic złego.*

– *Tak.*

– *Dobrze, kochanie.*

Nosiła cienki srebrny łańcuszek z niewielkim szafirowym wisiorkiem, który wyglądał na pamiątkę rodzinną i pasował do koloru jej oczu. Przypominam sobie, jak układał się na jej skórze, podkreślając delikatną krzywiznę rowka między piersiami. Była życzliwa, czułem się przy niej swobodnie.



Mówimy sobie dużo miłych rzeczy. Mnóstwo sympatycznych, optymistycznych kłamstw.

Kiedy braliśmy z Rebeccą ślub, kurczę, nie widzieliśmy świata poza sobą. Nie posiadaliśmy się ze szczęścia, byliśmy jak dwoje nieokrzesanych dzieciaków, które przyglądają się życiu szeroko otwartymi oczami. Miała piękne spojrzenie. Zmysłowe, głębokie, lekko senne, a zarazem niezwykle mądre. Patrzyłem w te oczy całkiem bezbronny. Byliśmy w sobie beznadziejnie zakochani. To wspaniałe... i zarazem głupie. Wierzyłem wtedy – naprawdę tak uważałem – że razem przetrwamy wszystko. W pewnym sensie nam się udało.

Kochaliśmy się, miałem wrażenie, całymi dniami, bez końca. Tonąłem w jej oczach, nasze usta stapiały się w jedno, a jej długie ciemne włosy spływały na nasze twarze.

- *Kochasz mnie?*
- *Rozpaczliwie, gołąbeczku.*
- *Tak bardzo cię pragnę.*
- *Masz mnie. Masz mnie całego.*
- *Kochanie, zerznij mnie, proszę.*

Czas się zatrzymywał, gdy kotłowaliśmy się w pościeli, wchodziliśmy razem pod prysznic albo odkrywaliśmy nowe zastosowania używanych mebli, które zgromadziliśmy w mieszkaniu. Udało nam się nawet wymyślić, jak w perwersyjny sposób wykorzystać moją skromną kolekcję krawatów. Świat odzyskiwał swój naturalny porządek dopiero, kiedy w końcu odklejaliśmy się od siebie w pełnym zaspokojenia wyczerpaniu.



Kiedy jesteś młody i pewny siebie, możesz wszystko. Świat wydaje ci się prezentem w błyszczącym opakowaniu. Masz piękną, młodą żonę ze świetnym tyłkiem, do tego wygadana, tak że czujesz się przy niej lekko bezradny, ale nic nie szkodzi, to taka bezradność, na jaką możesz sobie pozwolić. Przyjmujesz ją z dobrodziejstwem inwentarza, akceptujesz, bo wiesz, że twój związek ma solidne podstawy. Małżeńska więź jest nie do zerwania, chroni cię przed światem zewnętrznym.

Nie żebyś naprawdę potrzebował ochrony. Bo cała reszta idzie jak po maśle. Działasz w branży budowlanej, twoja firma rośnie jak na drożdżach. Ludzie na wyścigi stawiają nowe domy, tak że ledwo się wyrabiasz ze zleceniami, ale kiedy spływają kolejne, nie odmawiasz, bo niby dlaczego? Dasz radę. Jesteś królem. Spokojnie wszystko ogarniesz. Znajdujesz nawet czas, żeby wytyczyć, wykopać i wylać fundamenty, z uwzględnieniem piwnicy, przygotować podstawową infrastrukturę pod wymarzony dom, który projektujesz dla swojej zachwycającej żony. Tej samej, która też wymiata w pracy. A kiedy leżysz na niej i ją bierzesz, ona patrzy na ciebie wniebowzięta. I wtedy czujesz, że jesteś tam, w siódmym niebie, razem z nią. I rzeczywiście tak jest. Rządzisz. Jesteś, kurwa, gość.

Wtedy życie sprzedaje ci fangę. Masz wrażenie, jakby ktoś przywalił ci workiem pełnym pięciocentówek. Rynek się załamuje, na budowach zastój, a ty co? Łądujesz z gołą dupą na lodzie. Źródło z forszą błyskawicznie wysycha i nagle się okazuje, że zostajesz z masą rozgrzebanych zleceń, których terminu ukończenia ni widu, ni słyhu. Już nie ogarniasz, już niczego nie kontrolujesz. Masz przesrane – przez zwykłego pecha i kiepskie wyczucie czasu. Zainwestowałeś kupę kasy i nic z tego nie masz. Mści się na tobie ambicja.

I jeszcze to twoje ego, które wbija ci szpilę. Żona podchodzi do sprawy z autentyczną wyrozumiałością. Wspiera cię, okazuje współczucie, słucha. Ale słyszy tylko to, co jej mówisz, a przecież nie mówisz wszystkiego, prawda? Nie zwierzasz się z tego, co naprawdę cię gryzie i nie pozwala spać w nocy, kiedy leżysz obok niej bez ruchu, żeby przypadkiem nie pomyślała, że cierpisz na bezsenność. Nie chcesz jej obarczać ciężarem problemów. Bo czemu miałbyś to robić? Przecież jesteś, kurwa, gość. A przynajmniej byłeś.

Rzuciło cię w nową, nieznaną i cholernie dla ciebie przykrą rzeczywistość. Twoja piękna, charyzmatyczna żona, która potrafiłaby sprzedać grzebień łysemu, zgarnia najsmaczniejsze kąski w pracy, a także w pełni korzysta z wszelkich dodatkowych zalet zatrudnienia w firmie farmaceutycznej. W pewnym momencie dochodzisz do wniosku, że jedno łączy się z drugim w jakiś makabryczno-zabawny sposób. Kiedy gospodarka jest w dołku, ludzie na potęgę kupują leki. Czyżby los jednak miał poczucie humoru?

Krążysz po domu i zastanawiasz się, jak pchnąć swój biznes do przodu. Rozglądasz się, węszysz, dzwonisz do każdego, o kim wiesz, że odbierze telefon. Próbujesz coś wymyślić, cokolwiek. Nic z tego. Siedzisz na kanapie

i masz wrażenie, że z kominka przyglądają ci się stojące tam jarmarczne, lśniące trofea – świadectwa obrotności, rzutkości i w ogóle dominacji twojej żony na polu, na którym działa. Patrzą na ciebie, oceniają cię, gardzą tobą. Zadają sobie pytanie, co z ciebie za facet.

Dopiero po pewnym czasie uświadamiasz sobie – co wcale nie oznacza, że cios jest łagodniejszy – że teraz to twoja żona ogarnia bazę. Bo ty już nie dajesz rady. Twoje potrzeby zaspokaja kobieta – pieszczotliwie nazywasz ją gołąbeczkiem – ponieważ ty przestałeś zachowywać się jak mężczyzna. Nigdy nie zdradzałeś skłonności do rozczulania się nad sobą, ale teraz masz ochotę się poużalać, prawda? Ją też to gryzie, to pewne. Czujesz przynajmniej ulgę, że zdecydowałeś, że nie będziecie mieli dzieci – zawsze to jedna zmienna w równaniu mniej.

Ona nigdy tego nie powie, ale widzisz to w jej spojrzeniu. W rozmowie z tobą staje się ostrożniejsza, tak jakby najpierw musiała przebić się z komunikatem przez twoją dumę. Częściej pozwala ci przejmować inicjatywę, ale czujesz wtedy, jakby szła na ustępstwa. Podczas gdy wcześniej oboje płynnie poruszaliście się w tym tańcu, tak teraz masz wrażenie, że żona pozwala ci prowadzić, bo chce coś udowodnić. A gdy się kochacie, już nie patrzy ci w oczy tak jak kiedyś i ty też nie możesz się przemóc, by spojrzeć na nią w taki sposób. Jej ciało wydaje się mniej gibkie niż dawniej. Nie otwiera się przed tobą jak swego czasu, nie przyjmuje cię tak ochoczo, nie oddaje się z zapamiętaniem. Jakbyście stale się rozmijali.

Zaczynasz się zastanawiać, co ją jeszcze trzyma przy tobie i dlaczego cię nie rzuciła. Widzisz przecież, że myślami już jest gdzie indziej – i wkrótce będzie tam też spojrzeniem. Dochodzisz do etapu, na którym na zmianę dziwisz się, że cię nie opuściła, i czujesz rozczarowanie, że nie potrafi tego zrobić. Dlaczego została? Ty byś odszedł. Na co czeka?

Staracie się zachowywać pozory zdrowego małżeństwa: okazujecie sobie szacunek, wsparcie, troskę. Wszystko to nadal w sobie macie, tyle że wkrađło się do waszych wnętrz coś, co te rzeczy wyżera i niszczy wasz związek od środka. Czujecie rozpad na co dzień, a jednak żadne z was nie potrafi – albo może nie chce – się tym zająć. To odbija się na waszym życiu intymnym. Osiągasz taki stan, że seks z nią już cię nie interesuje. Pragniesz zaspokajać swoje potrzeby, jasne, ale bardziej pierwotnie, zwierzęco.



Sheila była błędem. Oczywiście, dopiero z perspektywy czasu zdajemy sobie sprawę z takich rzeczy. Nie chciałem, żeby to się wydarzyło, ale się wydarzyło. Kiedy się poznaliśmy, od dwóch lat nie miałem roboty i nadal planowałem wielki powrót na szczyt. Codziennie chodziłem z Duffem na spacer nad zatokę. Wyrywałem się z więzienia, jakim stał się mój dom, i tam, w skupieniu, starałem się wpaść na kolejny świetny pomysł, który zawsze wydawał się tuż-tuż, dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Sheila mieszkała kilka przecznic od nas i często wyprowadzała swojego psa akurat w tym czasie, kiedy wybieraliśmy się z Duffem rozprostować nogi i łapy. Popielate blond włosy zbierała w luźny kok. Cała tchnęła naturalną swobodą, tak jakby dbanie o siebie przychodziło jej bez najmniejszego wysiłku. Była ode mnie kilka lat młodsza, czułem bijącą od niej energię, która mnie pociągała. Rozpracowałem jej grafik i po kilku dniach wymiany uprzejmych pozdrowień zatrzymałem się, żeby z nią porozmawiać.

– Dzień dobry.

– Cześć. Kim jesteś, wielki psiaku?

– To Duff.

Pochyliła się, żeby go pogłaskać. W wycięciu koszulki zauważyłem koronkową lamówkę stanika.

– Witaj, Duff! Słodziak z ciebie, wiesz? A ty kim jesteś, wielki człowieku?

– Kiedy na mnie popatrzyła, dostrzegłem figlarny błysk w błękitnych oczach.

– Paul. Duff to ten mądrzejszy, ja robię za duże tępe zwierzę. – Postarałem się odwzajemnić spojrzenie.

Uśmiechnęła się, a na wargach pociągniętych błyszczącym zamigotały promienie słońca.

– Och, Paul, nie bądź dla siebie taki surowy. Ty się przynajmniej nie ślinisz. – Posłała mi długie spojrzenie, po czym wyciągnęła do mnie rękę.

– Sheila. A to Molly.

Miała ciepły i silny uścisk. Kiedy psy skończyły się obwąchiwać, a ja sięgnąłem, żeby pogłaskać czarnego labradora, zauważyłem obrączkę na serdecznym palcu Sheili. Wtedy poczułem, jak coś się we mnie zmienia.

Robiliśmy to u niej, kiedy mąż wyjeżdżał z miasta. Psy w tym czasie biegały po podwórku. My wyprawialiśmy rzeczy, o których z Rebeccą dawno zapomnieliśmy. W dodatku z taką namiętnością i zapałem, jakich nie

doświadczyłem od lat. Sheila patrzyła na mnie, dotykała mnie, sprawiała, że czułem się tak jak dawniej z Rebeccą. Dlatego wmówiłem sobie, że znaczy dla mnie więcej niż żona. Przez pewien czas naprawdę święcie w to wierzyłem.

3

REBECCA

Przed

Nie pojechałam tam po to, żeby pójść do łóżka z żonatym mężczyzną.

Poznałam Paula podczas prezentacji domu w Woodstock, zaledwie rok po tym, jak skończyłam college. Nie było mnie stać na zakup, ale w weekendy, kiedy najczęściej organizowano dni otwarte, oglądałam nieruchomości w miastach znajdujących się na tyle blisko, bym mogła dostać się tam pociągiem, i zarazem na tyle daleko, żebym przez chwilę mogła poczuć, jakbym była kimś zupełnie innym. Kiedy przechadzałam się wiejskimi drogami szpalerem drzew albo patrzyłam, jak fale oceanu rozbijają się o brzeg, wyobrażałam sobie, jak mogłoby wyglądać moje życie. Spokojne, bezpieczne, szczęśliwe. Dni pod znakiem rodzinnych pikników, wycieczek rowerowych i budowania zamków z piasku na plaży. Przystrojony świątecznymi światełkami dom pod śnieżną kołderką. Marzenia jak album ze zdjęciami z życia, jakiego nigdy nie miałam, ale zawsze pragnęłam. Męczyło mnie oczekiwanie na to, kiedy wreszcie się zacznie.

Właśnie oglądałam jedną z jego pierwszych dużych inwestycji. Słuchałam pośrednika rozpluwającego się w zachwytach nad misternym wykończeniem wnętrza, kiedy nagle on wyszedł spomiędzy drzew porastających kraniec działki. Przemaszerował przez trawnik krokiem tak dumnym, że poczułam lekki zawrót głowy. Nigdy wcześniej nie spotkałam równie przystojnego mężczyzny. Miał gęste ciemne włosy i ciepły uśmiech, który odsłaniał nieznaczną przerwę między jedykami, równie seksowną jak cała reszta jego ciała.

Podszedł i wziął mnie za rękę, przerywając zirytowanemu agentowi w pół słowa. Przeszły mnie ciarki, kiedy wsunął moją dłoń w zgięcie swojego łokcia.

– Wyglądała pani, jakby potrzebowała pomocy.

– O tak.

– Cieszę się, że mogłem się przydać.

Czekałam, aż mnie puści, a kiedy tego nie zrobił, przysunęłam się bliżej, uznałam zdobycz za swoją. Nigdy wcześniej dotyk obcej osoby nie podziałał na mnie tak elektryzująco. Serce waliło mi jak oszalałe; na pewno poczuł jego rytm przez mięśnie, skórę i ubranie. Czekałam, aż znów się odezwie. Sama milczałam, bałam się, że powiem coś niewłaściwego. Byłam zaskoczona, że ten nieznajomy tak łatwo wzbudził we mnie nieśmiałość, o jaką siebie nie podejrzewałam.

– I co? Zakochała się pani?

Zbladłam i parsknęłam śmiechem, co wyglądało bardziej, jakbym zanosila się kaszlem. Wskazał brodą dom. Opanowałam się.

– Tak! Zakochałam się. Bardzo mi się podoba.

– Mąż został w środku?

– Jeszcze tam nie byłam. Może dziś mi się poszczęści.

– Mhm, ten dzień wydaje się szczęśliwy. – Jego swoboda i pewność siebie działały na mnie jak kocimiętka na kota.

– Dom bardzo mi się podoba, ale...

Udał, że łapie się za serce. Ucieszyłam się, że drugą ręką nadal trzyma mnie przy sobie.

– Ale?

– Jest zwyczajnie zbyt duży dla samotnej osoby.

– Och, słowo „zwyczajny”, w dowolnej formie, do pani nie pasuje. W pani ustach podoba mi się natomiast słowo „samotna”.

Nie wiem, czy zauważył, że powiodłam wzrokiem za jego dłonią, kiedy wsuwał ją do kieszeni. Już wcześniej błysnęła mi obrączka na jego palcu. Sprawy rozwijały się jednak w takim kierunku, że tego rodzaju drobiazg nie powinien stanowić problemu.

– A pan się zakochał?

– Od pierwszego wejrzenia.

Pociągnął mnie za rękę. Skrzywiłam się.

– Przepraszam! Nic pani nie jest? – Szczerze się zaniepokoił, co tylko przydało mu atrakcyjności.

– To nie pańska wina. Od czasu do czasu odzywa się wspomnienie po ranie z dzieciństwa. – Podałam mu drugą rękę, zachęcając, by poprowadził mnie tam, dokąd zamierza.

– Dobrze, że nie zrobiłem pani krzywdy. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Musiałbym całe popołudnie czuwać nad panią.

Kiedy mnie pocałował, ugięły się pode mną kolana. Podtrzymał mnie z taką wprawą, jakby kobiety regularnie mdlały w jego ramionach. Wziął mnie za rękę i odgarnął niesforny kosmyk włosów z mojego czoła. Poszliśmy w stronę lasu, z dala od reszty świata. Podążyłam za nim bez chwili wahania. Co kilka kroków ścisnął moją dłoń, jakby przekazywał mi wiadomość alfabetem Morse'a. Odpowiadałam tym samym.

Później, kiedy wszyscy wyjechali i kochaliśmy się w domu, powiedział, że przyszedł po to, aby uzupełnić wnętrze o ostatni szczegół: własnoręcznie wykonane niewielkie serce z kutego żelaza. Dodał, że taki przedmiot – metalowy symbol, któremu nowi lokatorzy nadają własne znaczenie – jest znakiem rozpoznawczym wszystkich jego inwestycji. Niestety, rano dowiedział się, że małżeństwo pary, dla której zbudował dom, nie dotrwało do planowanej przeprowadzki. Wręczył mi więc serce i oznajmił, że możemy wziąć sobie tę miłość, skoro tamci jej nie chcą.

Po

Pulpit Paula jest schludny, a ikony uporządkowane – od razu więc się orientuję, że coś tu nie gra. Mam przed sobą komputer pedanta. Paul może odzyskał dryg do interesów, ale nie do ładu i organizacji. Przynajmniej tak mi się wydaje. Zastanawiam się, czy czasem ktoś mu nie pomógł w tej przemianie. Na przykład ktoś młody i gorliwy. Nieważne. Wezmę ćwiartkę xanaxu, żeby o tym nie myśleć. Wiem, że co najmniej dwukrotnie przekroczyłam swoją dzienną dawkę. Nigdy tyle nie biorę. Mąż z pewnością by to zauważył i odpowiednio skomentował. Choć dziś mam już w dupie, co się Paulowi podoba, a co nie podoba.

Ikony na pulpicie są ułożone w dwóch kolumnach: foldery po lewej zawierają materiały, które dotyczą zakończonych zleceń – wszystkich, od początku istnienia firmy, uszeregowane według adresów. Miejsce po prawej zajmują aktualne inwestycje. Odstaje od nich folder o nazwie Cold Spring Harbor.

Pobieżnie przeglądam pliki z lewej kolumny, choć wiem, że nie znajdę tam żadnego śladu naszych pieniędzy. Zapijam rozczarowanie szampanem, wpatrując się w rzędy po prawej – za każdą ikoną kryje się czyjś niedoszły wymarzony dom. Otwieram folder naszej ponadhektarowej działki w Cold Spring Harbor. Brakuje zawartości, jeśli nie liczyć pliku z aktem notarialnym. Zaskakujące, jak bardzo czuję się dotknięta tą pustką.

Paul kupił tę ziemię jako prezent ślubny. Wieczorem po ceremonii pojechaliśmy tam, rozbiliśmy namiot i beztrudnie rozrysowaliśmy plan parteru na pudełku, w którym przywieźliśmy pizzę na kolację. Obiecaliśmy sobie, że każdy cent, jaki uda nam się zarobić, powędruje na wspólne konto, które Paul otworzył na swoje i moje nazwisko. Rezygnacja z podróży poślubnej była pierwszym z wielu poświęceń na rzecz tego marzenia.

Traktowaliśmy seks i oszczędzanie jak współzawodnictwo. Jeśli w którymś miesiącu Paul wpłacił dwieście dolarów na konto, w następnym odpuszczałam sobie nowe buty i szłam do najtańszego fryzjera po to, aby wysupłać dwieście pięćdziesiąt. Często się zdarzało, że w jeszcze kolejnym mój mąż podnosił poprzeczkę. Nasze zapędy do szaleństw poskramiała świadomość, że suma na koncie stale rośnie. Nie pochodziliśmy z zamożnych rodzin, możliwość zarabiania i gromadzenia pieniędzy była dla nas czymś nowym, dawała nam nieznaną dotąd poczucie siły i kontroli.

Łączyło nas dążenie, żeby pracować wydajniej, zarabiać lepiej, odnosić coraz większe sukcesy. W pierwszych latach istnienia wspólnego konta świętowaliśmy każdy kolejny kamień milowy. W miarę jak rosły nasze oszczędności, umacniał się również nasz związek. Przynajmniej tak to wtedy odczuwałam.

Od trzech godzin regularnie co kilkadziesiąt minut sprawdzam stan wspólnego konta. Saldo za nic nie chce wrócić do dawnego poziomu. To potwierdza, że dzisiejszy koszmar jest rzeczywistością. Czy naprawdę tak bardzo oddaliliśmy się od siebie, że przestałam cokolwiek dostrzegać i Paul to wyłapał? Czas mijał niepostrzeżenie, jak zawsze, kiedy na nic nie zwraca się uwagi. Nie zorientowałam się, że łącząca nas więź aż tak bardzo się rozluźniła.

Był okres, kiedy Paul praktycznie bez przerwy zajmował się pracą. Pieniądze płynęły wtedy szerszym strumieniem i w większej ilości trafiały na konto. Nigdy wcześniej nie widziałam u niego takiej determinacji. Odnosił sukcesy, z pewnością nie brakowało mu motywacji. Chwilami jego pewność

siebie ocierała się o niepokromioną pychę, ale to nas tylko dodatkowo nakręcało. Jeśli powiedział, że coś wypali, to zawsze wypałało.

Zerkam na telefon, sprawdzam, czy Paul się nie odezwał. Nie, nie odezwał. Powinnam zadzwonić, porozmawiać, ale zanim to zrobię, muszę zebrać więcej informacji.

Idę otworzyć drzwi na taras. Duff wpada do kuchni i zaczyna kręcić się w kółko, niecierpliwie wyczekując czegoś do zjedzenia. Trzęsą mi się ręce, kiedy podaję mu chrupiący smakołyk. Nastawia uszu, szczeka raz i pędzi na górę do sypialni.

Zaniepokojona sięgam po kominkowy pogrzebacz i idę za Duffem. Zostawiłam komórkę na kanapie razem z laptopem. Czy na pewno dobrze robię, sprawdzając źródło hałasu? Może powinnam po prostu wyjść z domu i zadzwonić do Paula albo na policję? Niestety, ani jedno, ani drugie rozwiązanie nie byłoby rozsądne. Na pewno nie zależy nam na tym, by policja zaczęła węszyć w sypialni. Mniej ryzykowną opcją, ale też niedoskonałą, byłby telefon do Paula. Nadal nie wiem, jak mu powiedzieć o zwolnieniu – dlatego to też odpada.

Duff popycha nosem uchylone drzwi. Nie przypominam sobie, żebym zostawiła je otwarte. W ciągu dnia staramy się zamykać wszystkie drzwi, żeby pies nie kręcił się po całym domu. Xanax robi swoje: w miarę opanowana, chociaż z bronią w ręku, jestem w stanie wejść do sypialni.

W środku pusto. Nic tu się nie zmieniło od rana, jeśli nie liczyć tego, że jedno z okien jest otwarte. Wiatr porusza oblużowaną szarfą od zasłony, która uderza o parapet. Racjonalne wyjaśnienie źródła hałasu. Rozluźniam się.

Podchodzę do okna, żeby je zamknąć i zaczepić szarfę na haczyku, kiedy nagle zwracam uwagę na szminkę od MAC-a; leży pod fotelem, wyraźnie odcinając się od nowo położonej wykładziny. Podnoszę, oglądam – żadna z moich. Zdejmuję nasadkę. Jasnoczerwony odcień kojarzy mi się z ustami tej kobiety. Zerkam na nazwę na spodzie: „Lady Danger”. Uświadamiam sobie, że szminka musiała leżeć tu długi czas niezauważona. Chowam ją do kieszeni i wychodzę z sypialni razem z Duffem. Na razie zostawię ten problem za zamkniętymi drzwiami.

Wracam na kanapę, biorę laptopa i zaczynam szperać dalej. Z każdym kliknięciem żołądek mocniej zaciska mi się w supeł. Wiem, że szukając pieniędzy, jednocześnie wypatruję dowodu na istnienie innej kobiety. Własny brak pewności siebie napawa mnie obrzydzeniem. Zawsze czułam się gorszą

partią w naszym związku i dziś znów odzywa się dawny niepokój. Z początku nie wierzyłam w to, że zdołam zaspokoić oczekiwania Paula, że będę tą dziewczyną, którą we mnie dojrzał, kiedy się poznaliśmy. Zepchnęłam tę obawę najgłębiej, jak potrafiłam, i zamknęłam ją pod kluczem.

Wibruje mój telefon. Dzwoni Paul.

– Cześć – rzucam w miarę spokojnie, choć jestem roztrzęsiona.

– Cześć, skarbie. Co tam w pracy? – W świecie Paula jego żona nadal ma zajęcie.

Nagle dociera do mnie, że nie przemyślałam tego, jak ukryję przed nim swój nowy status bezrobotnej. Skoro plan opuszczenia kraju nie wypalił, trzeba wykombinować coś innego. Tymczasem lepiej, żeby Paul nie zaczął podejrzewać, że coś jest nie tak.

– W porządku. W miarę luźno. Mark zachowuje się jak osioł, ale to żadna nowość.

– Rzeczywiście, palant z niego, zwłaszcza, jak się domyślam, teraz, po zaginięciu Sashy. Przykro mi, że musisz go znosić.

– Ciekawe, co się z nią stało. Mam nadzieję, że jest cała. – Nic mnie nie obchodzi jej los; co innego to, do jakiego stopnia Sasha zajmuje myśli Paula.

– Oczywiście, że jest cała. Na pewno ma się doskonale. Szaleje za forszę Marka i śmieje się z tych, którzy jej szukają. Zawsze lubiła być w centrum uwagi. – Mierzi mnie pełne czułości rozbawienie, z jakim wymawia słowo „zawsze”.

– No ty wiesz najlepiej – odpowiadam ze szczyptą gorzkości. Czuję, że znosi mnie w stronę kłótni, której akurat dziś nie potrzebujemy.

Na szczęście Paul nie połyka przynęty. Zmienia temat.

– Posłuchaj, ci detektywi, ci z rana, zjawili się później w domu, po którym miałem oprowadzać klientów. Wyszli dopiero wtedy, kiedy ludzie zaczęli się schodzić. Dlatego wcześniej nie dzwoniłem.

Krew ścina mi się w żyłach.

– Czego chcieli?

– Żebym pojechał z nimi na komendę i odpowiedział na jakieś dodatkowe pytania.

Muszę pamiętać, żeby uważać, co mówię przez telefon. Wiem, że Paul też jest czujny. Naoglądaliśmy się wystarczająco dużo seriali kryminalnych, by

wiedzieć, czym grozi nieostrożność.

– Zgodziłeś się?

– Oczywiście. Ale uprzedziłem, że dopiero kiedy wrócę z wyjazdu z Wesem.

W chaosie poranka zupełnie wypadło mi z głowy, że jutro rano Paul wybiera się na Florydę na dwudniową konferencję pośredników w handlu nieruchomościami, czyli w praktyce byczenie się na plaży. Luba w odpowiednim momencie i na koszt firmy. Nie będę mu towarzyszyć – z kilku powodów, przede wszystkim dlatego, że nie zostałam zaproszona.

– Pytali o coś innego niż te rzeczy rano?

– Nie, rozmawialiśmy nadal o tym samym. – Wyczuwam zdenerwowanie w jego głosie.

– Rozumiem. Wspominali o prawniku?

Po jego ciężkim westchnieniu poznaję, że jest mną rozdrażniony. Nie wiem tylko dlaczego. Chętnie naskoczyłabym na niego w sprawie konta i udowodniła, że jedno z nas ma prawdziwy powód do wkurwienia.

– Podejrzewam, że będą chcieli ponownie cię przepytać. Zależało im na indywidualnej rozmowie ze mną. Z tobą będzie pewnie to samo.

Gryzę się w język aż do krwi. Korci mnie, żeby poruszyć temat kasy. Ale jeśli zrobię to teraz, nie będę miała dość informacji, by się zorientować, czy kłamię. A jeżeli od razu nie połapię się w jego łgarstwach, to później za nic nie przebrnę przez tę płataninę. Lepiej poczekać. Niemniej myśl o tym, że jutro Paul wsiądzie do samolotu, wyzwała we mnie lęk.

– O której wracasz?

– Późno. Razem z Wesem zabieramy tych dupków z Murray Hill na drinka. Mówiłem ci. Chcą poczuć miejscowy klimat, zanim wybulą parę milionów na swój trzeci dom weekendowy. Zabrałem walizkę z rzeczami na wyjazd, na wypadek gdybym postanowił przekimać u Wesa. Mamy lot bladym świtem.

– Aha. Myślałam, że się jeszcze zobaczymy.

– Przykro mi, kochanie. Nawet jeśli dotrę dziś do domu, to i tak będziesz już spała – mówi łagodnym głosem.

Myśli, że przemawia przeze mnie troska. Staram się, żeby to, co mówię, nie zabrzmiało fałszywie.

– No tak. Trudno. Będę za tobą tęskniła.

- Wróć, zanim się obejrzysz.
- Kocham cię, skarbie.
- Naprawdę?
- Ponad wszystko – odpowiadam bez zajknięcia.

Zegar w korytarzu wybija czwartą. Znajomy i zarazem dezorientujący dźwięk. Rozprostowuję nogi, ale tylko na chwilę, bo zaraz wracam do szperania w komputerze, również w tych najbardziej oczywistych miejscach: skrzynce pocztowej i na Facebooku. Paul od ponad roku nie opublikował żadnego postu ani komentarza w mediach społecznościowych. A jeśli chodzi o korespondencję ze swoją dawną sympatią z liceum, ogranicza się do pojedynczych uśmiezków i kokieteryjnych uwag pod jej adresem. Zaglądam na jego profil i widzę, że wśród polubień widnieją jedynie strony konkurencyjnych developerów z naszej okolicy. Odpuszczam Facebooka i zaczynam grzebać w folderach na dysku. Ku mojemu rozczarowaniu Paul wylogował się z poczty i żadne z jego standardowych haseł nie działa. Sprawdzam ostatnio otwierane dokumenty Worda. W zeszłym miesiącu czytał nasze polisy. Przelatuję wzrokiem fragmenty drobnym drukiem w obu umowach, ale nie znajduję nic niepokojącego.

Jak na razie najwięcej podejrzeń budzi we mnie brak pornosów pochowanych w folderach o niewinnych nazwach. To, co spodziewałam się odkryć – czymkolwiek to jest – zostało doskonale zakamuflowane albo zwyczajnie nie ma tego na tym komputerze. Usilnie staram się znaleźć rozsądne wytłumaczenie postępowania Paula. Dlaczego wziął pieniądze, nie mówiąc mi o tym? Niestety, nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

Odrywam wzrok od ekranu i rozglądam się po salonie. Włożyliśmy tak dużo czasu w planowanie wymarzonego gniazdka w Cold Spring Harbor, że zaniedbaliśmy to, w którym wciąż mieszkamy. Jeśli dom rzeczywiście stanowi odzwierciedlenie usposobienia jego lokatorów, to znaczy, że jesteśmy do bólu beżowi. Kupowaliśmy go ze świadomością, że będzie tymczasowy, że da nam schronienie, dopóki nie osiadziemy w „prawdziwym”. Bibeloty i obrazki wybieraliśmy rzutem na taśmę, stojąc w kolejce do kasy w sklepie z wyposażeniem wnętrz. Nasze pomieszczenia można by pokazywać w magazynie dla miłośników domów bez polotu. Mijały lata, nic nie wskazywało na to, abyśmy mieli się wyprowadzić, a mimo to nie podejmowaliśmy żadnych działań, by uczynić ten budynek choć odrobinę

bardziej „naszym”. Obejmuję salon spojrzeniem i dostrzegam banalność tego, co mnie otacza.

Na kominku turkusowy chiński lew strażnik, osamotniona ceramiczna podpórka do książek, bodaj najbardziej ozdobny przedmiot w całym pokoju. Paul nawet nie zauważył, kiedy lwu zabrakło towarzysza. To chyba typowe dla naszej rodziny.

Podpórka zakończyła swój żywot jakieś dwa lata temu, kiedy Paul wrócił do domu pijany. To już samo w sobie było niepokojące, bo nie miał w zwyczaju tracić kontroli nad sobą i z reguły ograniczał się do jednego albo dwóch piw. Tym razem jednak wypił dziewięć czy dziesięć. Klapnął na kanapie obok mnie, a nasze ramiona prawie się dotknęły; dawno nie byliśmy tak blisko siebie w sensie fizycznym. Korciło mnie, żeby łyknąć tabletkę, bo czułam, jak przytłacza nas ciężar tego, co Paul ma do powiedzenia. Zastanawiałam się, czy w tym stanie w ogóle zauważy, co robię. Pilnowałam się. Ściśle przestrzegałam dziennego dawkowania.

– Moja firma leży. Forsa przestała spływać. Zero. Nul – oznajmił, wbijając spojrzenie w podłogę. – Dzisiaj zwolniłem ostatnich pracowników. Niektórzy nie chcieli odejść. Mówili, że zostaną i pomogą dokończyć zlecenia. Nie docierało do nich, że nikt nam za to nie zapłaci. – Duff wyczuł podły nastrój swojego pana, podszedł do niego, położył wielki łeb na jego kolanach i zaskomlał. Paul wtulił twarz w sierść psiaka i cicho załkał. – Okropne. Kurwa, jeden z najgorszych dni w moim życiu.

Żał mi było na niego patrzeć. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie, dotąd nie rozklejał się nawet wtedy, kiedy opowiadał o swoim dorastaniu. Nie miałam pojęcia, jak go pocieszyć. Nie nauczyłam się tego w dzieciństwie, bo mnie samej nikt nigdy nie dodawał otuchy.

Chciałabym móc powiedzieć, że to, co wtedy ode mnie usłyszał, mówiłam szczerze i że nie powtórzyłam tego samego frazesu na sto różnych sposobów. Dopiero się uczyłam, jak reagować na obrzydzenie wywołane jego słabością, które nagle w sobie odkryłam.

– Będzie dobrze, kochanie. Naprawdę, wszystko się ułoży. Zobaczysz, los się odmieni. Nie musimy się martwić o pieniądze, przecież ja zarabiam, a w ostateczności mamy jeszcze to, co przeznaczyliśmy na Cold Spring Harbor.

Wcale nie miałam tego na myśli. Szlag by mnie trafił, gdyby się okazało, że musimy sięgnąć do rezerwy. Paul zeszywniał.

– W żadnym razie. Absolutnie nie tkniemy pieniędzy na dom. Coś wymyślę. – Wstał na chwiejnych nogach i zatoczył się, po chwili ruszył na górę i padł twarzą na łóżko. Kiedy dotarłam na piętro, już chrapał.

Obróciłam mu głowę na bok, żeby się nie udusił, i wróciłam na dół. Potem wzięłam jedną z podpórek do książek i roztrzaskałam ją o tył kominka. Rozpadła się na setki zakurzonych ceramicznych kawałków. Byłam tak wściekła, że nie panowałam nad sobą i prawie nie zdawałam sobie sprawy z własnych czynów. Dopiero po pewnym czasie zorientowałam się, co zrobiłam. Tak to bywa z moją złością. Gniew jest we mnie od tak dawna, że czasem mam wrażenie, jakbym wyszła z łona matki pełna furii. Robiłam wszystko, by ukryć swój temperament, zwłaszcza przed mężem.

Zapalają się latarnie. Ostatnie smugi naturalnego światła rzucają upiorne cienie na drewnianą podłogę. Od kilku godzin siedzę i bezowocnie przeglądam foldery i dokumenty. Przechodzę do tych zawierających materiały na temat nieruchomości. Całe to myszkowanie uświadamia mi jedynie, jak bardzo oddaliłam się od męża.

Otwieram jego listę rzeczy do zrobienia. Utworzył ten plik mniej więcej wtedy, kiedy po raz pierwszy został bez zajęcia. „1. Znaleźć nową robotę. 2. Trenować do półmaratonu. 3. Zacząć gotować. 4. Popracować nad koncepcją domu”. Doskonale ułożony plan. Szybko go sobie odpuścił. Po zwinięciu interesu zaczął marnieć. Jego biurem stała się kanapa, a strojem do pracy – pidżama. Żartowaliśmy, że przejdzie na wcześniejszą emeryturę i że wyhoduje całkiem pokaźny zarost na twarzy, ale u mnie to wszystko było podszyte złością i urazą.

Stała obecność Paula w domu zmusiła mnie, żeby znaleźć lepszą kryjówkę na dodatkowe tabletki, których zaczęłam potrzebować. Nie przekraczałam granicy – po prostu przesunęłam ją kawałek dalej, aby jakoś poradzić sobie w tej nowej dla nas sytuacji. W apteczce w kuchni trzymałam wszelkie niebudzące podejrzeń, przepisane przez lekarza proszki – miałam je brać „w razie konieczności”. Własne, uzupełniające zasoby tabletek melinowałam w takich miejscach, w które Paul na pewno by nie zajrzał, nawet przy całym swoim nadmiarze wolnego czasu.

Moja obsesja nie ograniczała się do chemicznych specyfików, którymi leczyłam się na własną rękę. Uciekałam też w pracę. Poza tym zaczęłam ćwiczyć dwa razy dziennie, żeby mieć pretekst do wychodzenia z domu i móc sobie wmawiać, że nie przesadzam z lekami. Skoro potrafię przebiec pięć

kilometrów, a potem jeszcze wsiąść na rowerek – powtarzałam sobie – to znaczy, że jestem zdrowsza niż większość Amerykanów.

Wyglądało jednak na to, że wraz ze wzrostem mojej aktywności w pracy i na treningach Paul coraz bardziej tracił motywację. Nasze wspólne życie zawsze przypominało ścieranie się konkurencyjnych ambicji, tymczasem Paul jakby machnął na to wszystko ręką. Nie mogłam patrzeć, jak bez końca liże rany po bankructwie firmy. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że to nie jego wina, że ludzi nie stać na kredyt hipoteczny, dlatego nie buduje się nowych domów, a mimo to nie potrafiłam opanować stale narastającej złości. Paulowi nie było do twarzy z porażką, poza tym nie wyszłam za faceta, który zarastałby i przesiadywał całe dnie w pidżamie. Tymczasem jednak to, co dotąd wydawało się nie w stylu mojego męża, stało się jego nowym przyzwyczajeniem. Poddawał się, a ja odwracałam głowę, bo nie mogłam znieść tego widoku. Teraz odsuwam od siebie przytłaczającą myśl o tym, jak odmiennie mogłyby wyglądać sprawy, gdybym wtedy postąpiła inaczej.

Zaproponowałam Paulowi przyniesione z pracy próbki antydepresantów, licząc, że zastąpią mu brak prawdziwego zrozumienia i współczucia z mojej strony. Odmówił, bo zawsze uważał, że ucieczka w farmaceutyki to zły pomysł; nazywał je „łatwym rozwiązaniem”. W pracy miałam szczególnie trudny okres związany z testami euphellisu. Zaczęłam brać attivan, żeby jakoś wieczorami funkcjonować. Przy kieliszku wina odkryłam, że połączenie leków i alkoholu – nigdy nie przypuszczałam, że będę to robiła – trochę zmniejsza napięcie między nami. Niemniej bez względu na to, jak bardzo byłam odklejona od rzeczywistości czy do niej przyklejona, stale się od siebie oddalaliśmy, aż do momentu, w którym praktycznie przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Paul zajmował jeden koniec kanapy i godzinami wpatrywał się w ekran telefonu – twierdził, że czyta wiadomości – a ja okopywałam się w drugim końcu i godzina za godziną pozwalałam, by przepływały przeze mnie kolejne sezony seriali.

Osobą, która w końcu wyrwała go z otępienia, był jeden z jego najdawniejszych przyjaciół. Wes przekonywał zachłanne dorosłe dzieci Eastern Long Island do sprzedawania skromnych domów i działek ich rodziców bogaczom za siedmio-, a nawet ośmiocyfrowe kwoty – i zarabiał na tym miliony. Wes dostrzegł w moim mężu specja od sprzedaży nieruchomości. Postanowił dać mu szansę i zadzwonił z propozycją.

Następnego dnia rano Paul zdążył wstać, pójść pobiegać z Duffem i przygotować mi śniadanie, zanim w końcu budzik wyrwał mnie ze snu. Ogolony, w garniturze, popijał kawę i uśmiechał się szeroko znad kubka. Mężczyzna, w którego powrót przestałam już wierzyć. Poczułam znajome mrowienie – znów pragnęłam, aby mnie dotykał. Wyczuł to. Objął mnie i szepnął mi do ucha moje czułe przezwisko, po czym delikatnie położył mnie na podłodze i namiętnie wyłuszczył swój plan powrotu na szczyt.

Otwieram karty informacyjne domów w Hamptons – jeden większy od drugiego. Karty wyglądają bardzo elegancko, na jednych widnieje mocno podrasowane zdjęcie Wesa, na innych uśmiechnięta twarz Paula wraz z danymi kontaktowymi. Klikam folder „sprzedane”, a potem kartę informacyjną niezbyt dużego bungalowu w South-ampton, z widokiem na ocean, stojącego na działce trzy razy większej od powierzchni samego domu. Cena wywoławcza – siedemnaście milionów dolarów, prowizja od takiej transakcji to co najmniej milion. Sprzedaż sfinalizowano przed niespełna rokiem. Nie pojmuję, dlaczego Paul wyprowadził oszczędności naszego życia, mając takie pieniądze.

Tłący się we mnie stary ból przeradza się we wściekłość. Paul mnie nie docenił. Ja też potrafię knuć intrygi.

4

PAUL

Przed

Niesamowite, jak dobry możesz być w tym, co robisz, nie pomimo, a właśnie dlatego, że jest ci to zupełnie obojętne.

Bardzo chciałem się dokładać do wspólnego życia, ale moje plany rozkręcenia interesu utknęły w martwym punkcie. Przejęcie przez Rebeccę roli jedynej żywicielki rodziny powoli dobijało nasze małżeństwo i to, co zaczęło się jako cicha uraza, stopniowo ewoluowało w nieustającą, dręczącą pretensję.

– Jak ci minął dzień, kotku? Wydarzyło się coś ciekawego?

– Dzień jak co dzień. Co w pracy?

– Po staremu. Kupa śmiechu, jak to z Markiem. Byliście z Duffem na plaży?

– Jak zwykle – odpowiadam tak ostro, że słowa niemal ranią mi usta. Widzę, jak Rebecca mruży oczy. Odliczam: trzy, dwa, jeden...

– Dobra... okej. Chciałam tylko pogadać. Ale skoro nie masz ochoty, to może później?

Nic z tego.

– Jasne, skarbie. Zajrzałem do szafki w kuchni. Kończą ci się zapasy. Chyba pora je uzupełnić. – Wymówiłem się i poszedłem do gabinetu, tak jakbym naprawdę miał coś do zrobienia.

Moja żona z pewnością czuła się wygodnie w roli tej, która w naszym związku nosi bardzo dopasowane spodnie. Nie wiem, czy nadal monitorowała stan wspólnego konta, ale bez wątplenia wciąż regularnie zasilala je swoim wkładem; ja natomiast od dłuższego czasu nie miałem już z czego się dorzucac. Wyobrazałem sobie ten triumfujacy uśmiezek na jej ustach, kiedy

robi przelew. Uśmiech, który zniknął jedynie po to, by pojawił się grymas nie tak jawnie złowrogi.

Bogu niech będą dzięki za Wesa. Zadzwoił do mnie któregoś dnia wcześniej rano, kiedy siedziałem na tarasie.

Trawa była jeszcze mokra od rosy.

– Cześć, Wes.

– Czołem, złamasie.

– Co tam, kutafonie?

– Stara nadal wysysa z ciebie wszystkie soki?

– A tobie nadal rośnie dupa od wciskania frajerom domów z klocków po zawyżonych cenach?

– Skoro już o tym mowa...

Wprowadził mnie w tajniki pośrednictwa w handlu nieruchomościami, załatwił licencję i podsunął kilka całkiem niezłych – jak dla początkującego – kąsków. Protekcja rządzi światem.

Zupełnie przypadkiem odkryłem, że kluczem do sukcesu jest się nie przejmować. Bo rzeczywiście miałem w dupie swoją robotę. Wychodziłem z założenia, że skoro nie mogę budować domów, to nie chcę mieć nic wspólnego z branżą nieruchomości. Niezwykle było to, że moje wyjątkowo swobodne podejście do tematu niemal natychmiast zaczęło popłacać. Swoją beztroską jedynie przyciągałem klientów. W pierwszym roku pośrednictwa zanotowałem niespotykany odsetek udanych transakcji. Nawet Wes był pod wrażeniem.

Szybko zdałem sobie sprawę, że błąd popełniany przez większość agentów polega na stosowaniu zbyt agresywnych technik sprzedaży. Jeśli będziesz zanadto natarczywy – zaczniesz zachwalać dom, udogodnienia, lokalizację z przesadnym zachwytem – stracisz klienta, zanim w ogóle zdążysz go zaciekawić. Nie dostaniesz szansy, by go omamić, bo z miejsca wyczuje twoją desperację i zamknie się na argumenty. Sztuka urabiania celów – bo kupujący są celami, a my to lawirujący kombinatorzy – polega na podkreśnianiu ich zainteresowania siłą suges-tii. Pobudź apetyt, ale nie pozwól zaspokoić pragnienia. Oceń ich, spróbuj się domyślić, czego szukają, a potem to wykorzystaj. Tę cechę podkreśl, tamtą zbagatelizuj. Zaczynij od czegoś mało istotnego, to zaś, co może przeważać szalę, zataj i pozwól, by sami do tego

doszli; niech myślą, że dokonali odkrycia bez niczyjej pomocy. Sprzedawanie jest przecież sztuką uwodzenia. A więc czymś, na czym się znam.



- Twój mąż ci tak nie robi, prawda?
- Nikt mi tak nie robi jak ty, Paul.
- Czyje to?
- Twoje, kochanie. Tylko twoje.
- Zgadza się.
- Poradzisz sobie z tym?
- Mów tak dalej, a przekonamy się, czy ty poradzisz sobie z tym.
- Pragnę tego. Pragnę całą sobą.

Dzięki Bogu za Sheilę. Gdyby nie ona, rozpadłbym się, zanim jeszcze Wes zadzwonił z propozycją. Bo już zaczynałem tracić równowagę. Opadało mnie zwątpienie. Nie takie zwyczajne, powierzchowne, które od czasu do czasu udziela się każdemu. Mowa o takim, które wbija w ciebie kły i stopniowo bezlitośnie wysysa z ciebie życie.

Kiedy teraz o tym myślę, wiem, że byłem w żalonym stanie. Wrak człowieka. Krążyłem po domu bez celu, nieogolony, w pidżamie. Praktycznie nie odzywałem się do żony i nie utrzymywałem prawie żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym. Jedyne, co pozwalało mi jako tako funkcjonować, to zażyłość z Sheilą.

Kiedy się poznaliśmy, moje myśli krążyły jeszcze po dawnej orbicie. Nadal wierzyłem, że wciąż wspinam się po drabinie sukcesu. Wmawiałem sobie, że przyczyną, dla której tak długo pozostaję bez pracy, jest zwykły pech. Rano wychodziłem z Duffem, spotykaliśmy się z Sheilą i jej Molly, spacerowaliśmy nad zatoką. Spuszczaliśmy psy ze smyczy, żeby pobiegały, a sami rozmawialiśmy o tym, jak nam minął poprzedni dzień. Potem szliśmy do niej, zostawialiśmy pupilów na podwórzu i wskakiwaliśmy do łóżka. Bardzo przyjemna odmiana od codzienności.

Nie mogło to jednak trwać wiecznie. Przez kolejny rok stopniowo mocniej grzęźliśmy w tej dziurze, w której oboje tkwiliśmy. Nie w tym rzecz, że działaliśmy na siebie dołując – nie, dobijał nas chaos, w którym pograżyły się nasze życia. Mnie coraz bardziej przygnębiało płonne marzenie o powrocie

do dawnej zawodowej chwały, a Sheila z rosnącym trudem brnęła przez bagno swojego rozpadającego się związku. Jej mąż, który zresztą od lat znęcał się nad nią emocjonalnie, większość czasu spędzał na wyjazdach służbowych. Wkrótce stało się dla niej jasne, że facet ma romans z jedną ze współpracownic i jednocześnie towarzyszek podróży. Ból, który Sheila przez to czuła, powoli ją niszczył.

Zbieżność naszych zgryzot zbliżyła nas do siebie – i zarazem oddaliła. Zamykaliśmy się w kokonie własnej frustracji i milczącej złości i rozpaczliwie trzymaliśmy się jedno drugiego, byle nie dać się wciągnąć głębiej. To wszystko, co mogliśmy zrobić, aby uchronić się przed całkowitym upadkiem w ciemność.

W końcu porzuciliśmy wszelkie pozory. Już nie spotykaliśmy się, żeby pospacerować z psami po plaży nad zatoką. Jak tylko Rebecca wyjeżdżała do pracy, wypuszczałem Duffa na podwórze i biegłem do Sheili. Coraz mniej rozmawialiśmy. Zresztą i tak nie było potrzeby, skoro żadne z nas nie miało nic ciekawego do powiedzenia. Porozumiewaliśmy się językiem ciała. Przestała zamykać drzwi; zwierzę, które teraz odwiedzało ją w domu, musiało jedynie otworzyć te lżejsze, siatkowe. Wchodziłem do środka i dostawałem to, czego chciałem. Czasem dopadała mnie już w progu, popychała na ścianę i rozbierała. Bywało, że siedziała naga na sofie i czekała, aż ją sponiewieram.

Wypracowaliśmy pewien rytm, układ bez słów. Wystarczyło, że spojrzeliśmy na siebie, i już wiedzieliśmy, czego nam trzeba. Ten schemat stał się językiem, którym komunikowaliśmy frustracje i żale przeniesione z innych dziedzin naszego życia. Jeden rzut oka i natychmiast stawało się jasne, kto rucha, a kto będzie ruchany.

To nam dodawało śmiałości. Z początku ograniczaliśmy się do salonu, potem – powoli – Sheila zaczęła mnie wabić na górę. Zrobiliśmy to na schodach, pod ścianą w korytarzu i wreszcie: w małżeńskim łóżku. Fakt, że pieprzyłem ją tam, gdzie sypiali, żeby dopiec jej mężowi, niesamowicie ją podniecał – mnie też. Poczułem się bardziej męski, jakbym znów był panem domu. Co prawda, nie własnego, ale to szczegół. Dawałem z siebie wszystko, a kiedy przesuwiała palcami po szczecinie na mojej twarzy, odzywała się we mnie dawna dzikość i niefrasobliwość. Co skłoniło mnie do podjęcia kolejnego kroku.

– Hm. – Rozgląda się po sypialni.

– O co chodzi? – Patrzę, jak zawiesza oko na jakimś drobiazgu.

– Nie spodziewałam się po tobie takiego wnętrza.

– A co, przysłaś pisać artykuł dla „Architectural Digest”?

Odwraca się do mnie, zagryza wargę i wsuwa mi dłoń między nogi.

– Wiesz, po co przysłałam... – Drugą ręką zaczyna rozpinać mi koszulę. –
Twoja żona na pewno nas nie nakryje?

– Może nie rozmawiajmy o niej. – Słyszę napięcie w swoim głosie.

Gryzie mnie w ucho – trochę za mocno – i szepcze:

– No to mnie zmuś.

Nie twierdzę, że podstawą małżeństwa są tajemnice, ale z pewnością pomagają mu nie wygasnąć. Zwłaszcza po dwudziestu latach. Od kiedy sprowadziłem Sheilę do domu, poczułem swego rodzaju odwilż w stosunkach pomiędzy mną a Rebeccą. Frustracja i uraza ustąpiły – bo ktoś zadbał o moje potrzeby. Znów stałem się ciepły i serdeczny dla żony, na nowo odkryłem życzliwość, która dotąd pozostawała w stanie uśpienia, tak jak nasze życie erotyczne. Posuwanie kochanki sprawiło, że z moich kontaktów z żoną zeszło ciśnienie.

Można powiedzieć, że w pewnym sensie zrobiłem to dla niej. Dla nas. Dla naszego małżeństwa.

5

REBECCA

Po

Wszystkie sekrety były z myślą o nim. Te, które zachowałam dla siebie, i te, którymi się podzieliłam. Wszystkie niezbędne dla dobra małżeństwa.

Tak, nieraz zdarzało mi się wychodzić poza ramy naszego układu. Pewne rzeczy zatajałam, inne pomijałam. Mówiłam jedno, a miałam na myśli drugie. Wykorzystywałam swoje ciało tam, gdzie zawodziły słowa.

Uważam, że wszystko to czyni ze mnie dobrą żoną. Większość ludzi powiedziałyby – przynajmniej w obecności małżonka – że zdrowy związek zasadza się na otwartości i szczerości.

Spędziłam z Paulem pół życia, co do roku. Pięćdziesiąt procent mojego czasu na tym świecie. Całe lata podejmowania decyzji jako „my”. Rezygnowania z dotychczasowych marzeń i snucia nowych. Po takim okresie zaciera się różnica pomiędzy tym, jakim się było w pojedynkę, a jakim się jest w parze. Gdyby nie moje sekrety, zupełnie przestałabym istnieć. Z początku zbliżały nas rzeczy, które mówiliśmy tylko sobie i nikomu innemu. Później zaczęłam mieć wrażenie, że trzymają nas razem wyłącznie te sprawy, o których sobie nie mówimy. No, ale to też się oczywiście skończyło.

Gdyby zapytać Paula, czy zna prawdziwą mnie, bez wahania odpowiedziałby twierdząco. Widział mnie w chwilach największej słabości, a także wtedy, kiedy dawałam się ponieść emocjom albo coś wytrącało mnie z równowagi. Aż do tamtej nocy w sypialni nie miał jednak pojęcia, jak gwałtownie może się skończyć mój rozstrój nerwowy.

Kocham swojego męża. Nawet gdy jest kłamcą, złodziejem, kanalią. Zrobiłam mnóstwo rzeczy, których większość ludzi nie potrafiłaby zrozumieć i które zakwalifikowałaby jako zdradę, dotkliwszą nawet od wyprowadzenia wspólnych oszczędności. Niczego nie żałuję i niczego bym nie zmieniała. Paul nie zna mojego prawdziwego oblicza, ale za to zdaje sobie sprawę, co

najgorszego przydarzyło mi się w życiu, a także wydaje mu się, że wie, co najgorszego zrobiłam. Dla mnie to dużo bardziej niebezpieczne niż cokolwiek innego.

Ale nie szkodzi – ja też wiem o nim najgorsze rzeczy.



Budzę się zdezorientowana. Jest ciemno. Spoglądam na zegarek: prawie dwudziesta druga. Zasnęłam na prawym boku i teraz ćmi mnie w barku. Sięgam do torebki po proszek przeciwbólowy i połykam go bez popijania. Został tylko jeden. Z lekką paniką usiłuję przypomnieć sobie, gdzie ukryłam zapas na czarną godzinę. Ostatnio się gubię, jeśli chodzi o lokalizację i zawartość schowków. Przez pewien czas prowadziłam wykaz, ale zapomniałam go i nie zdołałam odnaleźć.

Słyszę dolatujący z góry szum wody. Otwieram szeroko oczy. Czyżby Paul wrócił? Nie widzę Duffa – pewnie jest w sypialni ze swoim panem; z nas dwojga to właśnie jemu zawsze był wierniejszy.

– Paul? – Odpowiada mi miarowe ciurkanie.

Rozglądam się po kanapie w poszukiwaniu telefonu, sprawdzam pod poduszkami – pusto. Grzebię w torebce – tu też go nie ma.

– Duff? Do mnie! – Szum nie ustaje, a nawet wydaje się coraz głośniejszy w panującej ciszy. Próbuję sobie przypomnieć, czy przed zejściem do salonu i zaśnięciem mogłam odkręcić prysznic. Nie, to bez sensu. Przecież po powrocie do domu nawet nie zaglądałam na górę.

Ruszam na piętro. Czuję się bezbronna bez komórki i Duffa. Zastanawiam się, czy nie wziąć czegoś, czym mogłabym odeprzeć ewentualny atak, ale dochodzę do wniosku, że Paul uzna mnie za wariatkę, jak to zobaczy. I słusznie. Co mu powiem? W połowie drogi na górę uznaję, że nic. Jestem za bardzo zmęczona na kłótnię i tak naprawdę cieszę się, że jednak wrócił.

Ze szczytu schodów widzę, że w sypialni ciemno. Zaglądam do środka – spod zamkniętych drzwi łazienki sączy się światło. Podchodzę i delikatnie pukam. Orientuję się, że szumi nie w prysznicu, tylko w wannie.

– Paul? Kochanie? – Brak odpowiedzi. Pewnie nie słyszy. – Wchodzę, dobrze?

Otwieram drzwi. Zasłona jest do połowy zasunięta, w wannie brakuje dosłownie kilku centymetrów, żeby woda się przelała. Okna i lustro są

zaparowane, ale powietrze w łazience szybko się miesza z chłodniejszym z sypialni. W środku nikogo. W dwóch krokach podchodzę do kranu i zakręcam kurek.

Rozglądam się po pustej łazience. Na półce leży równo złożony ręcznik, na nim maszynka do golenia, a nieco z boku – mój telefon. Przysiadam na brzegu wanny i próbuję połapać się w sytuacji. Cofam się myślami do wcześniejszych wydarzeń tego dnia i usiłuję odtworzyć wszystko, co robiłam do tej pory, ale za nic nie przypominam sobie, żebym wchodziła na górę, odkręcała wodę w wannie i zostawiała tu komórkę, nie mówiąc już o maszynce i ręczniku. To wszystko wygląda na zainscenizowane.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że efektem ubocznym leków może być paranoja, dlatego staram się przekonać samą siebie, najprostsze wytłumaczenie jest z reguły tym właściwym. Wcale nie tracę poczucia rzeczywistości. Paul wrócił do domu, ale nie chciał mnie budzić. Zamierzał wziąć kąpiel, ale najpierw wyszedł na spacer z Duffem i zapomniał, że odkręcił wodę w wannie. Przyznaję, że to dla niego nietypowe, zawsze starannie sprawdza, czy wszystko pozakręcane, powyłączone, pozamykane i pozabezpieczone.

W domu zalega upiorna cisza przerywana sporadycznym kapaniem wody z kranu do pełnej wanny. Moja dłoń ociera się o plastikową zasłonę i nagle przechodzi mnie dreszcz. Wstaję, odsuwam zasłonę do końca i dopiero wtedy widzę, co zakrywała. Na wodzie unosi się, falując jak jasnopomarańczowa boja, moje zapasowe opakowanie oxycontin.

Paul chce mi coś powiedzieć. Stał się wyjątkowo twórczy w swojej biernej agresji wobec mojego samoleczenia. Sięgam po pojemniczek i wyławiam go z wściekłością, wzdrygając się przy kontakcie z ukropem. Nie mam czasu skupić się na bólu, bo zaczyna wibrować telefon. Esem-es od Paula.

Cześć, kotku. Dostałaś moją wiadomość?

Tak, kotku, dostałam. Nieco zbyt teatralna jak na mój gust. Nagle czuję, jak znów dochodzi we mnie do głosu wcześniejsza złość na Paula.

Dostałam. Ale nic z niej nie zrozumiałam. Gdzie jesteś?

Naciskam „wyślij” i w tej samej chwili uświadamiam sobie swoją pomyłkę. Dopiero teraz widzę powiadomienie o nieodebranym połączeniu i nowej wiadomości na poczcie głosowej. Przetacza się przeze mnie fala lęku.

????? Jak to? Wszystko w porządku? Jestem u Wesa. Odsłuchałaś wiadomość?

Czym prędzej odpisuję.

Przepraszam, dopiero się obudziłam. Coś mi się pomieszało. Już odsłuchuję.

Wychodzę z sypialni i z walącym sercem idę na dół, jednocześnie łącząc się z pocztą głosową. Odzywa się głos Paula.

„Cześć, skarbie. Niestety, uparli się, żebyśmy wypili z nimi coś mocniejszego. Wzięliśmy ubera. Wes się urznął jak świnia i rzygał przez okno samochodu. Ja też się ostro nawaliłem. Ale myślę, że rano złożą ofertę, więc misja w sumie zakończona powodzeniem – mówi spokojnie i składnie, tylko trochę głośniej niż zwykle. Nie brzmi jak pijany, ale przyznaję, że trudno mi w tej chwili oceniać jego trzeźwość. – Jesteśmy teraz u Wesa. Musiałem zapłacić kierowcy z górką, żeby przestał na nas wrzeszczeć i żeby miał za co wyczyścić auto. Zachowam się odpowiedzialnie i nie będę próbował wrócić do domu, prześpię się u Wesa, a rano pojedę od razu na lotnisko. – Wybucham śmiechem przy »odpowiedzialnie«, a jego głos przybiera lekko przepraszający ton. Nie chce mi się wierzyć, że akurat w takich okolicznościach myśli o racjonalnym postępowaniu. – Dwoi mi się w oczach. Kocham cię”. Kłamię, myślę i czuję ucisk w żołądku.

Idę do kuchni. Duff stoi pod drzwiami na taras, przyciska mokry nos do szyby i oddycha miarowo, zaparowując szkło. Niecierpliwie macha wielkim ogonem i oblizuje pysk. Już dawno powinien dostać kolację. Nie pamiętam, żebym po raz drugi wypuszczała go na dwór. Drzę na myśl o tym, że zaniedbałam swój obowiązek. Włączam światło – niech wie, że już idę. Z radości zaczyna podskakiwać, tłukąc łapami o szybę. Biorę jego miskę i otwieram drzwi. Pochylam się, żeby postawić ją na podłodze, a wtedy Duff wpada na mnie i psi przysmak rozsypuje się po całej kuchni. Duff rzuca się w pościg za jedzeniem, usiłując biec we wszystkich kierunkach naraz. Szorowanie pazurami po płytkach drażni moje stargane nerwy. Siadam na krześle i biorę głęboki wdech. Tłumaczę sobie, że wszystko w porządku, ot, drobna amnezja, nic wielkiego. Powstrzymuję narastającą panikę i skupiam się na chwili obecnej. Jestem tu i teraz. Trzeźwa i świadoma. Duff ochoczo chrupie karmę. Trzymam w dłoni opakowanie pełne proszków przeciwbólowych.

Poruszam barkiem, żeby pobudzić krążenie. Zniknęły zewnętrzne ślady niedawnego obrażenia, ale widocznie ten świeży uraz rozpałił na nowo dawny ból. Leki przeciwbólowe tak świetnie robią swoją robotę, że czasem zapominam, by ćwiczyć ramię. Ciekawe, że brałam je na długo przed tym, zanim poczułam prawdziwy ból, a teraz nawet nie pamiętam, jak było przed tą ostatnią raną. Nie potrafię sobie przypomnieć, czy ból w barku to rzeczywiste, czy urojone doznanie i czy nie umiałam się go pozbyć od dzieciństwa. Jedyne moje wspomnienie jest takie: jeden sanitariusz obraca moją głowę w swoją stronę i pokazuje książeczkę z obrazkami przeznaczoną dla znacznie młodszych dzieci, a drugi nastawia mi bark. Tamta eksplozja bólu była najgorszą rzeczą, jakiej doświadczyłam w całym swoim krótkim życiu. Ustępowała jedynie wyrwaniu stawu z panewki kilka godzin wcześniej.

Teraz muszę brać więcej leków, niż wynosi zalecana dawka, przez co wiecznie się boję, że mi ich zabraknie. Co zabawne, przyczyną mojego uzależnienia od tabletek przeciwbólowych wcale nie jest fakt, że pracuję w koncernie farmaceutycznym – jest nią Sasha. Wydawała się tak poukładana i doskonała, że w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że może mieć jakiś problem. Nigdy nie dostrzegałam elementu ryzyka w naszej znajomości i relacjach, widziałam w nich raczej szansę na własny rozwój i akceptację. Jeśli będę robiła to samo co ona, stanę się podobna do niej. Paul nazwał ją kiedyś istotą z „innego wymiaru” – też chciałam taka być.

Wypijam dwie szklanki wody. Zastanawiam się, czy nie powinnam czegoś zjeść, żeby odzyskać równowagę przed powrotem do swojego śledztwa. Otwieram naszą świetnie zaopatrzoną lodówkę i przeglądam jej przygnębiającą zawartość: zielone smoothie, jogurt, jarmuż, całe mnóstwo jedynie słusznego pożywienia. Nawet gdybym rzeczywiście była głodna, to i tak nie znalazłabym tu nic, co chętnie bym zjadła. Jeszcze przez jakiś czas chłonę chłód z wnętrza lodówki, bo wtedy na kilka rozkosznych chwil ustępuje pieczenie biegnące od gardła do policzków.

Duff leży zwinięty w kłębek na swoim posłaniu w salonie. Zaczyna mnie uwierać biurowy uniform, więc szybko idę na górę i rozbieram się w ciemnej sypialni. Zmiętą sukienkę od Tahari ciskam do garderoby, stanik i majtki rzucam z grubsza w kierunku kosza na brudną bieliznę. Nagle zauważam, że na fotelu w kącie siedzi jakiś człowiek i mi się przygląda. Czuję strach i odskakuję, plecami wpadam na kłamekę. Uderzenie pozbawia mnie tchu. Przez kilka sekund siedzę goła na podłodze, potem włączam światło

i przekonuję się, że podglądała mnie sterta poduszek, które Paul zdjął z łóżka. Teraz wszystko wydaje się groźne.

Zakładam koszulkę na ramiączkach i legginsy. Naciskam przełącznik światła. Robi się całkiem ciemno, zupełnie nic nie widzę. Kiedy mój wzrok przyzwyczaja się do mroku, kątem oka dostrzegam ruch blisko drzew. Wydaję krótki okrzyk przerażenia i błyskawicznie kucam. Powoli zbliżam się na czworakach do okna, za plecami słyszę Duffa, który podbiega i radośnie dyszy, zwrócony do tej niby-zjawy. Oczywiście w ogrodzie nikogo nie ma. Gdyby ktoś był, trzy niedawno zainstalowane czujniki ruchu włączyłyby lampy, te rozświetliłyby całe podwórze, a Duff zacząłby ujadać jak szalony.

Nikt mnie nie obserwuje, tłumaczę sobie, idąc do łazienki. Teraz, kiedy woda trochę ostygła, mogę wreszcie wyjąć korek z wanny. Biorę kilka listków papieru toaletowego, ostrożnie owijam ostrze maszynki do golenia i wrzucam ją do kosza pod umywalką.

Ruszam do gabinetu Paula. Po drodze odpowiadam esemesem na jego nagraną wiadomość:

Kładę się. Miałam długi dzień.

Pij wodę.

Odezwij się przed wylotem.

Mam nadzieję, że to go powstrzyma i już dziś nie zadzwoni. Nie wiem, czy wystarczy mi samokontroli, aby nadal go unikać.

Zupełnie bez sensu najpierw pukam do drzwi. Kładę dłoń na gałce, przekręcam i zaskoczona stwierdzam, że nie chcą się otworzyć. Ta nietypowa okoliczność zbija mnie z tropu. Wyteżam pamięć, ale nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek zamykali na klucz drzwi w domu – a tu proszę. Próbuję jeszcze raz – nic z tego. Trzeba będzie więc otworzyć je sposobem.

Klękam. Gałka znajduje się na wysokości mojego wzroku. Staram się ocenić, z czym mam do czynienia. Zwyczajny zamek podklamkowy. Łatwizna. Przynoszę z kuchni dwa spinacze z folderu reklamowego porzuconego przez Paula na blacie. Udało mi się wymazać z pamięci większość wspomnień z młodości, ale nie choreografię zapadek – tę mam w małym palcu. Kiedy większość dzieciaków uczyła się jazdy na rowerze, ja wolałam się przyglądać, jak ojciec otwiera wytrychem zamek w drzwiach oddzielających go od matki. Chłonełam takie rzeczy jak gąbka. Dlatego teraz bez trudu dostaję się do środka.

Odnalezienie włącznika światła zajmuje mi dobrą minutę. Gabinet zawsze był przestrzenią Paula. Bardzo ostrożnie stawiam stopy, żeby nie potknąć się o jedną z kartonowych wież, których tu na pewno pełno. Wreszcie namierzam kontakt i rozświetlam otoczenie. Rozglądam się zdezorientowana. Gabinet jak z obrazka, podejrzanie czysty i uporządkowany – zupełnie jak laptop. Ani śladu po pudłach, planach i stosach umów. Wygląda na to, że kiedy ja zatracalam się w pracy i zajęciach na rowerku, Paul pozbywał się dawnego bałaganu i robił nowy, większy i niewidzialny. Błat biurka jest całkiem pusty, jeśli nie liczyć miedzianego otwieracza do listów z trzonkiem zdobionym węzłami celtyckimi.

Za biurkiem stoi fotel obecny w życiu Paula dłużej ode mnie. Opadam na odgniezione siedzisko i od razu nachodzi mnie obawa, że Paul zauważy zmianę na wytartej skórze. Oto miejsce pracy pewnego siebie mężczyzny. Okazały, elegancki mebel. Dwie średniej wielkości szuflady po prawej stronie wyglądają tak jak zawsze. Ciągnę za mosiężną gałkę górnej – okazuje się otwarta... i pusta, jeśli nie liczyć typowego wyposażenia: kalkulatora, zszywacza i kilku długopisów. Wśród tych przedmiotów tym bardziej rzuca się w oczy rażący brak pistoletu. Racja, to nie najbezpieczniejsze miejsce do przechowywania broni, którą można też zabić przez zwykły przypadek, ale przecież nie ryzykowaliśmy, że dorwą się do niej dzieci, bo ich po prostu nie mamy. Przechodzi mnie dreszcz. Paul zabrał pistolet z domu i wywiózł nie wiadomo gdzie.

Jeszcze niedawno nie potrafiłam się zdecydować, czy się cieszę, że broń zniknęła z domu, czy jednak wolałabym mieć ją na wyciągnięcie ręki, zwłaszcza w nocy. Dziś znów nachodzą mnie wątpliwości i wydaje mi się, że chyba lepiej dla Paula, jeśli nie mam dostępu do pistoletu.

Próbuję otworzyć drugą szufladę, ale ta się nie poddaje. Hm. Z łatwością otwieram zamek wsuwką, którą wyjęłam z nieumytych i byle jak spiętych włosów. W przypadku typowych zamków bębnekowych wsuwka sprawdza się lepiej niż rozprostowany spinacz ze względu na kształt końcówek po zdjęciu plastikowych osłonek. Pasuje idealnie. W szufladzie znajduje się średniej wielkości zamykane na kluczyk pudełko. Nie kojarzę go. Paul odgrodził mnie wieloma zamkami od tego, co ukrywa. Cóż za ironia. Nie ma pojęcia o moich zdolnościach z dzieciństwa. Ciekawe, jaką by zrobił minę, gdyby zobaczył, jak wiele spośród jego przeszkód zdołałam pokonać. Większość żon poddałaby się już na etapie drzwi do gabinetu.

Wyjmuję pudełko i stawiam przed sobą. Zamek dźwigniowy. Będę potrzebowała obu rąk. W myślach dziękuję Paulowi, że zostawił otwieracz do listów – nada się w sam raz. Smukłe ostrze gładko wślizguje się do środka. Szybkim, płynnym ruchem nadgarstka przesuwam je w górę i w lewo. Słyszę kliknięcie i nagle pojawia się przede mną obraz ojca. Kiedy się zorientował, że obserwuję to, co robi, postanowił się zabawić, pokazując mi, jak otwierać rozmaite zapięcia i zatraski. To na krótko zbliżyło nas do siebie i odciągnęło jego uwagę od matki, która nadal zamykała się w sypialni, pomimo że raz za razem dostawał się do pokoju dzięki wytrychowi, a w końcu w ogóle usunął klamkę. W pudełku znajduje się niebieski aksamitny woreczek na biżuterię; wygląda jak rekwizyt z planu filmowego. Luzuję wstążeczkę, przechylam woreczek, podstawiając dłoń. Po cichu liczę, że wysypią się kamienie szlachetne, tak jak pod koniec *Goonies*, mojego ulubionego filmu z dzieciństwa. Jedną z moich pierwszych rodzin zastępczych miała magnetowid i tę jedyną kasetę – nikomu nie przeszkadzało, że oglądałam ją pięć razy dziennie. Dzięki niej przeżywałam chwile radości w tym ponurym otoczeniu.

Zamiast kamieni z woreczka wypada pudełeczko z pierścieniem zaręczynowym. Robię wielkie oczy. Olśniewający kanarkowy brylant, znacznie większy od tego skromnego kamyka, który noszę na palcu; Paul kupił mi go, kiedy jeszcze był żonaty. Ten w pudełku wygląda na trzykaratowy. Nie jest to pierścionek za milion dolarów, ale z pewnością kosztował ładną sumkę. Zdejmuję swój i kładę jeden obok drugiego. Stary błędnie przy nowym. Czy na tym polega plan Paula? Chce mi wręczyć nowy, bardziej wartościowy pierścionek? To jednak do niego niepodobne. Bo czy wydałby na błyskotkę pieniądze, które przeznaczyliśmy na dom? Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, jak się ostatnio układa między nami? Nie. Założę się, że ukrywa coś jeszcze.

Na dnie pudełka leży koperta. Jest niezaklejona. W środku – plik polaroidów. Chcę się zabrać do przeglądania plastikowych kwadratów, kiedy moją uwagę zwraca zachomikowana w głębi szuflady, za pudełkiem, znajoma pomarańczowa buteleczka z matowego szkła. Czuję skurcz żołądka na myśl, że Paul odnalazł jedną z moich kryjówek i skonfiskował zapas leków. Obawa jednak szybko mija, kiedy wyjmuję buteleczkę i z całą pewnością stwierdzam, że nie jest moja. Nie muszę czytać etykiety, żeby wiedzieć, co to; niebieskich pigułek o charakterystycznym kształcie nie sposób pomylić z innymi. Viagra.

Kolejna tajemnica. Mój mąż łyka viagrę. Kto jednak czerpie korzyści z jej działania, skoro nie ja? Robi mi się niedobrze.

Na pierwszym zdjęciu widnieje nieznana mi rudowłosa seksbomba. Mam chyba prawo nie kojarzyć tej kobiety, bo jej fryzura, na głowie i między nogami, wskazuje na drugą połowę lat siedemdziesiątych. Następna fotografia przedstawia pierwszą żonę Paula. Widziałam ją dosłownie kilka razy, i to wyłącznie na zdjęciach, które przypadkiem zaplątały się w jego rzeczach i przeniosły z jednego życia do drugiego. Jeśli chodzi o wygląd, różniłyśmy się tak bardzo, jak to tylko możliwe. Ona nosiła równo obcięte popielate włosy à la Debbie Harry i wyróżniała się ponętными pełnymi kształtami – ja mam małe piersi i wąskie biodra. Bohaterkę kolejnego aktu rozpoznaję natychmiast, mimo że została uwieczniona na zdjęciu jakieś dwadzieścia pięć lat przed tym, jak ją poznałam: Sasha. Ta fotografia najbardziej boli. Zastanawiam się, kiedy ostatnio i jak często Paul ją oglądał. Olśniewająca kobieta, zarówno wtedy, jak i teraz, o czym zresztą Paul kilka razy nie omieszkał wspomnieć na głos. Nie mogę patrzeć, czuję mdłości i szybko odwracam polaroid. Brakuje wizerunku Sheili, ale wiem, że wynika to wyłącznie z postępów techniki. Widziałam jej fotki u niego na telefonie. Na końcu – ja. Powinnam być zadowolona, że się załapałam. Co nie zmienia faktu, że jednak czuję niepokój.

Wracam myślami do tamtego wieczoru, kiedy Paul uraczył mnie skretem i Milesem Davisem. Wstydziłam się, byłam skrepowana, ale okazał się przekonujący. Chodziło o to, żeby miał na co patrzeć, kiedy trafią nam się chwile rozłąki. Powiedział, że nigdy wcześniej nie robił takich zdjęć, tak jak ja nigdy wcześniej nie pozwalałam się fotografować w takich pozach. Jak widać, minął się z prawdą. Wpatruję się w obraz swojego dwudziestokilkuletniego ciała, podziwiam młode piękno i zaczynam żałować, że go nie doceniałam.

Zdjęcia i tabletki tak bardzo pochłaniają moją uwagę, że niewiele brakowało, a przeoczyłabym czarny notatnik sprytnie ukryty pod czarną filcową wyściółką pudełka. Układam fotki w rzędzie na biurku, obok stawiam buteleczkę viagry. Drżącą dłonią wydaję notes. W środku kolejna koperta, jej brzegi nieznacznie wystają poza krawędzie. Otwieram ją w pierwszej kolejności, bo korci mnie, żeby się dowiedzieć, co w niej znajdę. Kilkustronicowy list. Zaczyna się od „Droga A.”, napisanego dłonią mojego męża. Telefon głośno wibruje na blacie biurka. Na ekranie pojawia się imię Paula. Składam kartki i chowam je do notatnika.

Kocham cię. Tęsknię.

Nie cierpię, kiedy muszę spać bez ciebie.

Słodkich snów.

Wes zapewnia mu doskonałe alibi. Bo Paul oczywiście nie nocuje u przyjaciela. Śpi beze mnie, owszem, ale wątpię, aby był w łóżku sam.

Robię zdjęcie pierścionkowi, po czym chowam go z powrotem do szuflady. Polaroidy też odkładam na miejsce. Zatrzymuję list i notatnik. Mam całą noc na niezakłóconą lekturę.

Idę do kuchni. Przesuwam czajnik z tylnego palnika na przedni i zapalam gaz. Czekając, aż czajnik zacznie wściekle gwizdać, na chwilę odkładam notatnik, otwieram list i zabieram się do czytania.

6

PAUL

Przed

Wystarczy jeden fałszywy krok.

Każdy związek jest jak spacer po linie. Z kolei romans przypomina chodzenie z gorylem na plecach po sznurze rozpiętym wysoko nad ziemią i posmarowanym tłuszczem. Jeśli powinie ci się noga, skutki upadku mogą się okazać fatalne. Dlatego musiałem zerwać z Sheilą po tym, co zrobiła.



Coś zaczęło się psuć w moim romansie, zanim jeszcze zwabiłem swoją kochankę do łóżka, które dzielę z żoną. Od razu wyczułem, że Sheila jest lekko stuknięta, ale po części właśnie to mnie w niej podniecało. Z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się, że desperacja, która nami zawładnęła, zbliżyła nas do siebie i rzuciła w szalony wir dzikiego, nieokiełzanego pożądania.

Każdy związek ma swój odrębny rytm. Ten charakteryzujący moje relacje z Sheilą był nieregularny i stał się przyczyną naszej zguby. Przez mniej więcej rok sprawy toczyły się miarowo: z Rebeccą coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie, a z Sheilą coraz bardziej nie mogliśmy bez siebie żyć. Potrafię sobie wyobrazić, jak by to dalej wyglądało, gdybyśmy postanowili niczego nie zmieniać – i gdyby pewnego dnia nie zadzwonił telefon.

Wes odezwał się w doskonałym momencie. Jakiś czas później zaświtało mi, że może to Rebecca skontaktowała się z nim w moim imieniu, ale nie zamierzam dawać im obojgu satysfakcji i przyznawać się, że taka myśl w ogóle przyszła mi do głowy. Tak naprawdę to przyjąłem jego propozycję chyba dlatego, że wiedziałem, jaka czeka mnie mielizna, jeśli nie zmienię kursu. Zdecydowała obawa przed kolejnymi pogardliwymi spojrzeniami żony.

Szybko zacząłem się piąć, a w miarę wspinaczki zmieniał się mój punkt widzenia. Poczułem, że odzyskuję pewność siebie. Znów mogłem dążyć do

celu. Odradzała się dynamika mojego związku z Rebeccą. Wydaje mi się, że dopiero wtedy, kiedy spojrzałem na nas z nowej perspektywy, dotarło do mnie, jak bardzo odsunęliśmy się od siebie. Dwoje ludzi może stanowić dla siebie wyzwanie jedynie wówczas, gdy oboje startują z równej pozycji, my natomiast, Rebecca i ja, od pewnego czasu systematycznie się rozmijaliśmy. Teraz jednak ponownie się zbliżyliśmy i muszę powiedzieć, że żadna z kobiet, które miałem, nie może się równać z moją żoną.

Stoję w kuchni, popijam kawę i chłonę promienie porannego słońca. Świetliste smugi wpadają przez przesuwne drzwi na taras. Słyszę za plecami kroki Rebekki. Czuję słaby zapach jej perfum.

– Jak tam plany na dziś? Ile domów zamierza sprzedać duet Wes & Paul o śnieżnobiałych uśmiechach? – Obejmuje mnie w pasie, splata swoje palce z moimi i opiera głowę na moich plecach.

– Obiecująco, gołąbeczku. Pokazujemy nieruchomość w doskonałej lokalizacji, nad oceanem, w Amagansett, a potem budynek na wynajem nieco bardziej w głąb wyspy. Wesowi pasują dwaj faceci, którzy będą oglądali dom nad wodą.

– Pasują mu, czyli uważa, że wyciśnie z nich ładną sumkę?

– Coś w tym stylu.

– Ale zaraz: dwóch facetów?

– Aha.

– Para?

– Zgadza się.

Puszcza moją rękę i przesuwa dłonie na pierś.

– Macie ich w garści, przystojniacy. Wystarczy, że błysniecie nienagannym użębieniem. I może weźmiecie się za ręce...

Odwracam się akurat w porę, by uchwycić, jak puszcza do mnie oczko. To jej figlarne spojrzenie – dopiero teraz uświadamiam sobie, jak bardzo za nim tęskniłem. Odstawiam kubek i obejmuję ją w pól.

– Nie wiedziałem, że kręcą cię takie rzeczy.

Podsadam Rebeccę na blat. Chcę ją pocałować, ale moje usta zawisają tuż nad jej wargami.

– Spóźnisz się do pracy.

– Chyba że się pospieszysz...

Wszystko to oczywiście miało swoje następstwa. Ponowne rozbudzenie namiętności z żoną oznacza wygaszanie jej z kochanką. Ciekawe, że w małżeństwie zacząłem się wzorować na romansie. Pogłębiająca się przepaść między mną a Sheilą uwydatniała się w ochłodzeniu na poziomie fizycznym. Moja relacja z Rebeccą zasadzała się na wspólnym wspinaniu się po drabinie, natomiast przygoda z Sheilą – na dynamice upadku. I tak to się skończyło: ona zaliczała kolejny zjazd, a ja się piąłem. O ile więc rozumiem, co ją pchnęło do tak nierozważnego czynu, o tyle nie jestem w stanie go jej wybaczyć.



Kiedy poznałem Rebeccę, oboje mieliśmy lekki bagaż. Urok tego związku polegał między innymi na tym, że los dał nam okazję zbudować wspólne życie praktycznie od zera, również w sensie materialnym. Większość mebli z radością zostawiłem pierwszej żonie, druga natomiast swoim brakiem przywiązania do rzeczy przypominała wręcz koczowniczkę. Jednym z nielicznych przedmiotów, jakie wniosła do małżeństwa, była para chińskich ceramicznych podpórek do książek.

– Kochanie, podobają ci się w tym miejscu?

Spoglądam na przekrzywioną półkę i widzę wpatrujące się we mnie dwie identyczne pary oczu niebiesko-zielonych lwów. Egzotyczny akcent w naszym skromnym wnętrzu.

– Skąd je wytrzasnąłaś?

– Z wyprawy do Chin... to znaczy: chińskiej dzielnicy – odpowiada, puszczając oczko.

– Niech zgadnę. Chcesz przez to powiedzieć, że „odnaleźliśmy siebie”.

Posyła mi przesadnie poważne spojrzenie.

– Odnalazłam siebie, kiedy odnalazłam ciebie – odpowiada i pokazuje język.

Staram się zachować kamienną twarz, ale nic z tego, muszę się uśmiechnąć.

– Kocham cię, wiesz?

– Tak, tak. Jedynie nie przepadasz za moim poczuciem estetyki.

– Przyzwyczaję się.

Podpórki wyjechały z nami z Manhattanu i zamieszkały w domu na Long Island, gdzie objęły wartę na przeciwległych krańcach półki nad kominkiem. Po ostatniej wizycie mojej kochanki zauważyłem, że jednego lwa brakuje.

Fizycznie między mną a Sheilą wyraźnie się ochłodziło. W naszym związku pojawiły się pęknięcia. Stała się znacznie bardziej czułostkowa i dużo mniej atrakcyjna. Nie potrafiłem dokładnie określić, o co chodzi, ale coś mi śmierdziało w historii jej męża. Nie dawało mi spokoju. Nie kleiły się szczegóły.

Moje sprawy ruszyły w nowym kierunku i wreszcie dotarło do mnie, że mentalnie jestem w stanie ogarniać tylko jeden związek. Nie potrafiłem lawirować między oboma tak, by drugi na tym nie cierpiał.

Któregoś ranka, kiedy schodziłem na dół po kąpieli, usłyszałem hałas w gabinecie. Zaskoczony złapałem pogrzebacz do kominka i na palcach zbliżyłem się do drzwi. Nagle przypomniałem sobie, że pistolet, który miał mi przeciw służyć do obrony w takich sytuacjach, trzymam w szufladzie biurka stojącego właśnie w gabinecie – oby tylko ten, kto postanowił pomyszkować w moich rzeczach, nie natrafił na niego. Wziętem głęboki oddech, pchnąłem drzwi i zobaczyłem Sheilę na skórzanym fotelu za biurkiem. Miała na sobie jedynie mój krawat i uśmiech na ustach. Siedziała z jedną nogą przewieszoną przez podłokietnik i zagryzała dolną wargę. Kiedy wszedłem, zasunęła szufladę, wstała i obeszła biurko.

– Co ty tu, kurwa, robisz? Czemu grzebiesz w...

– Chciałam zwrócić na siebie twoją uwagę – zamruczała. – Ostatnio nie jest to takie proste.

– No... tak, tak – wybąkałem.

Zerknęła na pogrzebacz, który nadal trzymałem w dłoni.

– A to co znowu?

Upuściłem pogrzebacz na podłogę. Sheila usiadła na mahoniowym blacie, potem się odchyliła, jedną ręką trzymając się krawędzi biurka.

– Więc jak? Zainteresowany?

Kiedy skończyliśmy, poszedłem do łazienki, żeby mogła się szybko ubrać i zniknąć. Kilka minut później wróciłem na dół. Zastałem ją w salonie. Siedziała na kanapie i w milczeniu spoglądała w stronę okna. Rozdrażniony ostro wyraziłem, co o tym myślę. Wstała, przytuliła się do mnie na kilka

długich chwil i namiętnie mnie pocałowała. Potem zabrała torebkę i wyszła bez słowa, za to z oczami pełnymi łez.

Później tego samego dnia, kiedy poszedłem odnieść pogrzebacz na miejsce, zauważyłem brak jednej z podpórek do książek. Nawet nie pamiętałem, kiedy ostatni raz świadomie zwracałem uwagę na te przedmioty. Były stałym elementem wyposażenia i stapiały się z tłem naszego codziennego życia, a ja przez ostatni rok nie miałem głowy do czegokolwiek. Teraz jednak puste miejsce na półce rzuciło mi się w oczy. Raziło.

Zacząłem się gorączkowo zastanawiać. Można by nawet uznać, że kradzież podpórki przez Sheilę jest urocza. Taka chęć zatrzymania dla siebie jakiegoś drobiazgu z mojego domu. Ale nie mogłem zignorować jej diabolicznych motywów. Czy zabrała tę podpórkę pod wpływem impulsu, czy raczej zaplanowała, że to zrobi? Zdecydowała chwila, czy też Sheila zwietrzyła, co się święci, i wymyśliła, jak się na mnie zemścić?

Wróciłem pamięcią do momentu, kiedy zamknęły się za nią drzwi. Wyobraziłem sobie, jak idzie z chytrym uśmiechem na zapłakanej twarzy. Naprawdę cwane. Widocznie wyczuła, że podpórki należą do Rebekki i że brak jednej na pewno zostanie przez nią zauważony. Oczywiście założyła, że ja nie zorientuję się w kradzieży i nie będę umiał znaleźć wytłumaczenia, kiedy żona zapyta mnie o lwy. Wyobraziłem sobie jej rozbawienie na myśl o tym, jak gorączkowo usiłuję znaleźć sensowne wyjaśnienie. Albo przeciwnie: wiedziała, że zwrócę uwagę na brak podpórki i będę musiał wykombinować przekonującą historię, dlaczego zniknęła – albo żyć z nadzieją, że Rebecca nie spostrzeże pustego miejsca na półce. Spryciara.

W ostatecznym rozrachunku ten zwrot akcji wiele mi ułatwił. Jej żalosa, dziecinna namiastka ciosu, który miał mnie zabołec, na zawsze wyleczyła mnie ze słabości do niej i wszelkiego współczucia, jakie we mnie wzbudzała. Swoim posunięciem ułatwiła mi wycofanie się z naszego układu bez najmniejszego poczucia winy. Musiałem zrobić ten krok: zakończyć mroczny okres swojego życia i wrócić do tego, w czym jestem najlepszy.

Przyznaję, choć bardzo niechętnie, że sztuczka Sheili okazała się skuteczna. Otóż wymyśliłem historię wyjaśniającą zniknięcie podpórki, nie tylko wiarygodną, ale wręcz taką, która ukazywała mnie w dobrym świetle. Ku mojemu zaskoczeniu nawet nie miałem okazji jej wykorzystać. Rebecca nie spytała mnie o los ceramicznego lwa, jego brak stał się po prostu jedną ze spraw, o których nigdy nie rozmawialiśmy. Kolejny nietknięty temat, co to

w milczeniu wisi nad dwojgiem ludzi mieszkających pod jednym dachem. Dla mnie poważniejszy i groźniejszy z powodu zaniedbania z mojej strony – w tym sensie Sheila odniosła swoje małe zwycięstwo.

Pewnej myśli jednak nie potrafiłem wtedy wyrzucić z głowy. Dotyczyła tej krętaczki, którą wpuściłem do swojego domu oraz łóżka; nie dawała mi spokoju. Brzmiała następująco: *Chcesz ze mną pogrywać? Nie masz pojęcia, z kim się mierzę na co dzień.*

Wystarczy jeden fałszywy krok, żeby wszystko się rozpadło.

REBECCA

Przed

Z początku łączył nas tylko seks.

Stan cywilny Paula nie pozwalał na nic więcej. Wykorzystywaliśmy chwile, kiedy Paul miał wolne. Pieprzyliśmy się w niewykończonych domach, w łazienkach, w samochodzie. Moje życie zmieniło się w oczekiwanie. Kiedy znów się odezwie? Kiedy będzie mógł się wymknąć na kilka rozkosznych godzin? W najlepszym przypadku raz w tygodniu, w najgorszym – raz w miesiącu. Chodziłam podenerwowana i nie mogłam znaleźć sobie miejsca, jeśli zbyt długo swojego ukochanego nie widziałam. Ratowały nas telefony. Cała reszta mojego życia schodziła na dalszy plan.

Nie poruszaliśmy poważnych tematów dotyczących związku. Nie wiedziałam jeszcze, co sądzi o dzieciach. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, że odejście od żony i jak mogłaby wyglądać nasza wspólna przyszłość. Wszelkie wątki dotyczące zobowiązań i zaangażowania odgradziliśmy wysokim murem, za który nie zaglądaliśmy.

Zadurzyłam się w nim jak szalona. Będąc całkowicie na łasce Paula, w końcu osiągnęłam punkt krytyczny. Zawsze uważałam się za mało wybredną, niewymagającą kobietę. Ale to dlatego, że nigdy nie byłam w takim związku. Sprawiał, że zapragnęłam czegoś więcej.

Paul tak mnie omamił, że nawet nie przyszło mi do głowy zastanawiać się nad jego zachowaniem. Wierzyłam po prostu, że nasza miłość jest niepowtarzalna i że z czasem znajdziemy do niej klucz. Nie zwracałam uwagi na niepokojące sygnały. Istniała oczywiście kwestia jego małżeństwa, ale chodziło również o inne, drobniejsze sprawy. Ignorowałam na przykład to, jak Paul patrzy na atrakcyjne kobiety, z którymi się spotykamy, i że do wszystkich zwraca się kokieteryjnie per „skarbie”. Nie naciskałam na wyjaśnienia, kiedy załapywałam, że nie zgadzają się szczegóły tego, o czym mówi, i dochodziłam

do wniosku, że kłamie. Trudno było go zapędzić w kozi róg. Chwilami, gdy spędzaliśmy razem czas, wydawał się nieobecny. Zadawał mi sporo drobnych ran, które w sumie utworzyłyby jedną dużą, gdybym tylko zaczęła się na nich skupiać – więc machałam na nie ręką. Myślałam, że jeśli zmienię się dla niego, on to samo zrobi dla mnie. Stałam się modelową „tą drugą”, taką, jaką Paul według moich wyobrażeń chciał, abym była. Uznałam, że nie będę wnikała w małżeństwo, które postanowił zakończyć. Żyłam własnym życiem i postępowałam tak, jak uznawałam za stosowne. Subtelnie starałam się wypytywać go, czego nie dostaje od żony – i właśnie to mu dawać. Tyle że Paul niechętnie rozmawiał o tym aspekcie swojego życia, więc w końcu przestałam dociekać. Dopasowywałam się do jego potrzeb, ponieważ wierzyłam, że wtedy wybierze mnie zamiast żony. Mówiłam sobie: nie oprze ci się, jeśli staniesz się uosobieniem jego fantazji.

Rozmowę nieskończenie wiele razy odkładaliśmy na potem. Nakręcaliśmy się nawzajem, budowaliśmy napięcie. Opowiadaliśmy o tym, co będziemy robili, w jaki sposób jedno zaspokoi drugie. Po pewnym czasie przestało mnie to podniecać. Chciałam, żeby powiedział, że mnie kocha i że pragnie tylko mnie. Zaczęło mi zależeć na deklaracjach i prawdziwej zażyłości. Chciałam wiedzieć, jak sobie wyobraża nasz związek na dłuższą metę. Ale on nigdy nie wybiegał poza teraźniejszość.

Któregoś wieczoru, mniej więcej w tym czasie, kiedy dostałam pierwszą receptę na leki uspokajające, postanowiłam przyprzeć Paula do muru. Wzięłam podwójną dawkę. Czulałam się bardzo ośmielona. I zdesperowana.

– Wiesz, myślałam o tym, jak w sumie niewiele o sobie wiemy.

– Dobra, słucham. Co przede mną ukrywasz?

Miałam dość, ale nie potrafiłam wyłożyć kawy na łąwę. Nie chodziło o niego, tylko o mnie, bo on się nie zmienił, nadal zachowywał się tak samo. Wydawało mi się, że z tej niezwyklej energii seksualnej między nami zrodzi się stały związek. Nie zamierzałam zostawać czyjąś kochanką doskonałą. Byłam zmęczona dzieleniem się nim.

– Paul, mówię poważnie. Wyprawialiśmy w łóżku cuda, ale tak naprawdę nic o mnie nie wiesz. – Dzięki lekom miałam spokojny i opanowany głos.

– Na przykład czego nie wiem, kotku? – odparł ostrożnie. Był żonaty, wiedział, że taka gadka może oznaczać pułapkę.

– Na przykład tego, jak wyglądało moje dzieciństwo. Nie masz zielonego pojęcia, przez co przeszłam.

W jego westchnięciu dało się słyszeć pierwsze nuty rozdrażnienia.

– O co ci biega? – Zabolał mnie jego szorstki ton. Przecież nie byliśmy dla siebie wrogami. Przynajmniej jeszcze nie wtedy.

– O to, że zachowujemy się tak, jakbyśmy byli sobie bardzo bliscy i szaleli za sobą, ale nie wiem, kim naprawdę jesteś. Chcę się dowiedzieć. Chcę więcej ciebie.

– Co cię konkretnie interesuje, gołąbeczku? Pytaj, śmiało. Nie mam nic do ukrycia. – Jego żona mogłaby się z tym nie zgodzić.

Spuściłam z tonu. Wolałam nie prowokować kłótni, zanim nie powiem tego, na czym mi zależy.

– Przepraszam cię, kochanie. Jesteśmy blisko, ale byłoby fajnie, gdybyśmy byli jeszcze bliżej. I gdybyś wszystko o mnie wiedział.

– W porządku, kotku. Możemy porozmawiać, o czym sobie życzysz.

– Muszę ci opowiedzieć o swoich rodzicach.

Roześmiał się.

– Dobrze. Słucham. Byli hipisami, którzy mieszkali w komunie? Należeli do sekty?

Milczałam przez chwilę, zastanawiając się, czy mnie nie rzuci, zanim „bo powiem twojej żonie” przejdzie mi przez usta. Czułam, że muszę coś zmienić między nami. On nie kwapił się do tego, by wykonać jakiś ruch. Dostawałam przez to świra.

– Moi rodzice nie żyją. Zmarli, kiedy miałam jedenaście lat. Ojciec zamordował matkę, a potem się zabił. Byłam przy tym. – Zastanawiałam się wtedy, pamiętam, czy kiedykolwiek przyjdzie taki dzień, kiedy będę mogła mu wyznać całą prawdę o tamtej nocy.

Milczał. Wyobrażałam sobie, że jest poruszony i zastanawia się, co odpowiedzieć, by się zanadto nie zaangażować. Nigdy nie mówił o emocjach, odnosił się raczej do odczuć czysto fizycznych, do których rozmowa o śmierci rodziców w żaden sposób nie przystawała. Nie odzywał się długo, aż zaczęłam podejrzewać, że się po prostu rozłączył.

– Paul? – Pożałowałam, że poruszyłam ten temat. – Przepraszam. Rozumiem, że to dla ciebie zbyt wiele. Wiesz, nikomu wcześniej nie

mówiłam. Jeśli nie liczyć tych, co brali pieniądze za słuchanie.

Odchrząknął kilka razy.

– Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałem dziesięć lat. Przeżyłem tylko ja.

Nie przypuszczałam, że oboje mamy za sobą koszmar straty rodziców, ale kiedy się dowiedziałam, raptem wszystko nabrało sensu. Wyczuliśmy ten tkwiący głęboko w nas uraz, którego nie potrafiliśmy nazwać, i to on nas połączył.

– Nie lubię rozmawiać o przeszłości. – Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby mówił tak łagodnie i delikatnie. – Ale może powinienem... z tobą.

W moim sercu wezbrała nadzieja, że uda nam się jeszcze bardziej zbliżyć.
Narodziła się miłość.

Po

Kartki parzą mnie w ręce.

Nie przypuszczałam, że Paul potrafi pisać listy. Nie mam jednak wątpliwości, że to jego pismo. Znajomy łuk liter budzi we mnie pożądanie, choć wiem, że powinnam czuć raczej nienawiść. Nasza miłość jest skomplikowana. Charakter pisma Paula mógłby posłużyć jako wzór nowego kroju czcionki. Jest zdecydowanie zbyt ładny, żeby sporządzać nim doraźny spis spraw do załatwienia, ale doskonale nadaje się do listów miłosnych.

Nie mogę przestać o tobie myśleć. Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Pochłaniasz mnie, kiedy powinienem się skupiać na innych rzeczach.

Ziemia usuwa się spod moich stóp.

Muszę się wyrwać z tego życia. Jest puste, wypalone. Muszę się pozbyć ciebie, aby móc być z nią. Musisz odejść.

Nie przypuszczałem, że znów dane mi będzie kochać i pożądać jak dawno temu.

Przez lata milczałem na temat tego, co się dzieje w mojej głowie. Zbyt długo i zbyt często kłamałem. Chcę zacząć od nowa. Muszę się zmienić.

To wprawdzie pismo Paula, ale nie jego styl. Wymowa tych słów jest zupełnie inna. Taka dojrzała, ukształtowana. Paul pokazuje siebie od nieznanej mi strony. Zastanawia się nad tym, kim jest i kim pragnie być.

Chcę pogrzebać to życie, w którym utknąłem, i uciec od poczucia winy. Nie mogę dalej tego ciągnąć i zachowywać się tak, jakby wszystko było w porządku.

Ocieram łzy, zanim skapną na papier i rozmażą litery.

Usiłuję złapać oddech, ale to nie takie proste. Ma kogoś, to oczywiste. Uhhh. Nie marnował czasu. Stoję mu na drodze. Jego słowa ranią mnie tak bardzo, że mam wrażenie, jakby ktoś wymierzył mi cios w brzuch. Ból stopniowo obejmuje całe ciało, staje się tak silny, że zastanawiam się, czy nie zadzwonić po karetkę. Serce wali mi w piersi. Jedyne sensowne rozwiązanie, jakie w tej chwili przychodzi mi do głowy, to położyć się na podłodze i, kurwa, umrzeć.

Byłoby mu to bardzo na rękę. „Musisz odejść”. Zyskałby swobodę, mógłby robić to, na co ma ochotę, przestałabym być dla niego ciężarem. Pomyślałby, że umarłam dlatego, że pękło mi serce – ta świadomość wystarczy, bym zdusiła narastającą panikę i zaczęła głęboko oddychać.

Opieram się o blat, osuwam i ląduję na chłodnej podłodze. Podbiega Duff. Widząc, że nie palę się do głaskania, zaczyna lizać mnie po twarzy. Słoność moich policzków i obojętność sprawiają, że po chwili traci mną zainteresowanie i idzie do miski z wodą.

Jestem zszokowana. Daty przy tych słowach świadczą o tym, że Paul napisał je w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Po tamtej nocy w sypialni. Po niej. Ale tu przecież nie chodzi o nią, to niemożliwe. Nie wiedziałam, że Paul ma jeszcze kogoś. I to po tym wszystkim, co się wydarzyło. Zatkąło mnie.

Mogłabym odejść. Zacząć od nowa, licząc, że tym razem będzie lepiej. Ale nie, to rozwiązanie pasowałoby do innej kobiety. Takiej bez większego polotu. A ja lubię o sobie myśleć, że jestem nieprzewidywalna i pomysłowa. Nie bez powodu nie zdołałam wczoraj wyjechać – teraz już rozumiem, że stało się tak, ponieważ nie mogę i nie chcę puścić mu tego płazem. Połowa tych pieniędzy należy do mnie i zamierzam je odzyskać. Coś we mnie pęka. Mam ochotę niszczyć wszystko, co znajduje się w zasięgu ręki. Chce mi się wrzeszczeć. Jestem w morderczym nastroju.

Przywołuję Duffa, obejmuję futrzastą szyję i mocno ściskam. Jego serce bije tak samo szybko jak moje. Układam w głowie listę rzeczy, które Paul ceni najbardziej na świecie, i zacieram ręce na myśl o satysfakcji, jaką poczuję, gdy mu je odbiorę.

8

PAUL

Przed

Spotykając się z Rebeccą za plecami mojej pierwszej żony, wiedziałem, że to jest to. Zdradzałem ją już wcześniej, ale tym razem po raz pierwszy czułem, że chodzi o coś więcej niż tylko seks. Ożeniłem się z czystej desperacji, z potrzeby posiadania u swojego boku kogoś, kto mnie nie opuści. Tę przykrą świadomość zyskałem niemal dokładnie w chwili, w której złożyliśmy przysięgę. Zupełnie jak w scenie z *Absolwenta*, kiedy Dustin Hoffman i Katherine Ross odjeżdżają autobusem i powoli dociera do nich, jak beznadziejny błąd popełnili. Zacząłem szukać ucieczki z małżeńskiego życia, nim zdążyłem się w nim zadomowić.

Sposobem na dezercję okazała się Rebecca. Bardzo szybko zrozumiała, na czym stoimy. Nie byłem przygotowany na nasze pierwsze spotkanie, nawet nie zdążyłem taktownie zdjąć obrączki. Popatrzyliśmy sobie długo w oczy, potem nagle zerknęła na moją dłoń. Do tej pory pamiętam jej minę, kiedy oceniała sytuację. Nie zapomnę też mieszanki skrajnych uczuć: lęku i pożądania, które mną wtedy zawładnęły.

Przez następne dziesięć minut przechadzaliśmy się pod rękę po podwórzu zatopieni w pełnej podtekstów rozmowie i udawaliśmy, że ten przedmiot na moim palcu serdecznym nie istnieje.

– I jak? Zakochała się pani? – Spojrzałem jej głęboko w oczy i dopiero po chwili wskazałem brodą dom.

Zaskoczona rozkaszała się teatralnie, ale oboje doskonale wiedzieliśmy, co miałem na myśli. Między nami wyraźnie iskrzyło. Kiedy wspomniała, że taki dom byłby za duży dla jednego mieszkańca, wsunąłem dłoń do kieszeni i pozbyłem się obrączki. Rebecca musiała zauważyć jej brak, ale nawet nie mrugnęła.

– A pan się zakochał?

Zatrzymałem się i obróciłem do niej.

– Od pierwszego wejrzenia.

Spojrzała na dom, potem na mnie.

– Ho, ho... Mężczyzna, który potrafi przeistoczyć dom w prawdziwe gniazdko.

– Jeśli tylko ma sposobność.

Lekko zmrużyła oczy.

– Aha, czyli lubi pan ryzykować?

– Jedynie wówczas, gdy szaleństwem byłoby tego nie zrobić.

Zaprowadziłem ją za wysoki, gęsty rododendron i tam, z dala od wścibskich spojrzeń agenta, mocno i głęboko pocałowałem.

Moje drugie małżeństwo trudno nazwać tradycyjnym. Wpadliśmy na siebie, kiedy oboje byliśmy jeszcze parą małałatów. Dopiero zaczynaliśmy poznawać świat i chyba po prostu płynęliśmy na fali romantycznych wyobrażeń. Rebecca nawet zastanawiała się nad dziećmi – rozkoszny, chociaż nierozsądny, niepraktyczny i naiwny pomysł. Snuliśmy plany, jak poprawić naszą kondycję finansową, i wszystko wskazywało na to, że oboje bardzo zaangażowaliśmy się w związek. Ale szczerze mówiąc, wcale nie jestem pewien, czy zostaliśmy z Rebeccą stworzeni do małżeństwa. Zdaję sobie sprawę, że mówienie takich rzeczy prawie dwadzieścia lat po ślubie może się wydawać cokolwiek niemądre, ale naprawdę uważam, że naszym spoiwem jest to, jak dobrze się rozumiemy i jak doskonale się dogadaliśmy w tych kwestiach, które najbardziej się liczą. Nie wiem, czy z innymi partnerami powiodłoby nam się równie dobrze.

Wejście w rolę żony w pewien sposób odmieniło Rebeccę. Nigdy wcześniej nie nosiła pierścionka zaręczynowego ani obrączki i teraz, kiedy się nimi bawiła, robiła to z nieodpartym wdziękiem. Z początku miała opory, żeby je zakładać, co mnie trochę drażniło, bo nie było mnie stać na taki klejnot, na jaki zasługiwała. Z czasem przekonałem się jednak, że jej zakłopotanie nie miało nic wspólnego z wartością biżuterii. O ile w przypadku mojego pierwszego małżeństwa obrączka od samego początku mnie uwierała, czułem, jakbym włożył palec w imadło, o tyle Rebecca patrzyła na swoją obrączkę z zachwytem. Chyba po prostu nigdy nie przyszło jej do głowy, że znajdzie się w trójkącie. Pamiętam, że od czasu do czasu, nawet kilka lat po ślubie,

przyłapywałem ją na tym, jak w zamyśleniu przygląda się dwóm połykającym kręgom.

Spontaniczność rządziła nawet najbardziej przyziemnymi aspektami naszego wspólnego życia. Przeciętna para starannie układa strategię działania na lata. My kierowaliśmy się zachciankami: a to pies, a to domek z białym płotem. Jasne, zadbaliśmy o przyszłość: konto, Cold Spring Harbor – ale w tych nieźle rozpisanych planach całkiem sporą rolę odgrywały czas i okoliczności.

Można być miło zaskoczonym, można też się rozczarować. Kto ma romans i chce zminimalizować ryzyko wpadki, ten powinien przestrzegać pewnych reguł. Pierwsza i bodaj najważniejsza z nich brzmi: nie wiąż się z nikim, kto ma mniej do stracenia niż ty. Najbezpieczniej znaleźć osobę w stałym związku. Nawijając znajomość z Rebeccą, postąpiłem wbrew tej logice, a mimo to nawet przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że Rebecca mogłaby próbować wtrącać się do mojego małżeństwa. Od razu się zorientowałem, że nie jest typem kobiety, która urządzałaby sceny w miejscach publicznych. Konfrontacja z moją żoną albo szantażowanie mnie ujawnieniem romansu? To po prostu nie w jej stylu. Chyba oboje wyczuwaliśmy, w jakim kierunku zmierza nasz związek, i byliśmy gotowi pozwolić mu się rozwinąć we własnym tempie. Podczas naszej pierwszej poważnej rozmowy dotarło do nas, dlaczego zrozumieliśmy się tak szybko i instynktownie. Wyraźnie wyczuliśmy łączącą nas więź i nie mogliśmy już zaprzeczyć jej istnieniu. To była miłość bez odwrotu.

Sheila prezentowała zupełnie inną dynamikę, co akurat bardzo mi odpowiadało. Poznałem ją jako mężatkę mającą własne życie, które wtedy jeszcze traktowała poważnie. Moje początkowe zauroczenie, to doskonale wyczuwalne podniecenie, brało się stąd, że realizowaliśmy zakazaną fantazję – coś nieuchwytnego, ale istotnego. Oboje tego potrzebowaliśmy. Z różnych powodów. Z czasem jednak dynamika naszej relacji się zmieniła, a nasz związek zaczął być coraz bardziej chaotyczny i burzliwy. Dotarło do mnie, że w ogóle nie powinniśmy się wiązać. Uświadomiłem sobie też, że moja zameżna kochanka okazała się dużo bardziej nieprzewidywalna od mojej dawnej kochanki singielki. Ciekawe.

Intryga Sheili z podpórką do książek podziałała na mnie jak kubeł zimnej wody i uprzytomniła mi wiele rzeczy. Wiedziałem, że postąpiłem słusznie,

zrywając nasz układ, i z optymizmem powitałem perspektywę nowego początku.



Wtedy wydarzyło się to.

Coś, czego obawia się każdy mężczyzna w moim położeniu, łudząc się zarazem, że to nigdy nie nastąpi. Bo przecież ja jestem sprytniejszy od tych wszystkich matołów, którzy próbują doskoczyć do mojego poziomu, prawda?

Poświęteczna chwila spokoju. Z witryn sklepów znikają bożonarodzeniowe lampki, ludzie odprężają się po niedawnej bieganinie. Jest rześko, ale przyjemnie. Idziemy z Rebeccą ulicą, trzymając się za ręce, i nagle widzę: zbliża się Sheila. Ziemia usuwa mi się spod stóp, żołądek zaciska, a oczy zaczynają szczypać i zachodzą mgłą. Czas staje w miejscu.

Sheila idzie w naszym kierunku. Spogląda mi w oczy, a potem przenosi spojrzenie na Rebeccę. Uśmiecha się z wyższością, po czym wykrzywia usta w lubieżnym, wulgarnym grymasie.

Sheila idzie w naszym kierunku. Ocenia Rebeccę wzrokiem, patrzy na mnie, jej oczy drwią ze mnie.

Sheila idzie w naszym kierunku. Gwałtownie i demonstracyjnie odwraca wzrok.

Sheila idzie w naszym kierunku. Zauważyła nas, odwraca się i odchodzi.

Sheila idzie w naszym kierunku. Mijając nas, sięga do torebki. Wyjmuje jakiś przedmiot... ceramicznego lwa, ale rozpoznaję go dopiero, kiedy Sheila zamierza się nim, żeby trafić w moją żonę.

Wsuwa dłoń do torebki. Kiedy ją wyjmuje, orientuję się, że trzyma chińską podpórkę. Bierze nią zamach, celuje w głowę mojej żony. Chwytam ją za nadgarstek i pozbawiam broni.

Wyciąga z torebki jakiś przedmiot. Dociera do mnie, co to takiego, dopiero kiedy porcelanowy lew spada na głowę Rebekki, roztrzaskując jej czaszkę.

Sheila idzie w naszym kierunku. Mijając nas, rzuca mi przelotne spojrzenie.

Odzyskuję ostrość widzenia. Uświadamiam sobie, że z Rebeccą kurczowo trzymamy się za ręce. Mamy spocone dłonie. Nie wiem, czy to ona ścisnęła moją rękę, czy ja jej. Nie patrzę na nią z obawy, że wychwyci w moich oczach

niepokój. Zastanawiam się, czy zauważyła wymianę spojrzeń pomiędzy mną a Sheilą, czy po prostu ponoszą mnie nerwy?

Mózg usiłuje odtworzyć szczegóły tego, co zaszło. Gdzie ma psa? Rzadko rusza się z domu bez Molly. To dziwne, że... Zaraz. Chwila. Gdzie się podziła jej obrączka?

Umysł koncentruje się na dłoni Sheili. Wracam myślami do naszego pierwszego spotkania – kiedy próbowała ukryć obrączkę – i nagle uderza mnie rażący jej brak na palcu przed kilkunastoma sekundami. Łapie mnie ostry skurcz żołądka. Nogi mam jak z waty, czuję się znacznie gorzej, niż kiedy przechodziła tuż obok, w zasięgu ręki – i ciosu. To jak ogłuszająca cisza.

Dziś już wiem, że miałem rację. Brak obrączki był zwiastunem czegoś złego.

9

REBECCA

Przed

Jego ból dorównywał mojemu.

Paul był pierwszą znaną mi osobą, która z własnego doświadczenia wiedziała, jak bardzo życie potrafi dać w kość. Rozumiał, że o pewnych rzeczach nie sposób zapomnieć, nie da się ich wymazać z pamięci, i że potrafią na zawsze zrobić z człowieka świra, zwłaszcza jeśli przytrafiają mu się w dzieciństwie. Byłam zaintrygowana po tym, jak się sobie zwierzyliśmy, i widziałam, że Paul doskonale sobie radzi pomimo traumy. Dostałam niemal obsesji na tym punkcie. Zakochałam się w jego smutnej historii prawie tak samo jak we własnej.

Nasze przygnębiające opowieści miały wiele podobieństw – oboje zostaliśmy sierotami przed ukończeniem dwunastego roku życia, byliśmy świadkami śmierci rodziców, trafiliśmy do rodzin zastępczych, chodziliśmy na terapię, mieliśmy do czynienia z całymi zastępami dorosłych, którzy wzbudzali w nas nieufność – ale podstawowa różnica polegała na tym, że pierwsze lata życia Paula upłynęły w domu pełnym miłości. Jako jeden z nielicznych miał to szczęście, że jego rodzice okazywali troskę i miłość nie tylko dziecku, lecz także sobie nawzajem. Pech sprawił, że został tego pozbawiony. Jak na ironię, z nas dwojga to ja chciałam założyć rodzinę.

Zastanawiałam się, czy zwrócilibyśmy na siebie uwagę, gdyby jedno nie dostrzegło w drugim bólu podobnego do tego, jaki samo w sobie nosiło. Nieważne, że od razu nie zorientowaliśmy się, co nas do siebie ciągnie. Od tamtej pory raz, może dwa razy rozmawialiśmy o przeszłości, nigdy nie wdając się w szczegóły. Bez słów rozumieliśmy to, jak bardzo wolelibyśmy nie pamiętać.

Kiedy rodzice się kłócili, szukałam schronienia w szafie w korytarzu. Nie domykałam drzwi, żeby widzieć, co się dzieje w ich sypialni. Nie wiem, chyba

sądziłam, że zdołam zainterweniować, jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli. Siedziałam z podkulonymi nogami, czując na ramionach szorstki materiał zimowych palt, aż w końcu zasypiałam. Często zakładałam kurtkę, nasuwałam na głowę kaptur i mocno związywałam troki, żeby nie słyszeć wrzasków.

W najgorszych chwilach obiecywałam sobie, że nigdy nie wyjdę za mąż. Że kiedy dorosnę, będę za wszelką cenę unikała ludzi doprowadzających mnie do takiej wściekłości. Wydawało się to proste: jeżeli ktoś zezłości mnie do tego stopnia, że wpadnę w szal, po prostu odwrócę się i odejdę. Zdroworozsądkowe podejście.

Kiedy podrosłam, zaczęłam kierować te uczucia do wewnątrz. Jeśli z kimś mi się nie układało, nie dopatrywałam się winy w niewłaściwym zachowaniu drugiej osoby, brałam wszystko na siebie. Nie potrafiłam utrzymać przyjaźni ani związku. Przyciągałam ludzi, których nie obchodziło, kim jestem; liczyło się dla nich tylko to, jak się przy mnie czują. Żadna z tych znajomości oczywiście nie przetrwała próby czasu.

W końcu doszłam do wniosku, że nie znajdzie się nikt, kto chciałby się ze mną ożenić. Zmieniło się we mnie coś ważnego. Przez lata rozmaici terapeuci powtarzali mi, że moje poczucie własnej wartości mocno ucierpiało przez to, że tak długo byłam świadkiem chorego związku swoich rodziców. Zapewne mieli rację, co nie zmienia faktu, że przestałam słuchać ich wskazówek, jak poradzić sobie z tą obniżoną samooceną, i zaakceptowałam ją jako część tego, kim jestem.

Wieczorem, w dniu, kiedy umarli, rodzice jak zawsze pokłócili się o nic i o wszystko. Najpierw rzucali w siebie wyzwiskami, potem przedmiotami. Dziwne, że wciąż mieliśmy w domu rzeczy nadające się do rozbicia. Później zrobiło się jeszcze groźniej. Nigdy się nie przyznam, jaką odegrałam w tym rolę. Ani przed Paulem, ani przed samą sobą.



Po tym, jak opowiedzieliśmy sobie swoje smutne historie, ujrzeliśmy się w zupełnie nowym świetle. Paul zaczął inaczej podchodzić do naszego romansu. Stał się delikatny i opiekuńczy. Seks nadal stanowił istotną część więzi, która nas łączyła, ale ustąpił czemuś znacznie głębszemu. Przestałam mieć wrażenie, że dzielę się Paulem z inną kobietą, a nabrałam przekonania, że zawsze byliśmy sobie przeznaczeni. Jego małżeństwo stanowiło po prostu

jedną z przeszkód do pokonania na drodze do bycia razem. Rozmawialiśmy o wspólnej przyszłości. Oddałam sceptycyzm za nadzieję.

– Chcę zbudować dom, jakiego żadne z nas nie miało. Chcę, żebyśmy zaprojektowali go od zera i razem stworzyli. – Rzadko wyrażał swoje uczucia, dlatego wiedziałam, że mówi poważnie.

– Też tego pragnę – przyznałam i to była prawda.

Siedzieliśmy w jego samochodzie zaparkowanym na wiejskiej drodze w Cold Spring Harbor, jednym z miejsc, w których się zaszywali, kiedy Paul rzekomo jeździł oglądać nieruchomości. Formalnie rzecz biorąc, nadal był żonaty. Ale tylko formalnie.

– Daj rękę, gołąbeczku.

Nie spodziewałam się tego. Naprawdę. Liczyłam na to po cichu, ale nic więcej. I z pewnością nigdy o to nie prosiłam.

Dla niego pierścionek zaręczynowy to drobny szczegół w całokształcie naszego związku. Dla mnie coś o wiele więcej, i Paul o tym wiedział, nie musiałam mówić tego głośno. Był ważny zarówno jako przedmiot, jak i symbol. Paul wyczuwał, gdy na czymś mi zależało, ale nie potrafiłam tego wyrazić. Kiedy wsunął mi pierścionek na palec, po raz pierwszy dotarło do mnie, że zasługuję na wszystko, czego pragnę od życia.

Jakimś sposobem ten kawałek metalu podziałał jak odtrutka na lęk przed miłością. Ten brylant osadzony w złocie był dowodem na to, że mogę zrzucić z barków ciężar swojej smutnej historii i stać się kimś innym. Był potwierdzeniem mojej wartości. Paul z zachwytem obserwował, jak się fascynuję tym pierścionkiem.

Przyrzekłam sobie zdejmować go tylko w wyjątkowych sytuacjach. W przeciwnym razie czar pryśnie.

Po

Słyszę dzwonek telefonu stacjonarnego, ale nie jestem w stanie się ruszyć. Leżę na brzuchu na kanapie; dobrze, że w nocy obróciłam się tak, by nie uciskać kontuzjowanego barku. Było ciemno, kiedy zamykałam oczy, a teraz jest boleśnie jasno. Mój wzrok przyzwyczaja się do światła, rozpraszają się resztki snu o nieotwieralnych zamkach. Patrząc na swoje dłonie – wyglądają dziwnie. Należą do mnie, owszem, są połączone z nadgarstkami, ale coś jest

z nimi nie tak. Dopiero po chwili dociera do mnie, że brakuje pierścionka i obrączki. Nie pamiętam, żebym je zdejmowała.

Buteleczka oxy leży przewrócona. Nie mogę jej dosięgnąć. W środku jest tylko jedna pigułka, na której widok bark zaczyna pulsować bólem. Mogłabym przysiąc, że kiedy ostatnio sprawdzałam, było pięć. Muszę zacząć skrupulatniej to kontrolować. Przenoszę spojrzenie na widoczny z kanapy fragment kuchni. Dolatuje mnie powiew świeżego powietrza od uchylonych drzwi. Nie pamiętam, żebym je otwierała. Podnoszę głowę, by zobaczyć coś więcej, i wtedy ostrze bólu przebija mi kręgosłup. Kładę policzek z powrotem na poduszce.

– Duff? Chodź tutaj.

Czekam na znajome skrobanie pazurów po płytkach. Wiem, że ten odgłos przyniesie mi ulgę – i wiem, że muszę się napić wody.

Cisza. Wykluwa się we mnie okropne przecucie.

Zrywam się z kanapy, po drodze łapiąc buteleczkę. Rozglądam się za telefonem. Znajduję go między poduszkami.

Nie do wiary, ale dostałam grupowego esemesa od naszej instruktorki aerobiku na rowerkach. Informuje w nim o specjalnej jeździe połączonej z czuwaniem ze świecami w intencji Sashy i przypomina, żeby dołączyć do grupy na Facebooku „Odnaleźć Sashę”, która zawiązała się z dnia na dzień. Posypały się reakcje w esemesowym łańcuszku na apel o przyniesienie zdjęć Sashy, żeby umieścić je na rowerku; będzie stał nieużywany na pamiątkę naszej zaginionej koleżanki. Mam tylko jedną jej fotografię, zrobioną lata temu ukradkiem podczas kolacji z okazji wręczenia tytułu przedstawiciela handlowego roku. Siedzi nas czworo przy stoliku. Mark spogląda poza kadr. Ja mam ściągnięte brwi i patrzę na swoje dłonie; nie pamiętam, o co byłam zła, ale zapewne o to, że Paul ignorował mnie, bo z Sashą w najlepsze wspominał sobie czasy liceum. Jej postać wypełnia środkową część zdjęcia, wygląda jak wycięta z kolorowego magazynu. Paul wpatruje się w nią jak w obrazek.

Wolałabym tego nie robić, ale z wielu powodów wskazane jest, abym pojawiła się na czuwaniu. Wysyłam więc odpowiedź.

Będę.

Wygląda na to, że w kuchni wszystko jest na swoim miejscu. Wyjmuję z lodówki butelkę wody gazowanej i niemal jednym tchem wypijam jej zimną

zawartość. Odwracam głowę w stronę okna i szybko osłaniam oczy dłonią. Razi mnie poranne słońce. Przez szparę wpada do środka świeże wczesnowiosenne powietrze; nie zamykam drzwi, ale opuszczam roletę.

Telefon, który położyłam na blacie, zaczyna wibrować. Nieznany numer, więc odrzucam połączenie. Niemal natychmiast odzywa się stacjonarny. Sięgam po aparat i rzucam: „Halo?”. Odpowiada mi cisza. Ostatnio często odbieram głuche telefony. Zaczynam wybierać numer Paula, ale nie naciskam zielonej słuchawki.

Mój wzrok ześlizguje się na nagi palec serdeczny, a potem wędruje w stronę zlewu i mydelniczki, którą mam na wyciągnięcie ręki. Sprawdzam. Jest obrączka. Wyobrażam sobie, jak pierścionek z brylantem zsuwa się do zlewu, wpada do rury i odpływa do morza. Serce mi pęka. Na szczęście korek tkwi dokładnie tam, gdzie był wczoraj po południu, kiedy wróciłam do domu. Telefon stacjonarny ponownie zaczyna brzęczeć i wyrywa mnie z zamyślenia. Wyjmuję aparat ze stacji dokującej. Mam nadzieję usłyszeć Paula w chwili zaskakującej jak na niego czułości.

– Halo?

Cisza.

– Halo? – powtarzam dobitniej.

Nie potrafię powiedzieć, czy rzeczywiście niewyraźnie słyhać, jak ktoś oddycha po drugiej stronie, czy też do moich uszu dociera jedynie własny stłumiony oddech. Rozłączam się i niemal rzucam słuchawką o blat.

Wsuwam prostą złotą obrączkę na palec; jakoś dziwnie wygląda taka samotna. Otwieram jedną ze skrytek w szafce, licząc, że natrafię na fiolkę z lekami. Nic z tego. Ostatnio trochę nie ogarniam. Szperam w różnych pomieszczeniach, choć wiem, że nie znajdę tego, czego szukam. Zresztą sama nie wiem, na której zgubie najbardziej mi zależy. Na wszystkich. Ale głównie na proszkach.

Telefon wibruje. Wiadomość.

Jestem na lotnisku. Przechodzę kontrolę bezpieczeństwa. Co u ciebie?

Już mam odpisać, kiedy nagle zauważam, że na wieszaku obok drzwi wisi smycz Duffa. Nie pamiętam szczegółów, ale podświadomie czuję, że zrobiłam coś złego. Odpowiadam:

Wszystko w porządku. Kocham cię.

Na tyle spokojnie, na ile pozwala mi narastająca panika, wychodzę na dwór, powtarzając sobie w duchu, że Duff na pewno śpi w cieniu pod wierzbą. Logika i doświadczenie podpowiadają mi, że wczoraj wieczorem wypuściłam go, żeby sobie pobiegał po naszym ogrodzonym podwórzu. Tyle że nigdzie go nie widać. Zauważam dziurę w płocie tam, gdzie powinna być zamknięta furтка, i próbuję sobie wmówić, że to jedynie złudzenie optyczne. Podchodzę bliżej. Niestety, furтка jest otwarta na oścież.

– Duff?

Czuję, że łzy napływają mi do oczu. Jak to możliwe, że wszystko się tak szybko posypało? Tęsknię za dawnym życiem. Miałam pracę, pieniądze i męża, którego, jak sądziłam, znam. Nie brakowało mi leków. Nie zgubiłam pierścionka. Wiedziałam, do kurwy nędzy, gdzie jest mój pies. W domu znów zaczyna terkotać telefon. Nie zwracam na niego uwagi, tylko idę dalej. Metr albo półtora przede mną leży w trawie jakiś przedmiot i błyszczy w słońcu, które akurat wyłoniło się zza chmury. Wzbiera we mnie nadzieja. Podchodzę, schylam się i podnoszę tę błyskotkę.

Usiłuję zrozumieć, co robi w moich rękach srebrna przywieszka w kształcie kości, która wcześniej znajdowała się na psiej obroży, i nagle czuję, jak mrozi mnie wiatr, wyjątkowo zimny jak na tę porę roku. Kawałeczek dalej widzę pomarańczową fiolkę – tę, której szukałam w szafce w kuchni. Pusta.

10

PAUL

Przed

Niektórzy nie potrafią zrozumieć, kiedy rzeczy przebiegają zgodnie ze swoją naturalną kolejną.

Zdążyliśmy z Rebeccą wsiąść do samochodu po przelotnym spotkaniu z Sheilą, kiedy nagle zabuczał mój telefon. Nie miałem nawet okazji wziąć się porządnie w garść, a już rozpoczął się szturm. Jak tylko aparat rozwibrował się w kieszeni, od razu wiedziałem, kto jest autorem tych esemesów.

Oczywiście zablokowałem numer Sheili, ale zasypała mnie lawina wiadomości od nieznanego nadawcy – to musiała być Sheila, nie miałem co do tego wątpliwości.

Nie pierwszy raz Wes zapewnił mi doskonałe alibi. Nadal byłem roztrzęsiony po tym, jak prawie doszło do konfrontacji z Sheilą na ulicy, i bałem się, że swoim zachowaniem wzbudzę podejrzliwość Rebekki. Zdawałem sobie sprawę ze zmiany, jaka zaszła we mnie po tym incydencie, i martwiło mnie, że Rebecca – choć ostatnio jakby bardziej rozkojarzona – mogła coś wyczuć. Kiedy wyjąłem telefon z kieszeni, a moja żona zapytała, czy wszystko w porządku, zachowałem się na tyle przytomnie, by zrzucić winę na Wesa i nowe oferty na rynku. Wiadomości dotyczyły, rzecz jasna, czegoś zupełnie innego.

Miło było cię zobaczyć. Świetnie wyglądasz.

Jaka piękna żona! Jaka śliczna para!

Wyglądała na zadowoloną. Biedactwo. Nie ma pojęcia, za kogo wyszła.

Zasługujecie na siebie.



Zawsze uważałem się za w miarę zręcznego łgarza, ale teraz nawet ja czułem smrodek kłamstwa, który wokół siebie roztaczałem. Po powrocie przez resztę popołudnia kursowałem między gabinetem a tarasem na tyłach domu, usiłując zrobić na żonie wrażenie, że ledwo ogarniam się z pracą. Dopilnowałem, by zobaczyła, jak zabieram laptopa na dwór i dzwonię do Wesa, żeby się odniósł do wskaźników i innych profesjonalnie brzmiących bzdur, jakie przyszły mi do głowy. Na szczęście był w miarę ciepły zimowy dzień. Zresztą krążąca w moim organizmie adrenalina i tak sprawiała, że nie zwracałem uwagi na temperaturę. Czułem się, jakbym opuścił własne ciało. Kiedy tylko zamknąłem laptopa i skończyłem rozmawiać z kumplem, Rebecca zaraz wzięła mnie w obroty.

– Nieźle się dziś napracowałeś, co? Wes namieszał ci w grafiku.

– Taak. Naprawdę mu zależy na tej nieruchomości. Myślałem, że mi ucho odpadnie od przyciskania słuchawki. Przepraszam, kotku. – Okropnie zaschło mi w gardle.

– Hm.

Miałem wrażenie, jakby prześwietlała wzrokiem moją czaszkę.

– O co chodzi? – Spokojnie, człowieku. Oddychaj.

– O nic...

Czyli o coś. Zdecydowanie o coś poważnego.

– Masz taki głos, jakbyś...

– Bo... – urwała na nieznośnie długą chwilę – to mi do niego nie pasuje. Wes zawsze wydawał mi się bardzo opanowany i zorganizowany.

Kurwa.

– No wiem, trochę to dziwne. Niepodobne do niego. Ale akurat ta nieruchomości naprawdę jest tego warta. – Z całych sił próbowałem wytrzymać jej spojrzenie, mimo że okropnie szczypały mnie oczy. Marzyłem o tym, żeby zamrugać. – Wiesz, przy klientach zwykle zachowuje spokój. Jeśli już się czymś nakręca, to za zamkniętymi drzwiami. – Przestań paplać, durniu. Bo wszystko spieprzysz. – No.

– Aha. – Zamyśliła się. – Rozumiem.

Wieczorem wreszcie udało mi się jako tako rozluźnić i zacząłem się zachowywać w miarę normalnie. Wysłałem do Wesa wiadomość z prośbą o telefon w odpowiednim momencie, to znaczy wtedy, kiedy będę

przygotowywał kolację. Zaproponowałem Rebecce, że tym razem to ja coś ugotuję. Wymyśliłem sobie, że zostawię aparat na blacie, a gdy przyjaciel zadzwoni, będę miał zajęte ręce i poproszę Rebeccę, żeby odebrała – wtedy zobaczy imię Wesa na ekranie. Udało się znakomicie zgrać akcję w czasie i przez chwilę myślałem, że jestem wolny od podejrzeń.

Ale potem nadpłynęła kolejna fala esemesów.

Wyglądałeś dziś na zadowolonego z życia. Cieszę się z twojego szczęścia. Nie chowajmy do siebie urazy, dobrze?

Naprawdę miło nas wspominam. Zostawmy to tak, jak jest.

Nie budźmy tego, co uspięne, ty zakłamanym kundlu. Miłych snów, tym razem z żonką.

Nie pamiętam smaku jedzenia, które ugotowałem tamtego wieczoru, bo kipiąca we mnie złość stępiała mi zmysły. Staralem się możliwie przekonująco odpowiadać na pytania Rebekki o tamtą rzekomo podsuniętą przez Wesa ofertę, ale byłem tak zdenerwowany, że mogłem co najwyżej nieudolnie sklecić w całość jakieś elementy historii innych nieruchomości. Byłem zanadto skupiony na własnych myślach, by zwrócić uwagę na to, czy Rebecca w ogóle kupiła tę bajeczkę.

Pamiętam, że potem poszliśmy do łóżka. Pieprzyłem Rebeccę z pożądaniem, jakiego od dawna nie czułem podczas uprawiania z nią seksu. Nagle znów byłem tu i teraz. Wyswobadzając mnie ze spodni i pobudzając ręką, jednocześnie ugryzła mnie w ucho. Rzuciliśmy się w wir żywiołowej, zwierzęcej namiętności. Naparłem na nią gwałtownie, jakbym chciał uwolnić się od kochanki, na nowo zdobywając żonę. Wróciła do mnie ta chwila przerażenia, w której uświadomiłem sobie, że zupełnie zatraciłem się w zuchwałej pasji. Tym jednak, co najlepiej zapamiętałem z tamtego wieczoru – i czego najbardziej się wystraszyłem – było spojrzenie Rebekki. Ośmielało mnie, zachęcało, rozkoszowało się bólem, brutalnością i szaleństwem tego wszystkiego. Słowo daję, że ujrzałem wtedy czającą się w jej źrenicach nienawiść – do kogo? Nie wiem.

Tamtej nocy spała jak zabita.

Gdy już się upewniłem, że zasnęła, zabrałem telefon leżący na szafce nocnej i wymknąłem się na korytarz. Pachniałem seksem, wciąż byłem podenerwowany i oszołomiony. Powinienem odpuścić, nie odpisywać, ale to okazało się silniejsze ode mnie.

Zauważyłem, że nie miałaś obrączki na palcu. Czyżby twój mąż w końcu zostawił swoją stukniętą żonę?

Jak tylko nacisnąłem „wyślij”, poczułem przypływ adrenaliny. Zrobiło mi się niedobrze, poczułem zawrót głowy. Musiałem się oprzeć o ścianę, żeby nie stracić równowagi. Upłynęła, zdawałoby się, cała wieczność, zanim w końcu nadeszła odpowiedź.

Skąd pewność, że to ON odszedł ode MNIE?



Następnego dnia rano wstałem pierwszy. Zszedłem do kuchni zaparzyć kawę. Wypuściłem Duffa, nasypałem mu karmy i nalałem wody. Znalazłem telefon i przeczytałem wiadomość od Wesa. Pytał, czy wieczorem sprawy potoczyły się po mojej myśli. Odpowiedziałem, po czym podłączyłem aparat do ładowarki, bo bateria już padała, i otworzyłem Duffowi drzwi. Podbiegł od razu do miski, a ja uznałem, że pora się zająć stosem brudnych naczyń po kolacji.

Przy myciu garnków zastanawiałem się nad tym, co zaszło poprzedniego dnia. Oczami wyobraźni widziałem kalejdoskop obrazów, który wyglądał jak pospiesznie sklecony przegląd najważniejszych wydarzeń sprzed kilkunastu godzin. Na chwilę straciłem kontakt z rzeczywistością, ale przywróciło mnie do niej buczenie telefonu na blacie. Sięgnąłem po komórkę. Spodziewałem się wiadomości od Wesa. To, co zobaczyłem, sprawiło, że momentalnie otrząsnąłem się z resztek snu na jawie.

Korzystając z nowego numeru, zasypała mnie zdjęciami. Po chwili wahania zacząłem otwierać kolejne wiadomości i oglądać fotki, które robiła, kiedy byliśmy razem. Ja na plaży z psami; psy biegają po jej podwórku; z pozoru niewinne selfie ze mną w tle.

Moją uwagę przykuło pewne zdjęcie zrobione ukradkiem. Pstryknęła je u siebie, tuż po seksie. Idę nagi do łazienki. Twarzy na szczęście nie widać, ale przecież znam własną sylwetkę. Wstrzymałem oddech i odruchowo zerknąłem w stronę schodów, czy przypadkiem Rebecca nie idzie z góry; jeszcze tego by brakowało.

Zacząłem się gorączkowo zastanawiać. Czego ode mnie chce ta stuknięta jędzka? Po co przysłała mi te zdjęcia? Dlaczego akurat teraz? Przetrzymała je tyle czasu. Pozbyła się męża. Może zobaczyła nas i wpadła we wściekłość?

Rany, ciekawe, jak bardzo jej odbiło? I jak daleko się posunie? Rozwazałem różne scenariusze.

Nagle telefon znów zawibrował. Tym razem tylko jedna wiadomość. Ostatnia, jaką od niej dostałem, potem zaległa upiorna cisza.

Jak sobie pościelesz...



Jestem człowiekiem rozsądnym i uważam, że większość ludzi można zaliczyć do tej kategorii. Co zrobić, aby rozsądny człowiek zaczął się zachowywać nieracjonalnie? Wystarczy mu tę nieracjonalność narzucić. Niektóre ciągi zdarzeń raz zapoczątkowane są praktycznie nie do powstrzymania. Istnieją również granice, po których przekroczeniu można zapomnieć o jakiegokolwiek ochronie.

Moim zdaniem Rebecca nigdy nie miała wyboru.

11

REBECCA

Przed

Jednym z najszcześniejszych okresów w moim życiu był ten, kiedy zaczęliśmy spotykać się na poważnie. Czuliśmy, że to jest to.

Na moje urodziny – pierwsze obchodzone razem – kilka miesięcy po tym, jak się ze sobą spiknęliśmy, zabrał mnie do cudownego ogrodu w Sagaponack. Było pusto, bo pojechaliliśmy tam w tygodniu i w środku dnia. Usiedliśmy na kocu, który rozłożyliśmy w cieniu wielkiej wierzby, i przyglądaliśmy się skaczącym po trawie ptakom, popijając bourbona z termosu w szkocką kratę. Wtuliłam się w Paula i trwaliśmy tak w milczeniu, pozwalając podnieceniu narastać, aż w końcu nie byliśmy w stanie dłużej się powstrzymać. Kochaliśmy się pośród zapachu kwiatów i kolorów wiosny. Odurzało mnie wrażenie, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie.

Kiedy stamtąd wychodziliśmy, zerknęłam na tabliczkę przy furcie:

– „Ogród Madoo” – przeczytałam. – Madoo. Ładnie.

– Ty jesteś ładna! – Objął mnie od tyłu i przytulił.

– Wiesz, że Madoo znaczy „mój gołąbku”? I że gołębie łączą się w pary na całe życie? – Czytałam informacje podane pod nazwą ogrodu, a Paul dyszał mi w szyję. Czułam, jak znów budzi się we mnie pragnienie.

– Jesteś moim pięknym gołąbkiem. Moim gołąbeczkiem.

Oblałam się rumieńcem. Rzadko bywał taki romantyczny. Spodobało mi się to. Obrócił mnie do siebie. Moje szczęście odbijało się w jego twarzy wyraźnie niczym w lustrze.

– Kocham cię, gołąbeczku. – Wtedy powiedział to po raz pierwszy.

– Ja też cię kocham. Na zawsze.



Po latach nadal mnie tak nazywał, ale raczej nie z miłości, tylko z przyzwyczajenia. Nasz związek przeżywał typowe i całkiem naturalne wzloty i upadki. Dopiero kiedy Paul stracił pracę, nastąpiła poważna zmiana, metamorfoza relacji, od której, jak się wydawało, nie było odwrotu. Nie rozmawialiśmy o dystansie między nami. Po prostu żyliśmy w milczeniu, licząc, że zniknie równie niezauważenie, jak się pojawił. I rzeczywiście tak się stało. W pewnym sensie.

Kiedy Paul nawiązał współpracę z Wesem, spowijająca go mgła nieszczęścia zaczęła się rozpraszać, a wraz z tym zniknęło moje poczucie rozżalenia. Im pewniejsze stawało się jego nowe zajęcie, tym łagodniej go traktowałam. Oboje odnaleźliśmy spokój w samej perspektywie powrotu do stanu sprzed kryzysu. Dzięki temu, że znów zarabiał, odzyskiwał pewność siebie i zainteresowanie moją osobą. Pewnego niezapomnianego wieczoru po zgarnięciu swojej pierwszej sześciocyfrowej prowizji wszedł do domu tanecznym krokiem, jakby występował na platformie podczas parady. „Tu jesteś, mój gołąbeczku”, powiedział i uśmiechnął się do mnie, jakbym była wyjątkowo smacznym i zakazanym owocem, który ma ochotę schrupać. Nadal przyzwyczajałam się do tego nowego wcielenia Paula – po tym, jak długo musiałam znosić jego wersję człowieka przygnębianego i zapuszczonego – ale byłam na niego otwarta po raz pierwszy od dwóch lat, czyli od zamknięcia firmy.

Usiadł na kanapie i zaczął mi się przyglądać. Krzątałam się w kuchni, czując na sobie jego spojrzenie. Nie miałam nic przeciwko temu, tyle że było mi trochę nieswojo, że tak się na mnie skupił. Na pewno jednak uznałam Paula o maślanym oczach za miłą odmianę od mężczyzny wiecznie strapionego.

– Gołąbeczku – zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż czułe słówko. Posłałam mu wymowne spojrzenie. – Przyjdź do mnie. – Poklepał miejsce na kanapie.

Zawahałam się. Tak długo odwracałam od niego głowę, że weszło mi to w nawyk. A jednak podeszłam. Usiadłam tam, gdzie pokazał. Przyciągnął mnie do siebie.

– Stęskniłem się za tobą. – Pocałował mnie namiętnie. Zabawne, jak bardzo obcy może się wydać pocałunek męża po tak wielu zupełnie dobrze znanych pocałunkach.

– Gdzie się podziewałeś?

- Nie wiem. Ale niedaleko. – Zamilkł. – Ty też gdzieś odeszłaś.
- Tak.
- Koniec z tym. Teraz znów będziemy ty i ja.
- Na zawsze.

Wróciliśmy do siebie i ponownie się w sobie zadurzyliśmy. Znów zaczęliśmy się kochać, jakby szalała w nas burza nastoletnich hormonów. Obiecałam sobie, że będę łykała mniej proszków i w końcu zupełnie je odstawię. Już nie potrzebowałam otepienia. Wolałam być trzeźwa, obecna tu i teraz, z nim. Zachowywałam się zgodnie ze swoją nową rolą, ale odkryłam, że leki, które biorę, sprawiają, że ciało już inaczej reaguje na dotyk Paula. Opioidy bezsprzecznie wpływały na moje libido, ale nie dawałam po sobie poznać, że coś jest nie w porządku. Łóżko stało się naszą świątynią. Było mi tak dobrze w ramionach męża, że rozmyślnie ignorowałam denerwujące wrażenie, że moja fizyczna powściągliwość nie wyczerpuje problemu. Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, widzę, że szukaliśmy w sobie nawzajem pociechy, próbując ukryć istnienie głębszej przepaści między nami – no i co, skoro obietnica natychmiastowej satysfakcji z tego, że Paul znów mnie pragnie, była nie do odrzucenia.

Stał się opiekuńczy. Rozczulała mnie jego nowo odkryta troska o moje dobre samopoczucie. Rano odprowadzał mnie do samochodu, otwierał mi drzwi i patrzył za mną, kiedy odjeżdżałam. W ciągu dnia przysyłał esemesy z pytaniami o to, jak się miewam. Pisał romantyczne maile, w których przypominał, jak bardzo mnie kocha. A jeśli docierał do domu pierwszy, witał mnie w drzwiach z radosną miną, pełną ulgi, jakby jakoś podskórnie obawiał się, że akurat tego dnia mogę nie wrócić. Brał mnie za rękę, kiedy wychodziliśmy razem. Podobało mi się to. Ni z tego, ni z owego przyciągał mnie do siebie i przytulał, i ujmował w dłonie twarz, kiedy mnie całował. Łapałam go na tym, że przygląda mi się w zamyśleniu; oczywiście zaprzeczał. Szumiało między nami morze niewypowiedzianych słów, ale nie przeszkadzało mi to, tylko wzmacniało podekscytowanie. Podobało mi się, że jestem jego tajemnicą, a on – moją.

Teraz już wiem, że tak naprawdę po prostu chronił siebie.



Człowiek lubi wierzyć, że miał przeczucie. Że dostrzegął to, co nieuchwytnie; widział, jak fale cofają się po cichu, by po chwili wezbrać i uderzyć z wielką siłą, niszcząc wszystko na swej drodze.

Wraz z odrodzeniem się naszej więzi zaistniało pewne dyskretne psychiczne oderwanie, którego nie potrafiłam zdefiniować. Wyczuwałam je nawet w łóżku, czyli tam, gdzie nasz powrót do siebie był najwyraźniej dostrzegalny. Coś jak głęboko ukryty okruch szkła o ostrych krawędziach.

Pewnego dnia, kilka tygodni po powrocie dawnego Paula, ale jeszcze zanim wszystko rozpadło się na kawałki, obudziłam się z niepokojem. Paul leżał obok mnie i chrapał po wyjątkowo energicznych wspólnych akrobacjach pod kołdrą. Najpierw to pomyślałam, a potem powiedziałam na głos: „Łóżko jest jakieś inne”. „Też cię kocham”, wymamrotał i obrócił się na drugi bok.

Chyba już wtedy wiedziałam, lecz po prostu postanowiłam stłumić tę świadomość. Tylko że ona nie pozwoliła się zlekceważyć.

Po

Bez Duffa i Paula otaczające mnie ściany wydają się obce. To by się nawet zgadzało, skoro dziś nie czuję się sobą. Złość z powodu zdrady Paula zaczęła słabnąć, za to podniosła się gęsta mgła przygnębienia. Zwalczam zew łóżka, opieram się urojonej uldze, którą miałoby przynieść wsunięcie się pod kołdrę i wywieszenie białej flagi. Przychodzi mi do głowy refleksja, że prawdopodobnie tak właśnie czuł się Paul, kiedy splajtowała jego firma.

Siedzę przy stole w kuchni i wpatruję się w otwarte drzwi. Nie mogę złapać tchu. Pot spływa mi po plecach. Z salonu dolatują niezbyt głośne dźwięki telewizora; nie pamiętam, żebym go włączała. Mam wrażenie, jakbym całe godziny biegała po mieszkaniu, choć w rzeczywistości minęło niewiele czasu. Dociera do mnie, że jeśli spocz-nę na zbyt długo, zupełnie stracę motywację. Dlatego wstaję i zaczynam chodzić tam i z powrotem. Na ślepo, z przyzwyczajenia moje palce wędrują do pierścionka i obrączki.

Próbuję zastąpić niepokój o los Duffa pragnieniem ukarania Paula. W porywach najbardziej irracjonalnego myślenia układałam listę metod, za pomocą których mogłabym rozmontować Paulowi życie, jeden bezcenny kawałek po drugim. Była tam pozycja: odebrać mu psa. Teraz jednak ciąży mi świadomość, że nie potrafię sobie przypomnieć, co właściwie zrobiłam. Nie skrzywdziłabym przecież Duffa. Niepewność mnie dobija.

Moja wyobraźnia zaczyna mieć rozmaite tragiczne scenariusze. Tłumię płacz, który wzbiera gdzieś głęboko w środku mnie. Nigdy nie godziłam się na to, aby niepokój dyktował mi, jak żyć. Teraz jednak jest inaczej, denerwuję się mnóstwem rzeczy. Powinnam odnaleźć psa. Powinnam odnaleźć pierścionek. Powinnam zadzwonić do Paula. Tymczasem potrafię się skupić jedynie na szukaniu leków. Niesamowicie, do jakiego stopnia nałóg wymknął mi się spod kontroli. Pomyślę o tym później, mówię, po tym, jak uzupełnię zapasy i będzie mnie stać na luksus zastanawiania się nad sobą.

Objawy związane z odstawieniem opioidów pojawiają się po mniej więcej ośmiu godzinach od przyjęcia ostatniej dawki; czyli jeszcze sześć i zacznie się robić nieprzyjemnie. Już teraz mam wrażenie, jakby kiełkowała paranoja, pojawiały się halucynacje i dezorientacja. Destrukcja rozpocznie się na dobre dopiero jutro. Przeżywałam już coś podobnego i wiem, że będzie to przypominało połączenie grypy z zatruciem pokarmowym, przy czym mowa jedynie o fizycznych symptomach odstawienia.

Przetrząsnęłam wszystkie kryjówki w domu – i nic, postanawiam więc przekopać samochód – niestety, w zagłębieniach foteli i na podłodze nie znajduję nawet jednej zabłąkanej tabletki. Jestem zdesperowana. Nie mogę się zwrócić do Marka. Nie teraz, kiedy zaginęła Sasha.

Nie mam ochoty wychodzić do ludzi, ale wiem, co muszę zrobić. Sprawdzam, czy strój na siłownię i buty do ćwiczeń leżą na tylnym siedzeniu, tam gdzie je rzuciłam dwa dni – czyli całe wieki – temu.

Wkładam kluczyk do stacyjki i nagle słyszę szczekanie. Spoglądam w lusterko wsteczne i widzę Duffa – biegnie ulicą w stronę domu. Jakaś rozmazana sylwetka znika za rogiem, nim zdążę się jej przyjrzeć. Prędko wysiadam z auta, chcąc się upewnić, że to on. Ruszam w kierunku ulicy, a chwilę później padam na kolana na trawie i biorę Duffa w ramiona. Oboje jesteśmy zziązani. Śmieję się przez łzy, wtulając się w jego sierść. Nasze serca walą jak młoty.

12

PAUL

Przed

W pewnym momencie upomniała się o nas przeszłość.

Powinienem inaczej załatwić tę sprawę. Teraz to rozumiem. Z drugiej strony nigdy nie wiemy, jak potoczyłyby się wypadki, gdybyśmy podeszli do rzeczy w inny sposób, i tak naprawdę nie pozostaje nam nic poza czystymi domysłami. Co nie zmienia faktu, że mogłem bardziej się postarać, by ugasić pożar, który wybuchł. Albo chociaż nie podsycać ognia. Powinienem zablokować nowy numer Sheili. Nie zrobiłem tego, bo rozwój sytuacji połechtał moją próżność i też trochę mnie nakręcił. Byłem ciekaw – przynajmniej z początku – jak daleko Sheila zdoła się posunąć.

Wiadomości, które zaczęła mi wysyłać po przelotnym spotkaniu na ulicy, wprawdzie wytrącały mnie z równowagi, ale z czasem zacząłem je postrzegać inaczej. Stało się dla mnie oczywiste, że Sheila znalazła się w trudnym położeniu. Raz: straciła mnie, a dwa: cholera wie, co działo się w jej małżeństwie. Zaatakowała tuż po tym, jak dostała silny cios, który musiał bardzo zaboleć – zobaczyła mnie z żoną, jak idziemy za rękę, szczęśliwi. Potrafiłem zrozumieć to, jak się poczuła. Łączyło nas coś tak prymitywnego i instynktownego, że mogłem się spodziewać jej gwałtownej reakcji, kiedy to się skończyło. Przez mniej więcej tydzień po pierwszej fali esemesów Sheila milczała, a ja powoli spychałem ją w niepamięć.

Wtedy postanowiła podbić stawkę.

Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy otworzyłem tamto zdjęcie na telefonie. Siedzimy z Rebeccą przy stoliku w ogródku kawiarenki, w której często niespiesznie jadaliliśmy lunch w weekendy, popijamy kawę i razem czytamy gazetę. Śmiejemy się, trzymając się za ręce. Kelnerka o zjawiskowych cyckach obsługuje parę przy sąsiednim stoliku. Widać, że doskonale się z Rebeccą czujemy w swoim towarzystwie. Dopiero kontekst przydał temu

zdjęciu złowieszczej aury. Błyskawicznie dotarło do mnie, że musiało zostać zrobione wiele miesięcy przed „przelotnym spotkaniem” z Sheilą – wystarczyło spojrzeć, jaka była wtedy pogoda – co z kolei oznaczało, że odrzucona kochanka obserwowała nas od nie wiadomo jak dawna i że wpadła na nas na ulicy bynajmniej nie przypadkiem. Usiłowałem objąć myślami rozmaite konsekwencje tego odkrycia, kiedy nadeszła kolejna wiadomość:

Chcesz więcej?

Wezbrała we mnie fala adrenaliny, nałożyła się na gniew z powodu naruszenia mojej prywatności przez tę nie zrównoważoną kobietę – która najwyraźniej nas śledziła – i rozlała się wściekłością po całym ciele. Powinienem wziąć głęboki oddech i zapanować nad sobą. Zamiast tego wyklepałem na klawiaturze:

Zajebię cię – i wysłałem.

Po tym już się nie odezwała. Z początku chodziłem spięty, bo nerwowo czekałem na jej kolejny ruch w tej popieprzonej gierce, którą sobie ubzduriała. Ale nie odpisała. Mijały dni, tygodnie – cisza. Wreszcie naiwnie uwierzyłem, że przestraszyła się mojej groźby i dlatego zamilkła.

Powinienem wyznać Rebecce całą prawdę. Powinienem wypowiadać się przed nią ze wszystkiego, zanim sprawy przybrały taki, a nie inny obrót. Ale się bałem. Między nami zapanowała doskonała równowaga, nie chciałem ryzykować, że zaburzę tę harmonię. Oczywiście niepokoiłem się o bezpieczeństwo Rebekki, dlatego w miarę możliwości bacznie jej pilnowałem, ilekroć byłem w domu albo przy niej. Im większą troską ją otaczałem, tym mocniej się do siebie zbliżaliśmy. Ten nowy element naszego związku tak bardzo przypadł mi do gustu, że wykluczył wszelką myśl o tym, żeby się przyznać.

No więc stało się. Tak to już jest, że drobne sprawy urastają do rangi wielkich, toczą się jak śniegowe kule, aż nabierają takich rozmiarów, że nie sposób ich ogarnąć. Mogłem przedłożyć bezpieczeństwo swojej żony nad własną patologiczną potrzebę bycia porządnym gościem. Mogłem wszystko Rebecce wyjawić, powiedzieć, jak bardzo mi przykro, jak ogromnym błędem był romans i jak wyraźnie ukazał mi głębię tego, co do niej czuję. Mogłem spróbować wyjaśnić, że kiedy zbłądziłem, uświadomiłem sobie, co jest dla mnie naprawdę ważne, że bardzo bym chciał, aby zrozumiała, że w sumie cała ta sprawa zacieśniła więź między nami. Wiele rzeczy mogłem zrobić inaczej.

Ale co ma się stać, to i tak się stanie. Ostatecznie nie miałem nic do powiedzenia.

13

REBECCA

Przed

Od początku zajmowałam rowerek numer sześć, a Sa-sha rowerek numer pięć. Zawsze w pierwszym rzędzie.

Kiedy Paul wpadł w depresję, zaczęłam coraz wcześniej wychodzić z domu i krążyć bez celu po mieście, czekając na otwarcie biura. Nie pytał, dokąd jeżdżę, jedynie od czasu do czasu narzekał, że coraz więcej płacimy za benzynę. Nawet nie chciało mi się tłumaczyć tych poranków kłamstwem, bo Paulowi i tak było wszystko jedno, a ja nie miałam pomysłu na wiarygodną wymówkę. Dopóki nie usłyszałam, jak w toalecie podczas imprezy z okazji wręczenia tytułu przedstawiciela handlowego roku Sasha opowiada jednej z naszych nowych koleżanek w branży farmaceutycznej, że najlepsze prochy zdobywa na zajęciach aerobiku na rowerkach. I tak odkryłam, w jaki sposób mogłabym zagospodarować niespokojne poranki. Poza tym zapragnęłam dowiedzieć się czegoś więcej o byłej dziewczynie Paula.

Wystarczyło wpiąć się w pedały – dać się poskromić fizycznie i wyzwolić emocjonalnie. Zaczęłam chodzić codziennie, czasem nawet dwa razy dziennie, jeśli czułam taką potrzebę. Poświęcałam mnóstwo czasu i pieniędzy na pozbywanie się tego, co we mnie miękkie i zbędne – zarówno w sensie fizycznym, jak i emocjonalnym – i czego zawsze w sobie nienawidziłam.

Doszło do tego, że jeśli rano nie wyżyłam się na aerobiku, w ciągu dnia nosiło mnie i miałam ochotę kogoś rozszarpać. Potrzebowałam tej rowerowej euforii, tak jak nie potrafiłam się obejść bez chemicznego haju.

Kiedy zaczynałam chodzić na zajęcia, przyjmowałam jedynie proszki przeciwbólowe na receptę – fakt, czasem przepisywane przez kilku lekarzy. Wyłącznie percocet. Miałam swoje zasady. Podobnie jak ja, Sasha lubiła obserwować ludzi i ordynować im w wyobraźni leki, które mogłyby naprawić ich pełną wad osobowość. Wiedziała, że jestem żoną Paula, ale nie zwracała

na mnie uwagi. Dopiero po dwóch miesiącach regularnego ćwiczenia na rowerku obok przyznała, że przecież się znamy. Przebierałyśmy się w szatni, kiedy jedna ze szczególnie znerwicowanych stałych bywalczyń klubu dostała załamania w kolejce do prysznicza.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego prywatna szkoła o takim standardzie zdecydowała się przyjąć takie dziecko, skoro powszechnie wiadomo, że gówniarz jest małym socjopata. A jego matka... porażka. Zaczynam się zastanawiać, czy chcę, żeby moja Christina też się tam uczyła. Jestem taka podminowana, że aż mnie nosi.

Sasha odwróciła się do mnie i powiedziała konspiracyjnym szeptem:

– Przydałby się tu komuś xanax. Ale trudno, swoim się nie podzielę. Muszę mieć dla siebie.

Byłam zaskoczona, że zwróciła się bezpośrednio do mnie, i na chwilę zapomniałam języka w gębie, ale szybko się otrząsnęłam.

– Ja też swojego nie dam, ale wydaje mi się, że ona potrzebuje czegoś mocniejszego niż to, co mogłybyśmy jej zaoferować.

Roześmiała się i pokiwała głową.

– Jesteś żoną Paula, prawda? – Zachowywała się tak, jakby widziała mnie pierwszy raz na oczy, mimo że siedziałyśmy przy jednym stoliku podczas cholernej kolacji.

– Tak. I pracuję z twoim mężem – odpowiedziałam z promiennym uśmiechem.

– Szczęściara.

Nie umiałam stwierdzić, czy chodzi jej o moje małżeństwo z Paulem, czy o bycie podwładną jej męża. Cieszyłam się za to, że wreszcie raczyła mnie zauważyć.

– Chodziłaś z Paulem do liceum, prawda? – Oczywiście wiedziałam, skąd się znają, bo Paul napomykał o tym, ilekroć wyplýwał temat Marka.

– Och, to było wieki temu. Szczęnięca miłość.

Z tego, co Paul opowiadał o Sashy, wynikało, że pobraliby się zaraz po skończeniu szkoły, gdyby nie zjawił się jakiś student i nie sprzątnął mu jej sprzed nosa.

Od tamtej pory coraz częściej pozdrawiałyśmy się na zajęciach zdawkowymi „cześć” i „co u ciebie słychać?”, aż w końcu zaczęłyśmy

regularnie rozmawiać – przeważnie o niej samej, kiedy stroiła się przed lustrem przed wyjściem na happy hour dla pań, na które zresztą nigdy mnie nie zapraszała.

Zupełnie jak w liceum. Zawsze stałam trochę z boku, ale nie mogło być inaczej, bo nigdy tak naprawdę nie czułam się częścią żadnej z rodzin, w których się wychowywałam, ani też nie chodziłam do żadnej szkoły wystarczająco długo, aby zapuścić w niej korzenie i z kimkolwiek się zaprzyjaźnić. To jednak, że przyzwyczyłam się do wykluczenia, nie pozbawiło mnie marzeń o przynależności. Nawet jeśli oznaczało, że trzeba znosić przeróżne złośliwości Sashy. Musiała wyczuć, że wspólna przeszłość jej i Paula to dla mnie drażliwy temat, bo w szatni stale go poruszała i nieodmiennie ją bawił.

– Wiecie – ogłaszała wszem wobec – że mąż Rebekki i ja byliśmy parą na balu licealnym? Mieliśmy okropną tremę przed utratą dziewictwa. Po wszystkim się rozplakał, ale to było urocze.

Albo:

– Strasznie się cieszę, że Paul cię spotkał. Po tym, jak z nim zerwałam, czułam się okropnie osamotniony. Bałam się, że nigdy nie przeboleje naszego rozstania. Nie uwierzysz, jakich sposobów próbował, żeby mnie odzyskać.

Albo:

– Czy Paul nadal śpiewa pod prysznicem? Zawsze uważał, że ma świetny głos. Lubił śpiewać naszą ulubioną piosenkę, *Brown Eyed Girl*, chociaż daleko mu do Vana Morrisona.

Śmiałam się razem z nią, ale Sasha wiedziała, że mnie to gryzie. Nie cierpiałam tego, że wydobywała tę tkwiącą we mnie zazdrość.

Za jej pośrednictwem poznałam amfetaminę. Sasha uważała się za farmaceutycznego erudyte samouka, ale narzekała, że Mark nie załatwia tego, na czym jej zależy, choć ma dostęp do leków. Ja zaś miałam to, czego potrzebowała: nazwiska lekarzy, których poznałam przez lata pracy jako przedstawicielka handlowa i którzy bez większych oporów przepisywali recepty na substancje kontrolowane. Stara gwardia. Ordynowali valium, jakby było lekiem na kobiecość. Kierowałam ją do odpowiednich gabinetów, a ona w zamian dzieliła się zdobyczami, kiedy akurat nasza ją na to ochota. Zresztą nie my jedyne zajmowałyśmy się dystrybucją środków poprawiających nastrój.

Handel prochami odbywał się w szatni. Dilerki nie rzucały się w oczy, ale też nikt nie podejrzewał o to nadzianych białych kobiet z wyższych sfer. Liczyła się zdolność wyhaczania pań o podobnych upodobaniach i umiejętnego zagajania rozmów:

– Mój Boże, w ogóle nie mogę się skupić w pracy. Ty też tak masz?

Albo:

– W weekend jadę do teściów. Masakra. W dodatku skończył mi się xanax...

Albo:

– Chyba się uodporniłam na kawę, bo bez niej czuję się tak samo jak po niej. Słowo daję, muszę zacząć brać ritalin!

Albo:

– Mąż zdradza mnie z opiekunką do dziecka. Zamordowałabym oboje, gdyby nie ativan i chardonnay.

Zaskakująco łatwo było znaleźć pełne zrozumienia partnerki do wymiany. Adderall za ativan. Oxy za xanax. Percocet za fentanyl. Każda miała ambien. Niektóre dorzucały do wspólnego worka nawet fen-phen – dla tych, które bardziej obawiały się utycia niż zawału.

Zacząłam rozumieć, co tak zafascynowało Paula w Sashy. Miała w sobie coś z gwiazdy, czym przyciągała spojrzenia. Kiedy wchodziła do sali, obserwowaliśmy ją równie bacznie jak instruktorkę, co zresztą nie było trudne, bo wpatrzona w swoje odbicie w lustrze nie zwracała zbyt wiele uwagi na ludzi dokoła niej. Była jak rajski ptak w blasku reflektorów, kiedy zawsze idealnie zsynchronizowana z muzyką pedałowala na rowerku, wykonywała figury, napinając wyrobione mięśnie, i wysuwała do przodu cycki i serce. Nienawidziłam jej, a jednocześnie miałam obsesję na jej punkcie.

Przez cały czas, kiedy obserwowałam Saszę, nie miałam pojęcia, że ktoś robi dokładnie to samo w odniesieniu do mnie.

Po

Wchodzę do klubu Lotus Pedal. Jedna z recepcjonistek wręcza mi świecę wotywną z imieniem Sashy i numerem jej rowerka napisanym metalicznym markerem. Dziewczyna ma na sobie koszulkę, której inny egzemplarz wisi też na ścianie – T-shirt kosztuje czterdzieści siedem dolarów; z przodu widnieją wydrukowane na srebrno słowa: „Tęsknimy za tobą”, a tylną część zdobi

piątka w takim samym kolorze i dopisek: „do szaleństwa”. W recepcji kłębią się znajome babki, kupują koszulki i niosą świece. Mają ponure miny, ale widać, że w środku są rozgorączkowane.

Z głośników leci remiks kawałka *Missing Everything but the Girl*. Przebijam się przez gęstą masę botokсовых czół, włosów we wszelkich odcieniach – kobiety (i kilku mężczyzn) związują je w końskie ogony lub koki – i sportowych staników na ramiączkach. Płynę pod prąd, zmierzając w kierunku pustoszejącej szatni. Bąkam do jednej z maruderek, że muszę się wysikać, po czym zbiegam po schodach tam, gdzie są szafki i łazienki. Wślizguję się do pustego pomieszczenia i zaczynam manipulować przy tanich zamkach szyfrowych. Mam tylko jedną albo dwie szanse, inaczej będzie to wyglądało podejrzenie na monitoringu. Kilka minut później zdobywam już to, po co przyszedłam.

Zajmuję swoje stanowisko jako ostatnia. Instruktorka czeka, aż zbierzemy się wszyscy, bo chce zrobić odpowiednie wejście. Sala jest prawie pełna, wolne stoją tylko dwa rowerki: po mojej lewej i po prawej stronie. Jeden z nich to oczywiście piątka Sashy. Ktoś postawił świecę na siodełku; niewielki płomień ożywa w podmuchach powietrza z klimatyzatora.

Madeline, ulubiona instruktorka Sashy, wchodzi do sali, kołysząc włosami i biodrami – na jej brzuchu połyskuje kaloryfer. Wskakuje na podium, po czym podnosi ręce, zachęcając nas, abyśmy razem z nią pokrzykiwali i pohukiwali. Kończy się piosenka i po chwili rozbrzmiewa klubowa wersja *Wish You Were Here* Pink Floyd. Wiwatujemy.

Madeline przygasza światło. Porozstawiane na podłodze świece wyglądają tak, jakby pod naszymi stopami rozciągało się nocne niebo. Pusta siódemka Sheili jest dla mnie zaskoczeniem. Wiem, że Sheila nie przyjdzie, ale od kiedy przestała się pojawiać na zajęciach, ktoś nowy zajął jej rowerek i trochę dziwne, że nie pilnuje dobrego miejsca.

Wpinam się w pedały. Przez brak sąsiedztwa czuję się odsłonięta. Ktoś mi się przygląda; to kobiety z tyłu – jedna nachyla się do drugiej.

– Która z nich zaginęła, bo nie pamiętam? – pyta babka w koszulce na ramiączkach z wizerunkiem pedału Buddy.

Nie wyjaśniam, że zasadniczo obie, ale wygląda na to, że tylko jedna z nieobecnych zostawiła po sobie pustkę.

– Chyba ta chuda blondynka, wiesz, ta umięśniona jak Madonna.

Pedałujący Budda kiwa głową, mimo że opis mógłby pasować do prawie wszystkich kobiet z pierwszego rzędu; wszystkich poza mną.

Zmienia się muzyka – to znak, że zaczynają się zajęcia. Przy pierwszych dźwiękach *Missing* Becka nasza instruktorka siada na rowerku zwróconym w naszą stronę i zamyka oczy. Po chwili otwiera je i zerka w stronę pustego miejsca Sheili, marszcząc czoło, a następnie prosi ćwiczącą z drugiego rzędu, aby przesiadła się na siódmkę, na co jej przyjaciółki wydają okrzyki radości. Wyznaczona uczestniczka przechodzi do rowerka ze łzami w oczach i szerokim uśmiechem na twarzy.

– No dobrze, piękni żołnierze prawdy i miłości. Oddychamy. Prowadzimy lewą nogą. Jedziemy z zamkniętymi oczami i otwartymi sercami. Podkreścamy opór, bo życie to nie bajka i aby coś zmienić, trzeba pokonać najtrudniejsze odcinki na pełnym, kurwa, gazie. Dziś pedałujemy dla wojowniczkii światła i piękna. Zaginęła na pustkowiu i musimy ją głośno przywołać, aby nas usłyszała i przybyła z powrotem.

Mam ochotę przewrócić oczami.

Pogłasniam muzykę. Zaczynamy przebierać nogami i po chwili wszyscy robimy to w równym, szybkim tempie. Trzydzieści par zamkniętych oczu, trzydzieści kołyszących się głów. Wpatruję się w swoje odbicie w lustrze. Moja twarz jest pozbawiona wyrazu, a spojrzenie martwe.

Powinam coś poczuć w związku z zaginięciem Sashy. Choć właściwie czuję – tyle że nie to, co trzeba. Cieszę się, że zniknęła. I że nie ma Sheili. Zaczynam zwalniać i raptem dociera do mnie, że trochę się nastukałam ativanem, który zwinęłam z szafki numer dwanaście. Odruchowo wsuwam dłoń do kieszeni lycrowej bluzy i ważę w dłoni buteleczkę percocetu, zwędzoną z szafki numer osiem.

Czy mogę wierzyć Paulowi odnośnie do tego, co powiedział policji na temat swoich ostatnich kontaktów z Sashą? Nie bardziej niż we wszystko, co w przeszłości padło z jego ust. Po raz kolejny uświadamiam sobie, że powinam wcześniej się zorientować, i nagle moje oburzenie wchodzi na wyższe obroty, zaczynam pedałować jak szalona, niesiona złością i dudniącym basem.

Jestem tak wściekła, że nie wiem, czy zdołam nad tym zapanować. Mocno zaciskam powieki i próbuję zmusić wspomnienia do odwrotu, ale stawiają zażarty opór. Napływają kolejne obrazy, pedałuję coraz szybciej, żeby przed

nimi uciec, ale nic z tego. Pęd pcha mnie prosto w tamtą noc przed dwudziestoma dziewięcioma laty.

Głosy milkną, nie słycać huk, panuje cisza. Popycham drzwi szafy i wychodzę. Stoję nad martwym ciałem matki. Próbuję zrozumieć to, co widzę. Zmienia się piosenka, a wraz z nią obraz. Ojciec mnie wzywa, wyciąga rękę z prośbą o pomoc. Z kącika jego ust sączy się krew i spływa po brodzie. Ojciec zduszonym głosem wypowiada moje imię. Jak zawsze usiłuję powstrzymać wspomnienie, zanim pokonam ten krótki odcinek i dotknę dłoni ojca. Za każdym razem staram się zmusić samą siebie do ucieczki. Zmienia się otoczenie – z sypialni rodziców przenoszę się do naszej. Ona siedzi na krześle, obserwuje nas i czeka. Serce wali mi tak mocno, że chyba zaraz dostanę zawału. Roztrzęsiona wypinam się z pedałów, które nadal obracają się z pełną prędkością. Zeskakuję z rowerka, przewracając kilka świec. Wybiegam. Czuję na sobie gromiące spojrzenia pozostałych uczestników zajęć. Kiedy docieram do drzwi, mam już w ustach tabletkę percocetu.

Wciąż widzę jej twarz w ciemności. Nie mogę się pozbyć tego obrazu i muszę od niego uciec.

Przed

Przyszła w środku nocy. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że się nam przygląda.

Siedziała w fotelu pod oknem i powoli głaskała Duffa. Patrzyła wzrokiem pełnym gniewu, ale zachowywała się spokojnie. Nie poruszała się, jeśli nie liczyć gry mięśni dłoni, którą pieściła zadowolonego psa. Pozwalał się dotykać. Najwyraźniej dobrze się znali.

Podświadomie wiedziałam, kim jest i po co się zjawiała. Nagle dotarło do mnie: rowerek numer siedem. Weszła do naszego domu, do naszej sypialni. Nie rozumiałam dlaczego, ale wyczuwałam, że powinnam się bać.

Moje oczy powoli przyzwyczajały się do półmroku. Paul chrapał w najlepsze. Serce waliło mi cholernie mocno. Myślałam, że już sam ten łomot go obudzi. Siedziała w fotelu i nic nie mówiła, ale z jej miny jasno wynikało, że planuje nas skrzywdzić. Potwierdzeniem jej zamiarów był również pistolet, który trzymała na kolanach.

Poruszyłam nogą pod kołdrą na naszym ogromnym łóżku. Chciałam szturchnąć Paula, by się ocknął, ale niestety, leżał za daleko. Zresztą nawet

gdybym go dosięgnęła, pewnie i tak nic by to nie dało, bo zanim się położył, wziął tabletkę na sen. Kiepsko sypiał przez moją nerwowość.

Byłaby jak posąg, gdyby nie delikatny ruch dłoni pieszczącej Duffa. Czują się swobodnie w pluszowym fotelu; podwinęła nogę pod pupę, jakby nieraz w nim siadywała. Zapaliła świeczkę. Blask płomienia tańczył na jej policzkach i na ścianach pokoju, rozświetlając wnętrze jak podczas seansu spirytystycznego. Z każdą chwilą coraz wyraźniej widziałam rysy kobiety. W trakcie zajęć nigdy się w nią tak naprawdę nie wpatrywałam, mimo że wiele razy widziałam jej twarz w lustrze tuż obok swojej.

Miała ładne usta i oczy jak spodki, nawet kiedy je mrużyła. Była szczupła i zadbana – jak nowa, lśniąca zabawka. Doskonale ułożona fryzura. Szminka w takim samym ciemnym kolorze jak jedna z tych, których sama regularnie używałam. Intruzka założyła sukienkę bez rękawów, bardziej odświętną niż codzienną. Zatem dla niej to była szczególna okazja.

– Nie budź go – powiedziała cicho i powoli.

Jeszcze się nie zorientowałam, kogo z nas przyszła zastrzelić. Po prostu pokiwałam głową.

– Nie może mieć wszystkiego.

Ponownie potwierdziłam ruchem głowy. Dźwignęłam się na łokciu, żeby usiąść na łóżku. Nie zaprotestowała.

– Miałam tak wiele. Tak wiele. I zostałam z niczym. Wszystko straciłam. Najpierw męża. Potem dom i przyjaciół. Wreszcie Paula. A teraz odeszła nawet Molly.

Zaczęła cicho łkać. Przez chwilę się zastanawiałam, kim była Molly. Stan tej kobiety wykraczał poza zwykły gniew. To wyglądało na głębokie rozchwianie i zaburzenie. Odchodziła od zmysłów.

– Dość. Już nie mogę. Dłużej tak nie wytrzymam.

Liczyłam na to, że jej ostry od emocji, niemal piskliwy głos wyrwie Paula ze snu. Zauważyłam, że przesunęła wolną dłoń na rękojeść pistoletu, i modliłam się, żeby za wszelką cenę zachowała spokój.

– Twój mąż powiedział, że mnie załatwi.

Moja mina mówiła sama za siebie. Szok, jakiego nagle doznałam, chyba podziałał na nią ośmielająco.

– Myślał, że może mnie wykorzystać i porzucić. Wydawało mu się, że może udawać, że nie istnieję, a potem grozić mi, kiedy mu o sobie przypomniałam. Że może bez konsekwencji brać, co chce.

Zalała mnie fala złości. Zapragnęłam udusić Paula gołymi rękami: za zdradę, za kłamstwa, za to, że zrobił to z kimś tak niezrównoważonym i naraził mnie na niebezpieczeństwo.

Zamilkła i zaczęła wybijać stopą szybki rytm na podłodze. Duff zawtórował jej ogonem. Paul nawet się nie poruszył. Była jak tykająca bomba, którą sam aktywowałam, a mimo to spał w najlepsze.

– Rozumiem – odezwałam się w końcu i dodałam, starannie dobierając słowa: – Mnie też skrzywdził. Zróbmy to razem.

Mówiłam zaskakująco spokojnie pomimo strachu i wściekłości. Improwizowałam, kładąc na szali własne życie.

Nie musiałam widzieć jej twarzy w pełnym świetle, by zdawać sobie sprawę, jak bardzo zdumiała ją moja reakcja. Wiedziałam, że nie mam dużo czasu ani tym bardziej nie mogę zakładać, że odda mi pistolet, ale jej przewaga nade mną – choćby przez to, że ona dysponuje bronią, a ja nie – była tak duża, że i tak nic bym nie zyskała, panikując. Musiałam się zastanowić.

Nagle przypomniałam sobie, co ukryłam w łóżku, kiedy kilka miesięcy wcześniej Paul wyjechał. Wsunęłam dłoń za poduszkę, potem między zagłówek a materac.

Huk okazał się głośniejszy, niż go zapamiętałam z dzieciństwa. Ból eksplodował w moim ramieniu kilka sekund przed tym, jak młotek, który trzymałam w dłoni, zetknął się z czaszką nieproszonego gościa.



Najpierw poczułam nacisk dłoni Paula na moim owiniętym koszulką barku, dopiero potem usłyszałam męża. Powtarzał moje imię, próbując zatamować krew, która wykwiłała coraz szerszą plamą na materiale. Bolało tak bardzo, że nogi się pode mną ugiwały, ale starałam się utrzymać pion.

Leżała na prawo od fotela, twarzą do podłogi. Obok niej spoczywał pistolet – dziwnie podobny do broni Paula. Nie mogłam oderwać wzroku od czerwonej kałuży na wykładzinie pomiędzy mną a nią. Krwi było tak dużo, że nie umiałam powiedzieć, czy więcej jest mojej, czy jej.

Duff wachał rozrzucone włosy i na zmianę to czekał, to skowyczał. Młotek, który ukryłam w łóżku do samoobrony, kiedy Paul wyjeżdżał, leżał na podłodze pomiędzy nami. Mąż zaprowadził mnie do fotela, gdzie przed kilkoma minutami... albo godzinami – straciłam orientację w czasie – siedziała ona.

– Straciłaś dużo krwi. Jesteś w szoku. Trzymaj mocno. – Złapał mnie za rękę i przyłożył moją dłoń w miejsce swojej. Skrzywiłam się z bólu, kiedy ucisk nagle zelżał i po chwili powrócił. Spokojnie pokiwałam głową, mimo że w środku mnie szalała burza: szok skłębił się z niegasnącą wściekłością na męża.

– Zaczekaj tu. – Zniknął w mroku łazienki i zaczął grzebać w szafce pod umywalką. Nie patrzyłam za nim, wbijałam spojrzenie w splecione włosy kobiety. Pomyślałam wtedy, że są bardzo ładne i że nigdy wcześniej nie zwróciłam na nie uwagi, bo do tej pory widywałam ją jedynie z ciasnym kokiem na głowie.

Paul szybko wrócił i ostrożnie zabrał przesiąkniętą krwią koszulkę, zastępując ją dużym kompresem nasączonym wodą utlenioną. Piekący ból w ranie i wokół niej wywoływał paskudne uderzenia mdłości. Paul umiejętnie oczyścił ramię i kiedy krew przestała lecieć na tyle, by mógł je dokładnie obejrzeć, z ulgą pokiwał głową.

– Nie wygląda źle. Kula tylko cię drasnęła. To powierzchowna rana.

Przyłożył czysty bawełniany prostokąt i porządnie owinął ramię bandażem. Ból z nieznośnego stał się koszmarny.

– To przez tę dawną kontuzję barku – wyjaśniłam.

– Lepiej weź coś przeciwbólowego – mruknął z wyraźną niechęcią.

Zawahałam się. Od kiedy wrócił do pracy, udało mi się brać znacząco mniej leków. Teraz jednak potrzebowałam czegoś, co przyniesie ulgę.

Poszłam po hydrokodon z apteczki. Usłyszałam, jak Paul coraz głośniejszym głosem powtarza: „Sheilo”, tak jakby podniesienie głosu mogło sprawić, że kobieta się poruszy. Przeszły mnie ciarki. Otworzyłam buteleczkę, wysypałam na dłoń dwie grube tabletki i połknęłam je na sucho.

Wróciłam do sypialni z buteleczką w ręku i zatrzymałam się przy Paulu. Zachowywał się tak, jakby nigdy wcześniej nie widział martwego człowieka, choć przecież oboje mieliśmy do czynienia z trupami.

Na chwilę zamarliśmy, potem on ukląkł przy niej i odgarnął włosy z jej ramienia. Intymny gest. To, że mój mąż w ten sposób dotknął obcej kobiety, wzbudziło we mnie zazdrość, ale ta od razu ustąpiła, kiedy Paul rzeczowo i bez śladu czułości przycisnął palce do białej szyi. Czekał z poważną miną. Potem cofnął rękę, a włosy spłynęły na swoje miejsce. Wstał blady i wstrząśnięty.

– Nie żyje.

14

PAUL

Po

Co ona zrobiła? Co my zrobiliśmy? Kurwa!
Kurwakurwakurwakurwakurwa!

Na szczęście ruch na dwudziestce piątce był niewielki. Zza horyzontu wyglądało słońce, szydziło ze mnie, sprawiało, że zaczynało mi się spieszyć. Kiedy przymrużyłem powieki, usiłując skupić się na drodze, przed oczami przemknęło mi oblicze Sheili leżącej na podłodze w sypialni, jej nieruchome, pełne zdumienia i rozpaczki spojrzenie.

Zrobiła to, co musiała. W obronie własnej. Jeszcze mogę pojechać na policję i wszystko wyjaśnić.

Z zamyślenia wyrwało mnie tarcie i głośniejszy szum kół na pasach spowalniających. Nabrałem dużo powietrza – i zaraz je wypuściłem. Wytarłem najpierw jedną, potem drugą dłoń o dzinsy i ułożyłem je pewniej na kierownicy. Dopiero teraz zorientowałem się, że są zimne i zdrętwiałe. Trudno, szyby musiały pozostać otwarte, żeby do środka wpadało świeże powietrze. Przyhamowałem, bo przekroczyłem dozwoloną prędkość.

Czy powinienem pojechać na policję? Jeszcze nie jest za późno. Kurwa. Oczywiście, że jest. Niby jak wytłumaczę to, że przeniosłem ciało?

– Patrz, jak jedziesz, kretynie! – krzyknęła wzburzona kobieta za kierownicą mazdy na prawym pasie i podkreśliła swoje słowa długim trąbieniem. Na chwilę straciła panowanie nad autem, ale szybko je odzyskała, po czym wystawiła rękę za okno i pstryknęła we mnie papierosem.

Muszę to zrobić. Bo naprawdę źle to wygląda. Rebecca miała rację. Na pewno nam nie uwierzą, kiedy powiemy, co zaszło. Nie uwierzą, prawda? Jasne, że Rebecca miała rację. Prosiła, błagała, a przecież nigdy tego nie robi. Oczywiście, że miała rację. Pistolet należy do mnie. To Sheila go trzymała, ale przecież jest mój.

Nagle zauważyłem we wstecznym lusterku migające światło. Zdążyłem pomyśleć, że to koniec. A potem zawyła syrena. W takiej chwili robi ci się słabo i nabierasz przekonania graniczącego z pewnością, że już po tobie. Zjechałem na pobocze, radiowóz zatrzymał się tuż za mną.

Kiedy koła przestały się toczyć, brezentowy zwój z głuchym łupnięciem uderzył w stojącą za moim fotelem skrzynkę z narzędziami. Odgłos rozniósł się echem w moich pustych trzewiach. Żółć podeszła mi do gardła.

– Poproszę prawo jazdy i dowód rejestracyjny. – Zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem.

– Dzień dobry, panie władzo. – Podałem mu oba dokumenty. Siłą woli rozluźniłem palce, które zeszywniały mi w takiej pozycji, jakbym nadal ścisnął nimi kierownicę.

– Wcześniej pan się wybrał w trasę, panie Campbell. Nie dołał pan sobie czegoś do porannej kawy?

– Skądże, panie władzo. Przepraszam za tę jazdę trochę na wariata.

– Wszystko w porządku, panie Campbell? – Rzucił okiem na tylne siedzenie jeepa cherokee.

– Żona została w domu, kiepsko się czuje. Zawożę narzędzia na budowę – wskazałem brodą skrzynkę – i zaraz wracam.

– Chora?

– No niestety. W nocy prawie nie spała, przewracała się z boku na bok.

– Potrafi zabić. – Pokiwał współczująco głową.

– Słucham? – wykrztusiłem.

– Grypa. Wredne paskudztwo. U mnie w domu też szaleje. – Oddał dokumenty i poklepał mnie po plecach. – Powodzenia. I proszę zwolnić.



Działkę nad zatoką Smithtown oglądałem kilka lat wcześniej z zamiarem, żeby ją podzielić na kilka mniejszych i postawić tam apartamentowce. Zebraliśmy ekipę, przebadaliśmy glebę i okazało się, że parcela jest zbyt blisko wody i nie uda nam się uzyskać pozwolenia na budowę. Forsa, która wypalała mi dziurę w kieszeni, nie zdołała niestety przekonać rzeczoznawcy do odpowiedniego skorygowania pomiarów, więc działka pozostała niezagospodarowana. Myśl o niej była pierwszą klarowną rzeczą, jaka

przyszła mi do głowy w ten poranek, który przypominał jedną wielką rozmytą plamę.

Zatrzymałem auto i wysiadłem. Pod stopami miałem bardzo twardy grunt. Szlag. Otworzyłem tylne drzwi, wyjąłem szpadel i kilka razy stuknąłem o ziemię. Nie wbił się nawet na milimetr. Podniosłem szpadel wyżej, a kiedy go spuściłem, odbił się od zamrożonej powierzchni, przy czym trzonek boleśnie uderzył mnie w skostniałą dłoń. Kurwa.

Wróciłem do wozu. Zacząłem rozcierać ręce i chuchać w zdętwiałe palce. Zerknąłem na cyfrowy wyświetlacz na desce rozdzielczej. Słońce zaczynało rzucać długie promienie na zamrażaną ziemię, kryształki lodu mieniły się jak maleńkie klejnoty. Musi się udać. Uda się. Masz pod sobą praktycznie bagno. Odczekaj trochę, kilka minut, zaczniesz tajać. Znowu spojrzałem na zegar na desce. Wrzuciłem wsteczny i wycofałem o długość samochodu.

Stałem przed jeepem, oparłem krawędź szpadla o ziemię i mocno uderzyłem nogą. Goleń przeszył ból. Nie. Proszę, nie, nie, nie. Usłyszałem szczekanie psa w oddali. Upuściłem szpadel. Miałem wrażenie, jakby moje dłonie nie należały do mnie. Żołądek podszedł mi do gardła i zaczął mnie dusić. Osunąłem się po boku auta. To już koniec. Już, kurwa, po wszystkim. Za nic się nie wko... Chwileczkę.

Chwyciłem za klamkę tylnych drzwi i pociągnąłem. Muszę się zastanowić. Na pewno istnieje inny sposób. Rozpatrzyłem wszystkie możliwości, jakie przyszły mi do głowy, i uznałem, że mam tylko jedno wyjście. Słońce nie działało na moją korzyść. Nic nie trzymało mojej strony. Nie miałem innego wyboru.

Wrzuciłem szpadel na tylne siedzenie, wskoczyłem za kierownicę i ruszyłem. Cofnąłem się do polnej przecinki i dalej, do sieci wiejskich dróg. Odnalazłem tę właściwą. Kierowałem się układem drzew, które mijałem, jadąc w przeciwnym kierunku. Obszczekiwały mnie psy skąpane w świetle z werand. Powoli dochodziłem do wniosku, że kręcę się w kółko, kiedy nagle zobaczyłem, że drzewa się przerzedzają i zbliżam się do autostrady.

Nie chciałem tam jechać, ale nie potrafiłem wymyślić nic innego. Wbiłem się na dwudziestkę piątkę, wcisnąłem gaz i ruszyłem w stronę Cold Spring Harbor. To nie było idealne rozwiązanie, ale na razie musiało wystarczyć.

REBECCA**Po**

Utrzymujący się w sypialni zapach prochu tak silnie podziałał mi na wyobraźnię, że poczułam się, jakbym znów miała jedenaście lat i stała pomiędzy ciałami rodziców. Plama krwi dokoła głowy mojego ojca układała się na beżowej wykładzinie w szkarłatną aureolę i spływała niżej, pod ramiona. Obok leżał jego najcenniejszy przedmiot: stary smith & wesson, kaliber jedenaście milimetrów. Krew z głowy matki rozlewała się czerwonymi strużkami wokół moich stóp. Pistolet należał do rodziny od czasów bandytów i kowbojów, kiedy to moi przodkowie musieli walczyć o życie na Dzikim Zachodzie – tak mi tłumaczył ojciec, a matka tylko przewracała oczami.

Raz nawet pozwolił mi potrzymać ten zaskakująco ciężki kawał metalu, dopóki matka nie wyrwała mi go z rączek. A potem znów rzucili się sobie do gardeł. Ukryłam się w szafie i czytałam przy latarce, czekając, aż skończą. Zanim doszło do ostatniej, feralnej kłótni, było wiele, wiele innych.

Po tym, jak uświadomiłam sobie, że ojciec nadal żyje... po tym, jak otworzył oczy i zobaczył mnie... po tym, jak podeszłam do niego, a on złapał mnie za rękę i mocno pociągnął... po tym, jak wreszcie przestał rzeźnić i odsunęłam się od jego martwego ciała... Po tym wszystkim popatrzyłam na leżący na podłodze pistolet jak na węża gotowego do ataku. Położyłam głowę na poduszce, którą tuliłam do piersi, od kiedy wymknęłam się z łóżka do szafy, i czekałam. Nie byłam w stanie patrzeć na trupy rodziców, dlatego wpatrywałam się w pistolet, bojąc się głębiej odetchnąć. Bo wiedziałam, czego mnie pozbawił.



Pistolet Paula był uderzająco podobny do broni mojego ojca. Stary model z bębniem i gładką orzechową rękojeścią. Dopiero teraz, w ciężkim szoku

siedząc po turecku na podłodze w naszej sypialni, miałam okazję dokładnie mu się przyjrzeć.

Nawet nie wiedziałam, że Paul ma broń. Odkryłam to, kiedy wyprowadzaliśmy się z miasta. Wyszedł z psem kupić kawę i bajgle, a ja w tym czasie pakowałam ostatnie rzeczy. Wtedy w jednej z szuflad pod łóżkiem natknęłam się na przedmiot w czerwonej bandanie. Leżał schowany pod grubymi kocami po stronie Paula. Wcale nie musiałam odwijać tobołka – zorientowałam się po ciężarze, co zawiera – ale i tak to zrobiłam. Zanim jednak zdążyłam go obejrzyć, usłyszałam szczęk klucza w zamku – to Paul wrócił ze śniadaniem. Prędko omotałam pistolet bandaną i odłożyłam na miejsce.

Nie lubiłam broni i obiecywałam sobie, że nigdy więcej nie zamieszkam w domu, gdzie jest przechowywana. Mimo to przemilczałam swoje odkrycie. Przemknęła mi przez głowę myśl, że ktoś o tak gwałtownym usposobieniu jak Paul raczej nie powinien mieć pistoletu, ale się nie odezwałam. Później też nie podejmowałam tematu. Przeprowadzka na Long Island tak bardzo pozwoliła nam się zbliżyć, że nie chciałam tego zepsuć. Dotąd nie zastanawiałam się, co Paul może przede mną ukrywać.

Zdrętwiały mi nogi. Nie wiedziałam, ile czasu minęło, zanim Paul wrócił – może minuty, może godziny. Wraz ze śmiercią Sheili czas się zatrzymał. Nie miałam pojęcia, czy mąż pojechał na policję, czy zwyczajnie wyszedł i mnie zostawił. Kiedy zjawił się ze sprzętem, szybko zdałam sobie sprawę, że niestety nie będzie tak łatwo.

Duff odpuścił sobie. Już nie ujadał jak szalony i nie kręcił się w kółko. Zwinął się w kłębek u moich stóp. Ciężar i ciepło jego ciała dodawały mi kojącej otuchy w otumanieniu po chaosie i dramacie, który się rozegrał. Skupiłam wzrok na pustym fragmencie podłogi tam, gdzie nie było widać broni ani zwłok, ani krwi. Bo dobrze znana scena, jaką miałam przed oczami, okazała się zbyt przytłaczająca: trup na podłodze, zapach prochu, wgniecenie w wykładzinie od ciała drobnej kobiety, włosy takiego samego koloru jak mojej matki. Rwący ból w barku.

Paul rozłożył plandekę na podłodze i przetoczył na nią Sheilę. Spojrzał mi w oczy, potem popatrzył na pistolet, który trzymałam na kolanach. Pochylił się i delikatnie odebrał mi broń. Wyszedł, zapewne do gabinetu. Wrócił z nieprzeniknioną miną. Nie szkodzi, i tak wiedziałam, co musimy zrobić.

– Pomóż mi z tym – odezwał się łagodnie.

– Paul, proszę, zadzwońmy na policję – mówiłam ze świadomością, że wcale tego nie chcę. Po prostu wydawało mi się, że należy to powiedzieć.

– Jeśli wezwiemy policję, aresztują cię, gołąbeczku.

– Ale przecież zrobiłam to w obronie własnej. Ona tu przyszła, kiedy spaliśmy. Miała broń!

– To nie zabrzmiało przekonująco. Pamiętaj, że miała mój pistolet. – Był roztrzęsiony. Zaczął grzebać w jej torebce; nie wiedziałam, czego szuka.

– Włamała się do naszego domu! Broniałam nas. – Z trudem się powstrzymałam, żeby mu nie wygarnąć, że przespał niemal całe to przerażające zajście.

W końcu wyjął z torebki Sheili znajomy brelok, na którym wisiał zapasowy zestaw kluczy do naszych drzwi wejściowych. Jeszcze nie docierało do mnie, w jaki sposób się tam znalazł.

– To nie było włamanie. – Pokazał mi klucze i spuścił wzrok.

Nagle zrozumiałam, co to znaczy, że ktoś jest zaślepiiony wściekłością.

– Paul, skąd ta kobieta wzięła twój pistolet?

– Gołąbeczku...

– I dlaczego miała klucze do naszego domu?!

Zrobił zawstydzoną minę. Nagle go olśniło.

– Ukradła broń z mojego biurka – powiedział, bardziej do siebie niż do mnie, z niedowierzaniem, które jeszcze mocniej mnie rozzłościło. – Klucze też musiała zabrać. Kojarzę, kiedy mogła to zrobić. Poszedłem na górę, a nie powinienem jej zostawiać samej. – Dotarło do niego, że to wyjaśnienie jest zarazem przyznaniem się do winy. Wzdrygnął się.

– Sprowadziłeś ją tutaj? – Przez chwilę wyobraziłam sobie, jak sięgam po młotek i rozbijam mu czaszkę. Ale rozpacz, która malowała się na jego twarzy, sprawiła, że odeszła mi chęć rozprawienia się z niewiernym mężem. Jej miejsce zajęła panika. Co zrobimy z ciałem?

– Kochanie, przepraszam. Zakończyłem to, bo ona nic dla mnie nie znaczyła. Nawet nie przypuszczałem, że może dojść do czegoś takiego. Nie sądziłem, że ją zabijesz!

Zatkało mnie. Jego słowa zabrzmiały jak kolejny atak na mnie. Sam wpuścił tę wariatkę do naszej sypialni, ale to ja byłam winna. Odjęło mi mowę. Wykorzystał tę chwilę, aby przejąć kontrolę nad sytuacją.

– Musimy ją przenieść – oznajmił.

Leżała na plecach między nami, miała zamknięte oczy i rozchylone usta. Dopiero teraz zobaczyłam, że jej atrakcyjność wynikała nie tyle z naturalnej urody, ile z umiejętnie dobranej fryzury i makijażu. Spod grubej tapety zaczynała przebijać bladość skóry, a wargi robiły się sine pod warstwą czerwonej szminki. Jej piękno szybko blakło, co oczywiście ani trochę nie polepszyło mi nastroju.

Podeszłam na czworakach do plandeki, nabrałam powietrza, poprawiłam nogi Sheili, tak by leżały równo jedna obok drugiej, i wsunęłam dłoń pod gruby brezent. Na znak Paula przetoczyliśmy ciało. Było przerażająco sztywne.

Turlaliśmy Sheilę w nieskończoność. Z każdym obrotem musieliśmy ją poprawiać, przybliżać do siebie i jednocześnie rozwijać dalszą część plandeki. Wspólnym wysiłkiem odsuwaliśmy trupa kochanki Paula, a potem go przysuwaliśmy, odsuwaliśmy i przysuwaliśmy. Krzywiłam się, bo z każdym ruchem po moim ciele, zaczynając od barku, rozlewał się mdlący ból. Gdy już solidnie zapakowaliśmy Sheilę w gruby brezent, Paul pokazał, żebyśmy razem podnieśli ten rulon. Wyglądała na góra pięćdziesiąt kilka kilogramów skóry i kości, ale ważyła znacznie więcej. Kiedy wyszliśmy na korytarz, środkowy odcinek beli zaczął się zapadać. Oboje musieliśmy przesunąć chwyt dalej od brzegu. Duff dreptał za nami, sapiąc radośnie na myśl o spacerze. To pierwsza rzecz od bardzo dawna, jaką robiliśmy razem jako rodzina.

Niosąc trupa kochanki Paula, czułam ciężar milczenia męża; ważyło więcej niż ciało Sheili. Na chwilę zostałam z nią sama pod drzwiami, kiedy on wyszedł sprawdzić, czy po ulicy nie kręcą się nastolatki albo spacerowicze z psami. Widziałam przez szybkę, jak otwiera tylne drzwi samochodu.

Stojąc tak w ciemności i przyglądając się brezentowemu zwojowi ze zwłokami, wyobraziłam sobie, że Sheila wcale nie umarła i że płytko oddycha pod warstwami plandeki. Mogłabym przysiąc, że ją słyszę. Przeszedł mnie dreszcz. Wsparłam się na grzbiecie Duffa. Po moich policzkach spłynęły grube, milczące łzy i skapnęły na pierś. Wtedy wrócił Paul. Podeszedł, objął mnie i przytulił mocno, ale ostrożnie, żeby nie podrażnić rany.

– Damy radę. Przetrywamy to. Tylko weź się w garść. – Wiedziałam, że przy mnie nigdy nie pozwoliłby sobie na płacz.

– Paul, ja naprawdę nie miałam innego wyjścia – zawyłam. Nadal byłam wściekła, ale też zmęczona i spragniona pocieszenia.

– Wiem. Zrobiłaś to, bo musiałaś.

Czułam przez włosy ciepło jego ust i słyszałam łagodny, kojący ton głosu. Rwało mnie w barku. Zerknęłam na zegar w korytarzu – czas uciekał.

– Trzeba ją stąd wywieźć. Chcę, żebyś się ogarnęła i postarała jak najlepiej posprzątać w sypialni. Spalimy zakrwawione ubrania. Nie przejmuj się wykładziną, zerwę ją, kiedy wrócę. I nie bierz więcej proszków, bo przestaniesz kontaktować.

Ten ostatni komentarz wywołał we mnie nową falę złości, ale zapanowałam nad nią. Bardziej mnie interesowała kolejna dawka leków przeciwbólowych niż kłótnia z Paulem.

Otworzył i podparł drzwi, a ja zaprowadziłam Duffa na górę i zamknęłam w łazience. Potem Paul pokazał, żebym chwyciła drugi koniec zwoju z Sheilą. Wyszliśmy na rześkie powietrze. Niebawem miało świtać.

Z łatwością wsunęliśmy martwą kobietę do środka, głową do przodu.

– Dokąd ją zabierzesz? – Opioidy, które przytłumiły szok, przestawały działać. Chciałam, żeby Paul już odjechał, głównie dlatego, żebym mogła łyknąć oxy. Szybko wracałam do dawnych nawyków.

– Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej.



Wróciłam do sypialni. Długo siedziałam w ciszy i bezruchu. Zauważyłam dziurę w listwie na ścianie tuż obok łóżka. Pod nią leżała na podłodze komórka Paula. Musiała wypaść mu z kieszeni, kiedy przynosiliśmy ciało.

Sięgnęłam po telefon i bez wahania wpisałam kod – datę naszej rocznicy: zero dziewięć jeden dziewięć – a następnie od razu zajrzałam do wiadomości. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, mogło się wydawać głupotą szukanie czegoś więcej. Mimo to nie potrafiłam się oprzeć. Chciałam wiedzieć, od czego się zaczęło. Chciałam zrozumieć.

Namierzenie ich korespondencji zajęło mi trochę czasu, ale w końcu się udało. Paul zupełnie bez sensu zachował wszystkie wiadomości zamiast je skasować. Umieścił ją na liście kontaktów jako „Molly”. Szybko się zorientowałam, że chodzi o Sheilę, zwłaszcza kiedy zobaczyłam jej nagie selfie. Siedziałam na łóżku i zeszywniałym ze złości palcem przewijałam cały wątek, od początku flirtu po wymianę uprzejmości sprzed kilku dni. Pełny cykl: od uwiedzenia, przez seks, po finał.

Sheila nie pozwoliła się tak zwyczajnie porzucić.

16

PAUL

Po

Czekałem na właściwy moment. Codziennie budziłem się w pustym łóżku po nocy niespokojnego snu. Rebecca wstawała wcześniej i wychodziła z domu, żeby przed pracą zdążyć na zajęcia z aerobiku na rowerkach. Jej nieobecność przynosiła mi niewielką, bo niewielką, ale ulgę. Nie chciałem jej angażować bardziej, niż to konieczne, a także bałem się, że wyczuje moje zdenerwowanie w związku ze sprawą, której nie udało mi się doprowadzić do końca.

Wstawałem z łóżka i wyglądałem przez okno. Nadal drwił ze mnie mróz, który ścinał ziemię. Robiłem sobie kawę i krążyłem po domu. Jak na złość, prognozy wciąż pokazywały to samo: zero szans na ocieplenie. Zimą spada zainteresowanie nieruchomościami, więc nawet nie miałem czym się zająć, żeby uwolnić głowę od rozmyślania o naszym problemie.

Mniej więcej dwa tygodnie po wydarzeniach w sypialni wreszcie nastąpił przełom w pogodzie. Zapowiedziano ciepły front z północnego wschodu. Ucieszyłem się, że będę miał okazję dokończyć to, co zacząłem, zanim całkiem oszaleję.

We wtorek rzeczywiście temperatura poszła w górę. Cierpliwie odczekałem jeszcze dwa dni, żeby natura zrobiła swoje. W czwartek przed zaśnięciem zastanowiłem się jeszcze raz, czy na pewno zapakowałem do jeeпа wszystkie potrzebne narzędzia. Nie zdradziłem Rebecce, gdzie będę rano.

W środku nocy wymknąłem się z łóżka, potem z domu. Pojechałem do Cold Spring Harbor i zaparkowałem na działce tak, żeby światło reflektorów padało na betonowe schody prowadzące do piwnicy. Nie wyłączyłem silnika, pracował na wolnych obrotach, wysiadłem i otworzyłem tylne drzwi. Podeszedłem do surowych fundamentów, na których, jak obiecywałem Rebecce, pewnego dnia miał stanąć nasz dom, otworzyłem klapę i ruszyłem schodami w dół.

W piwnicy nadal panował ziąb. Myślałem, że będzie bardziej śmierdziało. Odsunąłem worki z cementem i odciągnąłem brezentowy zwój od ściany. Kucnąłem i włożyłem ręce pod spód, powtarzając sobie, że ciężkie rzeczy należy podnosić z przysiadu. Uniosłem Sheilę zawiniętą w plandekę i pomimo grubego opakowania poczułem na piersi i ramionach sztywne mięśnie trupa. Zrobiło mi się niedobrze. Wtachałem zwój do auta i ruszyłem nad zatokę Smithtown.

Tym razem nie musiałem się ściagać ze słońcem. Zatrzymałem się na polance pod osłoną nocy, wyłączyłem światła i na dobry kwadrans zostawiłem uruchomiony silnik. Potem cofnąłem się o długość samochodu, wyjąłem klucz ze stacyjki i wysiadłem. Wyjąłem narzędzia i zabrałem się do kopania przed maską jeepa.

Twarda ziemia nadal stawiała opór, więc ze szpadla przerzuciłem się na kilof – szło mi o wiele lepiej, grunt ustępował, a ja wpadłem w rytm. Po pewnym czasie zacząłem odczuwać zmęczenie, bolały mnie ramiona i plecy, ale skutecznie łagodziła je krążąca w żyłach adrenalina. Dół miał już jakiś metr głębokości, kiedy nagle ostrze kilofu trafiło w coś twardego, a moje ramię od nadgarstka po bark przeszył ból. Dotarłem do zamarznętej warstwy gleby. Sięgnąłem po szpadel, usunąłem luźną ziemię i zbadąłem twarde dno dołu. Uznałem, że narzędzia, które zabrałem, do niczego mi się nie przydadzą. Głębiej już nie wykopię.

Spróbowałem wyjąć zwój z jeepa i przenieść do dołu, ale miałem tak nadwerężone ręce, że nie zdołałem go utrzymać i zsunął mi się na ziemię. Musiałem przeturlać brezentową belę bliżej wykopu i zepchnąć ją nogą do środka. Potem zasypałem tę jamę i wyrównałem powierzchnię płaską stroną szpadla. Wrzuciłem narzędzia do wozu, usiadłem za kierownicą. Przekręciłem kluczyk. Włączyłem światła, ich blask padł na fragment polany przed maską. Wyglądał na nienaruszony. Odetchnąłem głęboko i ruszyłem.

Wróciłem na polną drogę, potem na trasę i do domu, gdzie wziąłem długi gorący prysznic, rozpaczliwie pragnąc zmyć z nas cały ten brud.

REBECCA**Po**

Kiedy Paul ją wywiózł, nadal czułam, jakby była w naszym domu. Powoli mijały tygodnie. Znow brałam za dużo leków. Marzec kończył się w gęstej mgłę wspomnień tego, co uczyniliśmy. Nasze życie powróciło do względnej normalności, bo co mieliśmy zrobić? Bark doskwierał mi tak bardzo, że zapas proszków przeciwbólowych szybko stopniał. Nigdy wcześniej nie byłam w takiej desperacji i coraz bardziej zaczynało mnie to niepokoić. Rozpaczliwie potrzebowałam środków uśmierzających ból, ale wahałam się, czy pójść do lekarza z obawy, że ten zobaczy ranę postrzałową i zacznie zadawać niewygodne pytania.

Przed pracą nadal chodziłam do klubu Lotus Pedal. Rowerek Sheili przejęła kolejna bezimienna kobieta o napiętych mięśniach i zaciętej minie. Im mniej prochów łykałam, tym trudniejsze stawały się dla mnie te zajęcia.

W drugim tygodniu zdesperowana pożyczyłam z pracy próbki plastrów z fentanylem. Leżały w szafce, do której stosunkowo łatwo się dostać. Każdy z takich plastrów jest pięć razy mocniejszy zarówno od oxy, jak i percocetu, które regularnie przyjmowałam. Dlatego na początek pocięłam wszystkie na cztery części i przyklejałam po jednej ćwiartce. Miałam wysoką tolerancję, dlatego zaledwie po dwóch dniach zwiększyłam dawkę do połówek, a potem szybko zaczęłam stosować cały plaster. Wkrótce moje zasoby zmniejszyły się do dwóch sztuk i niestety nie miałam pomysłu, skąd zdobyć więcej. Efektem ubocznym używania plastrów z fentanylem było utrudnione odróżnianie rzeczywistych wydarzeń od produktów chemicznej paranoi. Moja podświadomość nie pozwalała mi zapomnieć o tym, co zrobiliśmy. Co zrobił Paul.

Zaczęło się od drobnostek. Jedne rzeczy znikwały, a drugie zmieniały położenie, przemieszczały się między pokojami. Bez trudu mogłam złożyć te przypadki na karb haju i utraty poczucia czasu. Ale potem doszły młotki.

Pierwszy znalazłam na masce samochodu – stał oparty o przednią szybę. Wytłumaczyłam to sobie tak, że ktoś zostawił go tam przez przypadek. Drugi pojawił się w zamrażarce. Kolejny zobaczyłam na łóżku po stronie Paula jednej z tych nocy, kiedy Paul późno wracał do domu. O ostatni potknęłam się, idąc przez podwórze za domem, żeby uzupełnić wodę w stojącej w cieniu misce Duffa. Z początku nawet nie zorientowałam się, co to takiego – z ziemi wystawał tylko kawałek trzonka, i dopiero kiedy odkopałam pozostałą część, okazało się, że to młotek.

Nie powiedziałam o nich Paulowi, bo uznałam, że zaczynam wariować. Poprosiłam go za to, żeby za każdym razem, gdy mam być w domu sama, zostawiał mi pistolet w zasięgu ręki. Wściekł się i odparł, że tamtej nocy, kiedy wywiózł Sheilę, pozbył się go dla naszego własnego bezpieczeństwa.

Zgodziliśmy się więcej o tym nie wspominać. Nie chciałam męża denerwować ani wzbudzać w nim podejrzeń co do mojego stanu psychicznego i uzależnienia od leków. Po śmierci Sheili odgrywaliśmy kochające się, szczęśliwe małżeństwo, jednak nie byłam w stanie pozbyć się nieufności. Paul okazał się zdolny do zdrady, w dodatku zrobił to z kobietą nieznaczącą, i to jeszcze z mojego otoczenia. Nie potrafiłam o tym zapomnieć. Z kolei on dowiedział się, że jestem zdolna pozbawić kogoś życia. Jedno odkrywało wiele nowych rzeczy na temat drugiego, zaskakująco wiele jak na małżeństwo o tak długim stażu. Nawet przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że za tym zagadkowym pojawianiem się młotków może stać mój mąż.

Przez wiele tygodni Paul zachowywał się bardzo ostrożnie i chodził podenerwowany. Dopóki pewnego wczesnego ranka nie powitał mnie radosny i rozluźniony – dawno go takim nie widziałam. Wziął prysznic, wsunął się pod kołdrę i dosłownie zdarł ze mnie koszulę nocną. Spróbowaliśmy wczuć się w rolę namiętnej pary. Obejmowaliśmy się, patrzyliśmy sobie w oczy, szeptaaliśmy czułe słówka. Im mocniej się staraliśmy, tym szybciej słabł entuzjizm. Paul się zirytował, zezłościł i zamilkł, a ja razem z nim. Skapitulowaliśmy. Westchnęliśmy z rezygnacją i odsunęliśmy się od siebie. Cisnęły nam się na usta niewypowiedziane pytania. Czy po Sheili uda nam się wrócić do tego, co wcześniej było między nami? Czy unikniemy kary za to, co zrobiliśmy?

Duff ostrzegł nas przed nimi, zanim zabrzmiał dzwonek do drzwi.

Część druga

18

PAUL

Obecnie

Duff ostrzega nas przed nimi, zanim zabrzmie dzwonek do drzwi.

– Załatwiłaś mi dublera? – rzucam. Próbuję żartować pomimo naszej obopólnej frustracji, ale dowcip nie wypala.

Nie odwracając się, Rebecca wyciąga rękę i klepie mnie po udzie.

– Nic się nie stało, kotku.

Wstaję, zakładam sportowe spodenki i koszulkę. Idę na dół. Mijając kuchnię, czuję aromat świeżo zaparzonej kawy. Duff stoi pod drzwiami i szczeka. Podchodzę do psa, drapię go za uchem i otwieram drzwi.

– Pan Campbell? – pyta wyższy i szczuplejszy z dwóch mężczyzn stojących na werandzie.

Zwracam uwagę na zaparkowanego na podjeździe szarego forda crown victorie, ale i bez tego wiem, że mam do czynienia z policją. Staram się zachowywać najswobodniej, jak potrafię.

– Tak, Paul Campbell. A o co chodzi?

– Detektyw Wolcott. – Jest wysoki i szczupły, w trzyczęściowym garniturze. W kamizelce wygląda jak początkujący wykładowca z college’u. – A to mój partner, detektyw Silvestri. – Ten kojarzy mi się z nieco lepiej ubranym i bardziej zadbanym Serpico. Od razu widać, że lubią stary numer z dobrym i złym gliną. – Czy zastaliśmy pańską żonę?

Szlag.

– Tak. Wejdźcie, panowie. Zapraszam. To Duff, przyjazny psiak. Proszę nie zwracać na niego uwagi. – Robię krok do tyłu i wyciągam rękę, wskazując kierunek do kuchni. Duff wita gości – macha ogonem, waląc nim o drzwi. – Żona dopiero się budzi. Może zaproponuję panom filiżankę kawy, a potem pójde zwlec ją z łóżka?

– Czy pan kpi z policji, panie Campbell? – pyta Silvestri ze śmiertelnie poważną miną.

Nie potrafię odgadnąć, czy rzeczywiście poczuł się urażony.

– E... nie, po prostu właśnie zaparzyłem dzbanek. Sobie też naleję.

– Tylko żartowałem – kwituje Silvestri, wykrzywiając usta w uśmiechu. – Mój partner twierdzi, że nie umie poznać, kiedy żartuję.

– Mistrz sarkastycznego humoru – dopowiada Wolcott, głaszcząc Duffa – i miłośnik herbaty. Za to ja chętnie się napiję. Poproszę czarną, jeśli można.

– Oczywiście. – Prowadzę ich do kuchni. Duff depcze Silvestriemu po piętach. Otwieram szafkę, wydaję trzy kubki i zaczynam nalewać kawę. Stoję twarzą do wyspy, tak że sukinsyny nie widzą, jak zaciskam wolną dłoń na krawędzi blatu. Udaje mi się napełnić kubki bez uronienia kropli. Jeden z nich podaję Wolcottowi.

– Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co. Pozwolą panowie, że pójdę po...

– Dzień dobry. – W drzwiach kuchni staje Rebecca ubrana w swoją najskromniejszą koszulę nocną. Przygląda się gościom.

Wręcam jej kubek. Oby tylko zdołała utrzymać go w ręku. Ostatnio bywa roztrzęsiona i zachowuje się nieobliczalnie. Przesadza ze środkami przeciwbólowymi.

– Pani Campbell, jestem detektyw Wolcott, a to mój partner, detektyw Silvestri.

– Uszanowanie – mówi Silvestri.

– Uszanowanie? O rety. Albo naprawdę jest jeszcze bardzo wcześnie, albo po prostu przydałaby się panu mocna kawa. Paul, nalej panu...

– Kotku, detektyw Silvestri woli herbatę.

– To może filiżankę herbaty...

– Dziękuję, pani Campbell, nie trzeba.

– Wobec tego czym możemy panom służyć?

– Zostaliśmy poinformowani, że uczęszcza pani na zajęcia do klubu Lotus Pedal. Zgadza się?

– Tak, to prawda. Czy coś się stało?

Wolcott sięga do kieszeni na piersi i wyjmuję małe zdjęcie.

– Jedna z członkiń klubu zaginęła. Prowadzimy dochodzenie w tej sprawie.
– Pokazuje fotografię Rebecce. – Zna pani tę osobę?

Widzę, jak na twarzy mojej żony zaczyna się rysować niepokój.

– Kotku – spogląda na mnie zaskoczona – to przecież Sasha.

– Sasha? – A to niespodzianka.

Wolcott przenosi spojrzenie z Rebekki na mnie.

– Pan też zna panią Anders?

– Jej mąż jest moim szefem – wyjaśnia Rebecca. – Mark i Sasha to... nasi znajomi.

– Zabrzmiało to raczej jak pytanie niż stwierdzenie – zauważa Wolcott.

– Chodziliśmy razem do liceum – mówię. Kątem oka dostrzegam grymas żony. – Wieki temu.

– Rozumiem. – Silvestri też zauważył jej minę. – Czy któreś z państwa rozmawiało z mężem zaginionej? – Zerka na Rebeccę. – Chodzi mi o kontakt poza pracą.

– Tak, ale o niczym szczególnym. Boże, ostatnio rzeczywiście mało się odzywał.

– Ostatnio? – podłapuje Wolcott.

Rebecca spogląda najpierw na mnie, potem na detektywa. Nieznacznie się pochyla.

– Nie chciałabym plotkować, ale podobno nie układało im się w małżeństwie. Co prawda, Mark niewiele o tym wspominał, ale to się ciągnęło już od dłuższego czasu. Jestem prawie pewna, że był taki okres, kiedy Sasha się wyprowadziła i mieszkała u rodziny. Wiem o tym tylko dlatego, że akurat wtedy opuściła kilka zajęć. Mark nie chciał mi zbyt wiele powiedzieć. – Odwraca się do mnie. – Pamiętasz? Opowiadałam ci.

– Tak, kotku, pamiętam.

– A pana co konkretnie łączyło z panią Anders? – zwraca się do mnie gliniarz.

– Spotykaliśmy się przez pewien czas, kiedy chodziliśmy do liceum – odpowiadam, a Rebecca demonstracyjnie wypuszcza powietrze.

– Tak, wieki temu – dopowiada Silvestri. – A ostatnio?

– Bywało, że przychodziła na prezentację tego czy tamtego domu.

– Aha, czyli pracuje pan w nieruchomościach?

– Zgadza się. – Słowa zostawiają gorzki posmak w moich ustach.

– Czy zauważył pan coś dziwnego w jej zachowaniu podczas któregoś z tych spotkań?

– No... – Zerkam na Rebecę.

– Śmiało, kotku.

Silvestri się ożywia.

– Kiedy zjawiała się ostatni raz, wydawała się lekko wstawiona.

– Mhm. Zachowywała się niestosownie?

– To znaczy?

– Osoby pod wpływem... Czy na przykład, proszę wybaczyć niedelikatność, składała panu jakieś propozycje? – precyzuje Wolcott.

– Aha. To znaczy, czy się do mnie przystawiała? Nie, nic z tych rzeczy. Mamy to już za sobą. Wydawała się... smutna.

– Jasne. – Policjant sięga do kieszeni spodni, wyjmując długopis, mały notatnik i zaczyna pisać. – Zatem można powiedzieć, że w ostatnim czasie pan i pani Anders oddaliliście się od siebie?

Rebecca spogląda na mnie, potem na detektywów.

– Myślę, że tak. Z ciekawości: czy to Mark się z wami skontaktował?

– Podjęliśmy działania na podstawie anonimowego zgłoszenia – wyjaśnia Wolcott. – W związku z tym chciałbym panią zapytać, czy kojarzy pani również tę kobietę. – Wyjmuje kolejne zdjęcie i wręcza mojej żonie.

Wpatruję się w Rebecę, która ogląda fotografię. Robi to odrobinę za długo i do tego lekko mruży oczy. Patrzy na gliniarza. Patrzy na mnie.

– Paul, to ona. – Podaje mi zdjęcie.

Wypluwam kawę z powrotem do kubka. Mam przed sobą wizerunek Sheili. Z nerwów skręca mi się żołądek. Na szczęście zanoszę się kaszlem, dzięki czemu zyskuję kilka sekund, żeby się domyślić, o co, do cholery, Rebecce chodzi.

– Panie Campbell? – odzywa się Silvestri.

– Przepraszam – charczę. – Wpadło nie w tę dziurkę. – Widzę, jak detektywi wymieniają spojrzenia.

– Kochanie, w porządku. Możesz im powiedzieć. – Rebecca patrzy na mnie z pełnym rezygnacji zrozumieniem.

– Kotku?

– Czy jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć? – dopytuje funkcjonariusz.

– Ćwiczę z tą kobietą aerobik na rowerkach, to prawda – przyznaje Rebecca. – Ale znamy się też spoza zajęć. Otóż ta pani okazała raczej niezdrowe zainteresowanie moim mężem. Byliśmy zmuszeni zdusić tę fascynację w zarodku.

Wolcott patrzy na mnie z zaciekawieniem.

– Panie Campbell?

Zerkam na Rebeccę, szukam jakiejś wskazówki w jej spojrzeniu.

– Spokojnie, Paul. Nie zranisz moich uczuć. – Kiwa głową i spuszcza wzrok.

Nagle dociera do mnie, do czego zmierza, i już wiem, jak musimy to rozegrać.

– No więc jakiś czas temu był taki okres, kiedy nie miałem żadnego zajęcia i czułem się mocno przybity. Żona chodziła do pracy, a ja snułem się po domu i nie mogłem się pogodzić z tym, że nie zarabiam pieniędzy. Próbując uciec od ponurych myśli, nabrałem zwyczaju spacerowania z Duffem po plaży. Pewnego dnia poznałem tę kobietę, Sheilę, która też wyszła z psem. Często na siebie wpadaliśmy, zupełnie, jak mi się wydawało, przypadkiem.

Wolcott pracowicie notuje.

– „Jak się wydawało”? – wtrąca Silvestri.

– Tak. Spotykaliśmy się codziennie mniej więcej o tej samej porze, więc naturalnie wyszedłem z założenia, że po prostu mamy podobny rozkład dnia. Kiedy trochę lepiej się poznaliśmy, Sheila zaczęła mi opowiadać o swojej sytuacji w domu.

Wolcott przejmuje pałeczkę.

– I jak wyglądała ta sytuacja?

– Sheila miała męża, który, sądząc z opisu, nie był wzorem cnót. Wspominała o jego niewierności i romansie z koleżanką z pracy. I że potrafił znęcać się nad nią emocjonalnie.

– Rozmawiali państwo na dość osobiste tematy, jak na ludzi, którzy po prostu wyprowadzają razem psy.

Pochylałam głowę, jakby zżerał mnie wstyd.

– Właśnie na tym polegał mój błąd. I przez to wyrządziłem krzywdę naszemu małżeństwu. Czułem się zagubiony i odsłoniłem się przed tą kobietą bardziej, niż powinienem. Nie wiem, chyba uznałem, że coś nas łączy. Zwierzyłem się jej ze szczegółów swojego związku, nadużyłem zaufania żony. – Łypię na Rebeccę, która przygląda mi się z uwagą. – Zaangażowałem się w coś, co terapeuta nazwałby „romansem emocjonalnym”. Moim zachowaniem niepotrzebnie zachęciłem tę kobietę do działania.

– Ten romans był... – Wolcott znacząco zawiesza głos – czysto emocjonalny?

– Tak – odpowiadam. – Co mnie ani trochę nie usprawiedliwia. Nie zmniejsza też krzywdy, jaką wyrządziłem.

– Nasze małżeństwo poważnie ucierpiało – dodaje Rebecca. – Ale powoli goimy rany.

– Wygląda na to, że przystąpią państwo do bardzo racjonalnej odbudowy związku – zauważa Wolcott. – Można wiedzieć, w jaki sposób rozwiązaliście problem?

– Kiedy Paul uświadomił sobie, jak bardzo ośmielił tę kobietę, poczuł wyrzuty sumienia i przyszedł z tym do mnie. Dotarło do niego, że Sheila cierpi na urojenia i jest manipulatką. Przyznała, że ich pierwsze spotkanie nie było przypadkowe i że obserwowała go od pewnego czasu, szukając pretekstu do nawiązania kontaktu. Poza tym wmówiła sobie, że połączyła ich prawdziwa, fizyczna zażyłość. Paul doszedł do wniosku, że musi natychmiast zakończyć tę znajomość.

Silvestri spogląda na mnie.

– I jak panu poszło, panie Campbell?

– To było dość nieprzyjemne. Mąż ją zostawił, a ona ubzdurzyła sobie, że połączyło nas przeznaczenie. Nie wyglądało na to, żeby się pogodziła z tym, że z nią zrywam.

– Rozumiem. – Wolcott kiwa głową. – Kiedy to było?

– Jakieś... dwa miesiące temu? – Zerkam na Rebeccę.

– Tak – potwierdza. – Mniej więcej.

– I od tamtej pory się nie odzywała? – podejmuje Silvestri.

– Nie. Zamilkła, jakby zapadła się pod ziemię.

– Orientują się państwo, dokąd mogła wyjechać? Skąd pochodziła? Skąd był jej mąż? – zarzuca nas pytaniami Wolcott, trzymając długopis w gotowości.

– Hm... – Udaję, że się zastanawiam. – Szczerze mówiąc, nigdy nie rozmawialiśmy o jej przeszłości, dzieciństwie i tak dalej. Przykro mi, nie wiem.

– Nic nie szkodzi – ucina Wolcott. Spogląda na partnera, który daje znak głową. – Bardzo nam państwo pomogli. – Sięga do kieszeni spodni, wyjmując wizytówkę i wręcza Rebecce. – Proszę zadzwonić, jeśli coś sobie państwo przypomną.

Rebecca waży kartonik w dłoni.

– Oczywiście. Na pewno się odezwiemy.

Dziękują za kawę i poświęcony czas. Odprowadzamy ich do drzwi i na werandę, potem patrzymy przez okno, jak idą do samochodu, wsiadają i odjeżdżają spod domu.

– W porządku? – Rebecca przeszywa mnie wzrokiem.

– Co ty odpierdalasz? – wybucham.

Wykrzywia usta.

– Musiałam, Paul.

– Czyżby? Kręci cię to?

Patrzy na mnie, jakbym jej przyłożył.

– Prowadzą dochodzenie w sprawie zniknięcia Sheili. Wcześniej czy później dowiedzą się o esemesach.

Teraz to ja pewnie wyglądam jak porażony.

– Wiesz o esemesach? – pytam dużo ciszej.

– Rany, Paul, nie jestem głupia. Oczywiście, że wiem. – Wbija spojrzenie w podłogę, by po chwili podnieść głowę i popatrzeć na mnie wzrokiem pełnym determinacji. – Ale z tym już koniec, tak?

– Co masz na myśli? Przecież Sheila...

Kładzie mi palec na ustach.

– Nie chodzi o nią, tylko o ciebie, mój kochany. Skończyłeś z tym, prawda? Nie będzie powtórki. Nigdy więcej.

Czułość w jej głosie rozbraja moją złość. Łzy wytaczają się spod powiek. Znów jesteśmy blisko. Spoglądam w jej oczy i już nie czuję się tak, jakbyśmy patrzyli przez siebie. Biorę głęboki wdech.

– Tak, gołąbeczku. Nigdy więcej. Przyrzekam. – Święcie wierzę w swoje słowa.

Kiwa głową.

– W porządku. – Przytula mnie mocno i trwamy tak przez dłuższą chwilę, spleceni, szlochając z ulgi.

Dotykam jej policzka. Zachwycony przyglądam się swojej żonie. Uśmiech powoli rozjaśnia mi twarz.

– Muszę przyznać, że pięknie sprzedałaś im tę historię.

– No wiesz, kotku, sprzedawanie to mój żywioł.

WOLCOTT

– Albo posłuchajcie tego.

Mój partner znowu bryluje. Pół wydziału zebrało się przy jego biurku i pozwala się zabawiać opowieściami z pracy Silvestriego w nowojorskiej policji, z której przeniósł się przed kilkoma miesiącami.

– To działo się lata temu, na początku służby, kiedy pracowałem w Midtown South jako krawężnik. Byłem totalnie zielony. Kojarzycie taką sieć Ricky's? – Zbiorowe kręcenie głową. – Mają parę sklepów na Manhattanie. Sprzedają kosmetyki i kostiumy, są popularni zwłaszcza przed Halloween. No więc pewnego dnia latem, gorąco jak cholera, patrolujemy z partnerem ulicę i przechodzimy obok Ricky's. Okazuje się, że w środku jakaś lumpiara na PCP[2] próbuje zwędzić trochę towaru dla swojego chłopaka. Tak się jednak składa, że akurat wtedy sklep świętuje milionowego klienta. Kobieta podchodzi do kasy i nagle odzywa się syrena, zaczynają błyskać stroboskopy, z sufitu spada deszcz balonów i tak dalej. Kolesiowi, który przyszedł obrobić Ricky's, odbija, bo wydaje mu się, że uruchomił alarm. Chce się zmyć, ale w drzwiach wpada na ochroniarza. Obaj lądują na chodniku i ten naćpany oczywiście zaczyna świrować. Nie wiem, czy ktokolwiek z was miał do czynienia z człowiekiem po PCP, ale to tak, jakby stanął przed wami Hulk. Ja, mój partner i do tego jeszcze ochroniarz z trudem go obezwładniliśmy i wezwaliśmy wsparcie. Kurwa, gość się wił jak piskorz.

Wydział ryczy ze śmiechu. Silvestri pracuje u nas dopiero od kilku miesięcy, a już ich oczarował. Trzeba przyznać, że urodzony z niego gawędziarz. Poza tym lubi, kiedy coś się dzieje. Z początku obawiałem się, że na Long Island zanudzi się na śmierć. Ale potem dotarło do mnie, dlaczego tu trafił i czemu góra uznała za stosowne nas sparować.

– Drogie panie. – Wchodzi nieubawiony kapitan Evans. – Kiedy już przestaniecie plotkować przy kawusi, to może byście się zabrały za policyjną robotę. – Mija nas, patrząc na wszystkich i na nikogo.

Detektywi rozchodzą się do biurk. Milczę przez dłuższą chwilę, pozwalam Silvestriemu pławić się w blasku wydziałowej sławy.

– To podwójne zaginięcie – odzywam się w końcu. – Wreszcie coś ciekawego, nie?

– Co? – załapuje dopiero po chwili. – A, tak. Już zaczynało mnie nosić.

– Pora, żebyś się wdroył. Masz jakieś spostrzeżenia w związku z tą sprawą?

– Zastanawiałem się na tym. Uroczy gość z tego męża, nie sądzisz?

– Mark Anders? – Wzdrygam się na wspomnienie smrodliwego dymu z cygara, który unosił się, kiedy rozmawialiśmy z mężem Sashy. – Niezbyt troskliwy jak na małżonka. Przez to raczej mało podejrzany.

– Jak to?

– Kiedy go przepytawaliśmy, wydawał się autentycznie zaskoczony, że zgłoszono zaginięcie jego żony. Poza tym wspomniał, że często znikala. Nawet podał nam numery do jej siostry i matki. Nie sądzę, aby jakoś szczególnie interesował go los Sashy. U kogoś takiego zazdrość już dawno nie wchodzi w grę, o ile w ogóle się liczyła. Nie wygląda mi na człowieka zdolnego popełnić zbrodnię w afekcie. Był lekko rozdrażniony tym, że w tej chwili Sasha Anders może wydawać jego pieniądze, ale kiedy się odzywał, to raczej zrezygnowanym, nie zdenerwowanym tonem.

– Taaak – przyznaje mój partner. – Pewnie masz rację. Zaniepokoił się dopiero wtedy, kiedy powiedzieliśmy, że ostatni raz karty kredytowe jego żony były używane przed kilkoma tygodniami. Chyba że wciska nam kit.

– Podejrzewam, że tak właśnie jest. Pamiętasz, jak nagle dopadły go wyrzuty sumienia? Udawane jak cholera. Koniecznie chciał się zachować jak należy, ale robił to bez przekonania, na pół gwizdka.

– Może kiepski z niego aktor – zauważa Silvestri.

– Niewykluczone. Po prostu odniosłem wrażenie, jakby niewiele go to wszystko obchodziło.

– Poza tym jest majątny. W końcu pracuje w branży farmaceutycznej. Stać go na pokrycie wydatków żony w sklepie Givenchy.

– Patrzcie go, jaki obeznany w markach.

– Liznałem trochę kultury, zanim się przeniosłem na prowincję.

– Aha. No to przychodzi ci ktoś inny do głowy?

Silvestri zastanawia się przez chwilę.

– Moim zdaniem fakt, że Paula i Rebeccę Campbellów coś łączyło z obiema zaginionymi kobietami, jest niezwykłym zbiegiem okoliczności.

Przyznaję, że niewiele myślałem o Rebecce, za to postawa jej męża zaczęła budzić moje wątpliwości. Postanawiam odegrać rolę adwokata diabła.

– Wiesz, to małe miasto. Ludzie spotykają się w różnych miejscach. To samo można powiedzieć o pozostałych członkach klubu.

– A nie zastanawia cię, że jest podwładną męża Sashy Anders?

– Sprawiała wrażenie bardzo rzeczowej, kiedy z nią rozmawialiśmy. Była przejęta i chyba niczego nie udawała. Zwróciłem natomiast uwagę, jak się zirytowała, kiedy zeszło na licealny związek Paula i Sashy.

– Myślisz, że ta miłość nie wygasła?

– Nawet jeśli, to nie zdziwiłbym się, gdyby Paul okazał się typem latającym za spódniczkami.

– Kto wie, czy to nie zdecydowanie zbyt łagodnie powiedziane – komentuje w zadumie partner. – Paul kojarzy mi się z jednym gościem, którego znałem.

– Z kim mianowicie?

– Z moim ojczymem – odpowiada Silvestri. – Wstrętny chujek.

– Idę o zakład, że ta historia źle się kończy.

– Właśnie nie. Kończy się świetnie – wypala radośnie Silvestri. – Koleś uciekł z koleżanką z pracy, uwalniając od siebie mamę i mnie. A historia Paula i Rebekki? – pyta. – Czy według ciebie brzmiało to tak, jakby się po prostu zmówili?

– Nie, myślę, że wyszło całkiem naturalnie. Chodzi tylko o sposób, w jaki Paul wyrażał się o tej drugiej kobiecie i o tym, co z tego wynikło.

– Rzeczywiście. Miałem wrażenie, że Rebecca okazuje więcej skruchy od niego – przyznaje Silvestri. – Kurwa, dokoła sami królewicze z bajki, a ja nie jestem w stanie zapędzić porządnej kobiety do zagrody.

– „Zapędzić do zagrody”? Chyba powinieneś zmienić strategię, kowboju. – Lubię czasem utrzcć mu nosa.

– Pardon, jaśnie panie w białych rękawiczkach. Może nauczy mnie pan, jak się obchodzić z niewiastami. – Wybucha śmiechem. – No, ale ty już swoją

usidliłeś.

Kiwam głową. Widzę cień smutku w jego spojrzeniu. A więc jednak coś się kryje za tą fanfaronadą. Szkoda mi chłopca. Silvestri szybko odchrząkuje i poprawia się na krześle. Błysk zaciekawienia w oczach.

– Co ci chodzi po głowie?

– Sheila Maxwell.

– A konkretnie?

– Jej przypadek wydaje się jakby... dodatkiem do sprawy zaginięcia Sashy Anders. Niewiele o niej wiemy poza tym, że coś ją łączyło z Paulem Campbellem. Nawet uczestnicy zajęć aerobiku słabo ją kojarzą. Zupełnie jakby nikt nie zwracał na tę babkę uwagi.

– Może typ samotniczki – podsuwam. – Znalazłeś coś na temat jej męża?

– Właśnie szukam. I czekam na wykaz połączeń z jej numeru telefonu. Intryguje mnie ta kobieta. Jestem ciekaw, do czego się dogrzebiemy.

– Kop, kop – śmieję się. – Idę rozprostować kości.



Siadam na ławce przed komisariatem. Wdycham rześkie powietrze. Czuć, że wiosna już za zakrętem. Moja ulubiona pora roku i ulubiona faza śledztwa. Przyglądam się autom sunącym ulicą i wsłuchuję w śpiew kardynałów. Powoli się wyłączam, a wtedy elementy układanki nabierają wyrazistych kształtów w mojej głowie.

Oczywiście nie cieszę się z tego, że zagięły dwie kobiety, ale zgłębianie tajemnicy to mój żywioł. Nadaje ono sens temu, co robię, i sprawia, że czuję się potrzebny. Zima upłynęła spokojnie, miałem mnóstwo czasu na zastanawianie się, jak by to było, gdybym zajął się śledztwami na poziomie federalnym. Gdyby należało to do mojej codzienności. Ale cóż, życie układa się po swojemu.

Mój szósty zmysł jak zwykle wchodzi na wyższe obroty. Jeszcze nie podsunął niczego konkretnego, ale przecucie mnie nie opuszcza. Muszę po prostu posiedzieć z tym chwilę, a potem zdmuchnąć kurz i dobrze się przyjrzeć obrazowi, który się ukaże. Jeszcze nie wiem, jak to udowodnię, ale instynkt podpowiada mi, kto jest głównym podejrzanym: Paul Campbell.



Wracam do biurka, niosąc kawę i herbatę – tę drugą stawiam na podkładce obok komputera Silvestriego. Mój partner uważnie wpatruje się w ekran i zauważa mnie dopiero, kiedy cofam dłoń.

– Wolcott, wróciłeś.

– Tęskniłeś?

– Bardzo. Już miałem dzwonić na twoją komórkę.

– Co masz?

– Wykaz połączeń z numeru Sheili Maxwell.

– Tak?

– Tak – potwierdza z błyskiem w oku. – Myślę, że powinienes to zobaczyć.

REBECCA

Jest niedzielne późne popołudnie. Trzydzieści sześć godzin temu Paul wylądował w Miami.

Przysłał esemesy z potwierdzeniem, że dotarli z Wesem na miejsce zgodnie z harmonogramem i zameldowali się w hotelu. Dzwonię do niego, ale od razu zgłasza się poczta. Nie bardzo wiem, co miałabym powiedzieć, więc rozłączam się i piszę wiadomość z pytaniem o pogodę. Brak odpowiedzi.

Wyprowadzam Duffa na podwórze. Na smyczy. Furtka jest, co prawda, dobrze zamknięta, ale i tak mam wrażenie, że pies znów zniknie, jeśli puszczę go luzem. Patrzy na mnie zdezorientowany, rozgląda się. W końcu podnosi nogę i opróżnia pęcherz tam, gdzie stoimy. Zabieram go z powrotem do domu i zasuwam drzwi.

Jeśli chodzi o leki, to na razie – na krótko – jestem zabezpieczona. To, co zwędziłam w Lotus Pedal, wystarczy mi na kilka najbliższych dni (o ile wykażę się samokontrolą w dawkowaniu). Włączam muzykę i zabieram się do sprzątnięcia sterylnej kuchni. Chcę oczyścić umysł poprzez aktywność, ale okazuje się, że ściany dokoła poruszają się razem ze mną. Wyłączam muzykę, siadam w ciszy, nieruchomieję i staram się skupić na jednej myśli. Wystarczająco długo błądziłam po omacku. Krążą mi po głowie fragmenty dziennika Paula.

Wstaję i podchodzę do szafki. Chcę zaparzyć dzbanek kawy i nasączać się kofeiną przez kolejne dziesięć godzin albo dopóki nie dowiem się, co Paul zrobił z pieniędzmi. Otwieram puszkę, w której trzymamy ziarna, ale jest pusta. Wtedy przypominam sobie o karteczce od Paula z informacją, że kawa się skończyła; post-it wisi na lodówce tuż obok wizytówki detektywa. Rzucam przekleństwo pod adresem żółtego świstka i sięgam po biały kartonik z czarnym drukiem. Przesuwam drżącymi palcami po wypukłym emblemacie policji i literach składających się na „Wolcott”. To ten wyższy? Nie pamiętam. Głośno wypowiadam jego nazwisko, po czym wsuwam wizytówkę do

przegródki na karty kredytowe w swoim portfelu będącym jednocześnie etui na telefon – żeby się nie zgubiła.

W stanie, w jakim jestem, nie powinnam prowadzić, więc wyprawa po kawę nie wchodzi w grę. Znowu rozjeżdżają mi się myśli. Przysiadam, żeby wziąć się w garść. Przypominam sobie, że w walizce na kółkach ukryłam adderall, który zabrałam z pracy na wypadek, gdyby zabrakło mi motywacji i skupienia. Zasadniczo wprawiałam się już w rozważnym dawkowaniu oxy i xanaxu, ale zdarzyło się raz, może trzy, że wieczorem połknęłam odrobinę za dużo i potem rano musiałam wziąć coś, co da mi kopa na cały dzień.

Duff drepcze za mną do garderoby. Znajduję walizkę, sięgam do przedniej kieszeni na suwak, wydaję kosmetyczkę i wygrzebuję z niej buteleczkę leków. Skrytka numer siedemdziesiąt pięć, do której kochanemu mężowi nie przyszło do głowy zajrzeć.

W buteleczce jest dziesięć matowych, rdzawych kapsułek żelowych. Wytrząsam jedną na dłoń, biorę w palce, trzymam pionowo i ostrożnie przełamuję na pół, uważając, żeby nie wysypać maleńkich białych kuleczek. Starannie biorę pod język zawartość połówki kapsułki, po czym z powrotem łączę obie części w całość i zostawiam na potem.

Siadam na łóżku. Odruchowo spoglądam na fragment ściany tuż przy dolnym rogu ramy. Paul zaszpachlował to miejsce, pomalował, a potem celowo nieznacznie porysował podeszwą buta roboczego, żeby zamaskować rzucającą się w oczy nieskazitelnie czystą plamę. Nowa wykładzina wygląda dokładnie tak samo jak stara. Czuję, jak uwalnia się dopamina. Staram się odepchnąć od siebie natłok myśli o tym, co Paul i Sheila wyprawiali w naszym łóżku. Co jeszcze robił w naszym domu – i z kim? Kiedy wraca z pracy albo idzie pod prysznic, przeglądam jego kieszenie i torbę, szukając jakichkolwiek wskazówek.

Każdego dnia, który spędzam w domu, dowiaduję się czegoś nowego o swoim mężu. Grzebię w szufladach, obmacuję kieszenie kurtki i szperam w starych dokumentach. To wszystko, co prawda, nie przynosi żadnych wstrząsających rewelacji, ale w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, czy Paul ukrywa przede mną leki albo okruchy swojego drugiego życia, dokonuję całkiem ciekawych odkryć. Weźmy na przykład to, co znajduję, kiedy po powrocie z zajęć w Lotus Pedal postanawiam zajrzeć do jego szuflady ze skarpetkami i majtkami. Zwraca moją uwagę tym, że jest niedomknięta i lekko przekrzywiona – i że nie daje się dopchnąć do końca. Wyjmuję szufladę

i przenoszę na łóżko. Wygląda na to, że coś blokuje prowadnicę. Wkładam dłoń do komody, wydobywam tajemniczy przedmiot i kładę obok szuflady. Wtedy ta rzecz odzyskuje naturalny kształt i okazuje się stanikiem La Perla w rozmiarze 70C. Zielono-niebieska koronka i metaliczna nić układają się we wzór pawiego pióra. Drogi i oryginalny element garderoby. Z całą pewnością nie należy do mnie. Wygląda identycznie jak stanik, w którym raz widziałam Saszę w szatni klubu. Kiedy dociera do mnie, co to oznacza, z wściekłością podnoszę szufladę i już mam cisnąć nią o toaletkę, gdy nagle przenikliwy trzask telefonu stacjonarnego zakłóca mój wybuch furii. Przeszarżały przenośny aparat tkwi w swojej bazie jak smętny rekwizyt z planu filmowego, którego jedyną rozrywką są połączenia od telemarketerów. „Numer nieznany” – widnieje na wiekowym wyświetlaczu. Po drugim dzwonku niezdarnie łapię słuchawkę, żeby ją uciszyć, i przypadkowo naciskam zielony guzik. Odzywa się jakaś kobieta.

– Czy rozmawiam z panem Paulem Campbellem albo panią Rebeccą Campbell?

Odchrząkuję. Nie jestem pewna, czy mam wystarczająco dużo siły na interakcję ze światem zewnętrznym, ale moją uwagę zwraca urzędowy ton, z jakim kobieta wymieniła nasze dane; swoje robi również stan, w jaki się wprowadziłam, biorąc leki.

– Mówi Rebecca Campbell. O co chodzi? – Nawet nie próbuję ukryć lekceważenia i irytacji w głosie.

– Nazywam się Melanie Wilkes. Dzwonię z American Express z działu nadużyć finansowych. Chciałabym potwierdzić niedawne operacje dokonane za pomocą państwa karty.

Dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, o jakiej karcie mowa. Wysuwam szufladę, gdzie przechowujemy przeznaczony na czarną godzinę plastik z logo American Express. Zniknął, podobnie jak wiele innych rzeczy z naszego domu i życia. Widocznie Paul zabrał kartę ze sobą i użył jej poza granicami stanu, co zaalarmowało pracowników American Express. Jednak nie jesteś taki sprytny, mężu.

Hm, to może być ciekawe. Niewykluczone, że wgląd w poczynania Paula na Florydzie okaże się tym, czego potrzebuję, by zacząć składać wszystko w całość.

Dziwne, że użył karty. Zdaje się, że obciąża te rachunki, o których nie chce, żebym się dowiedziała. Pewnie uznał, że zdążyłam zapomnieć o karcie –

i miał rację. Ale najwyraźniej nie przewidział interwencji biurokratycznej maszyny.

– Jakich operacji?

– Zanim przejdziemy dalej, muszę potwierdzić pani tożsamość.

Podaję numer ubezpieczenia, nazwisko panińskie matki i czterocyfrowy kod dostępu. Czuję, że krew szybciej krąży mi w żyłach. Przez głowę przetacza mi się setka scenariuszy. Myśli po adderallu przyjmują niemal fizyczną formę i krążą zaułkami mózgu.

– Pragnę zaznaczyć, że rozmowa może być nagrywana. Dzwonię w imieniu działu nadużyć finansowych American Express, ponieważ zarejestrowaliśmy podejrzaną aktywność na rachunku pani karty o numerze kończącym się na 0008.

„Podejrzana aktywność” w odniesieniu do poczynań Paula to, kurwa, niedopowiedzenie roku.

Staram się nie dopuścić narastającego napięcia i ciekawości do głosu. Uspokajam rozdygotane serce, kładąc dłoń na piersi. Wolałabym nie równoważyć adderallu xanaxem – bo szkoda pigułki – dopijam więc tylko to, co zostało w szklance, i przestaję chodzić tam i z powrotem.

– A konkretnie, o jaką podejrzaną aktywność chodzi?

– Karta nie była używana od dziewięciu miesięcy. W przypadku wznowienia aktywności po tak długim okresie monitorujemy transakcje, aby wykluczyć prawdopodobieństwo kradzieży. Zwłaszcza jeśli operacje są częste i opiewają na wysokie kwoty tak jak w tym przypadku.

– Częste?

– Owszem, mowa o dziesięciu operacjach w niespełna pięć godzin, na łączną kwotę piętnastu tysięcy dolarów. Staraliśmy się z państwem skontaktować już wczoraj, kiedy dokonywano tych operacji, ale niestety się nie udało.

Dopiero teraz zauważam migające czerwone światełko na automatycznej sekretarce, na którą od dawna nie zwracam uwagi. Kto wie, jakie wiadomości próbuje mi bezskutecznie zasygnalizować.

– Tymczasowo zamroziliśmy rachunek do uzyskania potwierdzenia operacji od właściciela karty – informuje kobieta mechanicznym głosem.

– A czy udało się państwu dodzwonić do mojego męża?

– Niestety, proszę pani, dysponujemy jedynie numerem linii stacjonarnej...

– Nie szkodzi. Tak się tylko zastanawiałam. – Dobrze się składa. Mamy tę kartę od tak dawna, że jest pewnie starsza od naszych pierwszych komórek, a żadne z nas nigdy nie miało głowy do aktualizowania tego rodzaju informacji. Paul zatem nie wie, że American Express próbuje się z nim skontaktować.

– Wymienię teraz kilka ostatnich transakcji, a panią poproszę o ich potwierdzenie.

– Oczywiście. Słucham.

– Wczoraj wieczorem, obciążenie w miejscu o nazwie Illusions. Wysokość kwoty: pięć tysięcy dolarów.

Brzmi jak nazwa klubu ze striptizem. Czuję ukłucie w żołądku, ale w sumie... przecież mogło być gorzej. Widać Wes i Paul nie marnowali czasu po lądowaniu w Miami. Pięć tysięcy? Hm, to sporo tańców.

– Nie wykluczam, że transakcji mógł dokonać mój mąż – informuję, okraszając słowa wymuszonym śmiechem, jakbym chciała powiedzieć: „Wie pani, jacy są mężczyźni”. Podchodzę do kanapy, gdzie leży laptop.

– Kolejna transakcja dziś rano. Stekownia Royal Palm. Kwota: pięćset dolarów.

Najpierw brązowe od samoopalacza dziwki, potem stek na bogato? Wizerunek Paula jako dobrego, oddanego męża coraz gwałtowniej się pogarsza. Coraz łatwiej mi tego gościa nienawidzić.

– Wygląda na to, że mój mąż postanowił zaszaleć.

Włączam laptopa. Niestety, bateria całkiem padła. Podpinam zasilacz. Będę musiała skorzystać z internetu na telefonie.

– Przyznam, nie jestem do końca pewna, ale podejrzewam, że transakcji mógł dokonać mój mąż. Nie ma go tu w tej chwili. Wysłałam do niego esemesa z prośbą o wyjaśnienie.

Wpisuję „Illusions Miami” w Google. Pojawia się jednogwiazdkowa miażdżąca recenzja jakiejś hiszpańskiej restauracji. Klikam – okazuje się, że zakończyła działalność w 2015 roku.

– Dokonano jeszcze zakupu w sklepie Wined-Down na kwotę dwustu dolarów, a także zapłacono pięćset dolarów za pobyt w day spa Synchronicity.

Och, jak miło usłyszeć, że kiedy ja siedzę w domu, odchodząc od zmysłów z powodu niezliczonych kataklizmów, które nas dotykają, Paul sobie dogadza. Muszę szybko zakończyć tę rozmowę i wszcząć prywatne śledztwo.

– Potwierdzam, że to transakcje męża. Właśnie mi odpisał.

– Dziękuję, pani Campbell. Rozumiem zatem, że usuwamy blokadę?

– Tak, poproszę. – Nie chcę, żeby odrzucenie karty przez system zaalarmowało Paula. Zaczęłyby coś podejrzewać.

– Przepraszamy za wszelkie niedogodności.

– Niedogodności?

– Tak, dziś wcześniej rano próbowano skorzystać z karty po tym, jak założyliśmy blokadę.

– Aha. A gdzie, jeśli wolno wiedzieć? – Wyobrażam sobie: karaoke w środku nocy? Kilka butelek alkoholu w szemranym klubie w Miami? W całym tym szale wydatków znać rękę Wesa.

– W pensjonacie Harbor Rose. Próba dokonania transakcji na czterysta siedemdziesiąt dwa dolary.

Ta informacja wprawia mnie w osłupienie.

– Ach, no przecież. Postanowił zmienić plany – rzucam i się rozłączam.

Paul nie poleciał do Miami. Illusions to nazwa jubilera w Cold Spring Harbor. Nie muszę sprawdzać w internecie, bo doskonale znam ten sklep.

Serce o mało nie wyskoczy mi z piersi. Szybko wpisuję w Google „Royal Palm, Long Island”. Wyszukiwarka pokazuje tysiąc dwadzieścia trzy obrazy. Klikam jedno z licznych zdjęć zachwycającej czterogwiazdkowej restauracji, „doskonałej na romantyczne kolacje”. Znajduje się niecały kilometr od Illusions i dosłownie kilka kroków od Harbor Rose.

Harbor Rose – zatrzymaliśmy się w tym pensjonacie na drugą noc po ślubie i potem przez wiele lat, aż do upadku firmy Paula, wracaliśmy tam na rocznicę.

Wygląda na to, że Paul wybrał się na romantyczny weekend beze mnie.

Wychodzę na dwór. Liczę na to, że świeże powietrze powstrzyma ból głowy, którego pulsujące zaczątki czuję między skroniami. Późnopołudniowe słońce maluje różowo-żółty pejzaż na tle niebieskiego sklepienia. Pomyśleć, że przez cały ten czas Paul znajdował się praktycznie tuż-tuż.

Wibruje telefon, który trzymam w dłoni. Ściskam aparat tak mocno, że bieleją mi kostki. Na ekranie pojawia się imię mojego męża.

Cześć, kochanie.

Mamy wspaniałą pogodę.

Że też musiałem wyjechać tak daleko.

Oglądam zachwycający zachód słońca i żałuję, że cię tu nie ma.

SILVESTRI

Nie potrafię mu nie dogryzać.

Kiedy widzę, jak znowu zjawia się w pracy w jednym z tych swoich trzyczęściowych garniturów, kwituję jego wejście, teatralnie przewracając oczami.

– Ty i te twoje kamizelki. Wyglądasz jak Balki z *Larry i Balki*[3].

– Jak to się mówi? – odpowiada Wolcott. – Ubieraj się stosownie do stanowiska, do którego aspirujesz, a nie do tego, które zajmujesz.

– Jeśli chcesz zostać pasterzem kóz na wyspie Mypos, to jesteś na właściwej drodze.

– Celuję w takie stanowisko, na jakim będę mógł sobie dobrać lepszego partnera.

– Och, z kim się będziesz przekomarzał, jeśli nie ze mną?

– Z nikim... i o to chodzi.

– No tak – ucinam. Wskazuję kartonowy kubek na jego biurku. – Kawa jeszcze gorąca.

– Dzięki. Rano spodziewamy się Campbella, prawda? Prosto z Florydy. – Wolcott sprawdza godzinę i wtedy przypomina mi się, że jest bodaj jedyną znaną mi osobą przed czterdziestką, która jeszcze nosi zegarek. Choć na dobrą sprawę nam obu niewiele już brakuje do czterdziestki.

– Tak, powinien niedługo przyjść. Gotów do akcji?

Wzrusza ramionami.

– Pewnie. Tylko wzmocnię się kawą – sięga po kubek – a potem się z nim zabawimy.



Czekałem na to cały ranek.

Kiedy mój partner wychodzi po Campbella, ja instaluję się w pokoju przesłuchań. Niemal zacieram ręce z niecierpliwości. Minęło sporo czasu, od kiedy ostatni raz miałem okazję maglować podejrzanego. Nigdy też nie pracowałem z takim specem od przesłuchań, jakim podobno jest Wolcott. Czuję, że będzie się działo.

Wolcott ponownie nas przedstawia, po czym prosi Paula Campbella, aby zajął miejsce przy stole naprzeciwko mnie. Campbell jest ubrany w dżinsy i termoaktywną koszulkę z długim rękawem. Mój partner pokrzepiająco kładzie dłoń na ramieniu podejrzanego, obchodzi stół, rozpina marynarkę i siada obok mnie. Dopatruję się pewnej teatralności w jego ruchach. Zaczynam rozumieć, po co mu kamizelka.

– Panie Campbell – zaczyna – dziękujemy, że znalazł pan czas, by nas odwiedzić. Jak się udał pobyt na Florydzie?

– Och, doskonale. Świetnie. – Paul wydaje się rozkojarzony.

– Poleciał pan na konferencję pośredników w handlu nieruchomościami, zgadza się? – pytam. – Gdzie się organizuje takie imprezy?

– E... – Waha się przez chwilę, po czym podnosi wzrok. – Muszę wam coś wyznać, panowie.

– U nas jak u księdza – zapewniam. – Zamieniamy się w słuch.

– Nie poleciałem do Miami. Mam w mieście budowę, którą musiałem się zająć, ale nie chciałem, żeby Rebecca się dowiedziała.

– Nie rozumiem – wtrącam. – Wydawało mi się, że pracuje pan w handlu nieruchomościami.

– Zanim zacząłem sprzedawać domy, budowałem je – wyjaśnia Paul. – Przez wiele lat prowadziłem firmę budowlaną. Dopiekł mi kryzys w dwa tysiące ósmym i musiałem zmienić zajęcie.

– Hm. Ale nadal zajmuje się pan budowlanką w ramach działalności dodatkowej? – dopytuje Wolcott.

– Od czasu do czasu. Realizuję taki projekt na boku. Na razie trzymam go w tajemnicy przed Rebeccą, bo zamierzam jej zrobić niespodziankę.

– Ciekawe. Gdzieś w okolicy? – pytam.

– Kawalek stąd na zachód. Mam działkę, kupiłem ją kilka lat temu. Dla zabezpieczenia na starość.

– Brzmi sensownie – zauważa Wolcott. – Wykorzystać koniunkturę, zbudować, sprzedać, zarobić.

– Właśnie taki mam plan – przyznaje Paul.

– Przedsiębiorczy z pana człowiek – dodaję.

Nasz podejrzany uśmiecha się blado, spogląda to na mnie, to na mojego partnera. Cisza, która zaległa przy stole, trwa odrobinę zbyt długo. Campbell poprawia się na krześle.

– Panie Campbell – odzywa się Wolcott. – Zaprosiliśmy pana tutaj, ponieważ liczymy, że rzuci pan trochę światła na sprawę, która coraz bardziej zbija nas z tropu.

– Oczywiście – zapewnia Paul. – Jak mogę pomóc?

– No więc chętnie usłyszelibyśmy od pana coś więcej na temat Sheili Maxwell. Nie jest, niestety, szeroko znana w mieście. Niewiele osób zapamiętało ją również w klubie, gdzie ćwiczy pańska żona. Czy była samotniczką?

Campbell się zastanawia.

– Nie poznałem jej znowu aż tak dobrze. Nie łączyły nas jakoś wyjątkowo zażyłe relacje, dlatego trudno mi powiedzieć.

Nachylam się nad stołem. Paul skupia na mnie uwagę.

– Wcześniej użył pan określenia „więź” i przyznał, że Sheila Maxwell zwierzyła się panu z niewierności męża. Pytamy o to, ponieważ takie szczegóły pozwolą nam lepiej zrozumieć sytuację. Obawiam się, że w tej chwili nie za bardzo mamy się na czym oprzeć. Czy zapamiętał pan coś szczególnego na temat jej męża?

Jego wzrok wędruje najpierw do góry, potem w lewo.

– Wiem, że często wyjeżdżał w interesach. Pewnie traktował to jako przykrywkę dla romansu z koleżanką z pracy. Z opowieści Sheili wynikało, że zachowywał się jak palant.

– Właśnie – wtrąca Wolcott. – „Z opowieści Sheili”. Taka była jej wersja. Czy w dowolnym momencie miał pan powody przypuszczać, że pani Maxwell nie jest z panem szczerą?

Myśl, że ktoś mógłby go okłamywać, wyraźnie wytrąca Campbella z równowagi.

– Wydawało mi się trochę dziwne, że jej męża nigdy nie ma w domu, ale zakładałem, że Sheila mówi prawdę. Po cóż innego miałyby okazywać i wyładowywać frustrację? Panowie, o co tu chodzi?

– Właśnie próbujemy to ustalić... – Mój partner kładzie na stole skserowany artykuł z pierwszej strony jednej z gazet.

Przyglądam się Paulowi, jak czyta wycinek, nieświadomie poruszając ustami. Kiedy dociera do fragmentu, który powinien go zaskoczyć, nagle zamiera. Najpierw otwiera szeroko oczy, potem ściąga brwi. Zerka na datę pod tekstem, po czym spogląda na nas. Jest w niezłym szoku.

– Ale ona...

– Sheila Maxwell miała męża. Daniela Gravesa. Po ślubie pozostała przy panińskim nazwisku – wyjaśnia Wolcott. – Małżonkowie zamieszkali w San Francisco. Kilka lat temu Daniel zginął podczas nurkowania.

– W czasie miesiąca miodowego – dopowiadam.

– Zdaję sobie sprawę – ciągnie Wolcott – że to wstrząsająca wiadomość. Wiem też, że najważniejsze jest dla pana bezpieczeństwo rodziny, dlatego zależy nam, żeby podzielił się pan wszelkimi informacjami.

Siedzi oniemiały i przytakuje.

– Panie Campbell – podejmuje po chwili Wolcott – przeczytam teraz pańską korespondencję esemesową z Sheilą Maxwell sprzed dwóch miesięcy. Proszę odpowiadać szczerze. Jeśli Sheila Maxwell żyje, panu, pańskiej żonie i psu może grozić niebezpieczeństwo.

Paul patrzy zaskoczony na mojego partnera. Nie przyszło mu do głowy, że psu też może się coś stać.

– Duffowi?

– Musimy się liczyć z każdą ewentualnością – dodaję. – Zaprzyjaźniła się z pańskim psem. Pewne okoliczności wskazują na to, że pani Maxwell może być nieźrównoważona.

– W porządku. – Paul z roztargnieniem kiwa głową. – Jasne.

Wolcott wyjmuje spod stołu stos wydruków i kładzie na blacie. Zaczyna przerzucać kartki, przy okazji sporządzając szybkie zapiski. Wreszcie zatrzymuje się nad jedną z nich.

– Mam tu fragment, który chcielibyśmy wyjaśnić. – Wskazuje palcem tekst mniej więcej w połowie strony. – W tym miejscu pojawia się dwuznaczny ton.

– Przesuwa palec w dół. – O, tutaj. Zaprasza ją pan do swojego domu, używając sugestywnych sformułowań.

Campbell poprawia się na krześle i zaczyna się drapać po brodzie.

– Słuchajcie, panowie. Przyznam się do czegoś.

– Tak będzie najlepiej – zauważam.

– Powiedzmy, że moja znajomość z Sheilą niekoniecznie ograniczała się do sfery emocjonalnej.

Obaj z Wolcottom kiwamy głowami.

– Rozumiemy – mówię. – Przeżywał pan trudny okres.

– Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem – zaznacza Paul.

– Była piękną kobietą – stwierdzam. – Obie były.

Patrzy na mnie zdeorientowany.

– Proszę wybaczyć, miałem na myśli Sashę Anders – wyjaśniam. Słyszając jej nazwisko, Paul nieznacznie prostuje plecy. – Pracujemy równolegle nad zagadkami zaginięcia dwóch kobiet i czasami myślimy o nich jak o jednej sprawie.

– No tak. Sasha była atrakcyjna – przyznaje Campbell. – Ale już od dawna nie o to między nami chodziło. Przestała być w moim typie.

– O, naprawdę? – dziwi się Wolcott. – Wydawało mi się, że były do siebie podobne. Przynajmniej fizycznie.

– Chyba rzeczywiście – przyznaje Paul. – Tyle że Sa-sha jest... nie wiem, jak to ująć, nudna.

– Jasne – mruczy pod nosem Wolcott i ponownie zabiera się do przerzucania stron. – Mamy tu trochę zdjęć gruchających gołąbków. Zakładam, że to pan – rzuca, kiedy dochodzi do ujęć krocza i fotografii pleców nagiego mężczyzny. Nagle przerywa przeglądanie wydruków i skupia wzrok na Campbellu. – Jest też pewien esemes, który szczególnie budzi moją ciekawość. – Sięga po kartkę z wierzchu stosu i kładzie ją przed przesłuchiwanym. – Mógłby pan przeczytać?

Campbell spogląda na kartkę i zaczyna się wahać. Podnosi głowę, zerka najpierw na mojego partnera, potem na mnie i w końcu odczytuje wyróżnione zakreślaczem słowa:

– „Zajebię cię”.

Wolcott z rozkoszą robi długi, niespieszny wdech i prostuje ramiona.

– Rozumie pan, panie Campbell, dlaczego domagamy się tutaj wyjaśnienia?

Niemal widzę, jak obracają się trybiki w głowie Paula.

– Panowie, doskonale zdaję sobie sprawę, jak to wygląda. Ale musicie pamiętać, że byłem wykończony całą sytuacją. Ta kobieta prześladowała mnie i moją żonę, śledziła nas, co zresztą widać na zdjęciach. Było dla mnie jasne, że jest stuknięta, ale nie wiedziałem, co robić. Nic do niej nie docierało, żadne logiczne argumenty, dlatego uznałem, że może się odczepi, jeśli jej pogrozę. Przyznaję, podjąłem złą decyzję. Ale to z desperacji. Nie zamierzałem jej „zajebać”. Po prostu zareagowałem pod wpływem impulsu, żeby raz na zawsze pozbyć się jej z naszego życia.

– Mówi pan „raz na zawsze” – podchwytuje Wolcott – ale przecież nie mógł pan wtedy wiedzieć, że rzeczywiście ma po raz ostatni do czynienia z panią Maxwell, prawda?

Czuję się tak, jakbym obserwował chirurga przy pracy.

Jestem pod wrażeniem tego, jak szybko Campbell dochodzi do siebie.

– Mówię to z perspektywy czasu. Ciągle odnosiłem wrażenie, że wystarczy chwila, a zrobi coś złego. Bałem się o siebie i żonę. To było naprawdę denerwujące.

– Wyobrażam sobie – przyznaje Wolcott. – Dla jasności: po tej wymianie esemesów więcej się pan z Sheilą nie kontaktował, zgadza się?

Campbell spogląda najpierw w górę, potem w prawo, na koniec znów na swojego partnera. Z jego ust padnie kłamstwo.

– Tak, później już nie miałem z nią do czynienia.

Wolcott opiera się prawym łokciem o blat i zaczyna się głaskać po brodzie. Ani na chwilę nie odrywa wzroku od Campbella, a Paul ze wszystkich sił stara się nie mrugać. Żałuję, że nie przyniosłem popcornu.

– No dobrze, panie Campbell – odzywa się mój partner tonem, od którego schodzi całe napięcie. Kładzie dłonie na krawędzi blatu, odsuwa się z krzesłem od stołu i wstaje. Idę w jego ślady. To samo nasz podejrzany. Wolcott zapina marynarkę, obchodzi stół, otacza Campbella ramieniem i łagodnie prowadzi do wyjścia. – Bardzo dziękujemy za przybycie. Będziemy się z panem kontaktować, jeśli dowiemy się czegoś nowego. Liczymy, że

odezwie się pan do nas, jeśli zobaczy albo usłyszy coś, co mogłoby nas zainteresować. – Przytrzymuje drzwi Camp-bellowi, a ten wyraźnie nie może się doczekać, kiedy opuści komisariat.

– Oczywiście – mamrocze Paul. – Dziękuję. – Unika naszego wzroku.

Wychodzimy na korytarz i odprowadzamy Campbella spojrzeniem. Prędko znika za rogiem. Kiedy drzwi same zamykają się za naszymi plecami, mój partner odwraca się do mnie z uśmiechem zadowolenia. Kiwa głową.

– Mamy go – mówię.

– Owszem.

PAUL

„Podejrzane utonięcie doświadczonego nurka w trakcie miesiąca miodowego”.

Nagłówek artykułu miga w mojej głowie jak zepsuty neon. Ja pierdołę, wiedziałem! Od początku mnie okłamywała. Była jeszcze bardziej stuknięta, niż sądziłem. Utopiła biednego sukinsyna. A potem twierdziła, że on nadal żyje. Cztery lata. Matko. Dlaczego siebie nie posłuchałem? Przecież czułem, że coś jest nie tak. Dureń ze mnie.

Wychodzę z komisariatu i idę na parking. Mrużę oczy, bo oślepia mnie jasne wiosenne słońce. Docieram do swojego jeepa. Kiedy kładę dłoń na klamce, zalewa mnie fala mdłości. Żołądek podjeżdża do gardła. Tamtej nocy Sheila nie przyszła po to, żeby nas nastraszyć. Chciała nas sprzątnąć. Już raz zabiła człowieka. I była gotowa to powtórzyć.

Z trudem biorę się w garść, otwieram drzwi i zapalam silnik. Pocę się jak mysz. Ledwo jestem w stanie utrzymać kierownicę, ale muszę stąd odjechać, znaleźć się jak najdalej od tego pieprzonego miejsca. Kto wie, czy tych dwóch, pozał się Boże, detektywów nie obserwuje mnie przez okno. Spokojnie. Oddychaj. Oddychaj.

Włączam się do ruchu, przejeżdżam z kilometr, po czym zatrzymuję się na poboczu, wyskakuję z samochodu, nie gasząc silnika, i biegnę między rosnące wzdłuż drogi drzewa. Wyrzucam z siebie całą zawartość żołądka. Usta wypełnia mi gorzyc częściowo przetrawionej kawy, a posmak żółci piecze w gardło i nozdrza.

Widzę łatę przebarwionej trawy na polance przed drzewami – i nagle znów tam jestem, kopię jak szalony, walczę ze zmarzniętą ziemią, ścigam się ze świtem, nadwerężam mięśnie. Ciągnę jej przerażająco bezwładne ciało do płytkiego grobu. Kiedy nogą popycham brezentową belę do dołu, ta się rozwija. Wypada z niej Sheila, ląduje na plecach i wpatruje się we mnie. „Powinieneś być na moim miejscu”, mówi szeptem.

Przenikliwy dźwięk klaksonu ciężarówki – wracam do terażniejszości. Opieram dłonie na kolanach i dyszę, usiłując złapać oddech. Weź się w garść. Powoli wracam do auta i siadam za kierownicą. Czuję pulsowanie w głowie i odnoszę wrażenie, że w miejscu mojego żołądka pojawiła się dziura. Wyłączam silnik; nie dam rady teraz prowadzić.

Duszę się. Otwieram drzwi i niemal wypadam na zewnątrz. Opieram się o maskę jeepa. Ciepła stal pod palcami dodaje mi otuchy. Chowam głowę w ramiona, pochylam ją do ziemi i wydaję z siebie rozdzierający płuca krzyk.



Dwie ostatnie noce były identyczne. Wymykałem się i jechałem nad zatokę Smithtown. Musiałem wykopać ciało, bo popełniłem straszny błąd. Parkowałem tuż przy grobie i wyjmowałem narzędzia. Ziemia była miękka, więc wystarczył szpadel. Ostro zabierałem się do kopania, ale miałem wrażenie, że w ogóle nie posuwam się do przodu. Walczyłem ze zmęczeniem. W końcu natrafiłem na brezent. Usuwałem ziemię z wierzchu zwoju i wyciągałem go z dołu. Kiedy odwijiałem plandekę, moim oczom ukazywało się utkwione we mnie martwe spojrzenie Rebekki.

Obie noce budziłem się zlany zimnym potem i z ulgą stwierdzałem, że nie ma jej przy mnie. Moja droga żona myślała, że poleciałem do Miami, podczas gdy tak naprawdę wynająłem pokój w motelu całkiem blisko domu.



Czuję pieczenie w płucach. Ochryplęm od wrzasku. Głowa pęka mi z bólu. Muszę wrócić do Cold Spring Harbor dopilnować chłopaków. Odklejam spocone dłonie od maski auta i znów siadam za kierownicą. Robię głęboki wydech, zapalam silnik.

Kiedy włączam się do ruchu, mija mnie ford crown victoria. Doganiam go i zaczynam wyprzedzać, kątem oka sprawdzając, kto nim jedzie. Nie Wolcott i Silvestri. Tych dwóch błaznów zaczyna mnie drażnić. Często wracam do nich myślami, choć tak naprawdę nic na mnie nie mają. Brak im jakiegokolwiek dowodu na to, że w ostatnim czasie odwiedzałem działkę nad zatoką Smithtown, a dzięki Javierowi i jego ekipie w piwnicy w Cold Spring Harbor jest teraz tyle DNA, że policyjni technicy nie będą wiedzieli, od czego zacząć.



– Ręce do góry! Służba Imigracyjna!

– ¡*Cabrón!* – Chłopaki reagują błyskawicznie. – ¡*Chinga tu madre!*

– W chuja z wami lecę – odpowiadam ze śmiechem. – Javier, możesz zarządzić przerwę na lunch, jeśli macie ochotę.

– Dzięki, *pendejo*.

Javier zbiera chłopaków, a ja ogarniam wzrokiem szkielet domu, który wznosimy. Legary ładnie leżą. Wybraliśmy wiśniowe drewno na podłogi. Ekipa nieźle się dziś spręza. Miałem szczęście, że udało mi się ją skrzyknąć w tak krótkim czasie. Robotnicy, którzy dbają o szczegóły, to prawdziwy skarb. Poza tym akurat ci są gotowi zachrzaniać nawet w weekendy, a ich nie do końca uregulowana sytuacja, jeśli chodzi o prawo pobytu w kraju, daje mi pewne pole do negocjacji.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak będzie wyglądał gotowy budynek. Widzę sosnowe belki i sklepione sufity. Widzę kominek i czuję zapach drewna. Przesuwam dłoń po granitowym blacie. Wdycham woń świeżej farby. To będzie piękny dom. Inny niż ten, który wyobrażaliśmy sobie z Rebeccą, kiedy lata temu zaczynaliśmy rozmawiać o wymarzonym gniazdku – większy, bardziej elegancki. Wszystko dzięki prowizji z transakcji w Southampton. Dom będzie inny również dlatego, że ludzie, którzy w nim zamieszkają, są już dziś innymi ludźmi. Zmiana planów. Nowy początek. Rebecca nadal nic nie podejrzewa.

– Javier, muszę zaraz jechać, mam dziś dzień otwarty w nieruchomościach. Dacie radę sami?

– Pewnie. Zadowolony z nas?

– Jasne, chłopie. Oby tak dalej. Zamelduję się rano odebrać dostawę.

– A co przyjeżdża?

– Belki sosnowe.

– Dobra, szefie.

Wpadam na siłownię, żeby wziąć prysznic i przygotować się do pracy. Kiedy otwieram swoją szafkę, atakuje mnie wściekły odór, od którego zbiera mi się na wymioty, zwłaszcza że nadal mam podrażniony żołądek. Nie przypuszczałem, że ciuchy robocze po weekendzie tak szybko zaczną śmierdzieć. Kurwa. Któregoś dnia w tym tygodniu, kiedy Rebecca będzie

w pracy, podskoczę do domu i zrobię pranie. Nie chcę, żeby się zorientowała, co szykuję.

REBECCA

Paul wrócił z podróży, ale napisał mi w wiadomości, że prosto z lotniska musi pojechać do pracy. I bardzo dobrze, bo dziś pierwszy poniedziałek od dwudziestu lat, kiedy nie mam co ze sobą zrobić. Jestem bezrobotna. Nie przyznałam się do tego Paulowi, ponieważ arsenał tajemnic, które w sobie noszę, daje mi poczucie bezpieczeństwa i równowagi. Sięgam po telefon. Sama nie wiem, który raz przeglądam zdjęcia stron z dziennika Paula.

Ślady się pogłębiają, im usilniej staram się je zacierać. Przeżywam nawracający koszmar: idę boso po śniegu i próbuję dogonić rodziców, ale ktoś mnie śledzi. Bez przerwy odwracam się, żeby zatrzeć za sobą ślady, lecz im energiczniej zasypuję je śniegiem, tym stają się głębsze. Im szybciej idę, tym bardziej rodzice się oddalają. A ten, kto mnie śledzi, jest coraz bliżej.

To zaskakujące, że pisze o swoich rodzicach. Od dawna o nich nie wspominał – od czasu, kiedy jeszcze ze sobą rozmawialiśmy – jeśli nie liczyć rzucanych mimochodem komentarzy. Przyjechał. Parkuje na podjeździe. Jest wpół do szóstej. Nie pamiętam, kiedy ostatnio oboje byliśmy o tej porze w domu. Chowam telefon i idę do kuchni, gdzie zainscenizowałam wszystko tak, jakbym niedawno wróciła z pracy.

Z przenośnego głośnika sączy się Chet Baker. Na blacie leży otwarta cegła Stephena Kinga, a obok niej stoi opróżniony do połowy kieliszek merlota ze śladem mojej szminki. Wyjmuję tabletkę oxy z pudełka po cukierkach, które trzymam w torebce, i połykam ją bez popitki. Sprawdzam świeży makijaż i niedawno ułożone włosy, przeglądając się w szybie przesuwanych drzwi. Wyglądam swoją ulubioną sukienkę do pracy, tę z metką Alexandra Wanga, ale niezbyt dokładnie, żeby wyglądała na lekko wymiętą po całym dniu.

Kiedy Paul wchodzi do domu, moje serce reaguje niezależnie od mózgu. Jest zmęczony – przystojny jak zawsze. Nie wiem, czy to sprawka leków, zdenerwowania czy jakiejś zakodowanej we mnie radości na jego widok, ale przechodzi mnie silny dreszcz podniecenia. Dawniej to była moja ulubiona

pora dnia. Wracaliśmy czym prędzej do domu, bo tak bardzo nie mogliśmy się doczekać, kiedy się znów zobaczymy. Drażni mnie wspomnienie tamtego uczucia.

Kiedy z uśmiechem przestępuje próg, dostrzegam w jego oczach znajomą iskrę. Wcześniej błędnie odczytywałam ten błysk, ale teraz już wiem, co oznacza: zauroczenie. Pasję. Nienasylenie. Znam to spojrzenie z naszych początków. Kojarzę je też z okresu, kiedy – jak się później dowiedziałam – Paul posuwał Sheilę. Sprawia mi ono ból, ale świadomość, że tym razem nie jestem trzy kroki za mężem, daje mi przynajmniej pewną satysfakcję.

Jest naprawdę dobrym aktorem, emocje wypisane na jego twarzy niemal mnie przekonują. Czuję osobliwą tęsknotę za błogą niewiedzą. Znacznie przyjemniej się tu wtedy żyło. Duff biegnie do niego rozemocjonowany. Staram się wykrzesać jak najwięcej entuzjazmu, co przychodzi mi zaskakująco łatwo – może dlatego, że po trosze naprawdę cieszę się, że go widzę. Tłumaczę to sobie tym, że prawie od trzech dni nie wychodzę z domu i łaknę kontaktu z drugim człowiekiem.

– Cześć, śliczna. Jak dobrze wrócić na swoje śmieci. Tęskniłem za tobą. – Trzyma torbę z laptopem i tulipany.

Patrzę na kwiaty i przypominam sobie wszystkie, jakie kiedykolwiek od niego dostałam. Ile z nich było w rzeczywistości namiastką przeprosin, których Paul nie miał odwagi wyartykułować?

Jest ubrany w garnitur, którego nie kojarzę, i nie ma opalenizny. Powstrzymuję się, żeby nie skomentować głośno obu tych rzeczy. Podchodzę do niego, bo mam wrażenie, że jeśli będę tak stała jak kołek, domyśli się, że coś nie gra. Wręcza mi bukiet, na co reaguję wymuszonym uśmiechem.

– Piękne – mówię, choć mam ochotę je zdeptać. – Cześć. – Pozwalam się objąć. – Jak podróż? – Ciekawe, czy ściska mnie tak mocno po to, żeby ukryć swoje napięcie w reakcji na pytanie.

Kładzie mi dłoń na plecach i prowadzi mnie na kanapę. Wolę nie myśleć o tym, kogo i gdzie dotykał. Siadamy obok siebie. Pociera oczy.

– Ciężki dzień? – Ściskam go za kolano. – Nieźle wyglądasz. Wystroiłeś się dla stewardes? – rzucam żartobliwym tonem.

– Mam zapasowy garnitur w biurze. Przydaje się w takich sytuacjach. Po wylądowaniu odebraliśmy z Wesem wiadomość, że ktoś zamierza nas ubiec w zakupie atrakcyjnej nieruchomości. Wes znalazł ją w zeszłym tygodniu. –

Nie patrzy na mnie, gapi się na Duffa, który trzyma głowę na jego drugim kolanie.

Łatwy wybieg, żeby nie musiał kłamać mi w żywe oczy. Jedną dłonią drapie psa za uchem, drugą kładzie na moim udzie i też zaczyna lekko głaskać, tak jakby mógł poruszać tylko obiema jednocześnie.

– Co to za nieruchomość? – Przychodzi mi na myśl, że próbuje odwrócić moją uwagę od wyprawy do Miami.

– Nadmorska działka w South Sag przy Crestview. Cena wywoławcza to czterdzieści cztery miliony, a kupujący bez oglądania podbił do pięćdziesięciu. Wes i właściciel nieruchomości znają się od liceum. – Wreszcie spogląda mi w oczy. Jeśli łże, robi to pierwszorzędnie.

– Ho, ho. Niezła sumka. Ale jakoś nie widzę, żebyś się cieszył.

Paul znalazł pracę, dzięki niej wygrzebał się z kryzysu wieku średniego i idzie mu naprawdę dobrze. Dlatego zaskakuje mnie to, że nie okazuje entuzjazmu dla tran-sakcji, od której zgarnie ogromną prowizję. Ile pieniędzy potrzebuje? A jeśli ma długi? Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że może być komuś coś winny. Dziwne, że o tym nie pomyślałam, przecież jestem córką człowieka wiecznie pod kreską, nieustająco ukrywającego się ze strachu przed tymi, którym z czymś zalegał. Uzmysławiam sobie, że zniknięcie pieniędzy z naszego konta niekoniecznie musi się wiązać z nową kobietą w życiu Paula. Inna sprawa, że jedno nie wyklucza drugiego.

Ślady pogłębiają się, im usilniej staram się je zacierać.

– Prowizja jest olbrzymia, ale doprowadzenie budynku do stanu używalności i domknięcie transakcji zajmie co najmniej rok albo dwa lata. Właściciel żył z funduszu powierniczego, a potem postanowił wejść w narkobiznes. Odziedziczył nieruchomość i wykorzystywał ją jako dziuplę. Przez ten dom przewijały się potężne ilości prochów. Dosłownie ukrywał je w ścianach. Robił głównie w farmaceutykach. Najlepsze, że właściwie nawet nie potrzebował tej całej zarabianej kasy. Robił to, bo pewnie naoglądał się *Breaking Bad*... DEA przewróciła dom do góry nogami. Rozpruli ściany, zerwali podłogi, przetrzepali wszystko. Dopóki nie zapadnie wyrok i aktywa gościa nie zostaną odmrożone, nie będzie można skontrolować, oczyścić, odremontować i sprzedać domu.

Staram się nie myśleć o tym, jakie leki ukrywano w tamtych ścianach i ile zgarnęły służby. Poszło na zmarnowanie. Nie pytam też, o co chodzi

z „czyszczeniem”. Wolę nie wiedzieć.

– W zeszłym miesiącu pisali o tym w „Poście” – informuje takim tonem, jakby zwracał się do normalnej osoby, która czuje się wystarczająco stabilnie, by zainteresowały ją występki innych ludzi.

Endorfiny buzują we mnie. Przysuwam się do męża i kładę głowę na jego piersi. Jestem jak element układanki wskakujący na właściwe miejsce.

Czuję przyjemny dotyk jego dłoni na nodze, potem na policzku i na karku. Dostaję gęsiej skórki. Oxy działa pełną parą, a ja dosłownie rozpływam się w rękach Paula. Chcę, żeby dotknął mnie też drugą ręką. Żeby przesunął ją po ciele i położył na szyi. Czy opierałabym się, gdyby zaczął mnie obściskować? Odnoszę wrażenie, jakby w mojej głowie mieszkało kilka osób. Usiłuję zespolić rozmaite emocje w spójną całość.

– Kto złożył ofertę?

– Nie mam pojęcia. Faceta reprezentuje prawnik, zresztą też jakiś podejrzany. Dziwny typ, małomówny. Zrobił masę zdjęć telefonem i wyszedł bez słowa. Godzinę później przysłał wiadomość z ofertą. Do tej pory nie wiemy, kto skierował do nas kupca.

– Hm. – Nawet nie chce mi się ruszać ustami.

Duff zsuwa głowę z kolana Paula i kładzie ją na kanapie między nami. Oboje zaczynamy go drapać, muskając się palcami. Paul milczy.

– Odzywali się detektywi? – zagaduję ostrożnie. Zastanawiam się, czy w ogóle o tym rozmawiać. Mam jednak świadomość, że wizyta gliniarzy i ich obecność w naszym życiu to jedna z całego mnóstwa spraw, które nad nami wiszą i wreszcie powinny zostać omówione.

– Wszystko pod kontrolą. Niczym się nie martw, nie będą nam robili problemów. Zachowuj się normalnie, chodź do pracy i na zajęcia aerobiku, wyprowadzaj psa. Jeśli będziemy robili to, co zwykle, nie damy im powodu, żeby nas podejrzewać – tłumaczy szybko.

Na szczęście jest zbyt zmęczony, żeby zauważyć, jak spinam się na wzmiankę o pracy. Muszę zachowywać pozory normalności nie tylko dla policji, ale też dla niego.

– I nie przesadzaj z przeciwbólowymi, gołąbeczku – dodaje jakby po namyśle. – Nie możesz być przymulona.

Sprawia mi przykrość, ale staram się nie pokazywać tego po sobie. Rzadko odnosi się do mojej lekomanii, ale ilekroć to robi, uświadamiam sobie, że chyba nie jestem tak dobra w ukrywaniu swoich tajemnic, jak mi się wydaje. Mam ochotę wypomnieć mu, że to samo można powiedzieć o nim.

– To wszystko, co się dzisiaj wydarzyło? – Słowa wypływają z moich ust niezależnie od woli. Przyglądam się nam z boku: siedzimy na kanapie, a między nami, pośród kłamstw, którymi się karmimy, spokojnie leży pies. Paul patrzy na mnie dziwnie. Prostuję plecy. Kurwa, muszę się zachowywać normalnie.

– Dobrze się czujesz, gołąbeczku? Jak ci minął dzień? Wszystko w porządku w pracy?

– Tak. W pracy po staremu. Po prostu jestem zmęczona. – Postanawiam pociągnąć temat. – Chociaż nie, wydaje mi się, że coś mnie bierze. Chyba jutro zostanę w domu, jeśli nie poczuję się lepiej.

– Och, kochanie, trzeba było tak od razu. Idź się położyć, a ja ci coś ugotuję. Masz ochotę na pomidorówkę i grillowaną kanapkę z serem?

Jego troska uruchamia alarm w mojej głowie, co w sumie jest niemądre, bo przecież Paul setki razy wspaniale się mną zajmował w podobnych okolicznościach. Zachowuje się w typowy dla siebie sposób. Albo to tylko pozory, gra aktorska. Skręca mnie od wątpliwości.

– Nie, naprawdę nic mi nie jest. Najchętniej zamówiłabym coś, zaległa na kanapie i obejrzała jakiś film.

– Doskonały pomysł. – Daje się wyczuć lekkie, wręcz mikroskopijne wahanie w jego głosie. – Tylko najpierw wezmę prysznic, bo śmierdzą. To był długi dzień.

Wpatruję się w niego i dopiero teraz zauważam odrobineczkę przyschniętej pianki do golenia i świeże zacięcie tuż pod uchem. Ma wilgotne włosy i pachnie żelem pod prysznic, którego używa na siłowni. Jego garnitur wygląda jak prosto z wieszaka. Idę do kuchni – niby po wino – żeby przyjrzeć mu się z daleka. Widzę cię, Paul.

Wracam i podaję mu kieliszek, który przyjmuje z wdzięcznością.

– Idź, wykąp się i rozluźnij, a ja zamówię coś do jedzenia. Dziś ty wybierasz film.

– Na pewno jest okej? Wyglądasz jakby niewyraźnie. Wiem, że ostatnie dni były stresujące, ale przetrwamy to, zobaczysz. Damy radę, jak zawsze. –

Ostrożnie dobiera słowa. Mimo wszystko ma nadzieję, że dziś odpuszczę poważną rozmowę.

– Na pewno. Po prostu padam z nóg, praca mnie wykończyła. – Z jaką łatwością oboje kłamiemy. Słyszę samą siebie, wypowiadam słowa z takim przekonaniem, że niemal sama zaczynam w nie wierzyć.

Paul uśmiecha się, kiwa głową i przeczesuje włosy palcami. Wyjmuje telefon z wewnętrznej kieszeni marynarki i zerka na wyświetlacz. Ściąga brwi, jakiś cień pada na jego twarz. Dostrzega, że mu się przyglądam, i poprawia maskę.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak. To tylko Wes – odpowiada z roztargnieniem. Skupia się na ekranie i przesuwa po nim palcem. Odwraca się do mnie plecami, po czym rusza do sypialni.

Kiedy wchodzi pod prysznic, zaglądam do jego torby, szukając wskazówek, co mógł robić w weekend. Nic nie wzbudza podejrzeń – spakował nawet kąpielówki i krem z filtrem; wszystko gra... z wyjątkiem czerwonej bandany. Szybko ją rozwiązuję, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia. Trzymam w dłoni pistolet, którego Paul rzekomo się pozbył. Ciekawe, po co mu broń podczas weekendowego wyjazdu. Co więcej, aby wsiąść na pokład samolotu do Miami, musiałby przejść kontrolę bezpieczeństwa. Odkładam pistolet na miejsce i idę do sypialni z nadzieją, że zdążę jeszcze zajrzeć do jego telefonu.

Na wieszaku na drzwiach wisi marynarka – w niej nie ma komórki. Nie znajduję jej też w innych przewidywalnych miejscach. Czuję, że kończy mi się czas. Klękam i zaglądam pod łóżko – może wypadła? Nie, uświadamiam sobie w końcu. Paul zabrał ją ze sobą.

Drzwi do łazienki są niedomknięte. Słyszę, jak mąż śpiewa pod prysznicem. Delikatnie je popycham, zaglądam do zaparowanego pomieszczenia i dostrzegam telefon na blacie obok umywalki. Już prawie wyciągam po niego rękę, kiedy nagle Paul wystawia głowę zza zasłony i zauważa w lustrze, że stoję w progu. Uśmiecha się szeroko.

– Niegrzeczna dziewczynka.

Potraktuj to żartobliwie. On o niczym nie wie. Posyłam mu bezwstydną spojrznię, wzmacniam je odpowiednio prowokacyjnym uśmiechem, po czym obracam się na pięcie i ruszam prosto do salonu. Szybko wydaję laptopa

z jego torby i uruchamiam system. Ostatnią pozycją w historii wyszukiwarki jest stary artykuł z „San Francis-co Chronicle” o wypadku podczas nurkowania na Jamajce. Kopiuję link, wysyłam go do siebie ze skrzynki Paula, potem usuwam mail z folderu „wysłane” i z kosza. Przeglądam listę korespondencji, ale nie rzuca mi się w oczy nic niepokojącego. Kopiuję do swojego telefonu IP, potrzebne mi dane i ustawienia.

– Gołąbeczku? – woła, a mnie serce omal nie wyskoczy z piersi. Pospiesznie wyłączam komputer i chowam go do torby. – Pozwolisz do mnie? Chętnie bym z tobą porozmawiał. – Wyszedł spod prysznic.

Znam ten ton. Używa go, kiedy chce, żebym przyszła naga i wypięła tyłek. Jestem zaskoczona, bo już dawno nie zwracał się do mnie takim głosem. Trochę się obawiam tego, co może mi zrobić, ale też boję się odmówić. W drodze do sypialni rozpinam sukienkę.

Widzę, że komórka męża leży na szafce nocnej po jego stronie. Paul chwyta mnie mocno za biodra i zaczyna się poruszać, kontrolując rytm. Zerkam na niego przez ramię, żeby nie uznał, że jestem obojętna, ale nie zauważa tego, bo ma zamknięte oczy. Jego własna wyobraźnia pochłania go tak bardzo, że nawet nie dociera do niego, że ja też jestem myślami zupełnie gdzie indziej. Wbijam spojrzenie w ekran telefonu, który rozjaśniają powiadomienia o esemesach. Za daleko, żebym zdołała zobaczyć nadawcę albo odczytała treść, ale wystarczająco blisko, bym się zorientowała, że jest ich dużo, spływają jeden po drugim.



Budzę się z poczuciem, jakbym miała głowę pełną morskiej wody i piasku. Nafaszerowana proszkami przespałam pół filmu. Wiem, że przesadziłam i że nie mogę kolejny raz popełnić tego błędu. Byłam tak nabuzowana po powodzi esemesów w komórce Paula, że kiedy on poszedł zapłacić dostawcy, rozgniotłam tabletkę hydrokodonu i wciągnęłam ją nosem. Nie pamiętam, co oglądaliśmy; kojarzę tylko, że film był bardzo stary i że Paul wspominał, jak oglądał go ze swoim ojcem. Ostatnio najwyraźniej dużo myśli o rodzicach.

– Chyba naprawdę jesteś chora, kochanie. Oczy same ci się zamykają i strasznie się pocisz. Prawie nic nie zjadłaś – wyszeptał.

Objęłam go za szyję, kiedy mnie dźwignął i wziął w ramiona, żeby zanieść do łóżka. Wtedy prawie zapomniałam o wszystkim, co złe. Ale teraz sobie

przypominam i robi mi się niedobrze. Trudno, mam ważne rzeczy do zrobienia.

Obok mnie chrapią Duff i Paul. Wcześniej ściągnęłam z siebie kołdrę, uwalniając się od gorących ciał: ludzkiego i psiego, dlatego teraz mogę wstać bez obawy, że naruszę misterną płataninę pościeli i ich zbudzę. Bezszelestnie stąkam po wykładzinie, podchodzę do szafki nocnej i zsuwam telefon Paula na dłoń. Idę na dół do salonu. Opieram się o półkę nad kominkiem; czuję na ramieniu chłód samotnej podpórki do książek. Odkładam swoją komórkę i zaglądam do telefonu Paula.

Z zaskoczeniem i zarazem ulgą stwierdzam, że nie zmienił hasła. Musi być bardzo pewny tego, że niczego się nie domyślam. Czytam ostatnie wiadomości – ich nadawcą rzeczywiście jest Wes, tyle że te przysły dziś rano. Szybko przesuwam palcem niżej, do starszych. Wolę sprawdzić je na gorąco, bo nie wiem, jak daleko wstecz zdołam dotrzeć, kiedy zainstaluję aplikację. Za jedyne dwieście dolarów miesięcznie będę mogła na własnym telefonie czytać jego esemesy i maile, sprawdzać lokalizację i przeglądać historię wyszukiwarki. Jak na razie nic nie wygląda podejrzanie. Nagle opadają mnie wątpliwości. A może ubzdurałam sobie to wszystko? Nie, puste konto i coraz dłuższa lista kłamstw Paula nie pozwalają mi dłużej nie zwracać uwagi na jego tajemnice.

Wklepuję „MindsEye” w pasku wyszukiwarki w sklepie z aplikacjami. Jest. Ściągam apkę i aktywuję za pomocą loginu, który wcześniej stworzyłam. Na ekranie głównym pojawia się ikonka przedstawiająca oko. Szybko wchodzę w ustawienia i wybieram „ukryj ikonę”. Wracam do ekranu głównego – zniknęła.

Widzę w lustrze swoją podświetloną od dołu twarz. Przechodzi mnie dreszcz. Komórka Paula rzuca upiorny blask. Czekam, aż mój aparat zassie wszystkie tajemnice telefonu męża. Wreszcie wyeliminowałam element przypadku, wreszcie zyskałam kontrolę.

Na ikonce oka pojawia się zielony ptaszek, a ułamek sekundy później oba urządzenia wibrują jednocześnie. Szybko wchodzę do folderu z wiadomościami, żeby się przekonać, kto do Paula napisał w nocy, podczas jednego z naszych niezbyt częstych zbliżeń. Nie znajduję jednak żadnych esemesów z ostatnich trzech godzin poza tymi ode mnie i od Wesa. Musiał je wykasować. Uchodzi ze mnie para.

Już zamierzam się poddać, kiedy nagle słyszę powiadomienie – Paul ma nowego maila. W okienku podglądu pojawia się imię „Dana”. Usiłuję sobie przypomnieć, czy znamy jakąś Danę. Otwieram wiadomość na swoim telefonie – u niego nadal będzie widniała jako nieprzeczytana. Nie wiem, co okazuje się bardziej nieznośne: mój gniew czy potwierdzenie podejrzeń.

Paul,

przepraszam, że tak późno, ale myślałam o Tobie. Miło było znów Cię zobaczyć. Cieszę się, że ponownie nawiązaliśmy kontakt. Często o Tobie myślę.

Liczę, że będziemy się regularnie spotykali.

D

PAUL

Ja też wracam do Ciebie myślami.

Wspaniale, że było nam dane spotkać się po tylu latach.

I nie mogę się doczekać kolejnej okazji.



Odpisuję, stojąc w kolejce w barze, wybieram „wyślij” i czuję przyjemne, delikatne łaskotanie w brzuchu. Dana Atwell. Dzięki naszym rozmowom odzyskuję pewność siebie. Odnalazłem ją przed dwoma tygodniami. Nawet nie próbuję liczyć, ile lat upłynęło, od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, ale bez wątplenia nadal żyją we mnie emocje tamtych dni, choć mają już inny charakter. Owszem, Dana wciąż jest zabójczo piękna, ale tym razem to coś więcej. Dawny dreszcz zmienił się w jakieś głębsze i bardziej zrównoważone doznania.

Nie pamiętam, żebym przy kimkolwiek czuł się tak bezpieczny jak przy niej. Bliskość tej kobiety mnie uspokaja, wprawia w radosny nastrój, pomaga mi odnaleźć harmonię. Wiem, że potrzebuję spotkań z nią, aby odzyskać jasność myśli i zamknąć ten nieprzyjemny okres w stosunkach z Rebeccą. To będzie nowy początek, jakiego oboje potrzebujemy.

Przypominam sobie zeszłe popołudnie u Dany. Leżę i wpatruję się w sufit, opowiadając o dręczących mnie snach: o wypadku samochodowym, śnieżycy, zakopywaniu ciał i wygrzebywaniu ich z powrotem. Oczywiście ta ostatnia historia nie była snem, ale tak ją przedstawiłem, pomijając nazwiska i szczegóły. Musiałem to zrobić, bo bałem się, że oszaleję, jeśli komuś o tym nie powiem. Dana potrafi uważnie słuchać. Czuję, że tylko jej mogę się zwierzyć. Tylko jej zaufać. Tylko ona nie będzie próbowała mnie oceniać.

– Osiemdziesiąt cztery. Czyje zamówienie?

Ton sugeruje, że sprzedawca powtórzył mój numer już kilka razy. Głowę mam zaprzątniętą czymś innym. Pora wracać na ziemię, Paul.

– Dla mnie. Przepraszam.

– Proszę. – Wciska mi torby tak gwałtownie, jakby miał ochotę powiedzieć: „Bierz, koleś, i spieprzaj”, po czym przechodzi do kolejnego klienta.

Płacę i idę do samochodu.

Stawiam zakupy na fotelu pasażera. Nagle przychodzi esemes. Wyjmuję komórkę, zerkam na wyświetlacz i stwierdzam z rozczarowaniem, że nadawcą jest Wes.

Znowu robisz za plecami żonki?

Czegoś chce ode mnie.

A co cię to obchodzi, muchacho?

Odpowiedź przychodzi niemal natychmiast.

Pilne oglądanie domu. Za półtorej godziny. Piszesz się, frajerze?

Chciałbym, ale...

Gdzie?

Harbor Beach Road w Miller Place. Dwa kroki od ciebie.

Byłoby blisko – gdybym był w domu. Mimo to powinienem zdążyć, choć z trudem.

Zgoda. Podeślij dokładny adres.

Trzeba się spać. Nie mam wyboru. Chwytam się każdej oferty, jaka się trafia, bo kiedy ekipa Javiera skończy stawiać szkielet domu, prace budowlane i nadzorowanie kolejnych brygad pochłoną mnie tak bardzo, że nie dam rady przyjmować wszystkich zleceń. Dlatego teraz muszę zarabiać, póki jest na czym. Z domu nad brzegiem morza w Miller Place powinna skapnąć niezła prowizja. Miła sumka na nowy początek, którego rozpaczliwie potrzebuję po tym wszystkim, co się wydarzyło. Bez tego się posypię.

Ruszam do Cold Spring Harbor. Zawiozę chłopakom lunch, załatwię to w pięć minut, a potem pojadę do domu po czysty garni... Kurwa! Sięgam po telefon i jedną ręką wklepuję wiadomość, starając się patrzeć na drogę.

Gołąbeczku, jak się dziś czujesz? Mam nadzieję, że już lepiej. Poszłaś do pracy? Kocham cię.

Telefon buczy dwa razy. Zajeżdżam na budowę, gdzie wita mnie terkot pistoletów do gwoździ. Sprawdzam esemesy. Pierwszy jest od Wesa, z adresem domu do prezentacji. Drugi przysłała Rebecca.

Niestety, kotku, u mnie marnie. Wzięłam wolne i leżę w łóżku z Duffem. Dzięki za troskę. Ja ciebie bardziej.

Szlag. No dobra.

Przykro mi. Wpadnę do ciebie za jakąś godzinkę.

Chowam komórkę do kieszeni. Z jednej z toreb wyjmuję kubek z zupą i wstawiam go w uchwyt na napoje, zamontowany między fotelami. Biorę zakupy i zanoszę na plac. Chłopaki już wyprzedzają harmonogram. Żałuję, że nie miałem takiej ekipy, kiedy prowadziłem firmę.

– Szefie, przyjechały belki. Jutro będziemy mogli montować.

– Doskonale! Wspominałeś, że porozmawiasz ze swoim fachowcem o miedzianych rurach – dodaję nieco ciszej.

– Nie ma sprawy, szefie.

– Super. Powiedz mu, że jeśli cena, którą zaproponowałem, jest aktualna, umówimy się na gotówkę.

– Okej. Dużo zyskasz na sprzedaży tego domu.

– Żebyś wiedział. – Puszczam do niego oko. – Muszę lecieć, mam klienta. Mogę was zostawić na resztę dnia?

– Pewnie.

– Świetnie. Przyjadę jutro rano pomóc z belkami.

– Okej, szefie. Nie ma sprawy.

Wsiadam do samochodu i przekręcam kluczyk w stacyjce. W tej samej chwili przychodzi wiadomość.

Paul, nie musisz do mnie zaglądać. Przecież to nic wielkiego. Chyba po prostu potrzebuję snu. Ale dzięki za dobre chęci.

To mocno nie po mojej myśli.

I tak muszę zajrzeć do domu. Przywiozę ci lunch.

Liczy się czas. Wrzucam bieg i dynamicznie ruszam.



Wchodzę do domu. Uspokajam czekającego Duffa. Myślałem, że Rebecca zawoła mnie do sypialni, ale wita mnie cisza. Idę do kuchni, wrzucam pojemnik z zupą do mikrofalówki – kupiłem ją przed godziną, jest już zimna – sięgam do szafki po miseczkę i stawiam ją na drewnianej tacy. Stoję przy kuchence, żeby ją wyłączyć, zanim minutnik zacznie pikać. Zostawię pojemnik w środku, inaczej zupa znów wystygnie. Może uda mi się wziąć szybki prysznic w łazience na dole i założyć garnitur, a potem dać jedzenie Rebecce, zanim...

– Cześć, kotku.

Odwracam się zbyt szybko i widzę, że mi się przygląda.

– Przestraszyłaś mnie.

– Przepraszam, nie chciałam. – Ma na sobie powyciągany szlafrok, jest blada i wymizerowana.

– Nie szkodzi. Starłem się zachowywać cicho, żeby cię nie obudzić. Zamierzałem zostawić ci zupę, w razie gdybyś była głodna, kiedy wstaniesz. – Przesadnym gestem wskazuję mikrofalę, jakbym był gospodarzem jakiegoś cholernego teleturnieju i prezentował nagrody do zdobycia.

– Dziękuję, kochanie. Nie musiałeś podgrzewać.

– Niestety musiałem, bo w barze uprzedzili, że jest chłodniejsza niż zwykle. A nie wiedziałem, jak długo będziesz spała. – Zamknij się już, durniu, klnę w myślach.

– Kochany jesteś. – Patrzy na mnie, jakby jednak miała wątpliwości. – Wszystko w porządku?

– Tak. A co?

Sonduje mnie wzrokiem.

– Wydawało mi się, że Wes załatwił ci prezentację jakoś wcześniej rano?

– Mhm, ale nic z tego nie wyszło, zresztą nawet dobrze, bo musiałem zaprowadzić jeepa na wymianę oleju i przegląd. Gorzej, że Wes zaproponował kolejną, i to za dwadzieścia minut. Zdążę wziąć szybki prysznic i wskoczyć w garnitur.

– W porządku. Ja też niedługo wychodzę, umówiłam się do lekarza. Znalazło się okienko, a że podobno szaleje angina, to wolę się przebadać.

– Słusznie. – Ściskam ją w przelocie i całuję w czoło, kierując się do łazienki. Zaskakuje mnie chłód jej skóry. – Po prezentacji jedziemy z Wesem

obejrzeć nieruchomość, a potem na kolację. Znowu sobie nagrabił.

– Mój Boże, tacy dwaj...

– Prawda? Napisz mi, jak poszło u lekarza. Wrócę późno, ale na pewno zaopiekuję się swoją śliczną pacjentką.

– Dzięki, kochanie. Połamania drzwi. – Z błyskiem w oku daje mi klapsa w tyłek.

– Widzę, że odzyskujesz siły.

– Powoli.



Biorę prysznic, ubieram się i wychodzę. Powinienem zdążyć. Przy odrobinie szczęścia uda mi się przekonać klienta do nieruchomości, a wtedy będę mógł donieść mojej ufnej żonie o szansie na finalizację transakcji. To powinno ją uspokoić, zyska zapewnienie, że jej sumienny mąż robi, co do niego należy, i nie angażuje się w żadne budowlane szachrajstwo; nie mówi jej o jednym domu, a po cichu stawia inny.

SILVESTRI

– Działka.

Zegar na telefonie pokazuje drugą trzydzieści siedem w nocy. Blask wyświetlacza razi mnie w półprzymknięte oczy.

– Kurwa, Wolcott, mów jaśniej, co?

– Paul Campbell powiedział, że buduje dom na działce, którą kupił przed wieloma laty. – Głos mojego partnera jest zdecydowanie zbyt pełen energii jak na tę godzinę. Wnerwia mnie to.

– Gdzie jesteś?

– Na komisariacie.

– Po chuj? Jest środek nocy.

– Nie mogłem zasnąć. Coś nie dawało mi spokoju. Długo o tym myślałem, aż w końcu mnie olśniło. Zagięły dwie kobiety, a nasz podejrzany nagle zaczyna budować dom na działce, która przez lata leżała odłogiem?

Dobra, już się obudziłem.

– No i co odkryłeś?

– Przejrzałem akty własności. Otóż do Paula należy parcela w Cold Spring Harbor, którą nabył niecałe dwadzieścia lat temu.

– Ożeż w mordę.

– Niezły zbieg okoliczności, co?

– Wpadniesz po mnie? Tylko daj mi się ubrać.

Wolcott rechocze.

– Śpij dalej. Ja też idę się położyć. Widzimy się z samego rana na komisariacie. Wybierzemy się na miejsce, powęszymy i spróbujemy ustalić, co kombinuje nasz ptaszek.

– Do zobaczenia, psie gończy. – Rozłączam się. Wiem, że tej nocy już nie zasnę spokojnie.



Zaparkowaliśmy przecznicę od działki Paula Campbella w Cold Spring Harbor. Siedzimy w radiowozie i obserwujemy – to znaczy Wolcott się bacznie przygląda – jak Campbell i jego ekipa układają belki na drewnianym szkielecie.

– Na co stawiasz? – pytam. – Na fundamenty?

– Kto wie, może się naoglądał filmów o mafii. Mówię ci, to by nam pasowało do chronologii zdarzeń.

– Pewnie masz rację – odpowiadam. Naraz przychodzi mi do głowy okropna myśl. – Jezu, chyba nie sądzisz, że ukrył tam oba ciała?

Po raz pierwszy od chwili, w której zajęliśmy pozycję, Wolcott odrywa wzrok od Campbella i ekipy. Odwraca się do mnie z miną pełną obrzydzenia.

– Nie pomyślałem o tym – wzdycha.

– Bo wiesz, skoro już zadajesz sobie trud...

Kręci głową.

– W sumie nie zdziwiłbym się. – Rozważa coś przez chwilę. – Ale jak to zrobić? Jak ukryć dwa ciała, mając na karku ekipę, w dodatku w tak doskonale widocznym...

– O czym myślisz? – pytam.

Otwiera drzwi po swojej stronie.

– Chodź, złożymy wizytę.



– Czym mogę panom służyć?

Stoimy na ganku domu sąsiadującego z parcelą Campbella. Otwiera nam starsza kobieta.

– Dzień dobry pani – odzywa się Wolcott. – Proszę wybaczyć, że niepokoimy. Jesteśmy z policji. Detektyw Wolcott, a to mój partner, detektyw Silvestri. Czy możemy zadać pani kilka pytań?

Mierzy nas podejrzliwym wzrokiem.

– Chyba nie zrobiłam nic złego?

Wolcott błyska nieskazitelnie białymi zębami.

– Ależ skąd. Chodzi nam tylko o pani nowych sąsiadów. – Pokazuje brodą w kierunku budowy.

– Ach, rozumiem. Właśnie skończyłam oglądać seriale i chciałam ugotować sobie coś na lunch. Może dacie się, chłopcy, zaprosić na filiżankę herbaty?

– Z rozkoszą – mówię, kiedy kobieta wpuszcza nas do środka.

Przecinamy salon, gdzie bardzo głośno gra telewizor – leci jakaś opera mydlana – i wchodzimy do kuchni. Omal nie potykam się o kota, który przemyka mi pod nogami i nurkuje pod kanapą. Kobieta jakoś zbytnio nie przejęła się tym, że mogłam skrzyknąć kark.

– To Hannah – wyjaśnia. – Harold gdzieś się schował. – Stawia czajnik na kuchence i podpala gaz.

– Proszę pani, chcielibyśmy...

– Louise. Lubię, jak mi się mówi po imieniu.

– Louise, otóż przyjechaliśmy w sprawie skarg na hałasy dochodzące z budowy po sąsiedzku. Czy może nam pani powiedzieć, od jak dawna trwa tu takie zamieszanie?

Louise wyjmuje trzy saszetki z porcelanowego słoja na ciastka.

– Niech się zastanowię. W każdą sobotę syn przywozi mi zakupy. I oni zaczęli też w sobotę, tyle że poprzednią.

– Na pewno? – dziwię się. – To nietypowy dzień na początek takiego przedsięwzięcia.

– Tak, tak – upiera się Louise. – Jestem pewna, że to była sobota. Kiedy wpuszczałam syna, zobaczyłam, że coś się dzieje na tamtej działce. Musiałam pogłośnić telewizor, żeby zagłuszyć to całe walenie.

– Domyślałam się, że robotnicy potrafią dać się we znaki – mówi ze współczuciem Wolcott. Wyjmuje notatnik z kieszeni i otwiera go na pustej stronie. – Czy zauważyła pani albo usłyszała, że odchodzi tam jakaś robota poza zwykłymi godzinami pracy? Ktoś przyjeżdżał albo odjeżdżał po zmroku?

– Hm. Zwykle po wyjęciu aparatu niewiele słyszę. – Chwilę szuka w pamięci. – Mogłabym jednak przysiąc, że mniej więcej przed tygodniem ktoś narobił rumoru w środku nocy. Niestety, kiedy doszłam do okna

i wyjrzałam, niczego nie zauważyłam. Możliwe, że to był po prostu jelen. – Zdejmuje trzy kubki z suszarki i stawia je na blacie. – Te zwierzaki bywają utrapieniem.

– O, tak. Sieją spustoszenie w warzywniku żony. – Mój partner posyła Louise spojrzenie pełne zrozumienia, po czym znów skupia uwagę na pustej kartce notesu. – A zanim robotnicy zaczęli wznosić konstrukcję? Zapamiętała pani coś szczególnego... na przykład jak wylewali fundamenty?

Louise zerka najpierw na mnie, potem na Wolcotta.

– Chodzi o betonowanie?

– Właśnie tak – wtrącam. – O betonowanie.

– No... beton już tam był.

– Jak to? – Wolcott podnosi głowę.

– A tak to. Beton wylali lata temu. Zawsze mi się wydawało dziwne, że od razu nie pobudowali domu i tak to zostawili.

– Louise, czy jest pani pewna? – pytam.

– Oczywiście. To było za życia Hermana, mojego męża, a więc prawie dziesięć lat temu. Herman stale powtarzał, jakie to cudaczne, że jest piwnica, a nie ma domu. Życzą sobie panowie mleko i cukier do herbaty?



– To by się nawet zgadzało. Mniej więcej wtedy nastąpił krach.

– Nie łapię.

Wróciliśmy do auta i znów obserwujemy ekipę z pewnej odległości.

– Campbell zeznał, że jego firma ucierpiała, kiedy pękła bańka na rynku nieruchomości – wyjaśnia Wolcott. – Pewnie zdążył wylać fundamenty, zanim skończyły mu się pieniądze.

– Ciekawe, że akurat teraz przypomniał sobie o tym miejscu.

– Może zainkasował prowizję od transakcji i wreszcie go stać na dokończenie budowy?

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem zakopał je na działce?

Zastanawia się przez chwilę.

– Nawet on nie jest aż tak arogancki. Poza tym to nie miałoby sensu. Najlepiej byłoby ukryć je pod domem, bo jak nie tam, to w ogóle szkoda

zachodu.

– Zgadzam się – przyznaję.

– Ale masz rację, że zbieżność zaginięć z powrotem Paula na budowę jest zastanawiająca.

– No właśnie... Wiesz co? Dam ci radę w sprawie warzyw.

– Tak?

– Kup butelkę ze spryskiwaczem, nalej do niej wodę, dodaj łyżkę oleju roślinnego, żeby mikstura była lepka, i na koniec wsyp kilka łyżek pieprzu cayenne. Dobrze wymieszaj, potem spryskaj warzywa. Jelenie nie cierpią tego zapachu.

Wolcott wybucha śmiechem.

– A już się obawiałem, że mi poradzisz, żebym je odstrzelił.

– Uważasz mnie za bestię? – protestuję.

Dzwoni telefon mojego partnera.

– Wolcott... Tak... No proszę. Okej, dzięki za cynk. – Zwraca się do mnie.

– Wypływają kolejne rzeczy.

– To znaczy?

– Kojarzysz Gino's? To taka włoska knajpka na skraju miasta.

– No, widziałem.

– Kierownik zwrócił uwagę na auto zaparkowane za budynkiem. Stało tam bardzo długo, więc uznał, że ktoś je porzucił, i to zgłosił.

– Aha. I co?

– Wóz jest zarejestrowany na Sheilę Maxwell.

– Pieprzysz.

Nagle naszą uwagę przyciąga czyjś podniesiony głos na budowie. Campbell wrzeszczy na swoją ekipę i odchodzi. Jest odwrócony plecami do robotników i nie widzi, że tamci pokazują mu środkowy palec i poruszają biodrami tak, jakby chcieli go posunąć.

– Popatrz na tego kretyna – śmieję się.

Wolcott kręci głową.

Campbell wsiada do jeepa, cofa z podjazdu i wyjeżdża na drogę.

– Co robimy? – pytam.

– A jak myślisz?

Jedziemy za jeepem, trzymając się za nim w bezpiecznej odległości. Paul zwalnia przed jednym z domów w Smithtown, skręca na podjazd i parkuje obok białej hondy. Zatrzymujemy się kawałek dalej przy tej samej ulicy, skąd mamy dobry widok. Campbell podchodzi do drzwi. Dom jest piętrowy, stawiam, że ma trzy sypialnie i dwie łazienki, wystarczy dla niedużej rodziny. Ciekawe, po co Campbell tu przyjechał.

Mój partner łączy się przez radio.

– Tu detektyw Wolcott. Numer odznaki pięć trzy jeden dwa.

– Słucham.

– Potrzebuję dane pojazdu. Biała honda pilot. Tablice stanu Nowy Jork, rejestracja Alpha Mike Delta jeden jeden zero siedem.

– Przyjąłem.

Czekamy na odpowiedź dyspozytora. Campbellowi otwiera wysoka, atrakcyjna, trzydziestokilkuletnia brunetka. Witają się – krótkie objęcie – i znikają w środku.

– Pojazd zarejestrowany na Danę Atwell. Cherry Lane osiem dwa, Smithtown w stanie Nowy Jork.

– Przyjąłem. Bez odbioru.

Adres pasuje do lokalizacji budynku, przed którym zatrzymał się Campbell. Wolcott zapisuje nazwisko właścicielki auta, po czym zerka w stronę domu. Słyszę, jak pracują trybiki w jego głowie.

– Szybki jest – zauważam.

Wolcott drapie się po brodzie.

– Co ten sukinkot kombinuje?

REBECCA

Bez trudu przekonuję Paula, że kiepsko się czuję. Przychodzi mi to łatwo, bo po tym, jak uzyskałam dostęp do jego telefonu i przeczytałam mail od cholernej Dany, kimkolwiek ona jest, nie zmrużyłam oka i rzeczywiście wyglądam marnie. Kiedy Paul próbuje mnie pobudzić, wsuwając mi ciepłe dłonie pod koszulkę, bronię się – mówię, że chcę się jeszcze położyć na kilka godzin, a potem wpaść do biura. W którymś momencie muszę wyjść z domu; praca będzie równie dobrą wymówką jak każda inna.

Zagrzebuję się w pościeli i nie daję znaków życia, podczas gdy Paul w pogodnym nastroju rozpoczyna dzień. Idzie do łazienki i wraca z niej, pogwizdując. Doprowadza mnie do szewskiej pasji tą swoją bezczelną wesołością. Nie ma pojęcia, że nie zmrużyłam oka całą noc, a po mojej głowie tłukły się tysiące myśli o zdradzie i rozczarowaniu.

Z zapartym tchem i zaciśniętymi zębami wsłuchuję się w jego poranną krzątanię. Przed wyjściem całuje mnie w policzek. Znajduję w sobie dość siły, żeby posłać mu wymuszony uśmiech, jęknąć i obrócić się na drugi bok. Widzę wgniecenie w materacu po jego stronie – utrzymujący się ślad obecności Paula. Czy wolałby usunąć mnie zamiast swoją kochankę? Zawinąć w brezent, pozbyć się? Łzy szybko wsiąkają w poduszkę. Wypuszczam powietrze i zapadam w sen dopiero, kiedy słyszę, jak Paul zamyka za sobą drzwi.

Budzę się kilka godzin później. Duff wgramolił się do łóżka na przedpołudniową drzemkę. Chcąc się dostać do aparatu, muszę wsunąć dłoń pod masywne cielsko psiaka. Klikam ikonkę w kształcie oka i otwieram podgląd telefonu Paula. Okazuje się, że z odpowiedzią na jej maile nie potrafił nawet poczekać do wyjścia z domu. Czytanie tych wiadomości sprawia mi ból, dlatego postanawiam poszperać gdzie indziej.

Jest kilka nowych esemesów od Wesa. Ostatni zawiera adres pobliskiej nieruchomości. Czytam ich niewinne przekomarzanie – i nagle jakby ktoś mi

przyładował w brzuch. Bo dociera do mnie, że najlepszy kumpel Paula i jego partner w interesach również ukrywa tajemnice mojego męża. W sumie nie wiem, czemu mnie to dziwi.

Znowu robisz za plecami żonki?

Tłumię w sobie złość na Wesa za współudział i skupiam się na Paulu. Niebieska kropka na lokalizatorze GPS pokazuje, że pojechał do Cold Spring Harbor. Wskazania są niestety irytująco mało precyzyjne, nie znam więc dokładnego adresu, pod jakim Paul się zatrzymał. Co nie zmienia faktu, że jego wizyta w Cold Spring Harbor stanowi dla mnie problem – bo sama się dziś tam wybierałam. Chciałam zadać kilka pytań właścicielom pewnego sklepu jubilerskiego oraz pensjonatu Harbor Rose. Obawiam się jednak, że mogę wpaść na Paula.

Zamiast wstać z łóżka biorę xanax z zapasu ukrytego w szafce nocnej i otwieram własną skrzynkę pocztową. Wiadomość od kierowniczkii działu kadr, Launarii – prośba o przejrzenie i podpisanie załączonych dokumentów. Chcą „sfinalizować procedurę mojej rezygnacji”. Podpisane papiery mam zeskanować i pilnie przesłać mailem. Jej mało subtelna sugestia, aby moja noga nigdy więcej nie postąpiła w biurze, sprawia, że właśnie mam ochotę zrobić tam nalot. Chcą się mnie po prostu jak najszybciej pozbyć. Wygląda na to, że dla każdego stałam się ciężarem.

Nie otwieram załącznika. Kasuję wiadomość. Na razie odsuwam od siebie myśli o pracy i o Marku – wiem, że w bliskiej przyszłości będę potrzebowała jego pomocy w pewnych sprawach.

Otwieram artykuł z odnośnika, który skopiowałam z historii wyszukiwarki Paula, ale zanim zdążę się wczytać, przychodzi esemes od niego. Odgrywa dobrego męża, dopytuje, jak się czuję, ale wiem, że tak naprawdę nic go to nie obchodzi. Mam wrażenie, jakby przyłapał mnie na myszkowaniu w jego komórce, ale rozsądek podpowiada mi, że nic takiego się nie stało. Robię głęboki wdech i postanawiam odczekać z odpowiedzią, bo niemal każda reakcja, jaka w tej chwili przychodzi mi do głowy, zahacza o histerię.

Piszę, że zostałam w domu. Na to on, że wpadnie sprawdzić, co u mnie. Kurwa. Nie przewidziałam tego. Ze złości walę pięścią w poduszkę, budząc Duffa. Psiak podnosi głowę, rozgląda się, po czym kładzie ją z powrotem i znów zasypia. Wygląda na to, że chwilowo utknęłam w domu i w łóżku. Trudno, zrobię stąd, co będę mogła. Zamykam rozmowę z Paulem i przechodzę do artykułu.

Podjezrane utonięcie doświadczonego nurka w trakcie miesiąca miodowego

Widzę kobietę na zdjęciu, rozpoznaję ją – pomimo że ma inny kolor włosów, niż kiedy leżała na podłodze w naszej sypialni – i już wiem, że wystarczyłby nagłówek, a resztę mogłabym sobie dopowiedzieć. Kobieta stoi uśmiechnięta obok przystojnego rudowłosego mężczyzny w pozie typowej dla ślubnych fotografii. Podpis: „Jeszcze szczęśliwi nowożeńcy”.

Znów mi coś przerywa – tym razem powiadomienie, że Paul dostał nową wiadomość na skrzynkę pocztową. Przełączam się między aplikacjami. Dana zareagowała na jego poranną odpowiedź. Czuję się tak, jakbym miała głaz w żołądku. Paul przyznał, że też o niej myśli, na co odparła bezwstydnie:

Może odegralibyśmy kilka scenek, jak zajrzysz do mnie jutro?

Paul nie traci czasu:

Chętnie. Byłoby miło pozbyć się choć części tego napięcia. Martwię się, że Rebecca może wiedzieć, że coś jest na rzeczy. W dodatku siedzi chora w domu, przez co jeszcze bardziej mam poczucie, jakbym coś knuł za jej plecami.

Moje wnętrzości skręcają się w bolesny węzeł. Odpowiedź od Dany przychodzi niemal natychmiast:

Zadaje pytania? Sądzisz, że się domyśla? Nie ma się czego wstydzić. Musisz odnaleźć własne szczęście.

Nie bardzo wiem, co myśleć o tej rozmowie. Zastanawia mnie jej ton. Brzmi dość dziwnie jak na flirt.

Będąc ukrytym świadkiem rozkwitu ich romansu, doznaję osobliwego poczucia całkowitego wyciszenia, wykraczającego poza skutki działania leków uspokajających. Dryfuję głęboko pod wodą. Czytam dalej wbrew sobie.

Rebecca zrozumie, kiedy w końcu powiem jej o wszystkim. Co nie zmienia faktu, że boję się tej chwili. Na szczęście wiem, że możesz mi pomóc pokonać ten strach.

Zrywam się z łóżka i w ostatniej chwili dopadam do sedesu. Potem wstaję zbyt szybko, zaczyna mi się kręcić w głowie i znów targają mną mdłości.

Kilka minut później odklejam gorący policzek od chłodnych płytek, z trudem wstaję z podłogi i pochylam się nad umywalką, żeby ochłapać twarz zimną wodą. Nie podoba mi się, że ta kobieta zna moje imię. To obrzydliwe, że wykorzystują mnie w swojej grze wstępnej. Mam ochotę złapać coś ciężkiego i cisnąć w lustro, niech się rozpadnie na kawałki. Wpatruję się w swoje odbicie, jakbym mierzyła się przed walką z tą częścią siebie, gdzie dochodzą do głosu mordercze instynkty; przeciwstawiam jej tę część, która całą sobą usiłuje zapanować nad sytuacją. Trudno wskazać zwyciężczynię.

Patrzę na siebie i z zaskoczeniem dochodzę do wniosku, że wyglądam tak, jakbym w niecały tydzień postarzała się o dziesięć lat. Mam ziemistą skórę i matowe, potargane włosy. Wyraźnie straciłam na wadze, pominęłam etap smukłości i przeszłam od razu do fazy wymizerowania. Na ironię zakrawa fakt, że przez trzy czwarte dorosłego życia nieustająco pracuję nad tym, aby być szczupłą, a tu proszę: wystarczyło, że posypało mi się życie, i od razu widać efekty. Załam się i schudnij. Ach, gdybym mogła to opatentować i sprzedawać. Zarobiłabym tyle, że Paul mógłby się schować z sumą, którą podprowadził z naszego konta.

Zastanawiam się, czy nie wziąć prysznic i nie spróbować zmyć z siebie przynajmniej części tego przygnębienia. Muszę doprowadzić się do porządku, jeśli chcę wyjść z domu i wtopić się w otoczenie. Ale nie mogę teraz się pomalować – bo przecież Paul tu jedzie – muszę nadal odgrywać chorą. Zastanawiam się: wrócić do łóżka czy łyknąć adderall, żeby pobudzić umysł? Wygrywa łóżko. Kładę się, zabieram do lektury artykułu i czuję narastający ból głowy. Migrena. Zamykam oczy. Odpływam.

Niecałą godzinę później przyjeżdża Paul. Zwlekam się z łóżka i idę do szafy po stary złachany szlafrok, w jego kieszeni znajduję samotną tabletkę percocetu. To jedna z moich bardziej pomysłowych skrytek: wystarczy wsunąć dłoń i łyknąć. Co też robię. Po czym szykuję się do kolejnego przedstawienia.

Przynajmniej wiem, że wyglądam odpowiednio do odgrywanej roli.



Zjadłam rosół, który mi przywiózł, i umościłam się na kanapie zadowolona, bo udało mi się przekonać Paula, że jestem chora i najlepiej będzie, jeśli co najmniej przez tydzień posiedzę w domu. Informuję, że po południu wybieram się do lekarza. Przypomniałam sobie, że gabinet znajduje

się w połowie drogi od nas do Cold Spring Harbor. Dzięki temu będę umiała przekonująco wytłumaczyć, co robię w tamtej okolicy, w razie gdyby zobaczył mnie jakiś wspólny znajomy albo gdybym, jak w komedii pomyłek, wpadła na Paula, co jest mało prawdopodobne, ale niewykluczone.

Nie mam się czym martwić, jeśli Paul mówi prawdę. Wychodząc, powiadamia mnie, że wybiera się obejrzeć pobliską nieruchomość, a potem jedzie z Wesem na kolację do baru niedaleko, bo kumpel znowu ma na pieńku z żoną. Para stworzona do rozvodu. Liczę się z tym, że Paul kłamie, ale mogę go sprawdzić dzięki lokalizatorowi GPS. Zostało jeszcze cztery, pięć godzin do jego powrotu.

Jak tylko Paul odjeżdża spod domu, pędzę pod prysznic, potem błyskawicznie wskakuję w najmniejsze dżinsy i koszulkę, jakie udaje mi się znaleźć w garderobie – wszystkie pozostałe ciuchy dosłownie na mnie wiszą. Podmalowuję się i zwiążuję włosy w ciasny koński ogon, dzięki czemu chwilowo wygładzam zmarszczki na czole. Smarując usta błyszcznikiem, dochodzę do wniosku, że powinnam wziąć ze sobą jakąś błyskotkę, żeby mieć pretekst do wizyty u jubilera. Zaglądam do szkatułki z biżuterią, chcę wyłowić naszyjnik, który Paul sprezentował mi po ślubie: dwa przeplatające się łańcuszki z różowego złota, każdy z gołąbkami z rozłożonymi skrzydłami tak, że wyglądają, jakby leciały obok siebie. Nie ma go w szufladce. Przypominam sobie, że nosiłam go tamtego dnia, kiedy odwiedzili nas detektywi. Tylko co z nim zrobiłam? Wyjmuję garść splątanych naszyjników. Rozsupłanie tego kotłowiska wymagałoby czasu i cierpliwości, a niestety, i tego, i tego mi brakuje. Spoglądam na zegarek w telefonie – zostało półtorej godziny do zamknięcia sklepu.

Jadę bez świecidełka.



Nie spodziewałam się tak dużego ruchu. Dotarcie do celu zajmuje mi prawie dwa razy więcej czasu niż zwykle. Udaje mi się znaleźć miejsce parkingowe rzutem na taśmę przed zamknięciem sklepu. Na zewnątrz jest jeszcze jasno, ulica tętni życiem, wywołuje pierwsze ciepłe myśli o zbliżającym się lecie.

U jubilera pusto. Słyszę krzątanie na zapleczu, na które prowadzą przymknięte drzwi za kontuarem. Podchodzę do przeszklonych gablot i zerkam na delikatne naszyjniki z labradorytami, kamieniami księżycowymi

i opalami w misternych złotych lamówkach, pomysłowo wyeksponowane na kawałkach drewna wyrzuconego na brzeg morza. Rozglądam się po sklepie. Mam wrażenie, jakby od dwudziestu lat nic się tu nie zmieniło. Inna sprawa, że widziałam wewnątrz jedynie z ulicy, i to w nocy. Po ślubie przechodziłam tędy wiele razy, ale jakoś nigdy nie zajrzałam do środka.

Gdybym miała wybrać jeden weekend swojego życia, który uważam za najlepszy, wskazałabym ten, kiedy się pobieraliśmy. Było już późno, gdy natknęliśmy się na Illusions. Od kilku godzin spacerowaliśmy, trzymając się za ręce, i rozmawialiśmy. Zawsze miałam wrażenie, jakby wiecznie brakowało nam czasu na powiedzenie tego, co jedno chciało przekazać drugiemu. Byłam zachwycona, że Paul wreszcie odszedł od żony, zapukał do moich drzwi i upierał się, żebyśmy jak najprędzej wzięli ślub. Musieliśmy wprawdzie poczekać cztery miesiące na zakończenie sprawy rozwodowej, ale wprowadził się natychmiast. Rozglądaliśmy się za wspólnym mieszkaniem, a ja czułam się, jakbyśmy zaczęli od nowa, tym razem tak jak należy.

Po ceremonii w ratuszu pojechaliśmy samochodem na naszą działkę, rozbiliśmy namiot i planowaliśmy dom, który zamierzaliśmy tam wybudować. Pomimo żaru naszych ciał i wrześniowej wilgoci zateśkniliśmy za gorącym prysznicem i ciepłym łóżkiem. Następnego dnia rano natknęliśmy się całkiem niedaleko na uroczy pensjonat z wolnym apartamentem i szczodłą właścicielką, która dała nam specjalną zniżkę dla nowożeńców. Wydawało się, że los nam sprzyja na każdym kroku.

Wyszliśmy z pokoju dopiero późnym wieczorem, głodni po wyczerpujących miłosnych harcach przeplatanych snem. Jedynym otwartym sklepem okazał się 7-Eleven. Nakupiliśmy słodkich i słonych przekąsek, a potem krążyliśmy po mieście, objadając się i rozmawiając bez końca, aż wreszcie trafiliśmy na ławeczkę przed sklepem, w którym teraz stoję.

Kiedy już napchaliśmy się chipsami i ciastkami i popiliśmy to wszystko dużymi puszkami budweisera, stanęłam podchmielona, rozchichotana na czatach, a Paul schował się między budynkami i zaczął sikać. Wtedy moją uwagę zwróciła błyskotka na wystawie u jubilera. Chwiejnym krokiem podeszłam bliżej szyby, odsłaniając odlewającego się Paula. Jedynym podświetlonym elementem ekspozycji był kawałek cienkiej gałęzi, na której rozwieszono naszyjnik z gołębiami. Po chwili Paul objął mnie od tyłu, oparł brodę na moim ramieniu i zobaczył, co wpadło mi w oko. Staliśmy tak przez

dłuższy czas, nie odzywając się do siebie. Oboje byliśmy szczęśliwi, że nareszcie jesteśmy razem.

Rano obudziłam się w pustym łóżku. Zanim zdążyłam wpaść w dobrze znaną mi spiralę strachu, że Paul jednak wybrał byłą żonę, otworzyły się drzwi i zobaczyłam swojego męża z kawą, kwiatami i papierową torebką w zębach; była tłusta od ciepłych croissantów. Zjedliśmy w łóżku. Pośród maślanych okruchów, zadowolona jak nigdy, wtuliłam się w Paula i przymknęłam oczy. Miałam ochotę zamknąć te chwile w butelce, zachować na przyszłość. Poczułam, jak Paul zakłada mi naszyjnik i zapina zameczek. Kiedy otworzyłam oczy i przejrzałam się w lustrze obok łóżka, zobaczyłam dwa złote gołębie, które przysiadły na moim obojczyku.

Dotykam gołej szyi wiedziona wspomnieniem.

– O rety! Nie wiedziałam, że ktoś tu jest! Wydawało mi się, że przekręciłam klucz w drzwiach.

Kobieta, która wystawia głowę zza stosu kartonów, ma gęstą fioletową czuprynę, wielkie okulary i przesadnie zaskoczoną minę. Dałabym jej z dziewięćdziesiąt lat.

– Przepraszam, jeśli panią wystraszyłam. Myślałam, że jeszcze otwarte.

Stawia kartony na kontuarze.

– Właśnie miałam zamykać, ale jeśli obieca pani, że nikomu nie powie, pozwolę pani się rozejrzeć, kiedy będę sprzątała. – Kojarzy mi się z klasyczną postacią babci, tej, której nigdy nie poznałam.

– Bardzo dziękuję. Przyszłam, bo ostatnio był tu mój mąż i ciekawiło mnie, czy coś kupił. – Uświadamiam sobie, jak nieprzekonująco to brzmi. Szkoda, że nie wymyśliłam lepszej historii. Kobieta jednak uśmiecha się i posyła mi znaczące spojrzenie. – Przepraszam, wiem, że nie powinnam tego robić...

– Daj spokój, serdeńko. Nie ma pani pojęcia, jak wiele kobiet chce sprawdzić, czy ich chłopak albo mąż zafundował im coś wyjątkowego. Głównie chodzi o pierścionki. – Jej śmiech brzmi bardzo młodo, nie pasuje do wyglądu.

– Rzecz w tym, że zbliża się dwudziesta rocznica naszego ślubu, a ja nie mam pomysłu, co kupić mężowi. Nigdy nie potrafię mu dorównać pod względem klasy prezentów. Uznałam, że przyszedł do państwa, bo wie, jak przepadam za waszą biżuterią. Pomyślałam, że spróbuję wybadać, ile wydał.

Kłamstwa gładko płyną mi z ust. Kobieta uśmiecha się jeszcze szerzej i kiwa głową.

– A, rozumiem. Sprytnie. Ale wie pani, tradycyjnym prezentem na dwudziestą rocznicę jest porcelana, a tej nie sprzedajemy.

– Mąż na pewno nie kupiłby mi niczego porcelanowego. I zdecydowanie nie jest tradycjonalistą. – Śmieję się cicho. – Kiedy ostatnio byliśmy w mieście, posłał mnie po lody, a sam przyszedł tutaj. Nie zorientował się, że go widzę.

Zerka najpierw w lewo, potem w prawo, jakby była dilerką prochów, a ja jej klientką.

– W zasadzie to niedozwolone, ale jeśli poda mi pani nazwisko i powie, kiedy mniej więcej mąż nas odwiedził, to szybko zerknę w rachunki z tamtego dnia i sprawdzę, czy coś pasuje.

– Byłoby świetnie.

Odwraca się do komputera i siedząc plecami do mnie, klika myszką. Ekran ożywa. Litery są tak wielkie, że wyraźnie widać każde słowo.

– Jestem prawie ślepa – chichocze, najwyraźniej czytając mi w myślach. – Wnusio śmieje się ze mnie, że muszę wszystko brać pod lupę. Żeby pani zobaczyła mój telefon! Esemesy można przeczytać z sąsiedniego stanu. Jakie nazwisko, kochanieńka?

– Campbell. Gdyby pani zechciała sprawdzić ostatnie dwa tygodnie.

Czuję wibrację telefonu w torebce, ale nie sięgam po niego. Pocą mi się dłonie; wycieram je o dzinsy. Bark zaczyna pulsować tęnym bólem. Cała się spinam. Najchętniej łyknęłabym oxy, ale mam dość oleju w głowie, by tego nie robić, kiedy czeka mnie jazda samochodem po ciemku.

– No proszę! Miała pani rację! – triumfuje staruszka, a ja, stojąc przed kontuarem, doskonale widzę imię Paula. – Mam tu transakcję kartą kredytową na nazwisko, które pani podała. Jakie imię posiadacza i pięć ostatnich cyfr numeru karty?

– Paul. Zero zero zero zero osiem.

Właścicielka sklepu odwraca się do mnie i oznajmia, podnosząc głos o oktawę:

– Myślę, że będzie pani zadowolona. Kupił bardzo piękną biżuterię. I wydał na nią równie ładną sumkę. Proszę się nie obawiać, nie zepsuję pani

niespodzianki, powiem tylko tyle, że to specjalne zamówienie i że we wtorek zostanie pani dostarczone do rąk własnych. Och, ma pani na imię tak samo jak moja córka! Cudowny zbieg okoliczności. Teraz już nie mam wyrzutów sumienia, że nagięłam przepisy. – Mruga porozumiewawczo.

A może Paul rzeczywiście kupił coś dla mnie? Nie przyszło mi do głowy, że śledztwo doprowadzi mnie do samej siebie. Czyżby kolejny czuły gest, bylebym nadal żyła w nieświadomości, zadowolona i pod kloszem? Uwierzę, kiedy zobaczę.

Kobieta odwraca się plecami do ekranu, zasłaniając mi widok. Nie zdążyłam przeczytać informacji na rachunku elektronicznym. Pochyliłam się do przodu, celowo trącając łokciem pudełka na blacie. Spadają lawiną kartoników i tasiemek na podłogę po drugiej stronie.

– Ojej, przepraszam! Niezdara ze mnie!

Kobieta pochyla się, żeby pozbierać rzeczy, a ja wyciągam szyję do komputera.

– Nic się nie stało. – Babcia ustawia je na kontuarze. W jej głosie pobrzmiwa lekka irytacja.

Znajduję adres dostawy i już wiem, że biżuteria jednak nie przyjedzie do nas. Usiłuję skojarzyć nazwę ulicy i numer domu.

Kiedy ruszam właścicielce sklepu z pomocą, kobieta łagodnieje. Staram się zapanować nad głosem.

– Skąd właściwie pani wie, że mam tak samo na imię jak pani córka?

– Och, pani mąż zażyczył sobie grawerunek. Widziałam dedykację na zamówieniu: „Dana”. Uwielbiam to imię!

PAUL

Dzięki miesiącowi z Daną wszystko stało się dla mnie tak czytelne jak jeszcze nigdy dotąd.

Nie uświadamiałem sobie, do jakiego stopnia zamknąłem się na własne życie i osoby w nim obecne. Ze wznoszonych ścian i snutyh opowieści zbudowałem więzienie dla samego siebie. To się jednak zmienia. Wreszcie dotknąłem tej części mojego ja, z której istnienia nigdy nie zdawałem sobie sprawy. Dopiero Dana pomogła mi do niej dotrzeć, za co jestem jej wdzięczny.

Dzięki łączącej nas mocnej więzi poczułem się na tyle bezpieczny, by nareszcie odsunąć złudzenia i głupstwa, którymi karmiłem się przez wiele lat. Pęka skorupa fałszu. Staję się lżejszy. W końcu mogę swobodniej oddychać. Jestem gotów stanąć twarzą w twarz z samym sobą. Czuję ciężar własnej obłudy i rozpaczliwie chcę się go pozbyć. Już prawie mi się to udało – z jednym wyjątkiem.

Rebecca nie może się dowiedzieć. Jeszcze nie teraz. Niech nadejdzie odpowiedni moment. Muszę najpierw przepracować wszystkie szczegóły i w pełni zrozumieć swoją sytuację – dopiero wtedy ją wtajemniczę. Wyjaśnię, na czym polegają moje relacje z Daną i jak pomogła mi otworzyć oczy. Wiem, że żona mnie zrozumie.



Coraz rzadziej śnią mi się koszmary. Już nie jeżdżę pod osłoną nocy, żeby wykopywać ciała, które okazują się zwłokami mojej żony. A kiedy ostatni raz śniła mi się śnieżyca, wyglądała zupełnie inaczej niż dawniej.

Brnąłem przez śnieg. Tym razem miałem zimowe buty na nogach. Wyczułem czyjaś obecność za plecami, ale kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że śnieg zasypuje moje ślady. Ujrzałem las na skraju otwartej przestrzeni

i ruszyłem w tamtą stronę. Ukryłem się za grubym pniem ośnieżonego dębu i stamtąd śledziłem wzrokiem dwóch detektywów, którzy przeszli obok, nie zauważając mnie.

Obudziłem się u boku Rebekki po raz pierwszy, od kiedy wyzdrowiała. Z poczuciem ulgi obróciłem się na bok i mocno ją objąłem. „Kocham cię, gołąbeczku”, powiedziałem.

Mruknęła i wykonała ten swój uroczy gest, jakby odganiała muchę. Odwróciłem się na drugi bok i spałem smacznie aż do rana.



Wolcottowi i Silvestriemu chyba się znudziło i już nie weszła wokół mnie. Miałem wrażenie, że mignęli mi dwa tygodnie temu, kiedy wracałem do domu ze Smithtown, ale uznałem to za przywidzenie i zrzuciłem na fiksujące nerwy. Nie odwiedzili nas więcej, a od powrotu do pracy Rebecca też nie poruszała tematu. Cholernie się cieszę, że ci dwaj dali nam spokój.

Ekipa Javiera praktycznie już skończyła szkielet. Muszę przyznać, że zachrzanieli, aż miło. Okazuje się, że mają lukę w grafiku i będą mogli zostać dłużej, żeby pomóc mi przy dachu, elewacji i podłogach. Chłopaki naprawdę przykładają się do roboty. Nie bez znaczenia jest oczywiście fakt, że w weekendy płacę im półtorej dniówki. W takim tempie – jeśli hydraulicy, elektrycy i malarze niczego nie spieprzą – budowa powinna się zakończyć zgodnie z planem.

WOLCOTT

– Jak długo jeszcze mamy węszyć wokół tego palanta?

Siedzimy z partnerem w radiowozie. Zmierzcha.

– A co, Silvestri, świerzbi cię?

– Nie, poważnie pytam. Ciekaw jestem, ile szef będzie nam na to pozwalał.

– Na szczęście dla nas Suffolk jest ogólnie dość sennym hrabstwem.

– My to mamy farta.

Zaczęliśmy regularnie śledzić Campbella i jeździć za nim do domu w Smithtown.

– Cierpliwości, przyjacielu.

– Dwa tygodnie, Wolcott. Jebane dwa tygodnie, a wiemy tyle, że Campbell leci z żonką w kulki. Nic nowego, jeśli weźmiemy pod uwagę to, z kim mamy do czynienia. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby połączyć te fakty.

– No. Nawet Larry Holmes[4] by sobie poradził.

Silvestri zaczyna rechotać.

– Interesujesz się boksem?

– To w końcu sport dżentelmenów.

– Racja. Nie będzie ci przeszkadzało, że zjem kolację? Kiszki mi marsza grają.

– Nie krępuj się.

Silvestri sięga pod fotel po torbę. Wyjmuje słoik i odkręca go, uwalniając chmurę smrodu.

– O Jezu, człowieku. Nie miałeś nic świeżego?

– To tylko kapusta. – Wkłada porcję do ust i zaczyna powoli przeżuwać.

– Czasem się o ciebie martwię.

– Niepotrzebnie. Daję sobie radę. Chcesz spróbować?

Niedobrze mi na sam widok.

– Jeszcze czego!

– To *kimchi*. Sfermentowane warzywa.

– Wiem, co to *kimchi*. Lubisz takie rzeczy?

– Z chuja spadłeś? Straszne świństwo, ale dobre na kiszki. Probiotyki.

– Wierzysz w to?

– Święcie. Przecież to czysta nauka. Nic tak nie stawia człowieka na nogi jak prebiotyki i probiotyki.

– Prebiotyki? Pierwsze słyszę.

– Pomagają w trawieniu probiotyków. Żołądek pracuje w takiej jakby pętli. Wcześniej jadłem szparagi i czosnek, pamiętasz? Oba to świetne probiotyki.

– Hm. Skąd to wszystko wiesz?

– Z książek. Sporo czytałem, kiedy uczyłem się gotować. Miałem dużo wolnego czasu.

– Kiedy?

– Po odejściu starej.

– Ogarniała gotowanie, co?

– Nie, to ja rządziłem w kuchni, ale kiedy mnie zostawiła, nauczyłem się, jak jeszcze lepiej dbać o siebie.

– Hm.

Milczy przez dłuższą chwilę.

– Wcześniej wkurwiały mnie sosy. Po tym, jak się zwinęła, zrobiłem sobie bilans pewnych spraw. Zmieniłem niektóre nawyki. To nieodłączna część zdrowego stylu życia.

– Rozumiem. – Odwracam się, żeby spojrzeć partnerowi w oczy. – Jak sobie z tym radzisz?

– Z piciem? W porządku.

– Cieszę się.

– Patrz, patrz.

Podążam wzrokiem za jego spojrzeniem, które zatrzymuje się na werandzie przed domem. Ktoś włącza światło nad wejściem. Po chwili drzwi się

otwierają i wychodzi Paul Campbell w towarzystwie kobiety pod sześćdziesiątkę.

– Coś nowego – kwituje Silvestri.

Kobieta bierze Campbella pod rękę. Idą ścieżką w stronę podjazdu.

– Ciekawe – mruczę.

Zatrzymują się przy jeepie. Kobieta przytula Campbella i długo trzyma w objęciach. Rozmawiają przez chwilę, potem żegnają się cmoknięciem w policzek. Campbell wsiada do auta i włącza silnik.

– Kleją się do siebie – zauważa Silvestri. Spogląda na mnie szeroko otwartymi oczami. – Wygląda na to, że zauroczył mamusię.

– Chyba bardzo sobie ceni „życie rodzinne”. Gość jest pełen niespodzianek.

Kobieta macha odjeżdżającemu Paulowi na pożegnanie.

Zapalam silnik.

– Przekonajmy się, dokąd nas ta bestia zaprowadzi.



Jesteśmy w połowie drogi do Stony Brook, kiedy zaczyna dzwonić komórka Silvestriego.

– Detektyw Silvestri... Tak, tak... Co ty powiesz? Okej, świetnie... Jasne, dawaj. – Sięga do schowka, wyjmuje długopis i serwetkę z baru i zaczyna notować. – Kapitalnie... Mógłbym cię wycalować... Wielkie dzięki. – Rozłącza się i szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Co jest? – pytam.

– No więc mam dwie wiadomości: dobrą i złą.

– Dawaj złą.

– Zawsze wolisz najpierw usłyszeć złą wiadomość, a potem dobrą, czy tylko tym razem...?

– Gadaj, Silvestri, bo nie zdzierzę.

– Musimy zawrócić.

– Dokąd jedziemy?

– Do Huntington. Ktoś użył karty kredytowej Sashy Anders.



Motel jest raczej skromny. Nieduży, ale zadbane. W recepcji przyjmuje nas przyjaznym uśmiechem młoda, najwyżej dwudziestokilkuletnia kobieta.

– Witam w Huntington Inn. Życzą sobie panowie wspólny pokój?

Silvestri wskazuje mnie brodą i posyła dziewczynie celowo dwuznaczne spojrzenie.

– On by chciał...

Recepcjonistka zaczyna się śmiać. Pierwsze koty za płoty. Zerkam na plakietkę na jej piersi.

– Dobry wieczór, Gino. Jesteśmy z policji. Detektyw Wolcott, a to mój partner, detektyw Silvestri.

– W czym mogę panom pomóc? – Wyraz zaniepokojenia i brak podejrzliwości na twarzy Giny potwierdzają moje przypuszczenie co do charakteru przybytku, do którego trafiliśmy.

– Gino. Badamy sprawę zaginięcia pewnej osoby. Otrzymaliśmy informację, że kilka godzin temu ktoś użył tu jej karty kredytowej. Czy zechciałaby pani to sprawdzić?

– Ależ oczywiście. Jak ta osoba ma na nazwisko?

– Anders. Sasha A-N-D-E-R-S.

Dziewczyna przebiega palcami po klawiaturze.

– Mam. Sasha Anders. Zameldowała się na dwudniowy pobyt. Zapłaciła kartą. Dziś rano wyjechała tuż przed końcem doby motelowej.

– Czyli o jedenastej? – upewnia się Silvestri.

– Zgadza się. – Gina wpatruje się w ekran komputera, ściągając brwi. – Ach, no tak.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Chodzi o to, że... To było trochę dziwne.

– Co konkretnie? – wtrąca partner.

– Pamiętam, jak się meldowała. Bardzo ładna blondynka, świetny wygląd. Miała fenomenalną czerwoną torebkę Fendi, idealnie pod kolor kabrioletu jaguara, którym przyjechała. Była w czapeczce z Lotus Pedal. Sama też tam

chodzę na zajęcia z aerobiku na rowerkach. Zdziwiłam się, bo nie kojarzyłam jej z klubu.

– Aha.

– No więc zameldowała się jako jedyny gość w pokoju, spędziła tam trochę czasu, a po południu wyszła. Pożegnała się ze mną. Była niesamowicie uprzejma i w ogóle. Przez te dwa dni, które u nas mieszkała, kilka razy gdzieś wychodziła. Siedzę tu prawie na okrągło, bo Shannon, druga recepcjonistka, rozchorowała się, złapała grypę żołądkową czy coś. W każdym razie pani Anders zawsze wychodziła i wracała sama.

– Jasne.

– Dziś rano, kiedy się wymeldowywała, też nikogo z nią nie było. Ale gdy po jej wyjeździe sprzątaczką poszła do pokoju, ten wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado.

– Ach tak?

– Naprawdę. Okropnie. – Gina pochyła się nad kontuarem i dodaje z wypiekami na twarzy: – Bajzel jak po orgii.

– Hm. Proszę wybaczyć, jeśli to dla pani krępujące, ale... co to właściwie znaczy?

Recepcjonistka ścisza głos do szeptu, choć oprócz nas trojga nikogo tu nie ma.

– Maria, sprzątaczką, mówi, że wszędzie się walały opakowania po kondomach i lubrykantach, a pościel była rozrzucona po całym pokoju, po meblach i w ogóle. Maria znalazła też jakieś pigułki. Aha, i okazało się, że jedna lampa jest rozbita. Próbowaliśmy się dodzwonić do pani Anders, żeby ją powiadomić o obciążeniu karty za zniszczenia.

– Ma pani numer jej telefonu? – pyta Silvestri.

– Tak, podała, kiedy się meldowała, ale niestety jest nieaktywny.

Wyjmuję notes i długopis.

– Zechciałaby pani podyktować?

Zapisuję.

– Świetnie, dziękuję. – Wskazuję brodą kamerę skierowaną na stanowisko recepcji. – Czy na piętrze, gdzie mieszkała pani Anders, macie monitoring? Przekonalibyśmy się, kto ją odwiedzał.

– Kamery są, ale padł nam system. Przykro mi. Fachowiec przyjedzie dopiero jutro.

– No trudno. Czy rzeczy znalezione w pokoju pani Anders nadal znajdują się na terenie motelu?

– Lampa na pewno. Właściciele chyba będą próbowali ją wymienić.

– A śmieci?

– Nie, sprzątaczką wyniosła, zanim przyjęliśmy nowych gości.

Silvestri pochyła się nad kontuarem.

– A może śmietnik, do którego je wyrzuciła, nadal tu jest?

– Niestety – odpowiada Gina. – Kontenery zabierają około czternastej w każdy piątek, więc już po... – Nagle w jej oku pojawia się błysk. – Chwileczkę – szepcze. – Czy to znaczy, że szukacie DNA albo czegoś takiego?

– Bingo – kwituje Silvestri.

– Ale super – uśmiecha się promiennie.

– Gino, jest pani zadowolona z pracy w motelu? – pytam. – Bo w akademii na pewno przydałby się ktoś z pani talentem.

Lekko się czerwieni.

– Oj, niech pan da spokój.

– Przypomina pani sobie coś jeszcze?

Zastanawia się przez chwilę.

– Nie, to chyba wszystko. Zrobiła demolkę, ale poza tym była super, tak jak mówiłam. – Po jej twarzy powoli pełźnie niepokój. – Mam nadzieję, że nie jest groźna ani nic w tym stylu?

– Ależ skąd! Na pewno nie stanowi żadnego zagrożenia. – Sięgam do kieszeni i wyjmuję wizytówkę. – Mimo to prosimy o kontakt, jeśli znów ją pani zobaczy albo przypomni sobie coś, co mogłoby się okazać istotne.

Dziewczyna przyjmuje wizytówkę.

– Oczywiście.

Silvestri kładzie dłoń na kontuarze i mówi, lekko poklepując blat:

– Bardzo nam pani pomogła, Gino. Jesteśmy ogromnie wdzięczni.

– Nie ma za co. Bezpiecznej służby.

REBECCA

Minęły dwa tygodnie od mojej wyprawy do jubilera. Dwa tygodnie wstawania z budzikiem i ubierania się jak do pracy albo jak na zajęcia w klubie. Szykowania sobie lunchu, udawania, że czytam maile przy porannej kawie, zmyślenia bajek o długich i wyczerpujących spotkaniach. Czekam, co będzie dalej i czy Paul przyłapie mnie na kłamstwie, ale najwyraźniej jest zanadto pochłonięty własnym kręctwem, by zauważyć, że coś jest nie tak. Każdy dzień to walka o zachowanie pozorów powrotu do normalności. Paul jest zajęty, zaabsorbowany własnymi sprawami, ale też zachowuje się swobodniej niż jeszcze nie tak dawno i wydaje się jakby weselszy. Ja – wręcz przeciwnie.

Dom przestał być azylem. Nocą przeważnie leżę u boku Paula i nie mogę zmrużyć oka. Wyobrażam sobie, jak Sheila pełźnie po dywanie i zbliża się do mnie. Jeśli uda mi się przysnąć, budzę się o trzeciej nad ranem, a wrażenie, że ktoś kręci się po domu, każe mi zwlec się z łóżka i po cichu sprawdzić wszystkie pomieszczenia. Odsuwam zasłonę prysznicową, zaglądam za kotary w salonie, szukam intruzów w szafach i pod łóżkiem. Znajduję jedynie samą siebie – kobietę, której z każdym dniem coraz bardziej miesza się w głowie.

Chcąc się przekonać, jak bardzo szwankuje moje zdrowie psychiczne, codziennie przed położeniem się do łóżka robię telefonem zdjęcia wszystkich pomieszczeń, a następnie porównuję obraz z tym, co zastaję rano. Nie, nie zwariowałam. Drzwi i szafki, wieczorem zamknięte, teraz stoją otworem. Z kranów, których nie odkręcałam, leci woda. Okna nocą w tajemniczy sposób się otwierają, choć umyślnie je zamykałam i upewniałam się dwa razy, że to zrobiłam. Kilka razy słyszałam szelest, jakby ktoś powoli, ostrożnie poruszał się po domu, ale nie chciałam budzić Paula, bo wcale nie miałam pewności, czy te odgłosy istnieją poza moją głową. Któregoś ranka przeglądałam zdjęcia z poprzedniego wieczoru i na jednym za kotarą w salonie zauważyłam cień o ludzkich kształtach. Powiększyłam obraz, ale nadal nie potrafię zdecydować,

czy to nie jest po prostu zarys jakiegoś przedmiotu. Im dłużej wpatruję się w fotkę, tym wyraźniej widzę sylwetkę człowieka mniej więcej mojego wzrostu.

Walczę z potrzebą zwierzenia się Paulowi. Mój mąż wykazuje talent do odcinania się od niewygodnych myśli i rozmów. Sheila, detektywi, prawda na temat tego, jak spędza dnie – na to wszystko nałożył blokadę. Przekonałam się o tym po kilku kiepsko przespanych nocach, sporej porcji wina i jednym nadprogramowym percoecie. Trzymałam głowę na jego piersi, kiedy zasypiał. Wsłuchiwałam się w bicie jego serca i czułam, jak opada ze mnie część złości na niego.

– Paul?

– Mmmm?

– Wierzysz w duchy?

– Gołąbeczku, proszę cię...

– No co? Wierzysz w życie po śmierci?

– Nie.

– Ani trochę?

– Nic a nic. Nie wierzę też w sens marnowania czasu na gadanie o duchach, a co dopiero na wiarę w duchy.

– Nigdy nie rozmawiamy o takich rzeczach.

– Kotku, daj spokój. Przecież to dziecinny temat.

– A jeśli ktoś umrze gwałtowną śmiercią i utknie pomiędzy światem żywych a martwych, gdziekolwiek to jest? A jeśli...?

– Gdyby rzeczywiście było tak, jak mówisz, oboje powinniśmy regularnie widywać duchy.

– A jeśli ja je widzę, Paul?

– Gołąbeczku. Nie będę z tobą o tym rozmawiał.

– Właściwie już rozmawiasz.

– To głupie. Cokolwiek widziałaś, na pewno tylko ci się zdawało.

Nie poruszałam więcej tego tematu. Nie potrafię jednak zlekceważyć faktu, że od miesiąca dzieją się dziwne rzeczy. Znikają drobne przedmioty, a te, które wcześniej się zapodziały – wracają. W zeszłym tygodniu mój pierścionek zaręczynowy leżał na mydelniczce, tak jakby nikt go stamtąd nie

ruszał. Dziś rano naszyjnik z gołębiami odnalazł się w szkatułce, niesplątany, elegancko wyeksponowany na tle pozostałej biżuterii.

Dopiero po mniej więcej dwóch tygodniach dotarło do mnie, że może to Paul mną manipuluje, chcąc doprowadzić mnie do szaleństwa. Skoro potrafi kłamać i zatajać przede mną różne rzeczy, to zapewne jest też zdolny do zabawy kosztem mojej psychiki – a kiedy dopnie swego, stwierdzi, że całkiem mi odbiło, i wystąpi o rozwód. Czy to zemsta za to, że zabiłam jego kochankę? Że stanęłam na drodze nowej miłości? Im więcej się dowiaduję na temat drugiego życia Paula, tym częściej zastanawiam się nad tym, ile bym miała satysfakcji, gdybym go skrzywdziła. Czy on myśli to samo o mnie?

Jedyny plus tego, że jestem dręczona przez zjawy, to że zmuszają mnie do wyjścia z domu. Po każdej nocy w północy budzę się z niepokojem, wypatruję wschodu słońca i czekam, aż będę mogła uciec od zagrożenia, które czai się w naszych czterech ścianach – uciec po to, by z bezpiecznej odległości obserwować dom tamtej kobiety.



Za pierwszym razem zachowałam się nierozważnie. Wprowadziłam jej adres do pamięci nawigacji, nie myśląc o tym, że Paul mógłby go zobaczyć, gdyby postanowił wziąć mój samochód. Kiedy wychodziłam od jubilera, była już prawie dwudziesta. Usiadłam za kółkiem i jakiś czas później, zupełnie nie pamiętając jazdy, znalazłam się przed niemodnym budynkiem w stylu kolonialnym, którego elewacja domagała się odświeżenia. Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy. Znajdowałam się nie więcej niż osiem kilometrów od swojego domu. W środku paliło się światło i od czasu do czasu dało się zauważyć jakiś ruch. Nie widziałam samochodu męża, ale czułam, że to miejsce ma dla Paula szczególne znaczenie. Nagle, gdy tak siedziałam w ciemności, przyszedł mi do głowy pomysł, który dał mi zastrzyk energii i poczucie celu.

Następnego dnia rano wstałam i jak zwykle zaczęłam się szykować do pracy. Kiedy Paul wyszedł, zamówiłam ubera i pojechałam do jednego z sąsiednich miast. Poszłam do wypożyczalni samochodów i wynajęłam najbardziej nierzucający się w oczy ciemny wóz, jaki mieli w ofercie – w dodatku z przyciemnianymi szybami. Wszędzie: na ulicach, na parkingach, przed domami widziałam dziesiątki podobnych. Na eBayu kupiłam naklejkę

ubera z dostawą na następny dzień. Zdumiewające, jak łatwo udawać kogoś, kim się nie jest.

Z samego rana pojechałam pod jej dom i przesiedziałam tam cały dzień. Śledziłam trasę i wiadomości Paula, ale nie pojawiło się nic podejrzanego. Przed piątą po południu dotarło do mnie, że czatuję w aucie od prawie sześciu godzin bez jedzenia i toalety. Przez ten czas łykałam nieduże ilości xanaxu, ale odpuściłam sobie leki przeciwbólowe, bo wolałam nie ryzykować, że zasnę za kierownicą albo zostanę zatrzymana przez policję. Pojechałam zawiedziona na parking przy centrum handlowym, zostawiłam tam wypożyczony wóz, a potem, wracając uberem do domu, zastanawiałam się, czy jednak nie tracę kontaktu z rzeczywistością. Wstąpił we mnie nowy duch, dopiero kiedy Paul napisał do Dany, jak bardzo cieszy się na jutrzejsze spotkanie.

Tym razem zaparkowałam dalej od jej domu. Na widok nadjeżdżającego z drugiej strony jeepa cherokee wstrzymałam oddech. Paul wysiadł z auta, przecesał włosy palcami i ruszył w kierunku bocznego wejścia do budynku, obok garażu. Był wyraźnie podekscytowany, szedł tak, jakby nie mógł się czegoś doczekać. Patrzyłam, kiedy w progu stanie kobieta i rzuci mu się w ramiona. Nic takiego nie nastąpiło. Paul bez wahania przekręcił gałkę i wszedł do środka. Prostota, zwyczajność i naturalność tego ruchu sprawiły, że serce niemal wyskoczyło mi z piersi.

Kiedy w końcu mnie odetkało, a ręce przestały mi się trząść, włączyłam silnik i odjechałam. Wyobraziłam sobie, jak nowa kochanka Paula spogląda za okno i mówi, że od dwóch dni przed jej domem parkuje jakiś ciemny samochód. Na to Paul wybiega na ulicę i przyłapuje mnie na gorącym uczynku. Odegrałam sobie tę scenę w głowie ze wszystkimi szczegółami i zadrzałam na myśl o upokorzeniu. Oddalając się spod domu tej kobiety, przyrzekłam sobie, że nigdy tam nie wrócę.

Na widok znajomych twarzy w aucie zaparkowanym dosłownie kilkadziesiąt metrów od jej domu o mało nie wcisnęłam hamulca. Detektywi robili dokładnie to samo co ja jeszcze kilka chwil wcześniej. Przedtem nie zwróciłam na nich uwagi, bo zafiksowałam się na Paulu. Wzdrygnęłam się na myśl, że mogli mnie zauważyć, ale nie, byli całkowicie skupieni na budynku, spod którego odjechałam.

Ich obecność w pewnym sensie sankcjonowała prowadzoną przeze mnie obserwację. Paul był zarówno moim, jak i ich podejrzanym.



Znowu stoję pod jej domem. Wpatruję się w niego od kilku dni, a jeszcze ani razu jej nie zobaczyłam. Pragnę tego bardziej niż pigułek. Wiem, obiecywałam sobie, że nigdy więcej tu nie wrócę, ale nadal ciągnie mnie w to miejsce. Wiele już razy widziałam, jak Paul wysiada, zmierza do bocznych drzwi i wchodzi jak do siebie. Jakby tu, kurwa, mieszkał.

Do tej pory nie miałam dość odwagi, by poczekać, aż będzie wychodził. Dziś to zrobię. I będę tu stała, dopóki nie przyfiluję tej kobiety. Upięłam włosy i schowałam je pod peruką, którą kupiłam kilka lat temu na Halloween. Założyłam okulary z najciemniejszymi szklami, jakie udało mi się znaleźć, a sztuczne włosy przykryłam czapczką New York Yankees – nasunęłam ją na oczy tak, żeby daszek nie zasłaniał mi widoku. Niejasno dociera do mnie, jak daleko posunęłam się w swoich poczynaniach i że zachowuję się w sposób cokolwiek niezrównoważony. Kłamię na temat pracy, śledzę, obserwuję z ukrycia, a teraz jeszcze ten kamuflaż. W końcu dojdzie do tego, że sama przed sobą nie będę potrafiła usprawiedliwić własnego postępowania. To, co zaistniało jako obsesja, stało się elementem codzienności. Już nie rozpoznaję siebie, nawet bez peruki i okularów.

Rozglądam się za detektywami, ale ich nie widzę. Ciekawe, czy nadal przyglądają się Paulowi i co ich zdaniem kombinuje. Czy wiedzą o jego drugim życiu? Paul jako obłudnik nie łamie żadnego prawa, ale za to staje się mało wiarygodny. Praktycznie codziennie przyłapuję go na tym, że mija się z prawdą. Kłamię co do tego, dokąd jeździ i skąd wraca. Zastanawiałam się, czy nie wyruszyć za nim do Cold Spring Harbor, bo tam udaje się prawie każdego dnia, ale brakuje mi odwagi. To długi odcinek, a ja nie ufam sobie i boję się, że zatrzyma mnie policja.

Przeglądam gazety, szukając wieści o Sheili albo Sashy, ale historia ich zaginięcia ustąpiła miejsca doniesieniom o serii przedawkowań na wyspie, do których doszło w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Wyszła farmaceutyczna studnia, a ludzie w desperacji gaszą pragnienie czym popadnie. Codziennie napływa tak dużo złych wiadomości, że sprawa zniknięcia dwóch kobiet schodzi na dalszy plan.

Jest południe. To wcześniej, niż Paul się zwykle zjawia. Rozpracowałam jego grafik, którego trzyma się bardzo konsekwentnie. Nabrałam wprawdy w cierpliwym czekaniu i obserwowaniu. No, teraz mam dużo czasu. Zresztą od kiedy zostałam wysłana na zieloną trawkę, dowiaduję się wielu rzeczy

o sobie. Dociera też do mnie, jak dużym błędem było to, że dawniej bez przerwy pracowałam, nie potrafiłam się zatrzymać i przyjrzeć własnemu życiu. Cóż, nie ma tego złego...

Nie sądziłam, że tak bardzo spodoba mi się rola obserwatora. Przygotowując się do kilkugodzinnego oczekiwania, przeglądam pliki na swoim nowym laptopie. Szukam czegoś do posłuchania. Może audiobook o samodoskonaleniu? Albo jakiś podcast, który zmieni mój sposób myślenia? Decyduję się na dokument o sprawach umorzonych z powodu braku dowodów. Słuchanie o losach gorszych od mojego stało się dla mnie źródłem pociechy.

„Z reguły mężczyznami, którzy mordują swoje żony, kierują względy praktyczne. Na przykład mąż chce się uwolnić od małżeństwa, nierzadko z powodu romansu; często spotykanym motywem bywają również pieniądze, narkotyki bądź alkohol. Natomiast jeśli chodzi o mężobójczynie, to znacznie częściej popełniają zbrodnię w afekcie. W przypadku rodziny Strykerów mąż, Roy, kierował się wszystkimi tymi pobudkami naraz”.

Gospodarz programu od dziesięciu minut nakreśla tło zdarzenia. Nagle w lusterku wstecznym mojego auta pojawia się jeep Paula. Nadjeżdża z przeciwnej strony niż zwykle. Osuwam się na fotelu, żeby trochę się ukryć. Mija mnie, skręca na podjazd i parkuje przed garażem.

Wysiada z pogodną miną i podchodzi do tylnych drzwi auta. Siedzę jak na szpilkach. Paul wyjmuję znajomy przedmiot i opiera go o drzwi garażu. To tabliczka „Na sprzedaż” z jego nazwiskiem, numerem telefonu i podobizną na białym tle. Czuję chwilową ulgę. A więc przez cały ten czas przyjeżdżał tu do pracy. Oczywiście! Sprzedaje dom i dlatego regularnie spotyka się z jego właścicielką. Postanawiam nie skupiać się na biżuterii z grawerunkiem, która mnie tu przywiodła.

Paul sięga po szpadel i z wprawą wykopuje dwa wąskie dołki w trawniku na skraju działki. Z zadowoloną miną umieszcza w nich nogi tabliczki i dobija drewnianym młotkiem. Zabiera się do poprawiania naruszonej darni. Wtedy na podjazd wtacza się inne auto. Widziałam je tu kilka razy. Paul prostuje się i macha do kierowcy.

Z uśmiechem podchodzi do drzwi samochodu i pomaga wysiąść kobiecie. Zakładam, że to Dana. Wyższa od Paula i uderzająco piękna. Nie całują się na powitanie, ale mój mąż dotyka jej ramienia z taką poufałością, że ledwie to wytrzymuję. Idzie do bagażnika i zaczyna wypakowywać torby z zakupami,

po czym zanosi je do domu. Tymczasem kobieta otwiera tylne drzwi samochodu i po coś sięga. Razi mnie blask popołudniowego słońca, które odbija się od przedniej szyby jej wozu.

Paul znika w środku. Nieznajoma nadal nurkuje w aucie, jakby czegoś szukała. To daje mi czas, żeby się lepiej jej przyjrzeć. Jest bardzo szczupła, wręcz chuda. Ma na sobie eleganckie dzinsy i botki na obcasie. Kiedy w końcu się prostuje, to, co widzę, zapiera mi dech w piersi i sprawia, że serce przestaje bić.

Trzyma na rękach dziecko. Chłopczyk ma trzy, cztery lata, jedną dłoń wkłada do buzi, a palcami drugiej wczepia się w gęste czarne loki kobiety, które spływają jej na ramiona. Jest do niej bardzo podobny, ale włosy ma kilka odcieni jaśniejsze, zbliżone kolorem do włosów Paula. Nie, nawet nie chcę o tym myśleć.

Paul wychodzi z domu i zmierza w ich stronę. Nieznajoma się uśmiecha, a chłopiec klaszcze radośnie na jego widok. Kobieta stawia malca na ziemi, a wtedy ten biegnie w stronę czegoś kolorowego, co leży w trawie. Piłka. Paul i kobieta stoją obok siebie, rozmawiają, pilnują dziecka. Mały pomyka wokół nich jak pies zaganiacz, z każdym okrążeniem jest coraz bliżej. Paul rzuca jakąś uwagę i wybuchu śmiechem, cały się trzęsie. Kobieta jest co najmniej dziesięć lat młodsza ode mnie i nie wygląda, jakby kiedykolwiek nosiła w brzuchu dziecko i rodziła. Czuję, że nagle spada mi ciśnienie. Mam wrażenie, jakby spowił mnie mdlący czarny obłok.

Chłopiec biegnie prosto na Paula, nabiera takiego rozpędu, że nie jest w stanie się zatrzymać, i z całą siłą uderza o nogę mojego męża. Paul pochyła się i podnosi malca nad głowę, ku jego zaskoczeniu i radości. Kobieta się śmieje. A kiedy Paul i chłopczyk zaczynają się ganiać po trawniku i rzucać sobie piłkę, czarnowłosa piękność spogląda na telefon. Przestrzeń wokół mnie szybko się zamyka.

Paraliżuje mnie to, z jaką swobodą i uciechą mój mąż bawi się z dzieckiem. Boję się, że w napadzie klaustrofobii nie wytrzymam i zwymiotuję. Uchylam okno, kładę się w poprzek kabiny i głęboko oddycham, dopóki nie minie atak. Po wszystkim ocieram zimny pot z czoła i siadam prosto.

Dana – bo to najpewniej ona – podchodzi do Paula i podaje mu telefon, na który przed chwilą zerkała. Bierze chłopca na ręce, a Paul ustawia aparat do zdjęcia. Potem babka zbliża się do mojego męża i kładzie mu dłoń na ramieniu, on prezentuje jej fotografię. Zaraz pęknie mi głowa.

Paul wskazuje tabliczkę, którą przed chwilą ustawił. Na twarzy piękności malują się emocje: chyba zaskoczenie, ale też wyraźna ulga i zadowolenie. Dana podchodzi do Paula i go obejmuje. Chłopiec spogląda na matkę, po czym otacza rączkami nogi obojga. Śmieją się całą trójką. Wyglądają na szczęśliwą rodzinę. Której ja stoję na drodze do bycia razem.

Nie muszę słyszeć wypowiedzianych przez nich słów, by wiedzieć, co oznacza to, co widzę. Odpowiedzi na wszystkie moje pytania stają się jasne, wyraźne jak ta tabliczka przed domem.

– Paul ma drugą rodzinę – mówię na głos.

Dopiero teraz to do mnie dociera. Słowa odbijają się echem w mojej głowie i wracają zapętlone w krzyk. Ścis-kam kierownicę tak mocno, że bieleją mi kostki, i tak gwałtownie trzęsę się ze złości, że dzwonią mi zęby. Kobieta i jej synek zapraszają Paula do domu. Mój mąż wchodzi do środka, zamykając za sobą drzwi.

To oczywiste, że chce, abym od niego odeszła. Rozumiem też, dlaczego tego pragnie. Nie jestem paranoiczką. Grozi mi niebezpieczeństwo. Przez te wszystkie lata, kiedy z nim byłam i rezygnowałam z marzeń o rodzinie, on układał sobie życie z kimś innym. A teraz stoję mu na przeszkodzie.

Zabiję go.

PAUL

O mało dziś nie zginąłem.

Straciłem równowagę, kiedy siedziałem na dachu z Javierem i układałem gont. Gdyby Javier nie chwycił mnie za nadgarstek, poleciałbym za krawędź i spadł na stertę kamieni. Sam jestem sobie winien. Kursuję między budową, Daną, której staram się pomóc w sprzedaży nieruchomości, i domem, żeby Rebecca nie mówiła, że wiecznie mnie nie ma. I przyznaję, jestem totalnie padnięty. Dzięki Danie wyraźnie poprawiło się moje nastawienie, ale niestety nie zawsze udaje mi się pokonać dopadające mnie fizyczne zmęczenie. Ostatnio chwilami czuję się jak w delirium. Zresztą chyba nie tylko ja.

Któregoś dnia Rebecca obudziła mnie bzdurnymi pytaniami o duchy. Moja dotąd racjonalna żona wyraźnie traci panowanie nad sobą. Wiem, że stresuje ją praca i ten szef palant, ale bardziej mnie martwi jej zachowanie. Przez to, że się odnowiła rana w barku, Rebecca zaczęła brać więcej leków przeciwbólowych, a niedawno zauważyłem, że jest roztrzęsiona. Pewnie nie potrafi zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Zastanawiam się też, czy jej umysł czasem nie przywołuje tragicznych wspomnień z dzieciństwa. Ostatnio chorowała, wydawała się nadpobudliwa, do tego schudła i zmizerniała. Obawiam się, że jeżeli spróbuję z nią o tym porozmawiać, zamknie się w sobie i nie zdołam do niej dotrzeć. Mam coraz większą ochotę uciec od tego życia.

Poza tym, że niewiele brakowało, a spotkałaby mnie przedwczesna śmierć, budowa idzie jak po maśle. Trochę zaskoczyła nas pogoda – choć jest dopiero połowa maja, upał już daje się we znaki. Na szczęście do końca tygodnia powinniśmy się uwinąć z dachem. Przyjemnie będzie się przenieść do chłodnego wnętrza.

Na rynku nieruchomości chwilowo zastój w oczekiwaniu na początek letniego sezonu, dla mnie to akurat dobrze. Moim największym zmartwieniem jest teraz wymyślenie repertuaru wymówek, którymi będę się musiał

posługiwać, żeby przez najbliższych kilka miesięcy móc wymykać się na budowę i wykańczać dom. Ale jeśli wytrzymam jeszcze trochę, może uda mi się wszystko dopiąć.

31

SILVESTRI

– Słuchaj, czy ty i pani Wolcottowa macie jakieś plany na Dzień Pamięci Narodowej? – Wyłącznie dzięki klimatyzacji w radiowozie jestem w stanie spokojnie i bez zgrzytania zębami rozmawiać o początku lata.

– Pewnie pojedziemy na plażę. Moja pani to lubi.

– Pieprzysz.

– No co?

– Jakoś sobie nie wyobrażam ciebie wylegującego się na słońcu.

– Bo co, jestem albinosem?

– Nie, po prostu patrzę na ciebie i widzę Mister Rogersa[5] w tych jego cholernych rozpinanych sweterkach.

– No wiesz, skądś muszę brać witaminę D. Bo od siedzenia z tobą w tej puszce na pewno mi jej nie przybędzie.

– Podobno jestem jak promyk słońca.

– Jasne. Tego się trzymaj.

Nagle ożywa radio.

– *Zakłócenie porządku w aptece McNamara.*

– Znowu? Szlag. Gaz do dechy.



– Miło, że się zjawiliście, panowie – wita nas ulubiony aptekarz. Stoi na parkingu, tuż przed drzwiami. Nie cieszy się na nasz widok. Z wzajemnością.

Wysiadamy na rozgrzany beton.

– Leonardzie, przyjechaliśmy najszybciej, jak mogliśmy – mówi Wolcott.

– Uciekli, prawda?

– Jasne, jasne. Zabrała całe naręczce leków. – Odwraca się i rusza z powrotem do budynku.

– Ona? – odzywam się. – To coś nowego. Co konkretnie ukradła?

– To co zwykle – lamentuje Leonard. – Oxy, percocet, kilka opakowań demerolu.

– Było do przewidzenia – kwituje Wolcott. Zapisuje nazwy w notesie.

– Pieprzone towarzystwa nie chcą refundować najdroższych leków, więc zjeżdżają się wszystkie osiedlowe mamuśki na wschód od Ridgewood i rzną głupa, żeby im powtórzyć receptę na opioidy. Do tego białe chłopaczki, którym się wydaje, że są czarni, wymachują mi bronią przed nosem.

– Próbuje się z tym uporać. – Mój partner przewraca kartkę. – Jak wyglądała ta kobieta?

– Trudno powiedzieć. Wpadła z bandaną na głowie. Druga chustka zasłaniała jej twarz. Nie wiem, ile ta babka miała lat, może trzydzieści kilka. Wysportowana. Była ubrana, jakby wracała z jakichś zajęć.

– Uzbrojona? – dopytuję.

– Tak, miała pistolet. Zdecydowanie dla niej za duży. Zachowywała się jak wariatka i bałem się, że gnat jej sam wypali. Jezu.

Wolcott zamyka notes i spogląda na aptekarza.

– Dobrze, że nic ci się nie stało, Leonardzie.

– Tym razem mi się upiekło. Zastanawiam się jednak, czy nie sprawić sobie pukawki. Wiecie, tak na wszelki wypadek, dla ochrony.

– Wybij to sobie z głowy – nakazuję dobitnie. – Inaczej z rabunku zrobi się zabójstwo. Odpuść. Przecież jesteś ubezpieczony.

– Tak, gównu mi to daje – wypala ze złością.

– Słusznie podejrzewam, że jeszcze nie naprawiłeś monitoringu? – pytam.

Milknie na chwilę i piorunuje mnie wzrokiem.

– Byłem odrobinę zajęty sprawdzaniem, czy zostało mi wystarczająco dużo leków dla klientów, którzy za nie płacą...

– W porządku, zrozumieliśmy – przerywa Wolcott.

Leonard przygnębiony rozgląda się po swoim królestwie.

– Nie szukacie kogoś do pomocy w kostnicy? Zaczynam dochodzić do wniosku, że chyba wołałbym pracować z trupami.

Wolcott klepie go po ramieniu.

– Szepniemy o tobie słówko.

– Będę wdzięczny. – Patrzy na nas w zamyśleniu. – Najgorsze, że w kostnicy spotkałbym pewnie tych samych gości, którzy mnie okradają.



Wychodzimy z apteki i przecinamy parking, idąc w stronę radiowozu. Nagle odzywa się telefon mojego partnera.

– Detektyw Wolcott... Tak... Kiedy...? Za chwilę będziemy. – Rozłącza się i patrzy na mnie. – Jedziemy.

– Co się dzieje?

W kąciku jego ust pojawia się cień uśmiechu.

– Znaleziono zwłoki.

REBECCA

Jestem sparaliżowana.

– *Przestań walczyć.*

Spadają na mnie kaskady brudnego piachu. Usiłuję utrzymać głowę ponad szybko nawarstwiającą się ziemią.

– *Odpuść – odzywa się głos w ciemności.*

Chcę skapitulować. Nie mam już siły. Pokonały mnie zmęczenie i poczucie klęski. Poddaję się i opuszczam głowę na warstwę gruntu, którego poziom stale rośnie. Jestem wykończona.

– *Przepraszam – mamrocę z trudem. Ciężar, którego nie jestem w stanie zrzucić, przygniata mi pierś, miażdży żebra i wyciska powietrze z płuc.*

Kiedy ziemia zaczyna się wsypywać do moich ust, dostrzegam Paula. Stoi nade mną ze szpadlem w jednej ręce i tabliczką „Na sprzedaż” w drugiej. Z uśmiechem na ustach trąca czubkiem buta sporą grudę, która wpada do dołu.

– *Sama jesteś sobie winna.*

Robi mi się ciemno przed oczami.

WOLCOTT

Kiedy zajeżdżamy na działkę nad zatoką Smithtown, atmosfera w radiowozie jest elektryzująca. Nie odzywamy się, ale obaj z Silvestrim wiemy, czyje to ciało.

Podchodzi do nas przejęty żółtodziób.

– Funkcjonariusz Litman. Byłem pierwszy na miejscu. – Chłopak ma silny uścisk dłoni.

– Detektywi Wolcott i Silvestri. Co tu się wydarzyło?

Prowadzi nas do zwłok.

– Dziś rano kobieta wybrała się na jogging, przystanęła, żeby zawiązać but, zobaczyła, że coś wystaje z ziemi, i zadzwoniła do nas. Okazało się, że to dłoń.

– Coś takiego potrafi wytrącić z rytmu – stwierdzam. – W jakim stanie jest ciało?

– Wiadomo, że należało do kobiety, ale przez zaawansowany proces rozkładu trudno nawet zgadywać wiek. Jak widać, ktoś ją zawiązał w brezent i zakopał w płytkim grobie. Na moje oko leży tu mniej więcej półtora, dwa miesiące.

Wymieniamy z Silvestrim spojrzenia.

– Macie jakiś pomysł, kto to może być? – pyta Litman.

– Mniej więcej w tym czasie zaginęła osoba, której poszukujemy. Wezwano koronera?

– Już tu jedzie.

– Świetnie. Postarajmy się, żeby prasa nam nie przeszkadzała, dopóki nie zidentyfikujemy zwłok, dobrze?

– Tak jest! – odpowiada Litman.

– Dobra robota – chwałę funkcjonariusza i klepię go po ramieniu.

Odwraca się i odchodzi w stronę swojego radiowozu. Pochylamy się z Silvestrim nad brezentowym zwojem i odchylamy plandekę po tej stronie, gdzie widać kawałek głowy.

– Dobrze, że odpuściłem sobie dzisiaj śniadanie – stwierdza mój partner. – Matko.

– Myślisz o tym samym co ja?

– Zależy. Jeśli o tym, że powinniśmy dobrać się Paulowi Campbellowi do skóry, to owszem.

– Prawdziwy z ciebie telepata, przyjacielu.

REBECCA

Wiem, co muszę zrobić. Uświadomiłam to sobie dziś rano. Założyłam codzienny biurowy kostium, zrobiłam pełny makijaż i wyprostowałam włosy. Przebrałam się za elegancką przedstawicielkę handlową koncernu farmaceutycznego, tak jak każdego dnia, od kiedy zwolniono mnie z pracy. Paul wyszedł spod prysznic i zaczął się wycierać. Nagle skrzywił się z bólu.

– Co ci jest? – spytałam.

– Coś mi weszło w ramiona i plecy. To pewnie przez pogodę. Przyniesiesz mi plastry rozgrzewające? Są w mojej torbie.

Odgrywając posłuszną, kochającą żonę, podeszłam do torby i bez trudu znalazłam plastry. Obrzuciłam spojrzeniem jej zawartość i z pewnym niepokojem zauważyłam brak pistoletu w czerwonej bandanie. Konsternacja szybko ustąpiła pomysłowi, który nagle zaświtał mi w głowie. Był taki prosty... Aż dziw, że dopiero teraz na niego wpadłam. Największe wyzwanie to zdobyć potrzebne materiały. Będę musiała zakraść się do domu Marka pod jego nieobecność.



„Nie trzeba być jasnowidzem, by wiedzieć, że w tej okolicy umrze znacznie więcej osób”.

Nic nie widzę i nie mogę otworzyć oczu. Jestem mocno przypięta pasem do siedzenia. W samochodzie są ze mną jacyś mężczyźni. Powinnam spanikować, ale moim ciałem zawładnął cholerny błogostan.

„Na tym osiedlu wskaźnik śmiertelności w związku z narkotykami wzrósł siedmiokrotnie w stosunku do ubiegłego roku. Nie chodzi jednak wyłącznie o przedawkowanie. W tym samym czasie podwoiła się bowiem liczba zabójstw w hrabstwach Nassau i Suffolk. Sytuacja jest tragiczna”.

Palcami podciągam powieki. Razi mnie słońce. Przyglądam się sobie w lusterku wstecznym. Wycieram ślinę z brody. Na lewym policzku odbił mi się pas bezpieczeństwa. Jestem sama i po uszy nafaszerowana prochami.

„Nasz region zamieszkują tysiące silnie uzależnionych osób, które szukają najtańszego i najskuteczniejszego sposobu, aby zaspokoić głód narkotyków. Stawka, o jaką toczy się gra, stale rośnie”.

Ściszam radio, głosy zamieniają się w przyjemny szmer na granicy słyszalności. Wszystko dokoła jest miękkie i niespieszne. Kiedy orientuję się, gdzie jestem, do mojego krwiobiegu uwalnia się kolejna dawka błogiego zadowolenia. Siedzę w aucie zaparkowanym kilkadziesiąt metrów od domu Marka i Sashy. Gdy się tu zjawiłam, jego auto stało na podjeździe, co by znaczyło, że nie pojechał do pracy. Postanowiłam poczekać, aż wyjdzie, bo przecież kiedyś musi się stamtąd wynurzyć. Nic jednak nie wskazywało na to, aby zamierzał to zrobić wkrótce. W efekcie zasnęłam. Dająca mi się od pewnego czasu we znaki bezsenność sprawia, że w ciągu dnia oczy same mi się zamykają niezależnie od tego, czy biorę leki.

Nie mogę uwierzyć, że już wpół do szóstej. Przegapiłam okienko, straciłam szansę na wślizgnięcie się do Marka i powrót do domu o rozsądnej porze. Wściekam się na siebie, że nie potrafiłam nad sobą zapanować.

Sprawdzam lokalizację Paula i widzę, że jest w okolicy. Przeglądam jego korespondencję z Wesem – okazuje się, że na dziś zakończył prezentacje; Wes zamierza wcześniej rozpocząć weekend w Montauk. Z trudem udaje mi się skupić na ekranie telefonu. Myślę o beztroskich czasach, o paleniu ognisk na plaży i nocnych kąpielach. Wspomnienia szczęśliwych chwil przewijają się w mojej głowie, jakby należały do obcej osoby. Och, jak przyjemnie byłoby teraz popływać... Przypomina mi się, że Mark i Sasha mają basen, którym bardzo chętnie się chwala. Może gdybym wskoczyła na chwilę... Przenoszę się myślami do sceny na trawniku przed domem Dany i naraz całą euforię rozjeżdża walec gniewu. Nie wolno mi zapomnieć, co mnie tu sprowadziło.

Dzięki biadoleniu Sashy o tym, jaką to ma beznadziejną pamięć, zyskałam klucz do jej domu. W szatni Lotus Pedal zawsze starałam się zajmować sąsiednią szafkę, żeby poznać jej szyfr. Używała dnia i miesiąca swoich urodzin. W klubie pochwaliła się jednej ze swoich pochlebczyń, że cały system zabezpieczeń domu mąż podpiął pod wspólne hasło, którym jest jedyny ciąg cyfr, jaki ona jest w stanie zapamiętać. Wcześniej tak często

zdarzało jej się pomylić kod, że Mark miał już serdecznie dosyć odwoływania patroli, które przysyłała firma ochroniarska.

Wrócę tu jutro i złożę Markowi przyjacielską wizytę. Oby nie było go w domu.

SILVESTRI

– Kto, jeśli nie on? – pytam partnera.

– Nie wiem. Widziałeś, ile osób się tam przewija? – odpowiada Wolcott.

– No tak, ale proszę cię. Na pewno chodzi o Greene’a. To oczywiste jak okruchy na jego brzuchu. Gość wciąga wszystko jak odkurzacz.

Z pokoju socjalnego zginął bochenek chleba bananowego, który Abby, żona Wolcotta, upiekła dla całego komisariatu. Mój partner jest wkurzony.

– Nikt go nie oświecił, że wypadałoby się podzielić z innymi?

– Spokojnie. Później spuścimy mu paliwo z wozu. Czy dzięki temu poczujesz się lepiej?

Dzwoni jego telefon.

– Wolcott – rzuca. Nagle prostuje się w fotelu i posyła mi spojrzenie. – W porządku. – „Koroner”, mówi bezgłośnie i ze skupieniem słucha, co tamten ma do powiedzenia. Nadstawiam uszu. Przejęcie na twarzy Wolcotta ustępuje zdumieniu. – Ach tak? – Zerka na mnie i kręci głową. – Rozumiem. Dziękuję za szybki odzew. – Rozłącza się.

– Co jest? – pytam.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Dobrze, że siedzisz.

PAUL

– Nie mogę uwierzyć, jak świetnie nam idzie. – Oglądam gotowy dach.

– Tak, szefie – odpowiada z roztargnieniem Javier. Stoi z chłopakami wokół kozła do piłowania drewna i wsłuchuje się w głos dziennikarza płynący z przenośnego radia. Śniadanie leży nieruszone.

Za słabo znam hiszpański, żeby zrozumieć, o czym mowa, ale intryguje mnie ich głębokie skupienie.

– Co się dzieje? – pytam.

Javier nieznacznie obraca się w moją stronę, nadal nasłuchując doniesień.

– Znaleźli zwłoki kobiety nad zatoką.

O nie, Boże, proszę, nie. Ścisza mnie w żołądku. Dłonie zaczynają mi się trząść, a po chwili drętwieją. Zapach kanapek z kielbasą sprawia, że żółć podchodzi mi do gardła. Piecze mnie w przełyku. Tracę czucie w kończynach. Serce wali mi tak, że lada moment pogruchocze zebra.

– Dobrze się czujesz, szefie? – Javier kieruje na mnie całą swoją uwagę.

– Tak, tak. Zostawiłem coś w aucie. Zaraz wracam.

Ruszam w kierunku jeepa, z wielkim trudem trzymając się prosto. Kiedy jestem dwa kroki od wozu, dosłownie opadam na maskę i niemal osuwam się na ziemię. Usiłuję zapanować nad oddechem, żeby nie zemdleć. Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa. To się nie dzieje naprawdę.

Udaje mi się wgramolić za kierownicę. Sprawdzam telefon. Rebecca się nie odzywała. Pewnie pozostaje w błogiej nieświadomości, że niebo wali nam się na głowy.

Uruchamiam aplikację z newsami. Koniecznie w tej chwili muszę się dowiedzieć, co się dzieje – i jednocześnie boję się przekonać, jak bardzo mamy przejebane. To musi się skończyć katastrofą.

Jest. Najważniejsza wiadomość na wszystkich portalach. Przewijam stronę, potem wracam na samą górę i klikam pierwszy link. Artykuł z miejskiej gazety.

Ciało mieszkanki Long Island znalezione w płytkim grobie

Patrzę na zdjęcie pod tekstem, wracam spojrzeniem do nagłówka i znów spoglądam na fotografię. Czuję się tak, jakby przez mój mózg przetoczyło się tsunami. Stało się – oszalałem.

Zamykam oczy i mocno zaciskam powieki. Kiedy je otwieram, nadal wpatruję się w ten sam artykuł. A więc nic mi się nie przywidziało. To jednak prawda. Ale jakim cudem? Niemożliwe.

Pod nagłówkiem znajduje się kolorowe zdjęcie ofiary. Oto kobieta, którą policja znalazła zakopaną na działce nad zatoką Smithtown. Znam ją. A raczej znałem.

To Sasha Anders.

Część trzecia

REBECCA

Paul wpada do sypialni, wyrywając mnie z głębokiego snu. Wymachuje złożoną gazetą. Musiało się wydarzyć coś złego.

– Gdzie się podziewałaś? Od godziny próbuję się do ciebie dodzwonić! – Ma schrypnięty, drżący głos.

Usiłuję wygrzebać się z tej sadzawki, w której się zanurzyłam. Sen po fentanylu przypomina zapadanie w śpiączkę. Śniłam o Sashy i Sheili i dusiłam się z wściekłości. Wybudzam się, jednocześnie z trudem nakładając maskę dobrej żony. Nie wolno mi zapominać, że dla Paula nadal jestem kochającą, oddaną małżonką.

Nie potrafię określić, która godzina, bo zasłony są zaciągnięte. Nie pamiętam, jaki dziś dzień ani ile czasu spędziłam w łóżku.

Pewne jest tylko wzburzenie Paula.

– Przepraszam. Dostałam migreny, dlatego wyłączyłam dzwonek. Przepraszam, kochanie. – Pojęcia nie mam, gdzie się podział mój telefon.

Paul przysiadła na brzegu łóżka, kładzie dłoń na mojej nodze i wbija spojrzenie w podłogę. Znam tę jego pozę. Zaczynam się obawiać tego, co chce mi powiedzieć. Jestem jeszcze półprzytomna, ale dzięki kortyzolowi, który rozlewa się po moim organizmie, szybko odzyskuję koncentrację.

– Znaleźli ciało.

Ukłucie bólu w żołądku.

– Kurwa mać.

– Tam, gdzie je ukryłem... Natknęła się na nie jakaś biegaczka, ale...

Wczepia palce we włosy i zaczyna się kołysać do przodu i do tyłu. Dociera do mnie znaczenie słów, których Paul nie jest w stanie wydusić. Słyszę, jak Sheila szeptem podpowiada, że nas złapią.

– Spokojnie. Porozmawiajmy. Wiedzieliśmy, że może tak się stać. Teraz musimy się zastanowić, co dalej. – Jestem pod wrażeniem własnego opanowania wobec szalejącej we mnie paniki.

– Znaleźli ciało tam, gdzie zakopałem Sheilę, ale to nie ona! – wypala Paul.

Zamykam się w sobie. Znów się czuję jak mała dziewczynka karcona przez ojca.

– Bez sensu. Na pewno zaszła pomyłka.

– Policja nie popełnia takich błędów. Rusz głową. Te przeklęte pigułki tylko cię ogłupiają.

Boję się energii, która w nim buzuje. Paul wygląda, jakby miał ochotę mi przyłożyć.

Zwracam się do niego jak do zdiczającego zwierzęcia i staram się choć trochę go uspokoić. Trudne zadanie, kiedy sama jestem cała w nerwach.

– Skąd pewność?

– Ta kobieta nie zginęła od uderzenia w głowę, tylko została zastrzelona. – Ściska gazetę tak mocno, że bieleją mu kostki. Mięśnie twarzy układają się w ponury grymas.

Próbuję odsunąć się od niego tak, żeby tego nie wychwylił.

– Paul, czyje to zwłoki?

Teatralnym gestem rzuca na łóżko egzemplarz „The Independent Press”. Tuż nad zgięciem strony widnieje kolorowe zdjęcie Sashy.

Miejscowa kobieta zastrzelona i zakopana w płytkim grobie

Mam wrażenie, jakby nagle gazeta z wizerunkiem Sashy wypełniła całą wolną przestrzeń w pokoju. Sasha. Zastrzelona. Co on zrobił, do kurwy nędzy? Sasha nie żyje, jest pieprzonym trupem. Moje myśli biegną we wszystkich kierunkach naraz. Zaczyna mi się kręcić w głowie. Zbiera mi się na wymioty – i jednocześnie opada mnie ulga. Już nigdy więcej jej nie zobaczę ani nie poczuję się przy niej nieistotna. Nie potrafię uciszyć tego okropnego głosu, który właśnie się we mnie odzywa. Cieszę się, że umarła. Opieram się o zagłówek. Paul nawet nie zauważa mojej reakcji. Ciekawe, czy zorientowałby się, gdybym teraz wstała i poszła do łazienki wziąć odrobinę adderallu.

– To ciało Sashy. Zginęła w tym samym czasie co Sheila – mamrocze, a kiedy na mnie spogląda, widzę strach w jego oczach. – Kotku, to się nie trzyma kupy. Wykopałem dół i wrzuciłem do niego Sheilę. Jak to możliwe, że zamiast niej znaleźli Sashę? – pyta niemal błagalnym tonem, ale mam wrażenie, że robi to z delikatną przesadą.

Pomimo wywołanej lekami suchości w ustach przełykam ślinę – i czuję, jak ból przeszywa mi gardło. Odchylam głowę i zamykam oczy. W moim śnie Sheila powtarzała, że Paul zrobił coś złego. W tym stanie wolę uwierzyć martwej kobiecie ze snu niż własnemu mężowi, który od dawna zwodzi mnie i mami.

Siedzimy na łóżku blisko siebie. Jedno bacznie wpatruje się w drugie. Z pozoru wszystko, co składa się na Paula, jakiego znam, znajduje się na swoim miejscu, ale wiem, że brakuje czegoś niezwykle istotnego. Mój mąż wygląda inaczej, nie umiem jednak wskazać, o co konkretnie chodzi. Po prostu się zmienił, przeistoczył w człowieka zdolnego zabić. Paul błędnie odbiera moje badawcze spojrzenie jako troskę o niego i bierze mnie za rękę, żeby dodać mi otuchy. Staram się nie pokazać, jak bardzo mnie to brzydzi.

Trybiki w moim mózgu muszą wykonać kilka pełnych obrotów, zanim w końcu udaje mi się przepchnąć przez usta palące pytanie. Muszę uważać, żeby nie zabrzmiało oskarżycielsko, bo boję się Paula i nie wiem, do czego jeszcze jest zdolny.

– Słuchaj, skoro wykopali Sashę, to gdzie, do diabła, podziewa się ciało Sheili?

SHEILA

Najlepsze w byciu martwym jest to, że kiedy zaczynają się pojawiać trupy, nikt cię nawet nie podejrzewa.



Tamtej nocy u Paula i Rebekki umarłam nie po raz pierwszy.

Kiedy miałam pięć lat, matka zobaczyła, jak siedzę na podłodze w kuchni obok otwartej butelki środka owadobójczego. Zawsze zdradzała skłonność do hysterii, dlatego zamiast wezwać pomoc, wpadła w totalną panikę. Położyłam się obok niej i dziecięcą rączką dotknęłam jej ramienia. Zdawałam sobie sprawę, że stało się coś bardzo złego, ale nie wiedziałam, co robić.

Wcale nie połknęłam trucizny i aż do załamania matki czułam się doskonale. Kiedy na moich oczach rozpadła się na kawałki, udzieliło mi się jej napięcie i wraz z każdym spazmatycznym oddechem, jaki z trudem brała, moje ciało stopniowo nieruchomiało, aż całkiem zdrętwiałam. Ze wszystkich sił próbowałam poruszyć ręką albo nogą, żeby jej pomóc, ale byłam jak sparaliżowana. Leżałyśmy obok siebie skostniałe wspólną paniką. Kilka minut albo godzin później ojciec wrócił do domu i zadzwonił na pogotowie.

Kiedy przyjechała karetka, byłam już zupełnie sztywna i miałam tak słabe tętno, że z początku sanitariusze nie potrafili go wyczuć. Ojciec od razu obwinił matkę, że się zatrzymałam i znalazłam na krawędzi śmierci. Macierzyństwo już wcześniej dawało się we znaki jej wątltemu zdrowiu psychicznemu. Nie znajdowała niestety oparcia w ojcu, który wybywał z domu, kiedy mógł, a jeśli już zostawał, tyranizował otoczenie.

Atak nieznanego schorzenia na tle nerwowym w połączeniu z zastrzykiem z atropiny, który miał zneutralizować działanie środka owadobójczego, jeszcze bardziej spowolnił mi tętno, tak że stało się praktycznie niewyczuwalne. Lekarz pogotowia – w jedenastej godzinie swojego dyżuru – orzekł, że

zmarłam w drodze do szpitala. Nie wiem, jak zareagował mój powściągliwy ojciec. Zastanawiałam się, czy trochę mu nie ulżyło. Byłam jeszcze mała, ale już wyczuwałam jego niechęć do mnie. W tym samym czasie w innej części szpitala faszerowano moją matkę środkami uspokajającymi.

Obudziłam się nakryta prześcieradłem i nieświadoma otoczenia. Widziałam krążące nade mną cienie. Kiedy usłyszałam skrzywienie kółek toczących się po podłodze, po raz drugi tamtego dnia ogarnął mnie strach i uświadomiłam sobie, że dzieje się coś bardzo złego. Zgięłam palce u rąk i nóg, poruszyłam nimi w przelotnym poczuciu ulgi z odzyskania władzy w kończynach, po czym zaniosłam się krzykiem i zaczęłam wierzgać pod całunem. Do tej pory się zastanawiam, czy sanitariusz, który wiozł mnie do kostnicy, kiedykolwiek doszedł do siebie po tym, jak pięciolatka ożyła mu na wózku.

Skonsultowano się ze specjalistami, między innymi z uniwersytetu. Jeden z nich wpadł w entuzjazm z powodu wyjątkowości mojego schorzenia. Okazało się, że reakcja matki na mój widok przy środku owadobójczym uruchomiła we mnie mechanizm zaburzenia lękowego, określanego mianem katalepsji – nazwa brzmiała tak, jakby wymyśliło ją dziecko. Kiedy następuje atak, mięśnie sztywnieją, a oddech i puls słabną do tego stopnia, że stają się niemal niewyczuwalne. W stanie kataleptycznym zmniejsza się również wrażliwość na ból – właśnie ten czynnik przesądził o tym, że przeżyłam tamtą noc u Paula i Rebekki. Pomogło również okropne zimno, ale o tym później.

Ojcem targwały tak skrajne emocje, że kiedy odwiedził mnie po wybudzeniu, wydał mi się skorupą bez życia. Nie sprawiał wrażenia poruszonego moim wskrzeszeniem – wyglądał raczej, jakby przysporzyło mu ono kłopotu. Zaczekał, aż lekarze wypiszą nas ze szpitala, a potem odwiózł matkę i mnie do domu. Wsiadłyśmy z samochodu, a on nawet nie zgasił silnika; odjechał, nie oglądając się za siebie. Chciałabym móc powiedzieć, że od tamtej pory zaczęło nam się lepiej układać. Nic z tego.

Trzy razy porzucali mnie mężczyźni. Dwa razy umierałam. Co mnie zabije, to mnie wzmocni.

WOLCOTT

– Czy to oznacza, że przez cały ten czas węszyliśmy dokoła niewłaściwego drzewa? – Włączam się do ruchu na autostradzie i zerkam na Silvestriego, oczekując od niego zapewnienia, że myśl, która nie daje mi spokoju, mija się z prawdą i że wcale aż tak grubo się nie pomyliliśmy.

– A cholera wie. – Wzrusza ramionami.

– Spróbujmy się dowiedzieć, kto podawał się za nieboszczkę. Powinniśmy zyskać punkt zaczepienia.

– Zgoda – bąka z roztargnieniem mój partner.

Ciało Sashy Anders znajdowało się w fazie tak daleko posuniętego rozkładu, że nie udało się uzyskać czystej próbki DNA. Badanie porzuconego auta Sheili Maxwell również nie zaowocowało żadnymi nowymi tropami. Teorie, które rozważamy, coraz bardziej się gmatwają. Mam wrażenie, jakbym chodził w gęstej mgle. Im dłużej zajmujemy się tą sprawą, tym mniej sensu w niej dostrzegamy; zadajemy pytania, które pozostają bez odpowiedzi.

– Byłem przekonany, że wiem, kogo pochowano w tym grobie. Tymczasem wykopaliśmy zupełnie inną osobę.

– Wierz mi, nie tylko ty się zdziwiłeś – zapewnia Silvestri. – Ale zakładaliśmy również, że Sasha Anders wyjechała i szasta pieniędzmi męża.

– Właśnie. Wydawało się, że wszystko pasuje. Ale teraz... już nic nie kumam.

– Dobra, spróbujmy po kolei. Musimy wziąć pod uwagę udział Marka Andersa.

– Racja. Twoim zdaniem pieniądze odgrywają w tym wszystkim większą rolę, niż przypuszczaliśmy?

– Często tak bywa. Stres w pracy? Romans?

– Możliwe. – Zastanawiam się. – Jego czy jej?

– Hm. Myślisz, że Anders posuwa którąś ze swoich pracownic? To mogłoby zmienić postać rzeczy. Albo to ona przyjmowała nadprogramowych gości. Znudzona żona, mąż nie okazuje zainteresowania...

– Albo oboje uprzyjemniają sobie czas na własną rękę.

– Słusznie. – Silvestri rozważa opcje. – Uważasz, że jest w tym wszystkim miejsce dla Campbella?

– Wydaje się zdolny do takiego układu. Po prostu pomyliliśmy się co do tego, z kim to robi.

– No tak. A gdybyśmy założyli, że drań wykończył obie? Że tutejsze kobiety, które zawiesiły oko na Paulu Campbellu, lądują w piachu albo znikają bez wieści?

Rozważam to przez chwilę.

– Trójkąt miłosny?

– Brawo! Zaraz... O kurwa, a jeśli to Sheila zabiła? Dowiedziała się o igraszkach Campbella z Sashą Anders i puściły jej nerwy.

– Hm, o tym nie pomyślałem.

– Ma podejrzaną przeszłość, wiesz, ta sprawa z utonięciem męża. Kiedy odkryła, że Campbell kręci z inną, straciła panowanie nad sobą i...

– No dobrze, ale w jej przypadku wiele jednak wskazuje na próbę celowego zniknięcia. Porzucone auto, blokada karty kredytowej, niezapłacone rachunki.

– Chyba że musiała w pośpiechu wyjechać z miasta.

– Niech ci będzie. Zostawiła wóz na parkingu, żeby upozorować zaginięcie i nas zmylić.

– Może jednak Campbella rzeczywiście coś łączyło z obiema, ale sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Racja. Pytanie za milion brzmi zatem: czy Sheila Maxwell dała nogę, czy też powinniśmy szukać kolejnego ciała?

– Jezu, ale szambo.

Zapada milczenie, pogrążamy się w myślach. Mierzi mnie to śledztwo. Coś sobie zakładamy, wydaje nam się, że wszystko się spina, a tu nagle całą teorię trafia szlag.

Kiedy w końcu się odzywam, zaskakuje mnie wahanie, które słyszę we własnym głosie.

– Wiesz co? Jedna rzecz nie daje mi spokoju.

– Co takiego?

– Kiedy przesłuchiwałem Campbella, wydawał się autentycznie niewzruszony faktem zniknięcia Sashy Anders. Zapamiętałem to jako jeden z najbardziej szczerych momentów w naszej rozmowie. Uznałem wtedy, że nic go z nią nie łączy.

– Campbell to zaprawiony w boju łgarz. Kto wie, może nawet jest chorobliwym kłamcą. Albo, cholera, nie chciał, żebyśmy się zorientowali, że nadal coś do niej czuje.

Zaczynam rozważać tę ewentualność. Nagle dzwoni mi komórka. Wydobywam ją z kieszeni i odbieram połączenie.

– Detektyw Wolcott. – Głos w słuchawce należy do osoby, którą miałem nadzieję usłyszeć. – Właśnie się wybieramy. – Daję partnerowi znak głową. Od razu poprawiają nam się nastroje. – Zaraz będziemy.



– Witam w Huntingt... O, panowie detektywi! – Gina urywa i rozgląda się, czy na pewno jesteście sami.

– Dzień dobry, Gino. Bardzo się cieszymy, że postanowiła pani się odezwać. – Uśmiechnięci podchodzimy do kontuaru.

Dziewczyna aż drży z przejęcia.

– Przeczytałam w gazecie o tym trupie i uznałam, że koniecznie muszę do panów zadzwonić!

– Tak czuliśmy, że nasza ulubiona kandydatka na policjantkę coś sobie przypomni – zanecha Silvestri. – Zamieniamy się w słuch.

– No więc widzę na pierwszej stronie nagłówek i zdjęcie ładnej kobiety, zaczynam czytać artykuł, dochodzę do jej nazwiska... i coś mi się nie zgadza.

– Co konkretnie się pani nie zgadza? – pytam.

– Pamiętam nazwisko z waszego śledztwa, ale to nie ona.

Zdezorientowany spoglądam na partnera, potem znów na Ginę.

– Jak to?

– No, na zdjęciu w gazecie jest Sasha Anders, jasne, ale to nie ona się u nas zameldowała.

– Rozumiem. Poprzednim razem już podała nam pani rysopis klientki, która wynajęła tu pokój jako Sasha Anders, ale może przypomina sobie pani coś jeszcze? Nie rzucił się pani w oczy jakiś szczegół?

– Niech pomyślę. Blond włosy. Wspominałam o czapce, prawda?

– Owszem.

Na długą chwilę zawiesza spojrzenie na blacie kontuaru. Mruży oczy w skupieniu.

– To znaczy, była bardzo podobna do tej na zdjęciu, ale to nie ona. – Ściąga brwi. – Szczerze mówiąc, wiele kobiet, które u nas nocują, niczym się nie wyróżnia. Wiem, jak to brzmi, ale czasem mam wrażenie, że gdyby podstawić jedną w miejsce drugiej, nikt by się nie zorientował.

Uśmiecham się znacząco do partnera.

– Zauważyliśmy.

Nagle recepcjonistka otwiera szerzej oczy.

– A odkażanie? Mówiłam wam o odkażaniu?

– Na pewno nie – ożywia się Silvestri.

– Aha. To musiało być po waszej pierwszej wizycie. Szefostwo wezwało firmę do odkażania, bo pokój koszmarnie śmierdział dymem z cygara.

Zerkam na partnera, po czym zwracam się do Giny:

– Ma pani świetną pamięć. Bardzo nam pani pomogła.

– Cieszę się. Nadal uważacie, że się nadaję do szkoły policyjnej?

– Chętnie szepniemy za panią słówko – odpowiada Silvestri.

– Jesteście super!



Pomimo gorąca bijącego od asfaltu na parkingu wyłazimy z Silvestrim ze skóry, żeby jak najszybciej dostać się do radiowozu.

– Złożymy wizytę naszemu ulubionemu miłośnikowi cygar? – pytam.

Silvestri kręci głową z niedowierzaniem.

- Anders musi mieć tupet, żeby pokazywać się z dziewczyną udającą jego żonę, kiedy ta leży w ziemi...
- Zapytajmy go o to.

SHEILA

Był taki czas, kiedy powiedziałabym, że oddałabym życie za Paula. Ale przecież często wygadujemy bzdury, gdy miłość pozbawia nas zdrowego rozsądku. Przyznaję, zdarza mi się zbyt mocno angażować w związek, lecz z Pauliem było inaczej. Na poważnie. Przeszkodziły nam pewne wydarzenia i nie zdążył sobie w pełni uświadomić, co do mnie czuje. Skoro ja mogłabym za niego umrzeć – skoro umarłam – to chyba wypadałoby, żeby zrobił to samo, prawda? Ale nie wybiegajmy zanadto do przodu.

Na pewno nie przypuszczałam, że wypadki w moje urodziny potoczą się tak, jak się potoczyły, że skończę zawinięta w plastikową płachtę i wyrzucona jak worek śmieci. Uważam jednak, że jest w tym jakiś element poezji, że zostałam zamordowana przez żonę kochanka w dniu moich trzydziestych piątych urodzin. Autorzy poradników, w których szukałam pociechy i wiedzy, zawsze obiecująco przekonywali, że nawet najbardziej bolesny koniec jest zarazem początkiem czegoś najpiękniejszego. Nie myślałam o takich rzeczach, kiedy ocknęłam się w ciemności zakutana w zimny plastik. Skupiłam się wyłącznie na tym, jak się uwolnić z kokonu, w którym zostałam uwięziona, zanim zamarznię albo się uduszę.

Na szczęście zwinęli mnie w taki sposób, że głowę miałam odchyloną do tyłu, co wprawdzie przełożyło się na ból karku, ale przynajmniej dało pewną swobodę ruchu i pozwoliło zaczerpnąć powietrza. Oddycham płycej niż większość ludzi. Reakcja kataleptyczna na wydarzenia w sypialni Paula i Rebekki pomogła mi przetrwać, kiedy straciłam przytomność i wolny dostęp do tlenu. To, że wyszłam z tego cało, zawdzięczam również niskiej temperaturze. Jak na ironię, tamtej nocy Paul nieświadomie znacznie zwiększył moje szanse na przeżycie. Kiedy czyjeś serce przestaje bić – albo przynajmniej spowalnia pracę do tego stopnia, że wydaje się, jakby stanęło – wówczas obniżenie temperatury ciała skutkuje odpowiednio mniejszym

zapotrzebowaniem komórek na tlen, co z kolei odracza śmierć. Pozostawienie mnie w lodowatej piwnicy prawdopodobnie uratowało mi życie.

Nie zamierzałam jednak iść dziękować Paulowi.

Gdy oprzytomniałam, spanikowałam i zaczęłam hiperwentylować. Na szczęście szybko udało mi się wziąć w garść. Jeśli masz awersję do leków normalizujących zaburzenia nastroju i cierpisz na schorzenie, które uaktywnia się pod wpływem dużego stresu, to nie masz wyjścia, musisz się nauczyć alternatywnych metod panowania nad sobą, inaczej życie będzie ci upływało pod znakiem śmiertelnej paniki. Nabrałam jak najwięcej powietrza i policzyłam do pięciu, a potem wypuściłam je, licząc do dziesięciu. Z każdym wdechem skorupa wokół mnie zaciskała się jak gorset. Z każdym wydechem czułam, jak odrobinę spada mi tętno.

Na tym etapie byłam jeszcze zbyt zdezorientowana, by odtworzyć niedawne wydarzenia. Ostatnia rzecz, jaką wyraźnie zapamiętałam, to decyzja, że wezmę taksówkę i pojedę do Paula. A wcześniej zamiast zjeść urodzinową kolację opróżniłam butelkę drogiego czerwonego wina. Przedstawiałam sobą żałosny widok, kiedy wystrojona siedziałam sama przy stoliku w swojej ulubionej restauracji, tej samej, w której pierwszy raz zobaczyłam Paula, a moje łzy skapywały do nietkniętego risotta.

Uznałam wtedy, że nie ma innego sposobu – jeśli chcemy ułożyć sobie życie razem, muszę stanąć twarzą w twarz z Rebeccą i wyjawic charakter swojego związku z jej mężem. Wszelkie wątpliwości i podszepty rozsądku wyciszyła zmieszana z merlotem adrenalina, która szalała w organizmie, kiedy wkładałam do zamka skradziony klucz. Duff podbiegł i radośnie polizał moją dłoń, co jedynie utwierdziło mnie w przekonaniu, że to miejsce należy do mnie. Powtarzałam to sobie, wyjmując pistolet Paula z torebki i zacierając na górę. Z bronią w ręku czułam się silna. Nie wiedziałam jeszcze, co zrobię, kiedy wejdę do ich sypialni, ale zdawałam sobie sprawę, że gdy już się tam znajdę, Paul nie będzie mógł mnie dłużej ignorować.

Leżąc na twardym podłożu, zaczęłam się kołysać na boki, najpierw lekko, potem coraz śmieiej, żeby się przekonać, jaki mam zakres ruchu w tym swoim więzieniu. Z ulgą stwierdziłam, że po obu stronach jest całkiem sporo miejsca. W dodatku kokon okazał się niezbyt szczelny. Obróciłam się w prawo i wymacałam gładki brzeg szwu tam, gdzie kończył się plastikowy materiał. Potężny, przesywający ból promieniował z głowy na całe ciało. Potwornie bolały mnie plecy od leżenia na płaskiej, twardej powierzchni, zdaje się, że na

betonie. Zresztą to i tak lepiej, niż gdyby mnie rzucił na przykład na świeżo przekopaną, ubitą ziemię.

Zawsze byłam dość gibka i silna jak na kobietę mojej postury. Tamtej nocy pomyślałam, że może wreszcie opłacać mi się te wszystkie ćwiczenia wzmacniające, które wykonywałam prawie każdego dnia, nie wiedząc oczywiście, że wykorzystam je do walki o życie. Zaprężyłam energię skumulowaną w mięśniach brzucha i tyłka i zaczęłam się jeszcze mocniej kołysać. Udało mi się wykonać pół obrotu w prawo. Wylądowałam twarzą do ziemi. Nadal nic nie widziałam. Zrozumiałam jednak powagę swojego nowego położenia, kiedy krew z tyłu głowy przepłynęła na przód i czaszka wybuchła nowym bólem. Nie byłam w stanie zbadać rany, bo nie mogłam podnieść rąk, ale czułam ją od środka.

Doszłam do wniosku, że jeśli nie natrafie na żadną przeszkodę, może zdołam się dosłownie wywinąć z tego plastikowego opakowania. Nie wiedziałam jednak, czy nic mi nie zagrozi, kiedy zacznę się turlać – bo przecież mogłam się znajdować piętnaście metrów nad ziemią w nieukończonym budynku, a wtedy nieświadomie rzuciłabym się w dół. Wyciągnęłam szyję w stronę otworu w kokonie i czekałam, aż moje oczy przyzwyczają się do ciemności. Nic się nie zmieniło, nie pojawiły się żadne kształty. Potworne uczucie, gdy masz wrażenie, że ktoś wyłączył większość twoich zmysłów. Węch i słuch też nie działały. Raptem zdałam sobie sprawę z braku dźwięków otoczenia. Gdybym leżała w pustym budynku wysoko nad ziemią, zapewne słyszałabym wiatr, a może nawet szum wody, jeśli Paul porzuciłby mnie gdzieś blisko oceanu.

Instynktowna wola przetrwania jest znacznie silniejsza od racjonalnego myślenia. Nieważne, że nie wiedziałam, gdzie jestem, i że bałam się upadku, moje ciało i tak zaczęło się toczyć. Każdy wyczerpujący ruch wywoływał fale bólu, ale wraz z kolejnymi obrotami, kiedy zrzucałam z siebie warstwę plastikowego płaszcza, tak jak wąż pozbywa się starej skóry, rosła we mnie nadzieja. Ona dodawała mi energii. Kiedy dotarłam do ostatniej powłoki oddzielającej mnie od świata zewnętrznego, wreszcie zdołałam oswobodzić ręce.

Zapłakałam – z ulgi i nad własnym losem. Nad tym, co mi zrobili i gdzie skończyłam. Po chwili ulga przeszła we wściekłość, ta zaś okazała się motorem dalszego działania.

Gdy ostatecznie uwolniłam się z kokonu, powoli wyprostowałam plecy i usiadłam. Poczułam oślepiający ból, którego iskrę wzięłam za blask światła; nic z tego, nadal spowijała mnie nieprzenikniona ciemność. Moje oczy nie potrafiły się do niej przyzwyczaić, przez co nie mogłam rozeznaczyć się w otoczeniu. Siedziałam na zimnym betonie – to na pewno – twardym i bezlitosnym dla mojego obolałego ciała. Zaczęłam przesuwając dłoń po głowie i na linii włosów wyczułam guz wielkości pomarańczy, który przeszywał prądem, ilekroć go dotykałam. Przebłysk wspomnienia: przedmiot w ręku Rebekki, młotek – teraz miałam go wyraźnie przed oczami. Dobrze, że nie uderzyła mnie w delikatniejsze miejsce, na przykład w potylicę.

Euforia z odzyskania swobody ruchów nie trwała długo, szybko ustąpiła panice i bólowi. Zdawałam sobie sprawę, że w najlepszym razie doznałam wstrząśnienia mózgu. Obmacałam głowę – była sucha, nie kleiła się, a więc krew mi nie leciała. To dobrze. Ale naczytałam się wystarczająco dużo o obrażeniach czaszek u sportowców, by wiedzieć, że często najpoważniejsze urazy wcale nie objawiają się krwawieniem. Położyłam się na boku i podciągnęłam kolana pod brodę jak małe dziec-ko, by spróbować przegnać z myśli uporczywy obraz krwotoku na zdjęciu z tomografu.

Zaczęłam się obmacywać, żeby sprawdzić, czy nie jestem ranna, i zdziwiona odkryłam, że wciąż mam przy sobie torebkę, którą przewiesiłam przez ramię, wychodząc z domu. Wyjęłam telefon z kieszonki. Kolejny przypływ nadziei: okazało się, że zostało jeszcze trochę baterii. Musiałam zmrużyć oczy, bo inaczej oślepiłby mnie blask wyświetlacza. Zerknęłam na wskaźnik zasięgu – brak kresek. Nagle zorientowałam się, że widzę podwójnie, i zrobiło mi się niedobrze. Włączyłam latarkę w telefonie, snopem światła omiotłam otoczenie. Znajdowałam się w piwnicy zamienionej w skład drewna. Ściągnęłam grubą płachtę z jednej ze stert i zarzuciłam ją sobie na plecy, żeby się rozgrzać. Potem zawlekłam się do schodów, od których dzieliły mnie dwa kroki.

Zaczęła się moja powolna, bolesna wspinaczka ku nowemu początkowi.

41

PAUL

– Oni kłamią, gołąbeczku.

Wpatruję się w żonę zwiniętą w kłębek pod kołdrą. Stojący na szafce nocnej budzik pokazuje czwartą czterdzieści dwie. Od kiedy się położyliśmy, nie zmrużyłem oka.

Wiem, że Rebecca nie śpi. Charakterystycznie marszczy brwi – robi to, ilekroć bezskutecznie próbuje zmusić się do zaśnięcia. Po chwili otwiera oczy i spogląda na mnie.

– Kto taki, Paul?

– Te tępe gliny.

Podsuka się do góry i opiera o zagłówek, podkładając sobie poduszkę pod ramiona. Wydaje się podminowana, ale spojrzenie ma mętne.

– O czym ty mówisz?

– Nie mogę zasnąć, bo próbuję zrozumieć. Doprowadza mnie to do szału. Przemyślałem chyba wszystkie możliwe scenariusze i za każdym razem dochodzę do identycznego wniosku: policja kłamie w sprawie tożsamości tej kobiety.

Rebecca mruży oczy, rozważa moje słowa. Robi głęboki wdech, na chwilę zaciska powieki, po czym otwiera je i spogląda na mnie.

– Dobrze, powiedz, co ci chodzi po głowie.

– Ciało Sheili przez kilka tygodni leżało w ziemi i gniło.

– Chyba Sashy? – Mieszanka rezygnacji i złości w jej głosie jest podszyta nutą paniki.

– Nie, kotku. Sheili.

– Ale przecież sam mówiłeś, że policja nie popełnia takich błędów.

– Wiem. Tyle że to wcale nie błąd. Wysłuchaj mnie, dobrze?

Wzdycha.

– W porządku.

– Tamtej nocy do naszej sypialni zakradła się Sheila, chyba że nam obojgu kompletnie odbiło. Zgodzisz się ze mną?

Zerka w bok, potem znów na mnie. Z jej ust dobywa się krótki, nerwowy śmiech.

– Mogłabym przysiąc, że to ona.

– No właśnie. Zabrałem ją i ukryłem ciało.

Rebecca gwałtownie prostuje plecy.

– Jak to: „ukryłeś”?

– Ziemia była tak zmarznięta, że nie zdołałem wykopać dołu. Musiałem ją gdzieś... przechować i poczekać na odwilż.

Rebecca wpada w popłoch.

– Paul, zostawiłeś pieprzonego trupa...

– Gołąbeczku, musiałem...

– Nie chrzań! Zostawiłeś zwłoki kobiety, którą... O Boże! – Zgina się w pół. Walczy, żeby powstrzymać wymioty.

Łapię ją za łokcie i pomagam się wyprostować.

– Rebecca, popatrz na mnie. – Posyła mi wyzywające spojrzenie, przeszywa mnie wzrokiem. – Oddychaj – przypominam, wtedy ona nabiera powietrza raz, drugi. – Lepiej? – pytam z napięciem, a ona kiwa głową. – Dobrze, posłuchaj mnie. Byłem bardzo ostrożny. Zostawiłem ją w miejscu, gdzie nikt by jej nie znalazł, a potem, jak tylko mogłem, wróciłem i ją zakopałem. – Dociera do mnie, że zwracam się do niej takim tonem, jakbym przemawiał do dziecka.

Znowu mruży powieki, ale odzywa się już znacznie łagodniej.

– Paul, byłoby znacznie lepiej, gdyby ona nadal leżała w ziemi.

Teraz to ja się czuję jak niezbyt rozgarnięty dzieciak, zaciskam jednak zęby i nie komentuję.

– Wiem. Ale nic nam nie grozi. – Patrzy na mnie tak, jakby chciała powiedzieć: „No, spróbuj mnie przekonać”. Mam rozpaczliwą nadzieję, że uda mi się to zrobić. – Zwłoki leżały w ziemi i gniły bardzo długo, dlatego policjanci nie byli w stanie zidentyfikować ciała, nie umieli stwierdzić, do

kogo należało. Ponieważ jednak prasa nadal rozpisywała się o zaginięciu dwóch kobiet, musieli pokazać opinii publicznej, że rozwiązali sprawę. Doszli do wniosku, że Mark miał silniejszy motyw i słabsze alibi, więc zdecydowali się pójść w tym kierunku.

– Ale mówiłeś, że ta kobieta miała ranę postrzałową.

– Zmyślają szczegóły, żeby udramatyzować całą historię.

Rebecca odwraca głowę. Widzę, że próbuje sobie to wszystko poukładać. Wreszcie się rozluźnia.

– W porządku.

– Zastanów się. Kiedy detektywi przyszli z nami porozmawiać, oboje podkreślaliśmy, że relacje między Markiem a Sashą są napięte. Zasugerowaliśmy, że konflikt może dotyczyć pieniędzy. Wypytywali nas, drążyli, ale kiedy potem wezwali mnie na przesłuchanie, wypowiedali się o Sheili takim tonem, jakby uważali ją za samotniczkę, która przechodzi niezauważona. Kogoś bez korzeni i z podejrzaną przeszłością, kto byłby zdolny bez słowa wyjechać z miasta.

Rebecca obróciła się w moją stronę. Słucha uważnie.

– Tak, masz rację.

– No więc sama widzisz. Oboje wiemy, że zakopałem jedną kobietę, a policja odnalazła drugą. Bo historia Sashy jest bardziej prawdopodobna i znacznie ciekawsza medialnie. Są pieniądze, jest motyw i czarny charakter. Zastanów się, kotku. Tyle się mówi o ludziach, którzy przedawkowali leki na receptę albo narkotyki, i o ćpunach gotowych zabić za działkę, że łatwo obarczyć winą grubą rybę przemysłu farmaceutycznego. Pomyśl o nakładach gazet, kiedy dziennikarze zwietrzą tę wersję zdarzeń.

Rebecca wpatruje się we mnie, a ja w nią – i przypomina mi się poranek, kiedy zjawili się ci durni detektywi. Ostatnie chwile, kiedy czuliśmy się bezpieczni. Znów wierzy, że nam się upiecze – widzę to w jej spojrzeniu. Dotyka mojej twarzy, całuje mnie mocno, a potem kładzie się plecami do mnie. Rozluźnia napięte mięśnie ramion. Być może uda jej się zasnąć.

Układam się obok niej i czuję, jak powoli wypełnia mnie ulga. Żałuję, że nie mogę o tym porozmawiać z Daną. Otworzyłem się przed nią i obnażyłem do tego stopnia, że teraz mi wręcz wstyd, że coś przed nią ukrywam. Ale niestety musi tak pozostać dla dobra nas obojga.

Obracam się na plecy i zamykam oczy. Ukazuje mi się obraz domu w Cold Spring Harbor. Widzę, jak nabiera ostatecznego kształtu – wygląda dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałem. Pojawiają się szczegóły. Dwie pary kapci na podłodze z wiśniowego drewna, obok kominka. Przez otwarte okno wpada rześka jesienna bryza, poruszając firankami. Niesie zapach pelargonii. Ten ideał wkrótce będzie nasz.

REBECCA

Mam jeden zasadniczy problem z dostaniem się do domu Marka: otóż Mark przestał go opuszczać. Przez tydzień regularnie przejeżdżałam ulicą i sprawdzałam, kiedy wreszcie jego samochód zniknie z podjazdu, ale nic z tego. Zdesperowana postanowiłam spróbować innego podejścia i złożyć swojemu szefowi wizytę z wyrazami współczucia z powodu losu, jaki spotkał jego żonę.

Mark wygląda jak śmierć na chorągwi.

– Rebecca? – odzywa się ni to pytająco, ni to błagająco. Od razu widać, że jest w fatalnej formie pod każdym względem. Zalatuje od niego przetrawionym alkoholem. Jest zarośnięty, a pod oczami przepelnionymi boleścią ma wielkie worki.

– Mark, jak się miewasz? – Staram się nie przedobrzyć z udawaną troską. Czuję się niezręcznie i trochę słabo, stojąc w drzwiach z coraz bardziej ciężącym mi koszykiem kondolencyjnym. Żałuję, że zamiast owoców i kwiatów wybrałam wersję z butelką wina i flaszką bour-bona, które swoje ważą.

– Wejdz... – rzuca i odchodzi, nie zawracając sobie głowy zamykaniem drzwi.

Po chwili znika w ciemnym domu. Za nim smętnie ciągnie się pasek frotowego szlafroka, który tak jak Mark wygląda jak psu z gardła wyjęty. To może być łatwiejsze, niż sądziłam.

Zawsze mnie ciekawiło, co się kryje w tym ogromnym domu w federalnym stylu. Sasha co roku organizowała przyjęcia nad basenem, ale przez te wszystkie lata zaproszenia dla mnie na pewno gdzieś się zawieruszały na poczcie. Nawet kiedy już zaczęłyśmy rozmawiać w klubie, nigdy nie chwaliła się swoimi wnętrzami.

Wielki hol daje tak dobitne świadectwo imponującego bogactwa Marka i Sashy, że z trudem tłumię okrzyk zachwytu i powstrzymuję się, żeby nie pstryknąć zdjęcia. Marmurowa podłoga, sufit na wysokości sześciu metrów, podwójne schody ze złoceniami – wejście jak do opery. Stawiam koszyk obok smutnej, zwiędłej kompozycji kwiatowej i sterty toreb po jedzeniu na wynos, bez wątpienia zawierających posiłki na różnym etapie zepsucia.

Idę dalej szlakiem gospodarza, wabiona odgłosami dyskusji w telewizorze. Nawet nie podnosi głowy, kiedy wchodzę do salonu... wielkości całego naszego domu. Siedzi na brzegu białej kanapy w kształcie końskiej podkowy, która spokojnie mogłaby pomieścić dwadzieścia osób. Potrząsa trzymaną w dłoni szklaneczką z lodem – nie potrafię zinterpretować tego gestu: to propozycja czy prośba? Podchodzę, sięgam po butelkę lagavulin single malt i nalewam Markowi sporą ilość whisky, choć barek na kółkach ma dosłownie na wyciągnięcie ręki. Sama rezygnuję z drinka, bo zdaję sobie sprawę, że w tej chwili najważniejsza jest trzeźwość, choćbym nie wiem jak była zdenerwowana. Od trzech godzin nie brałam leków, głód szybko daje o sobie znać. Siadam na kanapie obok byłego szefa, nie mając całkowitej pewności co do własnych motywów. Wiem tylko, że uszczuplone zapasy leków są moją główną siłą napędową.

– Jak się miewasz, Rebecca? – To absurdalne, choć przecież uprzejme pytanie wypełnia przestrzeń między nami.

Oczywiście nie przyznam się Markowi, że na przemian czuję się wycieńczona i targają mną mordercze instynkty. Za nic nie zdradzę, że przez głębokie uzależnienie od leków całkiem dosłownie straciłam poczucie czasu i miejsca i nawet nie pamiętam, gdzie trzymam rezerwy prochów. I że kiedy wczoraj kładłam się do łóżka, miałam pół buteleczki tabletek percocetu – cudownie odnalezionego podczas panicznych poszukiwań w jednej z rzekomo pustych kryjówek – a dziś rano nie została nawet jedna. W zasadzie trudno mi ustalić, jak się „miewam”.

Zamiast odpowiedzieć, kładę dłoń na jego wolnej dłoni i delikatnie poklepuję. Siedzi nieporuszony, jakby nawet nie zauważył, że go dotknęłam. Nagle stwierdzam z zaskoczeniem, że przetacza się przeze mnie fala sympatii do niego. To jednak przelotne uczucie i po chwili całkowicie wypiera je dobrze znana pogarda.

– Bardzo mi przykro z powodu Sashy. Chciałam przyjechać wcześniej, ale... Właściwie nie wiem, czemu tego nie zrobiłam. Chyba po prostu nie

miałam pomysłu, co powiedzieć. Trudno uwierzyć, że ona nie żyje. – Ostatnie zdanie to jedyny szczerzy element mojej wypowiedzi.

Mark milczy. Ciszę wypełniają gadające głowy na kanale Fox News. Ludzie zgromadzeni w studiu rozmawiają o rzeczach tak bardzo odległych od mojego życia, że nawet nie dociera do mnie sens ich słów. Mark wlewa do gardła sporą ilość whisky z kryształowej szklaneczki i odchrząkuje.

– Nie żyje już od dawna, a mimo to nie pozwalają mi jej pochować. Mówią, że najpierw muszą pobrać materiały niezbędne do śledztwa. Dziwne, że autopsja trwa tak długo. W telewizji tego nie pokazują.

Wygląda na to, że w jego żyłach krąży nie tylko szkocka.

– Nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia byłem od niej uzależniony, wiesz? Nie doceniałem, ile dla mnie robiła, dopóki jej nie zabrakło. Och, oczywiście, nie byłem wzorowym mężem, ale kochałem ją. Potrzebowałem jej.

– Wiem, że bardzo ją kochałeś. Była wyjątkową kobietą – kłamię jak z nut.

Prycha, sadowi się wygodniej na kanapie i mierzy mnie wzrokiem. Po chwili zatrzymuje spojrzenie na moich piersiach.

– Proszę cię, Rebecca... Pieprzysz takie bzdury, że słuchać się nie chce. Sasha była wredną suką, która uważała cię za pozerkę, jeśli w ogóle zdarzyło jej się o tobie pomyśleć.

Wypowiada te ostre słowa bełkotliwym głosem. To nieco łagodzi cios. Nie oczekuje odpowiedzi ani innej reakcji. Spogląda za okno. Na wielki basen, palenisko i konstrukcję, która na pierwszy rzut oka wygląda jak krematorium, a w rzeczywistości jest grillem. Wydaje się pochłonięty tym pięknym widokiem, choć podejrzewam, że raczej wyemigrował do własnej głowy i jest daleko stąd.

Rozglądam się po salonie, szukając substancji i istotnych dla mnie informacji. Nie widzę ani buteleczek z lekami, ani zdjęć ekshumowanego ciała Sashy. Na to drugie tak naprawdę nie liczyłam, za to pierwsze spodziewałam się znaleźć od razu, tuż obok alkoholu.

Na stosiku nieotwartych listów dostrzegam pistolet – wygląda jak śmiertcionośny przycisk do papieru. Nie jest dla mnie szokiem ani nawet zaskoczeniem fakt, że Mark posiada broń, ale to, że obchodzi się z nią tak bez troski, wzbudza we mnie niepokój o jego stan psychiczny.

Przenoszę spojrzenie z glocka na gospodarza i nachodzi mnie autentyczna obawa o mojego byłego przełożonego. Wyobrażam sobie, jak siedzi przy wyłączonym świetle, kisi się w przygnębieniu, brudzie i zapętlonym strumieniu złych wiadomości ze świata, sączącym się z głośników, z barkiem na kółkach i nabitym pistoletem pod ręką, z głową pełną myśli o zmarłej żonie.

– Mark, jak sobie radzisz? Zagląda ktoś do ciebie? Potrzebujesz czegoś?

Unosi brwi, znowu z aprobatą zerka na moje piersi i przesuwając wzrok niżej.

– Bezrobocie ci służy – zauważa i zanim zdążę się do końca pogodzić z tym, jak bardzo jestem gotowa dać się poniżyć, aby zdobyć to, po co przyszedłam, odwraca głowę. Wpatruje się w Hannity’ego i jego rozmówczynię: ekspertkę, tlenioną blondynkę w wydekoltowanej szkarłatnej sukience, z wypełnionymi kwasem hialuronowym ustami tego samego koloru. Odzywa się, nie patrząc w moją stronę: – Wiesz, że kiedy odnaleźli Saszę, nie odezwała się do mnie żadna z tych nadskakujących żołą, które trzymała na sznurku? Nie zadzwonił żaden z ich nudnych mężów, których darzyłem udawaną sympatią i z którymi dzieliłem się dobrą szkocką, a także swoimi osiemdziesięcioma dwoma calami.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że ma na myśli ogromny płaski telewizor.

– Jej rodzina praktycznie ze mną nie rozmawia. W pracy też jakby ktoś zasznurował im wszystkim usta. Dostałem całe naręczne kwiatów i stos lasagne, ale mało kto okazał mi zwykłe, ludzkie współczucie. Tak więc, odpowiadając na twoje pytanie, Rebecca, oprócz naszej sprzątaczkę i dwóch tępych detektywów prowadzących śledztwo w sprawie śmierci Sashy jesteś jedyną osobą, która do mnie „zajrzała”. Zabawne.

Oschłość jego jednostajnego głosu zbija mnie z tropu. Nigdy nie był przesadnie ciepłym i serdecznym gościem, ale przekomarzenie się i wesołość zawsze plasowały jego sarkazm daleko od jawnej złośliwości. Nie tym razem.

– Mark... jest mi naprawdę przykro. Wiem, że powinnam przyjść wcześniej. Albo chociaż zadzwonić.

– Akurat po tobie najmniej bym się spodziewał, że się do mnie odezwiesz. Nie miałbym ci tego za złe, gdybyś się wypięła. Bo przecież cię zwolniłem, a raczej zmusiłem do odejścia. Nieważne. Myślałem, że mnie nienawidzisz. I szczerze mówiąc, miałem gdzieś, czy cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

Zawsze sprawiałaś więcej problemów, niż przynosiłaś zysków. Ale okazuje się, że potrzebuję czegoś, co właśnie ty możesz mi dać. – Milknie na chwilę. – Policja uważa, że Sasha została zamordowana w czwartek piętnastego marca. Informacja jeszcze nie trafiła do prasy, ale detektywi są niemal pewni tej daty. Sęk w tym, że byłem wtedy sam. Gdyby chodziło o kilka nocy wcześniej albo później, miałbym alibi. Co prawda, nie zasłużyłbym sobie na tytuł męża roku, ale przynajmniej mógłbym podać nazwiska pań, które zaświadczyłyby, że znajdowałem się poza domem nieświadomy faktu, że ktoś uprowadził moją żonę pomiędzy zajęciami aerobiku a happy hour i ją zabił. Przejrzałem swoje wiadomości z tamtego dnia i wiesz co? Odezwałaś się z pytaniem, czy coś bym dla ciebie załatwił. Jestem gotów się założyć, że czułaś się samotna i byłaś w okolicy. Nie odpowiedziałem na twojego esemesa, bo nie miałem ochoty na towarzystwo ani nie byłem w hojnym nastroju.

Rozumiem, o co mnie poprosi, dlatego usiłuję z wyprzedzeniem obliczyć siłę nacisku, jaki będę mogła wyrzucić. Nie pomaga mi w tym wściekły głód leków; pozbawia mnie również pewności siebie i sprawności w negocjacjach, choć zwykle mi ich nie brakuje. Oblewa mnie zimny pot, a do gardła podchodzi żółć, poprzedzając falę nudności. Widzę, że Mark przygląda się moim drżącym dłoniom. Splatam palce, by nad tym dygotem zapanować.

– Mogę skorzystać z toalety? Kiepsko się czuję.

– Uważaj, Rebecca. Twój nałóg staje się widoczny. – Ściąga usta w triumfującym uśmiechu. Dłonią wskazuje drzwi w głębi korytarza, po czym wraca do sączenia whisky i gapienia się w ekran telewizora.

Zrywam się z kanapy, biegnę do łazienki i w ostatniej chwili opróżniam zawartość żołądka do muszli bidetu zamiast do sedesu, zamontowanego na przeciwległej ścianie. Kiedy w końcu udaje mi się opanować wymiotowanie, płuczę usta płynem, potem odkręcam wodę. W szumie zamierzam utopić odgłosy szperania w apteczce. Te poszukiwania planowałam od chwili, gdy dziś rano odnotowałam brak zapasów.

Nie znajduję nic silniejszego od advilu. Zirytowana zamykam szafkę. Znów robi mi się niedobrze. Nabieram dużo powietrza, poprawiam włosy i chwilę zwlekam z opuszczeniem łazienki, myśląc o tym, na co będę się musiała zgodzić.

Kiedy otwieram drzwi, okazuje się, że Mark czeka na mnie w korytarzu. Trzyma znajomą pomarańczową buteleczkę i potrząsa nią jak grzechotką. Zaczynam się ślinić, moje tętno przyspiesza.

– Tego szukasz? – Robi wrażenie aroganckiego gbura w tych brudnych spodniach od pidzamy, wymiętej koszulce i sfatygowanym szlafroku.

Wyciągam rękę, zanim w ogóle zdążę to skontrolować.

– Nie tak prędko, skarbie. – Mocno łapie mnie za nadgarstek.

– W porządku.

– Co: w porządku?

– W porządku, będę twoim alibi. Powiem detektywom, że pracowaliśmy do późna. Przyjechałam, bo musieliśmy zrobić prezentację, ale za dużo wypiałam i postanowiłam przespać się u ciebie na kanapie. Tamtego dnia Paul też na pewno nie wrócił wcześniej do domu, a jeśli się okaże, że będę musiała go wtajemniczyć, to coś wymyślę. – Mówiąc to, uzmysławiam sobie, że nie pamiętam, czy rzeczywiście przyszedł późno, ale oby tak. – Pokażę im esemesa, w którym pytam, czy jesteś u siebie. – Nie muszę sprawdzać historii wiadomości, żeby wiedzieć, że rzeczywiście kontaktowałam się z Markiem.

Patrząc mi w oczy, otwiera buteleczkę i wysypuje mi na dłoń pięć hydrokodonów. Widzę, że to ta lepsza dawka: siedemset pięćdziesiąt miligramów. Otwieram usta, żeby zaprotestować i zauważyć, że marne pięć sztuk w żaden sposób nie zrównoważy ryzyka związanego z fałszywym alibi, ale Mark kładzie palec wskazujący na moich wargach.

– To ci pozwoli wziąć się w garść na tyle, żeby przekonać Columbo i Kojaka, że tamtą noc, kiedy zabito Saszę, spędziłaś ze mną. Potem możesz liczyć na więcej, dużo więcej.

Wie, że trzyma mnie w szachu. Nie próbuję z nim walczyć. Już zafiksowałam się na tym, co trzymam na dłoni. Kiwam głową na zgodę, jednocześnie wkładając jedną pigułkę do ust. Połykam ją na sucho. Pozostałe starannie zawijam w chusteczkę i wciskam do kieszeni dzinsów.

Bez słowa mijam Marka, przechodzę przez ogromny hol i po chwili jestem na zewnątrz. Dopiero kilka kroków od samochodu uświadamiam sobie, że Mark ani razu nie powiedział, że to nie on zabił Saszę.

SHEILA

Zdarza się, że ludzie, którzy odgrywają najważniejszą rolę w naszym życiu, zjawiają się w nim w zupełnie niepozorny sposób. O istnieniu Paula dowiedziałam się, kiedy podsłuchałam pewną rozmowę, stojąc spocona i półnaga w kolejce do prysznicza.

Po zajęciach w przebieralni klubu Lotus Pedal roilo się od czerwonych na twarzy i mniej lub bardziej rozebranych kobiet. Rebecca stała dwie osoby przede mną. Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak ma na imię; kojarzyłam ją wyłącznie jako tę, która pedałowala obok mnie z zaciętą miną i nigdy nie odwzajemniała uśmiechów ani pozdrowień. Uważałam ją za kolejną bogatą jędzę.

Rozmawiała przyciszonym głosem z drobną kobietą o kręconych marchewkowych włosach – tę widziałam w klubie zaledwie parę razy. Nawet nie przyszło mi do głowy, że mogą się znać – przede wszystkim dlatego, że Rebecca nie utrzymywała tego rodzaju znajomości. Przynajmniej na to mi wyglądało. Odzywały się do siebie tak jak dwoje ludzi zobowiązanych do prowadzenia konwersacji, czyli przesadnie życzliwie, aby ukryć ogólny brak entuzjazmu dla wzajemnej interakcji.

– Rebecco! Zupełnie zapomniałam, że też tu przychodzisz! Dla mnie to trochę za daleko od domu, ale wiesz, kiedy się dowiedziałam, że Chad B. prowadzi zajęcia, stwierdziłam, że koniecznie muszę się zapisać! – I dodała konspiracyjnym szeptem: – Poza tym blisko stąd przyjmuje mój dermatolog. Warto pokonywać szmat drogi dla takiego wirtuoza strzykawki.

Ruda miała ostry i nieprzyjemny głos, a także nieproporcjonalnie duże sztuczne piersi. W dodatku owinęła się zbyt małym ręcznikiem.

Rebecca wyglądała tak, jakby znalazła się w potrzasku. Sztywno cmoknęła rudą w policzek.

– Erin, jak miło cię widzieć. Jak nowy dom? Co u Wesa?

– Och, kiedy mi oznajmił, że chce na stałe opuścić miasto i handlować tu nieruchomościami, pomyślałam: jeszcze czego! Po moim trupie! Bo niby co miałabym tu robić całymi dniami? Ale teraz bardzo się cieszę, że nie muszę pracować i mogę się skupić na sobie, co nie było możliwe przy całym tym szaleństwie Manhattanu. Poza tym przeprowadzka bardzo przysłużyła się dzieciom.

Rebecca bez słowa pokiwała głową. Pod jej uprzejmością tliła się niewidzialna, ale wyczuwalna pogarda. Też zdążyłam zniechęcić rudzielca.

– Oczywiście zależy mi na tym, żeby Wes odnosił sukcesy, ale co z tego, skoro praktycznie go nie widuję! – Nachyliła się. – Nie obraziłabym się, gdyby mi pomógł wydać trochę tych pieniędzy, które zarabia!

Miałam ochotę przewrócić oczami. Rebecca chyba też.

– Świetnie, że wam się układa – odpowiedziała spokojnie.

– A co u Paula? – spytała botoksowa dama takim tonem, jakby Paula, kimkolwiek był, spotkało coś złego. – Jak się trzyma? Aż trudno sobie wyobrazić, jak można się podnieść po takiej plajcie.

Rebecca spochmurniała.

– W porządku. Trzyma się. Zastanawia się, co dalej – odparła kwaśno.

Erin uśmiechnęła się blado i mechanicznie pokiwała głową, dając do zrozumienia, jak mało ją to obchodzi.

– To musiał być cios dla waszego małżeństwa. Nadal myślicie o dzieciach?

Rebecca wykrzywiła usta.

– Nie, nie planujemy dzieci. Zawsze było nam z tym dobrze.

– Och, to cieszę się, że jesteście szczęśliwi. Musiałam was pomylić z inną parą.

Niewiarygodna prostaczka.

– Nic się nie stało. – Mina Rebekki mówiła co innego.

– Paul na pewno coś wymyśli. To facet z głową na karku.

– Dobrze, że musi wyprowadzać Duffa. Przynajmniej ma pretekst, by ruszyć się z domu – zauważyła nieco cieplejszym tonem Rebecca.

– Ach, no przecież! Macie takiego wielkiego psa!

– Czasami odnoszę wrażenie, że Paul kocha go mocniej niż mnie – rzuciła Rebecca z wymuszonym śmiechem.

– Może niech się zajmie wyprowadzaniem psów za pieniądze? Albo zacznie produkować budy?

Erin była wyraźnie rozbawiona. Rebecca – niekoniecznie.

Wyczuwając rozdrażnienie swojej rozmówczynie, ruda sięgnęła do torby i wyjęła swojego iPhone'a.

– Przepraszam, esemes od niani.

– Jasne. Nie krępuj się.

– Koniecznie musicie przyjść do nas na kolację – rzuciła Erin, nie odrywając oczu od ekranu. – Totalnie się wkręciłam w feng shui! Co ty na to, żebym urządziła wam dom zgodnie z zasadami? Wiesz, żeby uwolnić energię i ogarnąć strefę kariery Paula?

– Świetny pomysł.

Zwolniło się miejsce. Rebecca powiesiła ręcznik na relingu i naga weszła pod prysznic. Miała małe piersi i była przesadnie chuda. Kiedy się pochyliła, żeby wyregulować temperaturę wody, zwróciłam uwagę na drobny rysunek gołębia na jej biodrze. Nie wyglądała mi na fankę tatuaży.



Ich rozmowa siedziała we mnie przez cały dzień i wieczór. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego w ogóle utkwił mi w głowie mężczyzna, którego nawet nie znałam. Wzbudził moją ciekawość i przez kolejnych kilka dni obsesyjnie wracałam do niego myślami. Minął mniej więcej tydzień, pogaduszki Rebekki z Erin i zainteresowanie Paulem ustąpiły innym rzeczom, tak że prawie o tym gościu zapomniałam. I wtedy wszechświat dał mi znak: postawił na mojej drodze samego Paula.



Kiedy u początku trzydziestego piątego roku podróży w nieznane dotarłam do szczytu schodów ginących w mroku, było już ładnych parę godzin po moich urodzinach. Udało mi się zorientować, że znajduję się na sporej betonowej płycie. Obeszłam ją, powyglądałam za krawędź i uświadomiłam sobie, że zostałam porzucona w piwnicy pod niewybudowanym domem. Fundamenty stały w otoczeniu gęstego lasu. Kiedy mój wzrok przyzwyczał się do ciemności, objęłam spojrzeniem całą tę imponującą przestrzeń

i wyobraziłam sobie budynek, który pewnego dnia tam stanie. Położyłam się na zimnym podłożu i wpatrzyłam w chmury sunące na tle księżyca w pełni. Nie spieszyłam się, zależało mi na tym, aby dobrze zapamiętać wszystko, co się tamtej nocy wydarzyło. Nie byłam szczególnie zaskoczona – nie po raz pierwszy moje życie przybrało tragiczny, niewiarygodny obrót. Raczej do końca zdawałam sobie sprawę ze swojego położenia.

Co prawda, bateria w telefonie już padała, ale zdążyłam jeszcze użyć nawigacji i przekonać się, że jestem niespełna trzydzieści cztery kilometry od domu. Nie mogłam się zdecydować: zadzwonić po karetkę czy do Paula? Jeszcze nie docierała do mnie jego rola w tym wszystkim. W końcu to nie on uderzył mnie w głowę. Spał w błogiej nieświadomości wydarzeń, jakie rozgrywają się w jego sypialni. Wyobraziłam sobie, jak się budzi i widzi mnie martwą na podłodze. Jest wstrząśnięty tym, co mi zrobiła ta suka Rebecca. Popłakał się? Rozpaczał?

Wpatrywałam się w gwiazdy, bezgłośnie prosząc je o wskazówkę. Logika podpowiadała mi, że to Paul musiał mnie tu przywieźć. A jednak nie potrafiłam być na niego zła. Powracały do mnie urywki wspomnień, przebitki, jak leżę zamknięta w kokonie, zdezorientowana. Przez moją głowę przelatywały migawki katatonicznej świadomości: warkot pracującego silnika i pełne frustracji stęknienia Paula, po których następowały głuchoe łupnięcia, jakby ktoś raz za razem upuszczał na ziemię coś bardzo ciężkiego.

Usprawiedliwiałam go przed samą sobą – mówiłam, że nie miał innego wyjścia, musiał się pozbyć mojego ciała, przez Rebeccę. Nie wiem, może nie dał rady mnie zakopać, bo ziemia zamarzła na kość, ale czemu nie obciążył plandeki kamieniami i nie wrzucił do oceanu? Nie był gotów się ze mną rozstać – tak jak ja z nim. Zmienił więc zdanie i ułożył mnie w bezpiecznym miejscu. Mimo to nie potrafiłam mu do końca wybaczyć tego, że zostawił mnie w ciemnej piwnicy. Z drugiej strony, patrząc z jego perspektywy, byłam martwa, nie do uratowania. Pomimo nieznośnego, rwącego bólu krążyły mi po głowie rozmaite wytłumaczenia.

Zyskałam coś, o czym marzy wielu ludzi. Mogłam być duchem w świecie żywych. Mogłam poruszać się wśród nich, nie będąc widzianą. Mogłam obserwować. Patrzeć, jak mężczyzna, który w głębi duszy mnie kocha, przeżywa moje odejście. Czy się załamie? Czy jego małżeństwo rozpadnie się pod ciężarem winy za moją śmierć? Mogłam się przekonać o sile jego uczuć, mierząc ją głębią jego cierpienia. Mogłam wziąć na cel Rebeccę i wymyślić

sposób, żeby zniszczyć jej życie, tak jak ona zniszczyła moje. Mogłam się też zabawić udawką obojga Campbellów.

I mogłam wreszcie wrócić, kiedy Paul będzie najbardziej mnie potrzebował.

Miałam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Najpilniejsza była kwestia zwłok – wiedziałam, że Paul przyjedzie po ciało, i musiałam dopilnować, aby znalazł je tam, gdzie zostawił.

SILVESTRI

Recepcjonistka w holu siedziby Launaria Pharmaceuticals posyła nam pełne niedowierzania spojrzenie.

– Hm... Rebecca Campbell od dłuższego czasu tu nie pracuje.

– Aha. – Wolcott stara się ukryć zaskoczenie. – Wolno zapytać o powód?

Nie mamy dziś szczęścia. Przyjechaliśmy zobaczyć się z Markiem Andersem, a tu okazuje się, że akurat wziął na ten dzień wolne. Uznajemy więc, że wobec tego porozmawiamy z Rebeccą i spróbujemy uzyskać od niej jakieś pomocne informacje, ale wychodzi na to, że pani Campbell nie była z nami szczerą.

W dodatku nasz urok osobisty najwyraźniej szybko przestaje działać na recepcjonistkę. Wydaje się lekko nieobecna i rozdrażniona, kiedy odpowiada:

– Będą musieli panowie dowiedzieć się w kadrach. – Odsyła nas do pokoi na wyższych piętrach.

Mimo to postanawiam spróbować raz jeszcze.

– Obawiam się, że w tym przypadku liczy się czas. Gdyby zechciała pani...

– Nie wolno mi udzielać takich informacji – ucina.

– A może – włącza się mój partner – wie pani chociaż, kiedy Rebecca...

Kobieta unosi palec.

– Kadry – powtarza takim głosem, jakby tłumaczyła dwulatкови.

– Dziękuję – odpowiadam. – Bardzo nam pani pomog-ła. Miłego dnia.

Żegna się z nami gestem dłoni i odbiera telefon.



– W czym mogę pomóc, drodzy panowie?

Siedzimy w kadrach. Przyjęła nas przy swoim biurku Cecilia, która wydaje się znacznie bardziej komunikatywna niż jej koleżanka z recepcji.

Wolcott składa dłonie na kolanach i posyła kobiecie niewymuszony uśmiech.

– Potrzebujemy informacji na temat jednej z państwa byłych pracownic. Chodzi o Rebeccę Campbell.

Cecilia otwiera szeroko oczy i zwija wargi do środka. Zerka na drzwi.

– Co chcecie wiedzieć? – pyta cicho.

– Pani Campbell pracowała u państwa przez wiele lat na etacie, ale niedawno stąd odeszła. Czy to się zgadza? – odzywa się Wolcott.

– Tak, to prawda. – Cecilia nachyla się nad biurkiem. – Nastąpiły pewne przetasowania. Wolałabym nie używać określenia „skandal”, ale...

Aha, babka jest plotkarą. Trzeba pociągnąć ją za język.

– Interesujące... – Stawiam łokieć na blacie i opieram brodę na dłoni. – Zamieniamy się w słuch.

– No więc Rebecca została zwolniona, ponieważ zbyt swobodnie poczyniała sobie z naszymi zapasami leków na receptę. Poza tym – dodaje ciszej – otrzymaliśmy anonimową informację na temat dwuznacznych stosunków pomiędzy nią a panem Andersem. – Podkreśla swoje słowa uniesieniem brwi.

Wolcott porozumiewawczo kiwa głową.

– Niezłą tu macie operę mydlaną.

– Prawda? – odpowiada. Naraz przypomina sobie, z kim rozmawia, odchrząkuje, poprawia dekolt i zaznacza: – Ale nie wiecie tego ode mnie.



Wracamy do radiowozu. Mój partner wybiera numer, przykłada telefon do ucha, po chwili mówi bezgłośnie: „poczta”, a następnie odzywa się swobodnym tonem: „Dzień dobry, pani Campbell, mówi detektyw Wolcott. Na pewno dotarły do pani najnowsze i, niestety, tragiczne wieści. Rozmawiamy ze wszystkimi uczestnikami zajęć w Lotus Pedal, żeby się upewnić, że niczego nie przeoczyliśmy. Czy zechciałaby pani zgłosić się do nas w dogodnym dla siebie czasie? Bardzo proszę o kontakt. Dziękuję”. Rozłącza się i zwraca do mnie:

– To co, przystanek nowobogacka rezydencja?

Potwierdzam skinieniem głowy i ruszamy.



Ogrodzone osiedle, na które wjechaliśmy, jest dla mnie jednym wielkim paradoksem. Niby każdy dom inny, a jednak wszystkie zaprojektowane bez polotu. Niby każdy próbuje być w czymś lepszy od sąsiada, a jednak wszystkie posesje rozczarowują swoją krzykliwą wyjątkowością. Ach, bogactwo i jego absurdy.

Zmierzamy w stronę posiadłości Andersa. Trzeba sprawdzić, co słychać u naszego ulubionego szefa w koncernie farmaceutycznym. Wolcott gapi się za okno, bębniąc kciukiem o kolano. Po chwili odwraca się do mnie i mówi:

– No tak, ciekawe poletko nam się tu otwiera.

– W rzeczy samej – zgadzam się.

Skrećamy w przecznicę, gdzie stoi dom Andersów, i zatrzymujemy się w odpowiedniej odległości, to znaczy na tyle blisko, by móc bez przeszkód obserwować drzwi wejściowe. Nie widać wozów z agencji informacyjnych; na szczęście dziennikarze jeszcze nie obsiedli Marka. Najlepiej przydybać go z opuszczoną gardą.

Wolcott sprawdza telefon, po czym daje mi znak głową. Jednocześnie sięgamy do klamek, ale nagle mój partner nieruchomieje ze spojrzeniem wbitym w dom Andersa.

– No proszę – mamrocze.

Zwracam głowę w tamtą stronę i widzę Rebecę Campbell, która wychodzi przed budynek. Wygląda niechlujnie, jest blada, wymizerowana i zgarbiona, sprawia wrażenie, jakby coś jej dolegało. W drzwiach pojawia się gospodarz ubrany w złachany szlafrok i tak samo wczorajszy jak jego towarzyszka. Kiedy Rebecca się do niego odwraca, Mark pochyla się przez próg i pospiesznie całuje ją w policzek. Udaje jej się częściowo uchylić przed pocałunkiem. Obraca się na pięcie i rusza w kierunku ulicy. Mark coś do niej mówi, ale ona zbywa go machnięciem dłoni i maszeruje do swojego SUV-a. Wyraźnie chce jak najszybciej się stąd zmyć.

– Czyżbyśmy przez cały ten czas przypatrywali się niewłaściwym gruchającym gołąbkom? – Jestem autentycznie zaskoczony rozwojem wypadków. Ta sprawa zaczyna obfitować w niespodzianki.

– A niech mnie – kwituje Wolcott. – Tego się nie spodziewałem. – Znowu bębni kciukiem o kolano. Nagle przestaje i spogląda na mnie. – Proponuję zmienić plany, skoro już mamy Rebeccę Campbell pod ręką. Bardzo mnie ciekawi, co ta kobieta porabia w wolnym czasie, którego ostatnio ma aż nadto.

Czekam, aż Campbell wsiądzie do auta i zapali silnik, dopiero wtedy przekręcam kluczyk w stacyjce radiowozu. Rebecca ociąga się, nie odjeżdża. Przez dłuższy czas siedzi w wozie, wpatrując się w podłogę, potem kilka razy potrząsa głową, odchyła ją do tyłu i wbija spojrzenie w sufit.

– Biedactwo – komentuje mój partner. – Musi dźwigać naprawdę ciężkie brzemie.

– Na to wygląda.

– W takich sytuacjach przydaje się rozmowa, Rebecco. Jesteśmy tutaj, żeby ci pomóc.

– Zdejmujemy ten ciężar z twoich barków – dodaję, nie odrywając wzroku od postaci za kierownicą. – Taka nasza rola.

– Minąłeś się z powołaniem, Silvestri. Powinieneś zostać księdzem.

– Niewiele brakowało.

Campbell pochyła się nad fotelem pasażera. Kiedy się prostuje, jej dłoń wędruje do ucha. Po chwili rozświetla się ekran komórki Wolcotta. Partner spogląda na telefon, potem na mnie.

– O wilku mowa.

REBECCA

– Bardzo nam miło, że w końcu postanowiła nas pani odwiedzić, pani Campbell.

Wolcott podsuwa mi metalowe krzesło i pokazuje dłonią, żebym usiadła. Zwracam uwagę na przymocowany na środku stołu stalowy uchwyt do mocowania kajdanek. Mają tu fatalne oświetlenie. Nałożyłam grubą warstwę makijażu, żeby ukryć skutki bezsenności, ale nie wziąłem pod uwagę, że trafię do pomieszczenia z lampą fluorescencyjną.

– Proszę wybaczyć brak odpowiedniej atmosfery, pani Campbell, dopiero się przymierzamy do ogarnięcia tej dziury – wyjaśnia ze śmiertelnie poważną miną Silvestri.

– Wolalabym samo „Rebecca” – odpowiadam z lekkim śmiechem. – „Pani Campbell” sprawia, że czuję się staro.

Silvestri stoi kilka kroków od stołu i nic nie wskazuje na to, żeby miał usiąść. Mój wzrok ląduje na kajdankach, które nosi przy pasku.

– Spokojnie, nie założymy pani dodatkowych bransoletek – rzuca niemal pogodnie Wolcott i zajmuje swoje miejsce.

Znów się śmieję, tym razem zbyt głośno.

Czuję, jak kropelki potu spływają mi po plecach. Dobrze, że jestem w ciemnej bluzce. Powtarzam sobie, że przyszłam tu z własnej woli.

– O tym, że się wreszcie tutaj spotykamy, przesądził niezwykle zbieg okoliczności, prawda? To, że zadzwoniła pani do nas niemal w tej samej chwili, w której my dzwoniłiśmy do pani? – Silvestri przybrał tak swobodną pozę, że brakuje mu tylko kieliszka z koktajlem.

– Widać było nam pisane. – Postanawiam podjąć ich grę.

Wolcott posyła mi ciepły uśmiech.

– Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań... w ramach uzupełnienia naszej ostatniej rozmowy. – Na chwilę zawiesza głos. – Jak pani zapewne już słyszała, Sasha Anders nie żyje.

– Tak. To okropne. – Załamuję ręce. – Wiadomo, jak do tego doszło?

– Staramy się ustalić okoliczności śmierci. Została zamordowana, ale to na razie wszystko, co mogę powiedzieć.

– Oczywiście, rozumiem. Po prostu trudno uwierzyć, że nie żyje. – Kładę dłonie na stole. – Jesteście pewni, że to ona? – Nawet jeśli uznają moje pytanie za dziwne, nie pokazują tego po sobie.

– Tak, mamy pewność.

– Podejrzewacie kogoś? – Obu najwyraźniej bawi mój tupet.

– Owszem, interesuje nas kilka osób – odpowiada Wolcott. – Jeszcze nie wyszliśmy poza fazę eliminacji. Niestety, trwa nieco dłużej niż w telewizji.

– Zawsze to mąż okazuje się winny zbrodni. – Mój żart nie wypała; żałuję, że to powiedziałam.

– Smutne, ale prawdziwe. Mąż albo chłopak. – Wolcott wpatruje się we mnie.

– Rebecco, proszę zdradzić, czemu zawdzięczamy dzisiejszą wizytę. – Silvestri przechodzi do rzeczy.

Robię poważną minę i dla lepszego efektu biorę głęboki wdech.

– Chciałam powiedzieć, że byłam z Markiem tamtej nocy, kiedy zniknęła Sasha.

Silvestri i Wolcott unoszą brwi.

– Z panem Andersem?

– Zgadza się.

– Skąd pani wie, kiedy dokładnie zaginęła Sasha Anders? Nie przypominam sobie, żeby ta informacja pojawiła się w mediach – zauważa Wolcott.

– Mark mi mówił.

– Zatem kontaktowała się pani z nim w ostatnim czasie. Proszę nam o tym opowiedzieć.

Detektyw trzyma długopis nad otwartym notesikiem, który wyjął z kieszeni koszuli.

– No tak. Pracujemy razem. – Wolcott zerka na Silvestriego. Czuję pulsowanie w skroni. Zaczynam się wiercić.

– Rebecca, wydaje się pani niespokojna. Czy wszystko w porządku? Nie ma się czym denerwować.

Wolcott zachowuje się jak dżentelmen. Na Silvestrim jednak moje zakłopotanie nie robi wrażenia. Patrzy mi prosto w oczy. Staram się ze wszystkich sił wytrzymać jego spojrzenie.

– Tak, w porządku. Chyba tylko rzeczywiście jestem trochę spięta. To wszystko takie okropne i... pokręcone. No więc rozmawiałam wczoraj z Markiem, bo nie przyszedł do biura, i wtedy mi powiedział, kiedy konkretnie zniknęła Sasha. Jak tylko dotarło do mnie, że przecież tamtej nocy byliśmy razem, postanowiłam was o tym poinformować.

Silvestri wreszcie siada. Zaczyna bębnić palcami o stół. Zastanawiam się, czy mają jakiś szyfr, którym się porozumiewają.

– Rebecca, mówi pani, że spędziła tamtą noc z Markiem. Co to dokładnie oznacza?

– Pracowaliśmy. Pojechałam do niego po godzinach, bo musieliśmy usiąść nad prezentacją. Odezwałam się do niego po zajęciach w klubie z pytaniem, czy jest jeszcze w biurze, a on odpowiedział, że nie i żebym wpadła do niego do domu.

– Zacznijmy od ustalenia ram czasowych – proponuje Wolcott.

– To było po aerobiku o szóstej.

– Czy Sasha uczestniczyła wtedy w zajęciach? – wtrąca Silvestri.

– Tak. – Jestem pewna, że znali odpowiedź na to pytanie.

Wolcott notuje, Silvestri ruchem głowy zachęca mnie, żebym kontynuowała.

– Około wpół do ósmej wysłałam wiadomość do Marka i niedługo potem pojechałam do niego. – Wyjmuję telefon i szukam esemesa, żeby im pokazać.

– Nie widzę odpowiedzi od Marka – zauważa Silvestri.

– Kilka chwil po tym, jak wysłałam wiadomość, byłam już w okolicy, więc po prostu zajrzałam do szefa, nie czekając na jego reakcję. – Wiedziałam, że któryś z nich o to zapyta.

– Jasne. Proszę mówić dalej.

– Pracowaliśmy mniej więcej do północy. Wypiliśmy trochę za dużo, dlatego zamiast wrócić do domu, przespałam się na kanapie i wyjechałam dopiero o piątej rano.

Wolcott czyta mojego esemesa, zapisuje coś w notesie, następnie przekazuje telefon Silvestriemu, który zamiast mi go oddać, bez patrzenia kładzie aparat przed sobą.

– Gdzie, według pani wiedzy, była wtedy Sasha?

Usiłuję nie dać po sobie poznać, jak bardzo denerwuję się tym, że przed detektywem leży mój odblokowany telefon.

– Po zajęciach Sasha zawsze chodziła z przyjaciółkami na happy hour do Le Vin. Założyłam, że tym razem też tak zrobiła.

Wolcott znów notuje.

– Czy tamtego wieczoru mówiła, że wybiera się na happy hour? A może Mark o tym wspominał?

– Nie. Nie pytałam.

– Czy któreś z was, pani albo pan Anders, nie obawiało się, że Sasha wróci do domu i okaże niezadowolenie z tego, że atrakcyjna podwładna jej męża śpi u niego na kanapie?

– Pracowaliśmy w domku dla gości. Nie sądzę, żeby Sasha kiedykolwiek tam zaglądała. Poza tym po prostu założyłam, że wróciła późno już po tym, jak zasnęłam.

– Czy pan Anders był z panią przez cały ten czas?

– Tak.

– Nie wychodził z domku dla gości?

Kręcę głową.

– A po tym, jak pani zasnęła?

– Zdecydowanie nie.

– Skąd ta pewność?

Uśmiecham się wstydliwie i odpowiadam po krótkim wahaniu:

– Bo oboje spaliśmy na kanapie. Mam lekki sen. Wiedziałabym, gdyby wstawał.

Wolcott i Silvestri patrzą nawzajem na siebie, potem na mnie. Nie umiem powiedzieć, czy oceniają moje postępowanie.

– A samochód Sashy stał na podjeździe? – Pytanie Silvestriego wydaje się podchwytliwe.

– Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby się rozglądać i sprawdzać.

– A jak pani mąż zareagował na to, że nie wróciła pani do domu?

– Nie powiedziałam Paulowi, że zostaję u Marka, bo sam też pracował do późna i wylądował u kolegi z pracy. Czasem mu się to zdarza. Zjedli z klientami suto zakrapianą kolację i nie chciał siadać za kółkiem.

– Wygląda na to, że państwa związek opiera się na głębokim zaufaniu – komentuje Silvestri bez sarkazmu.

– To prawda. – Pozbawione okien pomieszczenie wywołuje u mnie klaustrofobię. Mam wrażenie, jakby ściana za mną nagle się przybliżyła. Stół wydaje się zbyt duży w tym wnętrzu, chcę go odsunąć od siebie, żeby zyskać nieco swobody, ale nic z tego, nogi są przyśrubowane do podłoża. – Mogłabym prosić o otwarcie drzwi?

– Duszno tu, fakt. – Wolcott wstaje, mija mnie i uchyla drzwi. – Najmocniej przepraszam. Chcieliśmy, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Gdybyśmy usiedli przy biurku moim albo kolegi, byłoby tak, jakbyśmy próbowali rozmawiać w porze karmienia w zoo.

Silvestri rechocze.

– Osobiście nic nie mam przeciwko otwartej przestrzeni. Nie rozumiem, dlaczego większość ludzi narzeka na usuwanie ścianek działowych w biurach. Taki otwarty rozkład stał się modny dzięki informatykom, ale przecież my go tu mieliśmy od samego początku.

Wolcott kiwa głową.

– Dzięki temu można dobrze poznać ludzi, nie sądzi pani?

Podejrzewam haczyk, ale nie bardzo odgaduję, co zamierzają na niego złapać.

– Czy biuro w pani firmie urządzono jako open space? – Silvestri lekko się pochyła nad blatem.

– Tak. Siedzimy w otwartych boksach. Tylko szefowie mają własne gabinety.

– Mark Anders również, czyż nie?

– Zgadza się.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę: według biurowej hierarchii Mark Anders jest pani przełożonym.

Przyglądam się Wolcottowi. W sumie jest nawet przystojny, w taki chłopięcy sposób. Zerkam na jego dłoń, na porysowaną obrączkę. Facet wygląda mi na monogamistę, ale chyba nie mnie oceniać takie rzeczy.

– Tak, Mark jest moim szefem. – Drażni mnie, że zadaje pytanie, na które zna odpowiedź. Czuję się, jakbyśmy krążyli w kółko.

– Proszę wybaczyć czepialstwo, pani Campbell, ale chyba chciała pani powiedzieć, że Mark był pani szefem? – Wypowiadając te słowa, Silvestri nawet nie podnosi głowy. Trąca sznureczek od torebki z herbatą, który zwisa z jego kubka, bawi się nim jak kot.

Milczę. Podejrzewam, że decydują między sobą, który z nich wymierzy mi kolejny cios. Pada na Wolcotta.

– Rebecca, musi pani być z nami szczerą. Dla własnego dobra. – Jest z siebie zadowolony. – Każdy z nas ma jakieś tajemnice. Ukrywamy pewne rzeczy przed swoimi małżonkami, starając się ich chronić, to normalne. Ale zatajając informację przed detektywami prowadzącymi śledztwo w sprawie morderstwa, nikogo pani nie chroni, a już na pewno nie siebie.

To, jak się do mnie zwraca, kojarzy mi się z psychiatrami, do których chodziłam w dzieciństwie. Nie podoba mi się ten ton.

– Niczego nie zatajam – odpowiadam trochę za ostro. Mężczyźni, zwłaszcza mężczyźni z bronią, nie lubią kobiet, które okazują agresję.

– Spróbujmy inaczej – odzywa się łagodnie Silvestri. – Czy można powiedzieć, że nie była pani do końca szczerą z mężem, jeśli chodzi o pani obecną sytuację zawodową?

– Tak. Nie. To znaczy, można tak powiedzieć.

– I że z nami również nie była pani szczerą?

– Zgadza się, nie byłam.

Wolcott przygląda mi się uważnie, a jego partner kontynuuje:

– Pani Campbell, to, co pani mówi albo czego pani nie mówi swojemu mężowi, w ogóle nas nie interesuje. Zależy nam wyłącznie na jasnym obrazie sytuacji. Odwiedziliśmy pani firmę i przyznam uczciwie, że na pani miejscu już dawno bym stamtąd odszedł. Ciekawi nas natomiast, kiedy dokładnie zrezygnowała pani z pracy.

– Pierwszego kwietnia.

Nie zerkają na siebie ani nie okazują emocji, ale domyślam się, że błyskawicznie kojarzą fakty.

– Intrygujące. Zatem złożyła pani wymówienie tego samego dnia, kiedy odwiedziliśmy państwa w sprawie Sashy i Sheili. Wygląda na to, że pierwszego kwietnia wiele się wydarzyło w pani życiu.

Szukam czegoś, jakiejś wskazówki w jego minie albo spojrzeniu, ale Silvestri pozostaje nieprzenikniony.

– Jedno nie miało nic wspólnego z drugim. Nie byłam zadowolona z pracy i zamierałam odejść na długo, zanim panowie zapukaliście do naszych drzwi.

Nie jestem w stanie usiedzieć spokojnie. Nie wiem, czy to kwestia słabnącego działania leków, czy rosnącej temperatury w pomieszczeniu, ale czuję, że napięcie staje się nie do zniesienia.

– Utrzymuje pani regularny kontakt z Markiem Andersem? – Silvestri przejmuje ster.

Nie powiem, żebym wolała go od Wolcotta. Też przystojny, ale jakby mroczniejszy, surowszy i bardziej niepokojący w tym, co i jak mówi. Pociągałby mnie jako partner, ale jako przesłuchujący – odstręcza.

– Nie, regularny nie, raczej sporadyczny. Zaglądam do niego, od kiedy zaginęła Sasha.

– Na czym konkretnie polega charakter pani kontaktów z Markiem Andersem? – drąży Silvestri.

– Jesteśmy znajomymi z pracy. Byliśmy – poprawiam się, zanim mi to wytkną. – I przyjaciółmi. Staram się okazywać mu wsparcie w trudnych chwilach.

– A dlaczego zataiła pani przed mężem to, że odeszła z pracy?

– Chciałam... chcę mu oszczędzić zmartwień.

– Zmartwiłby się, że rzuciła pani robotę, z której nie była pani zadowolona? Może się mylę, ale o czymś takim chyba powinno się porozmawiać z mężem albo nawet to z nim uczcić. – Silvestri wygląda, jakby miał jeszcze więcej do powiedzenia, ale z jakiegoś powodu się powstrzymywał.

– W naszym małżeństwie jedno szanuje decyzje drugiego. W takich sprawach nie pytamy się nawzajem o zgodę. – Staram się nie dopuszczać do

głosu niechęci, ale jest mi coraz trudniej.

– Nie obawia się pani, że Paul zauważy wyraźną dziurę w budżecie rodzinnym? – włącza się Wolcott.

– Nie mamy z Paulem obsesji na punkcie pieniędzy. Prowadzimy osobne rachunki i nie śledzimy tego, kto i ile dokłada do wspólnej kasy. Poza tym jesteśmy zabezpieczeni finansowo. Zamierzam po prostu na spokojnie zastanowić się, co dalej. – Napięcie rośnie.

Detektywi wyglądają na usatysfakcjonowanych – albo znudzonych – moją odpowiedzią. Silvestri rzuca spojrzenie partnerowi i nachyla się nad stołem. Wyczuwam kolejną zmianę kursu.

– Czy łączyła panią z Andersem bardzo bliska znajomość? Czy tak by ją pani określiła?

Uświadamiam sobie, że Silvestri nie tyle wpatruje się w moją twarz, ile śledzi mowę ciała, i robię się jeszcze bardziej niespokojna.

– Bardzo bliska... nie.

Wolcott wypija łyk kawy i uśmiecha się łagodnie.

– Ale na tyle bliska, że została pani u niego na noc. Rozumiem, że można się spoufalać z kolegami z pracy, ale Silvestri ponoć chrapie, a ja, powiem pani, wcale nie mam ochoty przekonywać się o tym na własne uszy.

Silvestri zaczyna rechotać, a we mnie burzy się krew.

– Mówiłam już. Za dużo wypiałam i usnęłam. Widocznie Mark też zasnął.

Silvestri się zamyśla.

– Czy państwo Campbellowie często upijają się aż tak, że nie są w stanie dotrzeć do domu?

– Nie, praktycznie nigdy. To był po prostu stresujący okres.

Wydaje się zadowolony z mojej odpowiedzi i ponownie zmienia temat.

– Dlaczego, pani zdaniem, Mark Anders nie poinformował nas o tym, że tamtą noc, kiedy zaginęła Sasha, spędził z panią? Początkowo twierdził, że był sam i pracował – nie odpuszcza Silvestri.

Wzdycham, żeby zyskać na czasie. Spodziewałam się tego pytania.

– Ponieważ mnie chronił.

Silvestriemu coś świta w głowie, ale detektyw milczy. Za to odzywa się jego partner:

– Musi mu na pani bardzo zależeć, skoro był gotów popełnić dla pani krzywoprzysięstwo.

Usiłuję stłumić wciąż narastający niepokój. Twarz mi płonie. Powtarzam sobie, że przyszłam tu z własnej woli, ale teraz już w zasadzie nie rozumiem, dlaczego właściwie to zrobiłam.

– Był moim szefem i nie chciał, żeby ktoś źle odebrał tę sytuację. Wina leżała po mojej stronie. To ja narobiłam zaległości i potrzebowałam pomocy. Poprosiłam go, żeby nikomu nie wspominał o naszych nocnych spotkaniach, inaczej ktoś w biurze pomyślałby, że Mark traktuje mnie wyjątkowo. – Widzę, że tego nie kupują.

Silvestri zastanawia się przez chwilę, po czym znów przypuszcza atak.

– Czyli poprosiła pani Marka o to, żeby nie przyznawał się przed nami, że tamtą noc spędziliście razem?

– Nie. To było, zanim się dowiedziałam o Sashy. Chodziło o te kilka wieczorów, kiedy pracowaliśmy razem do późna. Zależało mi, żeby nikt się o tym nie dowiedział, bo po co nam kłopoty. Wie pan, w dzisiejszych czasach nietrudno oskarżyć o molestowanie. Sytuacja się oczywiście zmieniła, kiedy odnaleziono zwłoki Sashy i Mark musiał się wypowiadać z tamtej nocy. Postanowił wziąć wszystko na siebie. – Sama siebie przypieram do muru, ale oni też naciskają. Wciągam powietrze i teatralnie wznoszę oczy ku sufitowi, gorączkowo szukając czegoś, co pozwoli mi skierować rozmowę na inne tory. Obaj detektywi patrzą na mnie wyczekująco. – Jak się panowie domyślają – podejmuję – nie byłam zadowolona, kiedy odkryłam, że mój mąż ma romans z przypadkową kobietą...

– Przypadkową? – przerywa mi Silvestri. – Przecież pani i Sheila ćwiczyłyście razem w Lotus Pedal.

– Tak...

– Zajmowałyście sąsiednie rowerki.

– Tak, ale nigdy...

Miażdży moją próbę odwrócenia uwagi.

– A po pani drugiej stronie siedziała Sasha Anders, zgadza się? Czy na pewno można to uznać za przy-padek?

Nie wiem, na które pytanie odpowiedzieć.

– To prawda, Sheila ćwiczyła w tym samym klubie co ja, ale się nie znałyśmy. Nawet nie skojarzyłam, że ona to ona, dopóki nie wypadła z gry. – Detektywi wydają się nieporuszeni moim niefortunnym doborem słów. – Bardzo się zmartwiłam, że coś złego jej się przytrafiło. Nie miałam pojęcia, że była tą kobietą, która ćwiczyła obok mnie. Nigdy się nie odzywała. Zupełnie nic o niej nie wiedziałam.

– Proszę więc wyjaśnić, w jaki sposób relacje pani męża z Sheilą oraz pani rozgoryczenie z powodu ich związku łączy się z tym, że zapewnia pani alibi Markowi na noc zniknięcia Sashy?

Jestem wdzięczna Silvestriemu, że wraca do sedna. Wypijam łyk wody, starając się zapanować nad roztrzęsieniem.

– Po tym, jak się dowiedziałam o Sheili, nie lubiłam wracać do domu. Często zostawałam w biurze dłużej. Miałam pretekst: pracowałam z Markiem nad wielomilionową strategią sprzedaży leku. Wiele razy siedzieliśmy nad tym do późna, szlifowaliśmy prezentacje, rekrutowaliśmy specjalistów od marketingu. Pomagał mi w trudnych chwilach.

– Zostawaliście wtedy sami, czy oprócz was był ktoś w firmie?

– Sami.

– Czy Paul orientował się, że spędza pani ze swoim szefem sporo czasu po godzinach?

– Wiedział, że dużo pracuję. Nie pytał, nad czym ani z kim. Miał wyrzuty sumienia z powodu swojej znajomości z Sheilą, dlatego nie wnikał w to, co robię. Zresztą wtedy sam pracował równie ciężko, o ile nie ciężej ode mnie.

– Rebecca, czy utrzymuje pani stosunki seksualne z Markiem Andersem? – Silvestri zrzuca maskę dobrego gliny.

– Już nie.

Usiłuję sobie przypomnieć, jak tu trafiłam, jak doszło do tej rozmowy i w jaki sposób to, że okłamuję policję na temat siebie i swojego szefa, w czymkolwiek nam pomoże. Dochodzi do tego absurdalna obawa, że Paul się o wszystkim dowie. Mój mąż ma Marka głęboko gdzieś, ale wolałabym, żeby akurat to kłamstwo się nie wydało.

– Rebecca?

Muszę przestać myśleć o burzy na zewnątrz i skupić się na tej, która rozszalała się tutaj, w tym pomieszczeniu.

– Sprawy zaszły trochę za daleko, ale to już skończone. Paul o niczym nie wie. Mark nie powiedział wam, że spędziłam u niego noc, ponieważ zdawał sobie sprawę, że mój mąż mógłby to mylnie zinterpretować i się wkurzyć.

– Rebecco, czy pan Campbell jest porywczy? – wtrąca łagodnie Wolcott.

– Nie bardziej niż pan czy ja. Wścieka się, a potem mu przechodzi. Ale nigdy by mnie nie skrzywdził. Nikogo by nie skrzywdził. – Pomiedzy kciukiem a palcem wskazującym znajduje się punkt, którego uciskanie ponoć uspokaja; usiłuję go znaleźć.

– A jak należałoby to prawidłowo zinterpretować, pani Campbell? – pyta Silvestri.

– Słucham?

– Powiedziała pani, że mąż mógłby mylnie zinterpretować pani obecność u szefa nocą. Jaka byłaby prawidłowa interpretacja?

Chce mi się krzyczeć. Serce wali mi tak mocno, że z ledwością mogę mówić.

– Spaliśmy ze sobą parę razy – mamroczę. – Chodziło wyłącznie o seks. Paul miał swój romans, ja miałam swój – wyjaśniam podniesionym głosem, co mnie samą zaskakuje, ale przynajmniej uwalnia odrobinę nagromadzonego napięcia i wreszcie mogę nabrać tchu.

Detektywi nadal wyglądają na niewzruszonych.

– A gdzie jest miejsce dla Sashy Anders w tym scenariuszu? – Silvestri celowo znów mnie wytrąca z równowagi natychmiast, jak tylko ją odzyskałam.

– Nie rozumiem?

Przerzucają mnie sobie jak piłeczkę.

Wolcott drapie się po głowie.

– Sądzi pani, że Sasha wiedziała o seksualnym aspekcie pani znajomości z jej mężem?

– Wątpię. Interesowała się głównie sobą. Poza tym ich związek przeżywał kryzys.

– Zdarzały się jej przygody poza małżeństwem?

– Nie mam pojęcia. Tłumaczyłam już, że nie byliśmy przyjaciółkami.

– Podejrzewała pani, że ją i Paula mogło połączyć dawne uczucie? – pyta Silvestri niby od niechcienia.

Już tracę do niego cierpliwość.

– Nie. Po prostu się kumpłowali. Ich związek to stare dzieje. – Krzyżuję ręce na piersi i szybko je opuszczam.

Wolcott notuje.

– A więc Mark nigdy nie wspominał o niewierności Sashy?

– Nie. Byliśmy blisko, ale nie rozmawialiśmy o jego małżeństwie. Tego, co się między nami wydarzyło, nie traktowaliśmy poważnie.

– Wydaje mi się, że sprawa jednak była poważna, skoro spędziła pani z Andersem tę noc, kiedy zaginęła jego żona, a on podczas pierwszego przesłuchania nie wymienił pani nazwiska jako osoby, która może zapewnić mu alibi. Nie uważa pani?

Nie wiem, czy Silvestriego podnieca takie dręczenie kogoś, ale wygląda na faceta, którego to kręci. Straciłam wszelką kontrolę nad rozmową. Czuję się jak podejrzana.

– Pani Campbell – włącza się Wolcott – pan Anders był pani przełożonym. Na moje oko wasz układ wygląda na klasyczny przypadek nadużycia władzy, zwłaszcza jeśli na koniec poczuła się pani zmuszona odejść z firmy. Czy Mark na panią naciskał? Czy rozmawiała pani o tym z kimś z działu kadr?

– Nie, to nie tak. – Mam wrażenie, jakbym przebiegła maraton i miała paść. Biorę ze stołu butelkę z wodą, przykładam do ust i opróżniam jednym haustem.

Silvestri chyba czyta mi w myślach.

– Proponuję krótką przerwę. Może chciałaby pani skorzystać z toalety?



Kiedy wracam, obaj siedzą w ciszy. W pomieszczeniu zrobiło się chłodniej. Opłukałam twarz zimną wodą, rozpuściłam tabletkę ativanu pod językiem i trochę mi lepiej. Zajmuję swoje miejsce i czuję niepokój, widząc, że przed Silvestrim nadal leży mój telefon.

– Jeszcze tylko kilka pytań, pani Campbell, i będzie pani wolna.

– Oczywiście. – Bez telefonu zupełnie straciłam poczucie czasu. Nie mam pojęcia, jak długo mnie magłowali. Mam wrażenie, że kilka godzin.

– Rebecca, coś mi tu nie gra.

Kurwa mać.

– Co takiego?

– Powiedziała pani, że dopiero po fakcie skojarzyła Sheilę z kobietą, która ćwiczy obok pani na zajęciach.

Nie rozumiem, dlaczego znów wracają do Sheili.

– Zgadza się.

– A czy kiedykolwiek widziała pani swojego męża i Sheilę razem?

– Nie. – Zaciskam zęby.

– Wobec tego jak rozpoznała ją pani na zdjęciu tamtego ranka, kiedy złożyliśmy państwu wizytę? – Silvestri wydaje się przekonany, że ma mnie w garści.

Nie tak prędko.

Pozwalam popłynąć wstrzymywanym dotąd łzom.

– Zobaczyłam jej zdjęcia na telefonie Paula. Głównie nagiego ciała, ale na kilku było widać twarz. – Nie muszę udawać obrzydzenia, które wykrzywia mi usta, kiedy przypominam sobie te fotki. – Tak się dowiedziałam o ich romansie. Przestała przychodzić na zajęcia, zanim odkryłam zdradę Paula i skojarzyłam fakty.

– Ale przecież wtedy, podczas naszej rozmowy w kuchni, Paul powiedział, że ta znajomość nie przerodziła się w nic więcej...

– Przysłała mu parę swoich zdjęć, on odwdzieczył się tym samym. Twierdził, że to wszystko i że nie posunął się dalej. Uwierzyłam mu. Nie drążyłam.

Obaj detektywi sprawiają wrażenie skrępowanych moim cichym szlochaniem. Wreszcie światelko w tunelu. Wolcott wychodzi; pewnie poszedł po chusteczki.

– Przepraszam. Zupełnie się rozkleiłam. Ale przeżywanie od nowa takich rzeczy cholernie boli, wie pan? Dziś już chyba będę do niczego.

Silvestri kiwa głową.

– Oczywiście. Proszę wybaczyć, jeśli zachowywaliśmy się zbyt obcesowo.

– Jest pan żonaty, detektywie?

– Byłem – odpowiada tonem podszytym udręką.

– Zatem rozumie pan, że chcemy z Paulem zapomnieć o tej sprawie z Sheilą. Mam też nadzieję, że nie będę musiała mówić mu o Marku. Ciężko pracujemy nad uzdrowieniem naszego małżeństwa i dotarliśmy do etapu, kiedy rany wreszcie zaczynają się goić.

– Oczywiście. – Nieznacznie łagodnieje. – Ale niewykluczone, że jeszcze zaprosimy panią do komisariatu.

– Zgłosiłam się do was, bo uważałam, że tak należy.

– Doceniamy to, pani Campbell – odzywa się zza moich pleców Wolcott, podchodzi i stawia przede mną pudełko chusteczek.

Posyłam mu spojrzenie pełne wdzięczności i wyjmuję jedną chusteczkę. Osuszam nią policzki. Jest szorstka w dotyku.

Sięgam po kurtkę i w tej samej chwili zaczyna wibrować moja komórka. Nie mogę się zorientować, co jest napisane na ekranie, bo aparat leży do góry nogami. Silvestri przesuwa go po blacie.

– Jest pani wolna.

Zabieram telefon i idę do wyjścia – kroczę szybko, ale żeby nie wyglądało to tak, jakbym uciekała. Zerkam na wyświetlacz i nagle czuję, jak krew odpływa mi z twarzy. Nazwisko Marka, a pod nim trzy krótkie wersy:

Co tak długo?

Już po wszystkim?

Mieliśmy umowę.

Wstrzymuję oddech i czekam, aż jeden z detektywów odczyta mi moje prawa i przykuje do stołu. Ale nie. Wolcott tylko się uśmiecha i otwiera mi drzwi.

SHEILA

Kiedy wreszcie uświadomiłam sobie, że to koniec, było już za późno. Z perspektywy czasu żałuję, że weszłam bez zaproszenia do domu Paula i zakradłam się do jego gabinetu, jedyne pomieszczenia, gdzie się jeszcze nie pieprzyliśmy.

Miałam wrażenie, że od pewnego czasu Paul traktuje mnie coraz chłodniej, zapragnęłam więc podgrzać atmosferę. Wiedziałam, kiedy Rebecca jest poza domem, i postanowiłam wykorzystać ten czas na swoją niespodziankę. Wymyśliłam sobie scenkę z seksowną sekretarką. Zakradłam się przez tylne drzwi, których, jak zauważyłam, Campbellowie chyba nigdy nie zamykają.

Paul akurat brał prysznic w łazience na piętrze. Przemknęłam do jego gabinetu, przebrałam się i zajęłam miejsce za biurkiem, przybierając prowokującą pozę. Nie mogłam się doczekać jego reakcji, kiedy zobaczy mnie z nogami na biurku w samych szpilkach, w jednym ze swoich krawatów – który zwędziłam kilka tygodni wcześniej.

Długo nie schodził, więc z ciekawości zaczęłam się rozglądać po gabinecie. Chciałam wiedzieć o nim wszystko, a on niewiele mówił o szczegółach swojego życia. Uznałam, że nic się nie stanie, jeśli trochę pomyszkuję. Dotarłam zaledwie do górnej szuflady biurka i zobaczyłam pistolet zawinięty w bandanę, kiedy Paul przyłapał mnie na gorącym uczynku. Wykrzywił usta z taką wściekłością, jakby chciał mnie ostro zrugać. Liczyłam, że jednak – mimo okoliczności – bardziej się ucieszy, że mnie widzi. Na szczęście, mój szczególny strój obrócił jego złość w pożądanie. Oparł mnie o biurko i dogłębnie wczuł się w rolę szefa. Ale jak tylko skończył, od razu wyłapałam, że coś jest nie tak.

– Sheilo, nie możemy już tego robić – oznajmił beznamiętnie, choć przecież byłam naga, jeśli nie liczyć krawata.

– Paul, przepraszam cię, naprawdę. Już nie będę się zakradała, obiecuję. Sądziłam, że taka niespodzianka ci się spodoba.

– Nie chodzi o dzisiaj. Z nami koniec.

– Myślałam, że zbliżyliśmy się do siebie. I że łączy nas coś wyjątkowego. –
Usiłowałam nie dopuścić paniki do głosu.

Wyciągnął do mnie rękę. Sądziłam, że chce mnie dotknąć, czule pogłaskać, ale on tylko poluzował węzeł krawata i zdjął mi go przez głowę.

– To prezent od żony.

Sprowadził mnie na ziemię. Zrozumiałam, że przedobrzyłam.

– Przepraszam.

– Rozstańmy się, zanim to wszystko za bardzo się skomplikuje.

Byłam tak osłupiała, że nawet nie zaprotestowałam. Przełknęłam łyżę i zrobiłam dobrą minę do złej gry, ale w środku umierałam.

Kiedy wyszedł, żebym się ubrała, podwędziłam mu z biurka klucz opisany jako „drzwi wejściowe”. Zamierzałam dodać ten przedmiot do zbioru rzeczy Paula. Dzięki nowej zdobyczy zyskałam swobodny dostęp do domu.

Po rozstaniu byłam zdruzgotana. Bez Paula odchodziłam od zmysłów. Nadal czułam się w nim tak bardzo zadurzona, że nie potrafiłam normalnie funkcjonować. Mijały dni bez telefonów i wiadomości od niego. Chodziłam coraz bardziej rozstrojona. Godzinami spacerowałam z Molly, licząc, że wpadnę na Paula z Duffem. Uwierzyłam, że gdy mnie zobaczy, zmieni zdanie i znów zapragnie być ze mną. Codziennie zawzięcie pedałowałam obok Rebekki, która sprawiała wrażenie, jakby żyła w wiecznym transie. Patrzyłam na nią ze świadomością, że pojedzie do domu, do Paula – i pękało mi serce.

Obserwowałam ich. Przyglądałam się, jak Paul udaje, że ją kocha. Byli wszędzie. Rozmawiali, śmiali się, trzymali za ręce. Wiedziałam, że Paul patrzy na nią i widzi mnie. Z jakiegoś powodu postanowił brać udział w tej maskaradzie; ja wolałam bawić się inaczej. Nachodziły mnie wątpliwości, zastanawiałam się, czy jest dla mnie miejsce w jego życiu. Straciłam pewność, czy istnieje naprawdę, czy nie wymyśliłam go sobie.

Nadal bardzo go kochałam. Kiedy zablokował mój stary numer telefonu, kupiłam nowy i zaczęłam wysyłać przypomnienia o tym, że nadal żyję. Postanowiłam, że nie spocznę, dopóki nie otworzę mu oczu. Nie pozwolę o sobie zapomnieć, o tym, że należałam do niego, a on do mnie i że mnie kochał.

Molly też mnie zostawiła. Któregoś dnia po prostu uciekła, kiedy spuściłam ją ze smyczy na plaży, a ja nie miałam siły jej gonić. Nie oczekiwałam, że wróci. Dobrze znałam smak porzucenia.

Weszłam do wody po pas, zsunęłam z palca obrączkę i pierścioneł zaręczynowy i cisnęłam je do oceanu. Im dalej brnęłam, tym mocniej fale spychały mnie z powrotem na brzeg. Nawet morze mnie nie chciało. Wystarczyło, że zabrało Daniela.

Pewnego dnia przyczałam się nieopodal i kiedy odjechali razem – ona oparła głowę na jego ramieniu; żadne z nich mnie nie zauważyło – weszłam do ich domu.

Chciałam zabrać coś, co było dla Paula ważne. Miałam jego klucz, spinki do mankietów i zdjęcie z dzieciństwa, które wisiało na tablicy korkowej. Potrzebowałam czegoś większego, solidniejszego. Czego zniknięcie będzie czytelną wskazówką co do tego, jak się czuję.

Zajrzałam do biurka i znalazłam pistolet tam, gdzie zobaczyłam go po raz pierwszy. Nie wiedziałam jeszcze, co z nim zrobić, ale wiadomość od Paula sprawiła, że byłam gotowa posunąć się naprawdę daleko. Włożyłam broń do torebki i od razu poczułam się lepiej.

PAUL

Otwieram drzwi – i wchodzę.

Niezwykłe uczucie: zobaczyć wewnątrz na takim etapie, kiedy już można je sobie wyobrazić jako dom gotowy do zamieszkania. Hydraulicy kładą rury. Elektryk zapowiedział, że jak tylko instalacja wodno-kanalizacyjna będzie gotowa, natychmiast zabiera się do pracy. Pomogę Javierowi i chłopakom przy montażu płyt gipsowo-kartonowych i kładzeniu podłóg, a w blokach startowych czeka już doborowa ekipa malarzy.

Od dawna widzę oczami wyobraźni, jak ostatecznie będą wyglądały poszczególne pomieszczenia, ale dopiero teraz uruchamiają się pozostałe zmysły. Czuję zapach nawoskowanych podłóg i ciepło bijące od rozpalonego kominka. Słyszę szum wody nalewanej do wanny na piętrze i smakuję miąższ pomidorów, które będę hodował w warzywniku. Rebecce na pewno się tu spodoba.

Mam lekką tremę i muszę przyznać, że to orzeźwiające, pobudzające uczucie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się denerwowałem w związku z nieruchomością, ale nie ma się co dziwić, przecież ten dom jest inny niż wszystkie. Jego budowa oznacza pogrzebanie przeszłości i zwrot ku pięknej przyszłości z kobietą, do której powróciłem po latach.

Nie wszystko, rzecz jasna, idzie jak po maśle. Wes już teraz suszy mi głowę, że powinniśmy się szykować do jesiennego sezonu, a w najbliższych tygodniach stanie się jeszcze bardziej namolny. Na szczęście obecność hydraulika na budowie daje mi swobodę działania, bo nie muszę cały czas patrzeć mu na ręce. Potem to samo zapewni mi elektryk, a później – ekipa malarska.

Wydaje się, że moje wyjaśnienie nieudolności pary detektywów chwilowo uspokoiło Rebecę. Od kilku dni sprawia wrażenie mniej spiętej i zestresowanej. Modłę się tylko o to, żeby wreszcie choć trochę zapanowała nad swoją lekomanią. Musi wziąć się w garść dla naszego wspólnego dobra.

Dana okazała się darem niebios. Naprawdę nie wiem, jak bym bez niej przetrwał te ostatnie kilka miesięcy. Los zesłał mi ją akurat wtedy, kiedy najbardziej potrzebowałem pomocy. W dodatku jej dom cieszy się zainteresowaniem kupujących pomimo charakterystycznego dla tej pory roku zastoju na rynku. Pozwalam sobie mieć nadzieję, że jednak wszystko się ułoży.

Nagły, dokuczliwy ból w dolnej części pleców wyrywa mnie z zamyślenia. Zaczynam masować napięte mięśnie. Moje ciało na pewno odetchnie, kiedy ta budowa wreszcie dobiegnie końca. Potem przez jakiś czas będę musiał się oszczędzać. Dana namawia mnie na wizytę u masażysty, opieram się, ale chyba ulegnę. Plastry rozgrzewające wprawdzie trochę pomagają, ale kości zaczynają się buntować.

Ugniatam bolące mięśnie, a moje myśli biegną ku Rebecce. Opatruję jej ranę w barku tamtej feralnej nocy. Nowa rana na starej. Ból, uśmierzanie go lekami, tłące się wspomnienie cierpienia, proszki przeciwbólowe – przynoszą ulgę, ale wyniszczają organizm.

Znów jestem małym chłopcem, siedzę z tyłu w samochodzie. Tata prowadzi, mama odwraca się do mnie i mówi:

– Paul, kochanie. To tylko na weekend. Musimy z tatą załatwić kilka spraw. Zobaczysz, będzie fajnie u wujka Nicka.

– Ale ja nie chcę. Wolę jechać z wami – protestuję ze łzami w oczach. – Nie zostawiajcie mnie tam!

– Och, skarbie – śmieje się mama. – Przecież nie zostawimy cię na zawsze. Wrócimy po ciebie, głuptasie.

– Obiecujesz?

– Paul, chłopie, weź no się w garść, co? – Słyszę rozdrażnienie w głosie taty, kiedy spogląda na mnie przez ramię.

Widzę, że samochód przed nami hamuje, ale głos więźnie mi w gardle. Patrzę, jak suniemy w tamtą stronę. Nie odzywam się słowem. Tylko się przyglądam.

Nagły przeszywający ból w boku zmusza mnie do powrotu do terażniejszości. Moja koszula jest mokra od potu, łyż szczypią w oczy. Już nie mogę. Mam, kurwa, dość. To się musi skończyć. Zaciskam zęby na kołnierzyku koszuli i wydaję z siebie krzyk. Rozglądam się po domu, biorę głęboki wdech i dopiero wtedy udaje mi się w miarę uspokoić. Doprowadzam

się do jako takiego porządku, po czym wychodzę na dwór i ruszam w kierunku auta. Pora na lunch. Najpierw jednak nakleję kolejny plaster i sprawdzę telefon – oby nie było żadnych pożarów do ugaszenia.

WOLCOTT

– Coś cię ugryzło w tyłek?

Pierwszy raz widzę Silvestriego z taką miną, wyrażającą determinację, wzburzenie i sadystyczną rozkosz naraz. Poza tym powinien trochę zwolnić, w końcu jesteśmy na przedmieściach.

– Nie lubię tyranów – odpowiada.

– Jak każdy. Co cię gryzie?

– Mark Anders to tyran. Chętnie rozerwałbym go na strzępy.

– Spokojnie, narwańcu. Nie tkniemy kolesia palcem, dopóki nie wymyślimy, jak go przyskrzynić.

– Widziałeś, w jakim stanie jest Rebecca Campbell? Facet faszeruje ją lekami, a prochy i romans ewidentnie wykorzystuje do wywierania na nią presji. Wszystko, byle wykonywała jego polecenia. Weź na przykład to alibi.

– W porządku, ale powiedz: co konkretnie możemy mu w tej chwili udowodnić?

– Gość jest arogancki, bezczelny i wcale nie tak sprytny, jak mu się wydaje. W końcu dobierzemy mu się do skóry.

– Jasne, że tak – mówię. – Musimy jedynie zachować cierpliwość. Lepiej iść mostem zwodzonym niż płynąć fosą. Kapujesz?

– Arystoteles? – rzuca ze śmiechem.

– Coś w ten deseń. Zwolnij. Płoszysz wiewiórki.



Zbliżamy się do efekciarskiej rezydencji Andersa. Mój partner zwalnia, toczymy się kawałek, potem skręcamy na podjazd. Policyjny wóz widzi całą okolica.

– Nie mogłeś się powstrzymać, co?

Puszczą do mnie oko i posyła mi uśmiech pełen samozadowolenia.

– Ot, przyjemnostki.

Wysiadamy z radiowozu i ruszamy do drzwi wejściowych. Nie mamy okazji zapukać, bo nagle się otwierają i staje w nich Mark Anders, tocząc błędnym wzrokiem. Zalatuje od niego przetrawionym alkoholem. Wyliniały szlafrok, który ma na sobie, jest dosłownie sztywny z brudu.

– Uszanowanie, panie Anders – odzywa się Silvestri. – Jak pan się czuje?

– A jak mam się czuć, kiedy Sasha nie żyje? Co tu robicie?

– Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci pańskiej żony – wyjaśnia spokojnie Silvestri, nie odrywając wzroku od gospodarza. – Chcemy zadać panu kilka dodatkowych pytań i ostatecznie ustalić chronologię zdarzeń. Możemy wejść?

Wzrusza ramionami.

– A wchodźcie. – Zaprasza nas leniwym gestem.

Salon wygląda jak po wybuchu granatu. Żałosny widok. Anders zauważa, że rozglądamy się z niesmakiem.

– Dałem sprzątacze tydzień wolnego – wyjaśnia rzeczowo.

Na podłodze stoi chwiejna wieża z pudełek po pizzy, a w całym pomieszczeniu walają się puste butelki po alkoholu. Żaluzje są opuszczone. W tle słychać buczenie klimatyzatora. Atmosfera jak w zimnej, wilgotnej jaskini.

– Broń! – ostrzega Silvestri.

Odruchowo sięgam do kabury. Mój wzrok podąża za spojrzeniem partnera i ląduje na ławie obok kanapy. W salonie jest tak ciemno, że dopiero po chwili udaje mi się dostrzec zarys pistoletu na stosie gazet. Zerkam na Andersa. Stoi niewzruszony, najwyraźniej zupełnie się nie przejmując tym niespodziewanym dla nas obrotem spraw.

Podnoszę broń przez chusteczkę, którą wyjąłem z kieszeni kamizelki.

– Panie Anders... Po co panu glock dziewiętnaście?

– A jak pan myśli? Dopiero co jakiś sukinkot zamordował moją żonę – odpala.

– No proszę, zupełnie jak nasze – zauważa Silvestri, wskazując moją i swoją służbową broń. – Ma pan zezwolenie?

Anders posyła mojemu partnerowi lodowate spojrzenie.

– Nie potrzebuję, geniuszu. Trzymam broń wyłącznie w domu.

Silvestri uśmiecha się od ucha do ucha. Odpina od paska kajdanki i podchodzi do Andersa.

– Marku Anders, zatrzymuję pana za posiadanie broni bez zezwolenia – oznajmia i zakuwa rozwścieżonego gospodarza.

Mark próbuje mu się wyrwać.

– Co wy, kretyni, odpierdalacie? Oskarżę was o bezpodstawne aresztowanie.

– Warto być na bieżąco z przepisami – komentuje Silvestri z niekłamana przyjemnością.

Wyprowadzamy wierzgającego, piekłącego się Andersa i eskortujemy go do radiowozu. Zasypuje nas stekiem wyzwisk i pustych gróźb. Sąsiedzi, którzy wyszli pobiegać albo krzątają się przy domach, przystają z zaciekawieni darmową rozrywką. Anders obrzuca ich wyzywającym spojrzeniem. Ładujemy go na tylne siedzenie i odjeżdżamy.



Siedzę przy swoim biurku, kiedy nagle podchodzi do mnie Silvestri. Przysiada na brzegu i daje mi znak głową.

– Tak?

– Słuchaj, Wolcott, korzystałeś kiedyś z Venmo?

– Chodzi ci o tę aplikację do przesyłania pieniędzy? Nie, jakoś nie było okazji.

– Bo widzisz, Venmo ma pewną ciekawą funkcję, o której nie wszyscy wiedzą. Chodzi o to, że jeśli nie zmienisz ustawień na „prywatne”, każdy może podejrzeć historię twoich transakcji.

– Bardzo ciekawe, partnerze. – Widzę błysk w jego oczach.

Silvestri się rozkręca.

– Pamiętasz tego kolesia z Hamptons, którego nie tak dawno zwinęliśmy? Morgan Kaufman. Gazety nazwały go „dilerem funduszy powierniczych”.

– A, tak. To jemu przewróciliśmy dom do góry nogami, zgadza się? Ukrywał towar w ścianach.

– Właśnie. – Silvestri wyjmując z kieszeni telefon, stukając palcem w ekran i po chwili wręcza mi komórkę. Wyświetla się strona Venmo z wykazem transakcji Marka Andersa. – A teraz pytanie za sto punktów: za co znany diler mógł płacić jednemu z szefów firmy farmaceutycznej?

– Bez jaj! Chcesz powiedzieć, że Anders go zaopatrywał?!

– Na to wygląda. Widocznie Mark nudził się w pracy i postanowił uatrakcyjnić sobie życie małym szwindlem na boku.

– A to sukinsyn – kwituję. – Silvestri, ty bestio. Musimy załatwić nakaz rewizji domu Andersa.

Partner z zadowoleniem kiwa głową.

– Już się tym zająłem.

SHEILA

Miałam trzydzieści cztery kilometry na to, żeby zdecydować, które z nich zamordować w pierwszej kolejności.

Dla Paula i Rebekki nie żyłam już od trzydziestu sześciu godzin. Ocknąłam się wczesnym rankiem nazajutrz po swoich urodzinach. Zdążyłam wspiąć się po schodach i zobaczyć niebo – a potem straciłam przytomność i przeleżałam większość dnia na parterze niewybudowanego domu. Miałam szczęście, że zawinęli mnie w plastik razem z kurtką, bo w przeciwnym razie wygrzebałabym się z grobu tylko po to, żeby umrzeć z wyziębienia. Działka jest wystarczająco oddalona od innych zabudowań, żeby nikt nie zwrócił na mnie uwagi, kiedy przez cały dzień budziłam się i zapadałam w sen wywołany wstrząśnieniem mózgu. Dopiero wraz z zapadnięciem zmroku poczułam się na tyle stabilnie, by wyruszyć w podróż powrotną do domu.

Niewiele w gruncie rzeczy mogłam zrobić, jeśli naprawdę zależało mi na zachowaniu pozorów, że zaginęłam i nie żyję. Zdawałam sobie sprawę, że jeżeli skorzystam z telefonu, żeby zorganizować sobie podwózkę, zostawię łatwy do namierzenia ślad. A przecież zależało mi na tym, żeby Paul i Rebecca trwali w przekonaniu, że pozbyli się mnie na dobre, a policja uznała, że zapadłam się pod ziemię. Zużyłam końcówkę baterii na wyznaczenie trasy, potem wyłączyłam aparat i kawałek dalej cisnęłam go w gęste zarośla. Podziękowałam sobie w duchu, że wybierając się do Campbellów, zrezygnowałam ze szpilek i założyłam skórzane buty do konnej jazdy. Na wysokich obcasach nie zdołałabym w siedem i pół godziny pokonać pieszo trasy z Cold Spring Harbor do Stony Brook.

Z początku stwierdziłam, że doskonale symetrycznym zwieńczeniem mojej męki byłoby zamordowanie Rebekki i podrzucenie jej ciała w piwnicy. Piękny obrazek: Paul zaciąga plastikowy zwój do grobu, który w pocie czoła wykopał, przekonany, że w środku znajdują się moje zwłoki, po czym odkrywa, że moje miejsce zajęła Rebecca. Scena rzeczywiście idealna, ale

tylko w teorii. Wątpliwe bowiem, aby Paul miał czas odwijać trupa. Co nie zmienia faktu, że wizja miny Paula, który uświadamia sobie, że o mało nie pogrzebał własnej żony, pomogła mi przetrwać kilka samotnych, pełnych dezorientacji kilometrów na wiejskich drogach tonących w ciemności.

Musiałam wybrać osobę, której śmierć mnie nie poruszy, a być może nawet sprawi mi radość. W dodatku kogoś mniej więcej mojego wzrostu i podobnej wagi. Kogoś majątnego. Bo będę potrzebowała pieniędzy. Niemal natychmiast przyszła mi do głowy Sasha. Zabijając ją, zniszczę Markowi życie – dodatkowa korzyść. Anders od dawna znajdował się na mojej liście. Kiedy już postanowiłam, co i komu zrobię, plan właściwie ułożył się sam.

Po przejściu dwudziestu kilometrów czułam już tylko nieznośny ból poobcieranych, pokrwawionych stóp i słyszałam przejmujące wycie mózgu obolałego po urazie. Nad ranem doszłam do wniosku, że kobieta wlokąca się wzdłuż drogi stanowej wczesnym rankiem to zdecydowanie podejrzany widok; co innego przetaczająca się przez miasto ciężarówka, której kierowca postanowił podwieźć politowania godną dziewczynę, oszczędzając jej marszu aleją wstydu o świcie. Bez trudu znalazłam podwózkę już na pierwszej stacji benzynowej, na którą wstąpiłam. Starłam się unikać kamer monitoringu, a później, w szoferce, wymigałam się od zwierzeń, ukrywając twarz w dłoniach i udając, że wypłakuję sobie oczy. Który mężczyzna pali się do rozmowy z rozszlochaną kobietą?

Wysadził mnie kilka przecznic od domu. Dokuśtykałam do tylnego wejścia i wyjęłam zapasowy klucz spod doniczki. Na szczęście nie spotkałam żadnych sąsiadów i mogłam się wślizgnąć niezauważona do środka po to, by rozpocząć wszystko od początku. Najpierw musiałam się wyspać i najeść. Wiedziałam, że policja zacznie mnie szukać, dopiero kiedy sama zawiadomię ją o własnym zaginięciu. Miałam tę przewagę.

Już zapomniałam, jak łatwo uwolnić się od dotychczasowego życia tak, by nikt niczego nie zauważył. Jak wąż, który zrzuca skórę i odpełza po cichu. Wróciłam z martwych, by wylądować we własnym łóżku. Postanowiłam, że kiedy się obudzę, zacznę od nowa. Nie po raz pierwszy zamierzałam zostawić całą przeszłość i odejść bez oglądania się za siebie. Nabierałam w tym coraz większej wprawy.



Do morderstwa Sashy zabrałam się tak jak do organizacji przyjęcia niespodzianki, czyli z drobiazgową starannością. Sporządziłam w pamięci listę rzeczy, których będę potrzebowała, i im dłużej planowałam swój ruch, tym bardziej docierało do mnie, jak doskonałym celem jest Sasha. Miała wszystko, na czym mi zależało. Rozważałam różne scenariusze, zastanawiałam się, jak najlepiej wykorzystać element zaskoczenia i zostawić minimalną ilość śladów. Znałam rozkład dnia Sashy lepiej niż jej mąż, który praktycznie w ogóle nie orientował się w tym, co robi żona. Byłam pewna, że zawsze nosi przy sobie sporo gotówki i karty kredytowe, o których istnieniu Mark nie ma pojęcia – chwaliła się nimi na zajęciach, niby mimochodem. Wiedziałam też, że z dumą i wbrew przepisom obowiązującym w stanie Nowy Jork wozi ze sobą dobrze ukrytą broń. Miałam również świadomość, że bez trudu poradzę sobie z wrobieniem Marka; ostatecznie wytypowałam Sashę głównie ze względu na niego. Mogłam być pewna, że nie od razu zauważy jej nieobecność. Poza tym wiedziałam wystarczająco dużo o jego brudnych interesach, by w odpowiednim momencie wykorzystać tę wiedzę i naprowadzić na niego policję.

Było dla mnie oczywiste, że jak najszybciej muszę zabić Sashę. Jeżeli jej trup miał zostać dublerem moich zwłok, powinna zniknąć mniej więcej w tym samym czasie co ja. Wyobraziłam sobie kilka rozwiązań rodem z książek kryminalnych i bardziej rozemocjonowana niż zdenerwowana czekałam, co będzie dalej, czy też jak rozwinie się sytuacja w przypadku Paula, Rebekki i Marka.

Z łatwością dopadłam Sashę po zajęciach. Jeździła bardzo charakterystycznym autem, drogim i krzykliwym jak ona sama. Parkowała zawsze w tym samym miejscu i niezmiennie opuszczała klub ostatnia, bo wyszykowanie się na happy hour dla pań – makijaż plus doskonała fryzura – zajmowało jej dwa razy więcej czasu niż pozostałym. Lubiła zrobić odpowiednie wejście. Sprawdziłam parking pod kątem kamer monitoringu. Znalazłam kilka, ale wszystkie skierowane na sklep sieci Best Buy przyklejony do budynku Lotus Pedal.

Zaczałam się za jej autem po stronie pasażera i zaczekałam, aż wyjdzie z klubu i ruszy w kierunku wozu. Poprawiłam blond perukę w odcieniu włosów Sashy, jaśniejszą od moich naturalnych. Jeszcze raz przejrzałam elementy stroju, niemal identyczne z tymi, jakie miała na sobie ona: obcisłą czarną koszulkę, wąskie dżinsy i zamszowe botki. Sasha odblokowała zamki pilotem i wrzuciła torbę na tylne siedzenie. Wtedy szybko otworzyłam drzwi

i usiadłam na fotelu po prawej stronie – w tej samej chwili, w której ona zajęła miejsce za kierownicą.

Poczułam ciężar młotka z krótkim trzonkiem. Podprowadziłam go z garażu sąsiada i ukryłam w niedużej torebce z Sephory. Doskonale poręczny przedmiot.

W półmroku kabiny jej wielkie brązowe oczy były prawie czarne. Najpierw się przestraszyła, potem zirytowała.

– E... kim, do cholery, pani jest?

– O matko! – roześmiałam się celowo piskliwym głosem; nie wiem, po co odgrywałam taką komedię, skoro Sasha i tak nikomu by nie opowiedziała o tym zdarzeniu. – Myślałam, że to samochód męża. Jeździ niemal identycznym. Zabawne, prawda?

Miała tylko chwilę, by zmazać z ust pełen samozadowolenia uśmiešek i ułożyć je w idealnie okrągłe O, zanim młotek, który błyskawicznie chwyciłam dłonią w rękawiczkę i wyjęłam z torebki, spadł na jej czaszkę.

Kiwnęła się do przodu i wylądowała na moim ramieniu. Dla kogoś z zewnątrz wyglądałyśmy pewnie jak dwie obejmujące się przyjaciółki.

Cios młotkiem jej nie zabił – to nas połączyło – i bardzo dobrze, właśnie tak to sobie zaplanowałam. Sasha zginie od kuli wystrzelonej z jej własnej broni, zarejestrowanej na Marka. Kiedy policja wykluczy samobójstwo, a zrobi to praktycznie od razu, podejrzenie padnie na Andersa. Zależy mi na tym, aby Sasha pozostała nieprzytomna do czasu, aż dotrzemy do Cold Spring Harbor.

Na szczęście się nie ocknęła, ale na wszelki wypadek prowadziłam, trzymając na kolanach jej nabitą broń. Niesamowite, jak łatwo przejęłam spluwę. Sasha sama włożyła mi w ręce narzędzie, którym odebrałam jej życie: pistolet, dumnie przechowywany w przedniej kieszeni jasnoczerwonej torebki, uszytej na zamówienie, z zapinaną na suwak skrytką na broń. Torebka była w stylu kosztującego trzy tysiące dolarów modelu od Fendi, który sobie zażyczyła. Któregoś dnia po zajęciach odważnie zanegowała całą ideę skrytki. Chwaliła się nią przed wszystkimi i nawet nie zastanawiała się nad tym, kto może to usłyszeć.

Sasha okazała się znacznie cięższa, niż sugerował jej wygląd. Zakładałam, że wyciągnięcie jej z auta nie zajmie mi aż tyle czasu i nie będzie wymagało aż tak dużo siły. Uznałam, że jeśli zlikwiduję ją na zewnątrz, uniknę bałaganu.

Rozłożyłam na ziemi brezent, w który sama zostałam zawinięta, i przeturlałam na niego nieprzytomną Saszę. Po raz pierwszy używałam pistoletu poza strzelnicą – chodziliśmy tam kiedyś razem z Danielem, na początku znajomości, i o dziwo, bardzo mi się spodobało. Muszę przyznać, że takie swobodne ćwiczenie strzeleckie na świeżym powietrzu było dla mnie zaskakująco emocjonujące. Natomiast wystrzał zabrzmiał niespodziewanie głośno.

Po wszystkim, kiedy lufa już ostygła, na wszelki wypadek schowałam broń do torebki. Potem zawinęłam Saszę w plandekę, co zajęło mi zaledwie ułamek czasu, który sama spędziłam na uwalnianiu się z plastikowego kokonu, i zaciągnęłam zwłoki do dwuskrzydłowych drzwi piwnicy. Otworzyłam je z pewnym trudem i wepchnęłam ją do środka. Głośno uderzyła o podłogę. Na koniec przesunęłam ją głębiej, gdzie sama leżałam; dobrze, że podczas ucieczki zwróciłam uwagę na to, gdzie i w jakiej odległości od schodów leżałam. Wyszłam stamtąd pewna, że mój podrzutek czeka na powrót Paula dokładnie tam, gdzie powinien. Przy odrobinie szczęścia Paul nie zorientuje się, że to nie moje ciało, tylko trup Sashy.

REBECCA

Szykuje się, żeby mnie zabić. Dziś rano, kiedy jeszcze spał, odkryłam, że zniknęła moja buteleczka leków od Marka. Wiedziałam, że Paul ją skonfiskował, a mnie tak bardzo, bardzo chciało się coś łyknąć. Szukałam wszędzie: w jego torbie na siłownię, w kieszeniach, w biurku, zanim w końcu przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić w aucie. Co prawda, nie namierzyłam pigułek, ale kiedy otworzyłam schowek, natrafiłam na pistolet zawinięty w czerwoną bandanę. Zostawiłam go tam, gdzie znalazłam, i przez pozostałą część poranka usiłowałam zapanować nad nerwami.

– Może byśmy się gdzieś przejechali w weekend? – rzucił, wychodząc. – Co ty na to, gołąbeczku? Tak jak dawniej. Odpowiada ci sobota? – Położył akcent na ostatnim słowie, jakby było szczególnie ważne.

– Jasne, kotku – odpowiadam przez ściśnięte gardło. – Świetny pomysł.

– No to jesteście umówieni na randkę. – Wyszedł cały w skowronkach.

Boję się go.



Siedzę w samochodzie i zanim odpalę silnik, żeby pojechać do Marka, roztrząsam to, jak fatalnie się wszystko ułożyło. Ogarniam wzrokiem nasz dom. Rzadko przyglądam mu się dłużej z tej strony. Z zewnątrz to uroczy, wręcz sielankowy dom, kuszący obietnicą szczęścia. I dawniej, kiedy mieliśmy przed sobą perspektywę stworzenia rodziny, dojrzałego związku, rzeczywiście czuło się tu niemal idylliczną atmosferę. Ciekawe, jak to by dziś było, gdyby udało nam się spełnić tamto marzenie. Druzgocąca prawda jest taka, że dziś Paul zamierza zrealizować zupełnie odmienną fantazję – z Daną.

Przeskakuję myślami pomiędzy terażniejszością a odległą przeszłością. Wczorajsze przesłuchanie z krzyżowym ogniem pytań Silvestriego i Wolcotta sprawiło, że wróciłam wspomnieniami do tamtej nocy, kiedy zginęli moi

rodzice. Posadzono mnie wtedy w podobnym, równie klaustrofobicznym pomieszczeniu, tyle że z wytartym, kolorowym dywanem i porozrzucanymi zabawkami dla małych dzieci. Pracownica opieki społecznej zadawała pytania, a ja usiłowałam przypomnieć sobie wszystko, co widziałam. Był przy tym mężczyzna, który z początku milczał. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że musiał być detektywem.

Nadal mam na sobie pidżamę, tę w księżycy i gwiazdy. Ktoś założył mi buty i zawiązał sznurówki.

– Rebecca, czy wiesz, co się dzisiaj wydarzyło? – Kobieta z opieki miała miły głos i uśmiechała się życzliwie. Detektyw siedział z poważną miną.

– Moi rodzice zrobili sobie krzywdę.

– Tak, to prawda. Wiesz, dlaczego się skrzywdzili?

– Mama coś powiedziała, a tata bardzo się zezłościł.

Skupiałam wzrok na kartonie mleka czekoladowego na stole. Wolałam to niż patrzeć w oczy dorosłym. Poznałam po ich minach, że zrobiłam coś bardzo złego i że będę miała kłopoty.

– Co było dalej?

– Schowałam się w szafie. Myśleli, że śpię w swoim pokoju.

– Co słyszałaś i widziałaś z tej kryjówki?

– Słyszałam, jak rozbijają się różne rzeczy. Tata otworzył szufladę w pokoju rodziców. Mama zaczęła krzyczeć: „Na pomoc!”. Potem... straszny huk i zobaczyłam mamę, jak leży na podłodze.

Detektyw był duży, dwa razy większy od mojego ojca. Ledwo się mieścił na krześle, na którym siedział. W innych okolicznościach na taki widok pewnie bym się ubawiła. Nie odzywał się, a kiedy oderwałam spojrzenie od mleka i popatrzyłam na niego, zobaczyłam, że ma czerwone oczy. Marszczył nos, jakby chciał kichnąć.

– Rebecca, co się stało po tym, jak twoja mama znalazła się na podłodze?

– Tata poszedł do mojego pokoju.

– Co zrobił, kiedy cię tam nie znalazł?

– Zaczął mnie wołać i szukać po całym domu. Zajrzał do szafy, ale mnie nie zauważył, bo schowałam się za kurtkami i przykryłam ubraniami.

– Dlaczego nie wyszłaś, kiedy cię zawołał?

– Bo wiedziałam, że nabroiłam. To siedziałam cicho.

– Co potem?

– Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że jestem gdzie indziej, i chyba zasnęłam, nie pamiętam.

– Co cię obudziło?

– Znowu huk. Później długo nic nie słyszałam. W końcu wyszłam zobaczyć, co się stało. Tata leżał blisko mamy. Pomyślałam, że strasznie się zmęczyli tą kłótnią, ale nie mogłam ich dobudzić. Później policjanci połamali drzwi.

– Musiałaś się bardzo przestraszyć.

– Tak... Przepraszam...

Rozpłakałam się. Detektyw podsunął mi karton. Wzięłam go i zaczęłam pić przez słomkę. Mleko miało słony posmak.

– Za co przepraszasz, kochanie? – Miał niski, kojący głos.

– Zrobiłam coś złego.

Naprawdę zrobiłam. I chciałam mu o tym powiedzieć. Ale nie potrafiłam.

– Skarbie, czy twój tata spał, kiedy wyszłaś z szafy?

Pokiwałam głową. Wiedziałam, że jeśli zacznę mówić, to już nie przestanę.

– W jaki sposób zraniłaś się w rękę? Ktoś cię za nią szarpnął?

Nagle buczenie telefonu przerywa wspomnienia.

Mam prezentację domu w Bridgehampton, potem wychodzę z Wesem. Wrócę późno, nie czekaj na mnie z kolacją. Kocham cię.

Lokalizator pokazuje, że znów jest u niej. Złość dodaje mi energii i wypiera zmęczenie. Dobrze, że wróciłam myślami do terażniejszości. Zapalam silnik i jadę do Marka upomnieć się o to, co mi obiecał – i nie tylko.



Kiedy zbliżam się do jego domu, zaskoczona i wstrząśnięta widzę, że policja wyprowadza go w kajdankach. RzUCA się w tym swoim wyświnionym szlafroku, ma potargane włosy i dzikie spojrzenie. Nie mogę oderwać od niego oczu. Myślałam, że go zastanę i znów będę musiała kombinować, jak go przekonać, żeby się wywiązał ze swojej części umowy, a tu proszę – chyba wreszcie szczęście się do mnie uśmiechnęło. Na Marka raczej się wypięło.

Nie zwalniam ani nie przyspieszam, przejeżdżam obok jak gdyby nigdy nic. Na szczęście detektywi nie zwracają na mnie uwagi. Silvestri prowadzi Marka do radiowozu i pomaga mu wsiąść na tylne siedzenie, osłaniając głowę, żeby się nie uderzył; z daleka wygląda to jak osobliwie troskliwy gest. Skręcam w najbliższą przecznicę i parkuję kilka ulic dalej. Wypatruję ich w lusterku wstecznym, czekam, aż odjadą, potem idę na piechotę do rezydencji Marka.

Podejrzewam, że mam co najwyżej kilka godzin, żeby znaleźć to, czego potrzebuję, nim zaroi się tu od techników policyjnych.

Zachodzę od tyłu, od strony posesji obok działki Andersów. Widzę, że nie ma samochodu na podjeździe u sąsiadów, ale wymyślam historyjkę o psie, który mi uciekł, na wypadek gdyby ktoś się jednak pojawił i zapytał, co tu robię.

Docieram do ogrodu na tyłach i kieruję się najkrótszą drogą do domku dla gości. Nie przyszło mi do głowy, kiedy przyjechałam do Marka z wizytą, ale teraz wydaje mi się oczywiste, że właśnie tam trzyma towar. W domku byłam raptem dwa razy, i to tylko przez chwilę, kiedy w akcie desperacji odbierałam od Marka leki poza godzinami pracy. Oczywiście, że tak naprawdę nigdy się nie pieprzyliśmy w domku dla gości – ani zresztą nigdzie indziej, skoro już o tym mowa – wbrew temu, co powiedziałam Wolcottowi i Silvestriemu. Robi mi się niedobrze na samą myśl o takiej ewentualności.

Wokół wspinającego się coraz wyżej słońca zbierają się szare chmury. Przesuwam się w cieniu drzew wzdłuż granicy działki, podchodzę jak najbliżej małego domku za basenem. Mogę znaleźć się przy nim w kilku krokach. Z zaskoczeniem myślę o tym, ile mam energii i jak trzeźwo myślę, a po chwili zdaję sobie sprawę, że dziś jeszcze nic nie brałam.

Szybko rozpracowuję zamek – łatwizna – i jestem w środku w niecałe dwie minuty. Tak jak się spodziewałam, domek dla gości jest podłączony pod ten sam system alarmowy, co główny budynek. Wklepuję dzień urodzin Sashy na klawiaturze sterownika i ten natychmiast informuje mnie piknięciem o poprawności kodu. Dzięki sporym oknom we wnętrzu jest na tyle jasno, że nie muszę zapalać światła. Domek gościnny składa się z jednego dużego pomieszczenia na dole oraz antresoli, na którą wchodzi się po drabinie. Większość miejsca zajmuje kanapa z ławą. Na ścianie wisi płaski telewizor, z boku znajduje się bar. Są też drzwi do niewielkiej łazienki.

Podchodzę do baru, który Mark wymyślił sobie na wzór piwnicznej męskiej jaskini z lat siedemdziesiątych – nie zapomniał nawet o neonowym haśle „Miller Time” i szklaneczkach w rozmaitych kształtach. Zaczynam otwierać szafki i szuflady. Robię to jednak bez większych nadziei na sukces, bo wiem, że łebski Mark nie schowałby towaru w tak oczywistym miejscu. Opukuję ściany, żeby się przekonać, czy któraś nie jest pusta w środku, zrzuca poduszki z kanapy, zaglądam pod dywan, szukając skrytki w podłodze. I nic. Rozglądam się za jakimś obrazkiem, który mógłby zasłaniać sejf, ale niestety szare ściany są całkiem gołe.

Ołowiane chmury przesłoniły słońce, przez co w dom-ku zrobiło się ciemnoszaro; mam wrażenie, jakby było już pod wieczór. Pomagam sobie latarką w telefonie. Otwieram drzwi do łazienki i uderza mnie zapach chloru. Niemal całą przestrzeń niedużego pomieszczenia zajmuje pokaźna pompa – pamiętam podobne urządzenie z czasów, kiedy Paul budował domy i zdarzało się, że działkę zalewała woda, którą potem trzeba było czym prędzej wypompować. Dziwne, że trzyma taki sprzęt w łazience, a nie w garażu. Pobieźnie opukuję metalowy korpus pompy i dochodzę do wniosku, że nie służy ona jako schowek leków. Woń chloru jest tak silna, że po wyjściu z łazienki muszę usiąść, bo kręci mi się w głowie.

Wdrapuję się na antresolę. Omiatam ją światłem latarki, które rzuca upiorny blask. Niewiele tu miejsca, wystarczyło go jedynie na kilka kartonów opisanych jako „płyty”. Zaglądam do środka – i rzeczywiście: kolekcja winyli. Moja irytacja rośnie. Głód leków wypiera adrenalinę.

Stojąc na szczycie drabiny, rozglądam się po pomieszczeniu w dole. Szukam przedmiotów, które tu nie pasują, zostały przesunięte albo mogą zawierać niewidoczną na pierwszy rzut oka skrytkę. Być może Mark wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim ktoś przyjdzie poszperać w jego zapasach, albo wystraszył się, kiedy odwiedziła go policja, i pozbył się towaru. Mógł go przenieść. Niewykluczone również, że się mylę i powinnam szukać w głównym budynku bądź w garażu. Jeśli tak, to mam jeszcze sporo miejsc do sprawdzenia. W dodatku nie wiem, kiedy się spodziewać powrotu detektywów. Poszukiwania stają się coraz bardziej gorączkowe.

Okno na antresoli wychodzi na basen i dom. Dociera do mnie, że węszenie w domku dla gości jest bezcelowe. Muszę wejść do siedziby gospodarzy.

Mam wrażenie, jakby zapach chloru ciągnął się za mną nawet po wyjściu na powietrze. Idę ścieżką dokoła basenu. Wyobrażam sobie te wszystkie

imprezy z Sashą jako gwiazdą wieczoru. Czuję, że minie mnóstwo czasu, zanim znowu ktoś tu będzie świętował. Ciekawe, że pomimo ciepłej pogody basen nadal jest szczelnie przykryty.

Skrećam w kierunku domu, ale po chwili zmieniam zdanie, robię w tył zwrot i postanawiam przejść się wzdłuż basenu. Wiem, że nie powinnam tego robić, bo ryzykuję, że ktoś mnie zauważy, ale przecucie okazuje się silniejsze.

Mniej więcej w połowie drogi zwracam uwagę na jeden z metalowych karabińczyków mocujących pokrywę basenu. Jest odpięty. Kucam i próbuję unieść naprężony materiał, żeby poświecić latarką do środka, ale niestety osłona jest zbyt mocno naciągnięta. Odczepiam więc trzy sąsiednie karabińczyki, licząc, że dzięki znajdującym się w tym miejscu metalowym poręczom i wyłożonym płytkami schodkom uzyskam dostęp do wnętrza basenu. Wypięcie karabińczyków nie jest wcale takie proste, jak się wydaje; muszę się przytrzymać poręczy, żeby przypadkiem nie wpaść do chłodnej wody. Z drugiej strony nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że basen jest pusty.

Wreszcie mogę unieść brezent i oświetlić jego wnętrze. Schodki i ściany są zupełnie suche. Woda została spuszczone. Schodzę rakiem na dno i od razu kucam, bo jest tak nisko, że nie da się wyprostować przy założonej osłonie. Łąduję na czworakach i nagle robi mi się bardzo przytulnie w tej ciemnej przestrzeni. Kieruję snop światła na drugi, głębszy koniec basenu – dostrzegam tam jakiś kształt. Z tej odległości słabo widzę, dlatego podpełzam bliżej, mniej więcej do środka, gdzie wreszcie wstaję z kucek. Na głębokości metra osiemdziesięciu mogę się już swobodnie wyprostować. Znalaziskiem, które wypatrzyłam, są dwie sterty plastikowych pojemników. Serce zaczyna mi bić tak mocno, że dłonie wpadają w dygot i nie potrafię skupić światła latarki w jednym punkcie. Omiotam najbliższe pudełko. Otwieram. Zatrzaski łatwo ustępują. Podnoszę wieko i niemal mdleję z zachwytu na widok tego, co znajduję w środku.

Oto ustawione w równych rzędach duże, po pięćset pigułek każda, buteleczki – butle! – ze wszystkimi lekami przeciwbólowymi, z którymi się do tej pory zetknęłam... oraz kilkoma, z którymi jak dotąd nie miałam przyjemności. Zaczynam ładować je do torebki – że też zabrałam taką małą! – a kiedy kończy się miejsce, odkrećam jedną z butelek, przesypuję część zawartości na dłoń i stopniowo wypełniam nią kieszeń sukienki. Otwieram

kolejny pojemnik. Moim oczom ukazują się niezliczone opakowania morfiny i meperydyny. Następne pudełko jest pełne uspokajających skarbów. To jednak, czego szukam, znajduję dopiero na samym dnie. Nic dziwnego, że Mark ukrył te leki tak głęboko. Zaskakujące zresztą, że dotąd się ich nie pozbył, biorąc pod uwagę to, jak są silne, a także ile osób straciło życie na etapie ich testów. Czułam, że je zachowa. Pewnie liczy, że ktoś kiedyś wpadnie na pomysł, jak rozgęszczać ten specyfik na tyle, by zażycie pojedynczej dawki nie prowadziło do śmierci. Na moje potrzeby postać i siła leku są jednak w sam raz.

Biorę jedną tubkę i starannie owijam ją papierem, a następnie ostrożnie, jakbym obchodziła się z granatem, wsuwam do kieszeni sukienki. Potrzebuję zaledwie niewielkiej części tego, co tu znalazłam, dlatego kiedy już wycisnę z tubki, ile będę chciała, wymyślę sposób na pozbycie się reszty, tak by nikt się na to przypadkiem nie natknął. Zamykam pudełka i układam je z powrotem jedno na drugim, choć wątpię, aby Mark miał jeszcze okazję zajrzeć do swojego skarbcza.

Zawracam w stronę płytkiego końca, kucam w połowie długości basenu i docieram do schodków. Słyszę, że ktoś nadjeżdża. Nie wiem, czy skręca na podjazd, czy tylko mija dom, ale to bez znaczenia. Nie marnuję czasu na mocowanie odpiętych karabińczyków, tylko puszczam się biegiem w kierunku swojego samochodu. Gnam, dźwigając w torbie i kieszeniach ciężar życia i śmierci.

SILVESTRI

– Panowie, litości – zwracam się do ekipy rozpruwającej ściany domku dla gości na posesji Marka Andersa. – Nie jesteśmy w muzeum. Przyłóżcie no się trochę. I pamiętajcie, że oprócz leków szukamy broni palnej kaliber pięć i pół milimetra.

Przez barierkę na antresoli przechyla się jeden z funkcjonariuszy i informuje:

– Na górze czysto.

Przetrząsamy domek od samego rana. Czuję, jak powoli gaśnie nasz entuzjazm. Nie znaleźliśmy odpowiedzi na żadne z nurtujących nas pytań.

Wolcott znów ma spojrzenie, jakby błądził myślami gdzieś daleko. Ogarnia wzrokiem pozostałości ścian, sufitu, podłóg. Z roztargnieniem szturcha czubkiem buta zwinięty dywan, wyjmując krótkofalówkę z uchwytu na pasku i wzywa ekipę, która pracuje w głównym budynku.

– Znaleźliście coś?

– Nic – pada odpowiedź na tle trzasków.

Wolcott wzdycha ze złością i ściągając brwi, wbija spojrzenie w podłogę.



Stoimy z partnerem na tarasie od strony ogrodu. Ucich-ły miłe dla ucha odgłosy destrukcji z wnętrza domu. Ustąpiły podszytej frustracją konsternacji. Mundurowi kręcą się bez celu.

– Na tym etapie – odzywa się Wolcott – już nawet nie liczę, że znajdziemy i zapas leków Andersa, i broń, z której zabito jego żonę. Przyjmę jedno albo drugie z pocałowaniem ręki.

– Wiemy, że na nazwisko Andersa została zarejestrowana bersa kaliber pięć i pół milimetra. Jakie jest prawdopodobieństwo, że nie zginęła z jego broni?

– Śladowe. – Wzrusza ramionami.

– To cholerstwo musi być gdzieś tuż na wyciągnięcie ręki – stwierdzam. – Gość nie jest aż tak sprytny.

Wolcott marszczy nos i zerka w kierunku basenu.

– Dlaczego basen jest zakryty? W środku lata? A jeśli stoi pusty, bez wody, to skąd się wzięły świeże ślady chloru na trawie?

Wymieniamy spojrzenia i ruszamy w tamtą stronę.

Zwracam uwagę na odczepione karabińczyki osłony. Kucam, podnoszę pokrywę.

– No to sobie nie popływamy.

Zaczynam odpinać pozostałe zaczepy wzdłuż jednego boku, a partner zabiera się za kolejne, tyle że po płytkiej stronie basenu. Potem wchodzi do środka. Zaczynam rechotać na widok przesuwającego się pod plandeką wybrzuszenia, które wygląda, jakby pod powierzchnią czaił się morski potwór – a to tylko głowa mojego partnera. Wolcott dociera do połowy długości basenu, po czym zawraca. Wyłania się spod osłony, podchodzi do mnie bez słowa, nachyla się, kładzie mi dłoń na ramieniu, uśmiecha się od ucha do ucha i dopiero wtedy mówi:

– Chcesz usłyszeć dobrą wiadomość, partnerze?

– Na co, kurwa, czekasz? Gadaj.

– DEA pomoże nam z papierologią. Bo niniejszym ta sprawa stała się federalna.

SHEILA

To się od razu wie.

Daniel był miłością mojego życia. Bratnią duszą, przyjacielem, brakującym elementem całości. Wiedziałam to, jak tylko go zobaczyłam. Ale był też kłamcą, oszustem i jebanym socjopata. O tym dowiedziałam się znacznie później.

Mieliśmy się pobrać za trzy tygodnie. Wszystko było już kupione i opłacone. Każdy z gości zaklepał pozycję z listy prezentów. Popłynęło sporo łez i wiele osób zdążyło się pozbyć zbędnego tłuszczu. Ślub tuż-tuż. Nic nie miało stanąć nam na przeszkodzie.

Wybrałam się na próbne malowanie i czesanie przed najważniejszym dniem. Szłam do samochodu ze świeżym makijażem: kredka do oczu, tusz do rzęs i róż, niosąc suknię ślubną, kiedy dostałam wiadomość od koleżanki z uczelni.

Myślę, że powinnaś to zobaczyć. Przykro mi.

Przysłała mi zrzut ekranu z Tindera. Profil mojego narzeczonego. Ostatnia aktywność: niecałą godzinę wcześniej. To był bez wątpienia mój Daniel. Poznałam go po charakterystycznej bliźnie na czole, pamiętce z czasów, kiedy jako nastolatek spotkał się z gałęzią podczas suszowania. Jak zwykle w przypadku facetów coś, co teoretycznie powinno szpeci, czyniło go bardziej atrakcyjnym, przydawało mu łobuzerskiego uroku.

Nie wiem, jak długo stałam na środku skrzyżowania, czytając jego profil, ale wystarczająco, by zmieniło się światło, auta zaczęły mnie mijać przy wtórze klaksonów, a zapakowaną w foliowy pokrowiec suknię porwał wiatr i rzucił na ulicę.

Opis: „Szukam odważnej seksualnej zabawy bez dramy”.

Jego zainteresowania: znałam je doskonale.

Rzeczy, których nie lubi: te nawet lepiej.

Preferencje co do charakteru związku: „Nieetycznie poliamoryczny”. To coś nowego.

Makijaż i elegancko zrobione włosy to naprawdę ważna sprawa, skoro kobieta, która w końcu sprowadziła mnie z ulicy na chodnik, na moje rozpaczliwe: „Co ja teraz zrobię?”, wręczyła mi puderniczkę, paczkę chusteczek i skomentowała: „Przynajmniej fryzura ci się nie zniszczyła, moja droga”. Spojrzałam w lusterko – groteskowo rozmazane pozostałości czarnego tuszu do rzęs spłynęły po pąsowych policzkach prosto ku krwistoczerwonym ustom. Byłam najżałośniejszą, najbardziej przerażającą weselną klaunicyą, jaka kiedykolwiek płakała przez mężczyznę.

Zabrałam suknię z asfaltu i zmyłam makijaż za trzysta dolarów, ale ślubu nie odwołałam.



Powiedziałabym, że jestem kobietą z pasją i zawsze dążę do celu. Lekarze, z którymi miałam do czynienia na wszystkich etapach swojego życia, opisaliby mnie raczej jako osobę obsesyjno-impulsywną. Ogólnie ostrożnie podchodzę do ludzi zarabiających na życie udzielaniem porad.

Owdowiałam w wieku trzydziestu lat. Po tym, jak oficjalnie uznano śmierć Daniela za wypadek, odziedziczyłam cały jego majątek. Rodzina i przyjaciele męża byli oburzeni, zwłaszcza że Daniel utonął zaledwie tydzień po ślubie. Daniel niezbyt chętnie mówił o tym, jak radzi sobie jego firma. A mnie to niezbyt interesowało, pieniądze okazały się po prostu nieoczekiwanym, acz miłym dodatkiem. Zresztą to jeden z tych dość istotnych aspektów życia, w których Daniel nie był ze mną szczery.

Dzięki spadkowi mogłam robić, co chcę, ale i tak nie wiedziałam, co ze sobą począć. Tuż przed ślubem zarejestrowałam się na Tinderze, żeby mieć Daniela na oku. Zabawne, że moje cyfrowe wcielenie pasowało do jego oczekiwań pod każdym względem, a mimo to nie udało nam się skojarzyć. Ostatecznie zamiast skasować swój profil, skasowałam męża. Wróciłam na Tindera po miesiącu miodowym i wynikach autopsji.

Wtedy poznałam Marka Andersa.

Przyleciał do Palm Springs w ramach podróży służbowej i szukał towarzystwa na czas pobytu w mieście. Spędziliśmy cudowny, wypełniony seksem tydzień. Kilka razy nazwał mnie „kobietą swoich marzeń”.

Przechwalał się domem jak z bajki w utopijnym miasteczku na Wschodnim Wybrzeżu.

Kiedy wyjechał, zaczęliśmy do siebie pisać. Byłam nim zauroczona. Dowiedziałam się wszystkiego, co można, na temat Stony Brook na Long Island, i przez internet wynajęłam uroczy domek nieopodal plaży. Chciałam zaskoczyć Marka, przywożąc mu siebie w prezencie.

Pojechałam do niego. Drzwi otworzyła żona. Zdążyłam jedynie rzucić okiem na wnętrze bajkowego pałacu Marka, zanim uświadomiłam sobie swój błąd. Wiadomość, którą mi potem przysłał, była dość jednoznaczna.

Nie zbliżaj się do mnie, ty pierdolnięta babo.



Tak naprawdę wcale nie kochałam Marka, dlatego po rozstaniu z nim nie cierpiałam długo. Ale przez pierwsze pół roku w Stony Brook doskwierała mi samotność. Miałam jedynie ustalony porządek dnia, który przejęłam od Sashy. Uznałam, że skoro Mark mnie nie chce, dowiem się, jak spędza czas jedyna poza nim osoba, którą znałam w mieście. Lotus Pedal, zabiegi w spa, happy hours, zakupy i od nowa, i jeszcze raz.

Chcąc wtopić się w klimat Long Island, a także zminimalizować ryzyko, że Sasha rozpozna we mnie tę obcą, która kilka miesięcy wcześniej zapukała do ich drzwi, postanowiłam zmienić wygląd. Zależało mi też, żeby nie kojarzył się z Zachodnim Wybrzeżem. Lubiłam się przeobrażać, dlatego tym chętniej przejęłam nowy styl. Zarzuciłam boho i zaczęłam się nosić na athleisure, czyli zarazem modnie i sportowo; pożegnałam się z naturalnie falującymi włosami do pasa i powitałam gładką, wzmocnioną keratyną fryzurę do ramion. Wtedy poznałam Paula.

Gdy go spotkałam, moje życie nabrało barw. Co prawda, trochę pomogłam losowi, ale dopiero po tym, jak ten zetknął nas ze sobą w restauracji w tym samym tygodniu, kiedy usłyszałam, jak Rebecca narzeka na męża. Z kanapy w kącie, którą zawsze zajmowałam, widziałam, jak wchodzą i siadają przy stoliku, nie odzywając się do siebie. Było w Paulu coś takiego... Od razu wiedziałam, że właśnie dla niego przeniosłam się na wschód.

Następnego dnia przygarnęłam suczkę ze schroniska i dodałam nowy punkt programu do swoich codziennych zajęć.



To nie tak, że specjalnie ukrywałam przed Paulem śmierć Daniela albo celowo wprowadzałam go w błąd. Po prostu nie potrafiłam jeszcze rozstać się z obrączką. Kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy, odniosłam wrażenie, że poczuł ulgę na myśl, że jestem zameżna, więc postanowiłam tego nie prostować.

Planowałam w odpowiednim momencie opowiedzieć mu całą historię. Ale im dłużej zachowywałam się tak, jakby Daniel nadal żył, tym trudniej było mi zebrać się w sobie, by mu to wytłumaczyć. Posunęłam się do tego, że włożyłam do szafy część ubrań po mężu, a nawet zostawiłam jego zegarek i spinki do mankietów na toaletce, doskonale wiedząc, że Paul je zauważy, kiedy wejdzie do pokoju. Przyznaję, to trochę makabryczne, ale zależało mi na dobrym samopoczuciu Paula.

Spędziliśmy razem cudowny rok. Pokochałam go znacznie bardziej niż Daniela i czułam, że odwzajemnia moją miłość. Dostrzegałam to, że jest coraz bardziej nieszczęśliwy w małżeństwie i zastanawia się, jak zakończyć związek z Rebeccą. Nie naciskałam na rozmowę o uczuciach, czekałam na odpowiedni moment, żeby podzielić się z nim swoją historią. Wychodziłam z założenia, że im dłużej będziemy razem, tym większe okaże mi zrozumienie. Spotykaliśmy się, gdy tylko nadarzała się okazja. Codziennie z milczącą nienawiścią jeździłam na rowerku tuż obok jego żony. Wiedziałam, że Paul musi dobrze zaplanować rozstanie z nią, byłam więc cierpliwa i starałam się nie wpływać na rozwój sytuacji.

Kiedy mnie rzucił, poczułam się tak, jakbym dostała obuchem w głowę. Mimo to miałam nadzieję, że zwyczajnie się pogubił i w końcu podejmie tę decyzję, którą w głębi duszy pragnął podjąć. Uznałam, że jak przystało na osobę dojrzałą, powstrzymam się od gwałtownych ruchów, aby nie zrobić czegoś, czego może będę żałowała.

Wtedy jednak mnie zabili i strach przed późniejszym rozgoryczeniem ustąpił pragnieniu zemsty.

PAUL

Wieczorem, gdy słabnie upał letniego dnia, siadamy z Daną na tarasie na tyłach domu i podziwiamy zachód słońca. Dana obdarowuje mnie czułym spojrzeniem.

– Paul, chcę ci bardzo podziękować – mówi.

– Za co?

– Za pomoc przy sprzedaży domu. Dla nas to nowy początek, do którego mocno się przyczyniasz.

– To nic takiego.

– Mimo to jestem ci ogromnie wdzięczna. – Splata dłonie i nieznacznie kiwa głową. – Dobry z siebie człowiek, Paul.

– Dano, przestań. To ja powinienem ci dziękować. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak wiele dla mnie znaczyły nasze spotkania w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy. Dzięki temu odzyskałem dawne życie. Bo... – Ściska mnie w gardle.

– Wiem, wiem.

– Dziękuję.

– Daj spokój.

Przez dłuższą chwilę siedzimy w ciszy i wpatrujemy się w pastelowe niebo. Obracam głowę w jej stronę, a ona odwzajemnia mój uśmiech.

– Czyli co? – odzywa się. – Dom już właściwie gotowy.

Płoną mi policzki.

– Tak, pozostały tylko detale. Już prawie skończyliśmy.

– Och, Paul – rozpromienia się.

– Czuję się niesamowicie, kiedy patrzę na to, co zbudowałem własnymi rękami dla nas dwojga. Widziałem, jak z każdym dniem nabiera kształtu.

Fascynujące.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę efekty twojej pracy.
- Tak, to będzie doskonały dom.
- Kiedy zamierzasz powiedzieć Rebecce?

Mój wzrok ucieka ku linii chmur, oświetlonej od spodu przez słońce, które chowa się za horyzontem. Nabieram dużo powietrza, wciągam woń węgla drzewnego z grilla rozpalonego u sąsiadów. Ten zapach miesza się z aromatami kwiatów na rabacie przy tarasie. Uśmiecham się do Dany.

- Nic się nie martw – uspokajam ją. – Wszystko zaplanowałem.
- Och, Paul, zapomniałabym! Dziękuję ci za piękny naszyjnik.
- Nie wiem, o czym mówisz – odpowiadam.

Posyła mi porozumiewawcze spojrzenie i kręci głową.

- No jasne, oczywiście, że nie wiesz.

WOLCOTT

Siedzę zamyślony w radiowozie zaparkowanym pod barem. Silvestri wraca z torbą pełną zakupów. Jedzenia jest tyle, że można nim nakarmić wszystkich mieszkańców niejednego kraiku wyspiarskiego.

– Nazwałeś go już jakoś? – pytam.

– Niby kogo? – dziwi się.

– Swojego tasiemca.

– Powiedział, co wiedział. Próbowaleś występować w kabarecie z takimi tekstami?

– Ale poważnie: kupiłeś lunch dla całego komisariatu?

Mój partner kręci głową i rechocze.

– Nie, stary. To sprawka cholernego Sala. Przygotował kanapki, które zamówiłem, a potem zaczął wrzucać do torby jeszcze to, jeszcze tamto. „Dla was, panowie bohaterowie, na koszt firmy!”, powiedział. Kazał przekazać ci pozdrowienia. Kto inny ostatecznie dorwał drania, a tu proszę: być może już nigdy nie będziemy musieli płacić za lunch w tym mieście.

– No. Abby mówiła, że pojechała do McNamary zrealizować receptę u naszego ulubionego aptekarza, a on... uważaj!, był dla niej miły. Niesłychane.

– Wiesz, ci ludzie mają dzieci i prowadzą interesy. Usunięcie z obiegu takiego gościa jak Anders poprawiło bezpieczeństwo w mieście. Za ten fentanyl federalni zasypią go taką ilością zarzutów nieumyślnego spowodowania śmierci i zabójstwa wskutek niezachowania należytej ostrożności, że nie wygrzebie się do końca życia. To, że nie znaleźliśmy spluwy, nie ma już większego znaczenia.

– No tak, dobrze, że zgarnęliśmy Andersa, ale ta sprawa nie kończy się na nim. Niedawno przeprowadzono nalot na dom w Riverhead i zarekwirowano całe mnóstwo towaru.

- Miał nim zalać wyspę.
- Właśnie. Obawiam się, że nigdy do końca nie pozbędziemy się tego gówna.
- Jasne. Ale od czegoś trzeba zacząć.
- Pewnie tak...
- Poza tym, wiesz, mając ręce pełne roboty, nie wpakujemy się w kłopoty.
- No, no, ale z ciebie rymokleta – rechcę.

Wyławiamy kanapki z morza chipsów i ciastek, kładziemy je na kolanach i zaczynamy odwijać z papieru. Zjadamy lunch, słuchając warkotu przejeżdżających aut i trzasków radia.

SHEILA

Zamieniłyśmy się z Sashą miejscami. Ona zajęła moje w plastikowym zwoju, ja – w jej życiu.

Gdyby sądzić po ilości pieniędzy, jakie nosiła przy sobie, można by pomyśleć, że planowała ucieczkę i była do niej przygotowana. Wszystko wskazywało na to, że tak bardzo pragnęła uwolnić się od Marka, jak usilnie ja starałam się z nim związać. Oczywiście do czasu. W sumie więc wyświadczyłam jej przysługę. Rzecz jednak w tym, że śmierć Sashy nie była moim prawdziwym celem. Bardziej interesował mnie koniec Paula i Rebekki.

Za gotówkę i posługując się podrobionymi dokumentami na nowe nazwisko – które zamówiłam w internecie i kazałam sobie przysłać na skrytkę pocztową – wynajęłam nieduże mieszkanie w jednym z pobliskich miasteczek. Na Craigslist namierzyłam kogoś, komu zależało na sprzedaży auta bez zbędnych formalności. Kusilo mnie, żeby zostawić sobie jaguara Sashy, ale uznałam, że nie warto ryzykować, i po prostu porzuciłam go na parkingu za pasażem handlowym. Wiedziałam, że w końcu znajdą wóz, ale raczej później niż wcześniej.

Zostawiłam sobie minimum niezbędne do życia, zrzuciłam ciężar rzeczy i czułam się z tym dobrze. Jeśli czegoś potrzebowałam, zawsze mogłam to wziąć od Sashy albo Rebekki.

Wiedziałam, że muszę się uzbroić w cierpliwość i odczekać, zanim zacznę dręczyć Campbellów. Niech odzyskają dobre samopoczucie, niech myślą, że się mnie pozbyli i uszło im to na sucho. Dopiero wtedy zacznę przedstawienie. Z początku czułam się zdruzgotana, kiedy na nich patrzyłam. Eksperyment nie przebiegał zgodnie z moimi oczekiwaniami.

Zbliżyli się do siebie. Ona nie ukarała go za zdradę, a on nie odsunął się od niej po tym, co mi zrobiła. Mdlilo mnie, kiedy widziałam, jak się wspierają. Bez udręki wywołanej pojednaniem Campbellów nie byłoby jednak

przyjemności z niszczenia im życia. I jeszcze ten dreszczyk emocji, kiedy zgłosiłam własne zaginięcie.

Gdy uznałam, że nadeszła pora, wysłałam anonimowy mail do działu kadr Launaria Pharmaceuticals, w którym wyraziłam zaniepokojenie zachowaniem jednej z zatrudnionych tam osób. Zadzwoeniłam na komisariat policji w Stony Brook i poinformowałam o zniknięciu przyjaciółki. Szło jak po maśle. Puszczalam kaczkę na powierzchni ich nudnego życia w taki sposób, aby od każdego odbicia kamyka rozchodziły się zmarszczki małego chaosu. Nie mogli liczyć na nic bardziej emocjonującego w swojej prostej egzystencji.

Pozbawianie Rebekki różnych rzeczy przychodziło mi zupełnie bez trudu. Najpierw pozbawiłam ją pracy, potem Duffa, a później naszyjnika z gołąbkami, który nosiła na każdym zdjęciu z Paulem, jakie udało mi się znaleźć na Facebooku. Wzięłam też obrączkę. Przetrzymywałam przedmioty na tyle długo, by ją zdezorientować, po czym odkładałam je na miejsce, aby stopniowo zasiewać w niej zwątpienie i niepokój. Ukrywając się w cieniu i nieznacznie ingerując w otoczenie – na przykład otwierałam szafki albo szuflady – wydzierałam jej poczucie bezpieczeństwa we własnym domu. Czasem wprawdzie ingerowałam trochę bardziej niż „nieznacznie”. Na przykład zabawa z młotkami, wymyślanie miejsc, gdzie mogłabym je podrzucić, było genialnym posunięciem. Numery z wanną i maszynką do golenia też mi się udały; nawet trochę się bałam, że Rebecca postanowi skończyć ze sobą i będzie po sprawie, ale nie, okazała się zbyt egoistyczna. Przede wszystkim jednak podprowadzałam jej leki. Bywało, że je podmieniałam. Zależało mi na tym, aby kontrolować jej zdolność trzeźwego myślenia i sterować motywacją do ryzykownych zachowań.

Najpiękniejsze, że działo się mnóstwo rzeczy, które – choć ich wcale nie zaplanowałam – dodatkowo pogłębiały chaos. Paul nie marnował czasu i szybko znalazł sobie nowy obiekt uwielbienia. Tego nie przewidziałam. Zezłościł mnie tym, wprawdzie na krótko, bo szybko zaczęłam się delektować rozkoszną podejrzliwością i wściekłością Rebekki. Wykorzystując te emocje, popychałam ją coraz bliżej krawędzi. Obserwowanie, jak Rebecca obsesyjnie śledzi Paula, dawało mi ogromną satysfakcję. Podsycanie jej nieufności w stosunku do męża było dziecinnie proste.

Dobrze się bawiłam. Śledząc ich, przekonałam się, że rutyna codziennych zajęć wcale nie musi być monotonna. Kiedy zabrakło mi leków, za pomocą których kontrolowałam Rebecę, odkryłam w sobie żyłkę przestępcy

i wpadłam do apteki z pistoletem Sashy. Zabrałam ze sobą broń, zameldowałam się w Huntington Inn jako pani Anders i dałam upust wściekłości. Urządziłam sobie „orgię” za pieniądze z jej karty kredytowej. Z dziką rozkoszą porozrzucałam po pokoju sekszabawki, ściągnęłam z łóżka materac i zostawiłam ohydny, cuchnącą wizytówkę Marka – dym z jego ulubionego cygara.

Wykorzystałam rozmaite szczegóły, które Paul nieumyślnie wyjawiał mi przez ten wspólny rok. Kiedy zaproponowałam, żebyśmy pojechali do innego miasta, bo chciałam mieć go tylko dla siebie i poczuć się z nim jak prawdziwa para, wymienił wszystkie miejsca, których powinniśmy unikać, bo odwiedził je z Rebeccą albo były dla nich ważne z jakiegoś durnego sentymentalnego powodu. Z pozoru mało znaczące, a jednak istotne drobnostki. Zapamiętałam mnóstwo rzeczy z naszych rozmów.

Z niekłamaną przyjemnością wyprawiałam Rebeccę do dawnych punktów na mapie ich małżeńskiego szczęścia. Przybierałam jej tożsamość. Zarezerwowałam ten sam apartament, gdzie spędzili miesiąc miodowy. Wybrałam naszyjnik i poprosiłam, żeby go dostarczyli na adres Dany. Tu i ówdzie rozsypywałam okruszki podwójnego życia Paula, do końca nie wiedząc, które z nich Rebecca znajdzie. Potem rozkoszowałam się tym, jak wiele z nich jednak zbierała. Okazała się godną przeciwniczką, mimo że chodziła nafaszerowana lekami. Nie sądziłam, że będzie tak tańczyła, jak jej zagram.

Prawie zrobiło mi się jej szkoda, kiedy zadzwoniłam pewnego wieczoru, podając się za pracownicę biura obsługi klienta firmy wydającej karty kredytowe. Przez telefon sprawiała wrażenie pokonanej i odpowiadała takim głosem, jakby była pijana. Wydawała się bardzo osłabiona. Nawet przeszło mi przez myśl, że może nie powinnam kopać leżącej. Chwilowo zwątpiłam w słuszność swoich działań, ale zaraz potem przypomniałam sobie, że Rebecca bez wahania rąbnęła mnie młotkiem w głowę.

Paul kłamał jak z nut. Wzmacniał efekt moich starań, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że mi pomaga. Podobało mi się, że choć w tym jednym dotrzymujemy sobie kroku. Był tak zajęty odwiedzaniem nowej dziewczyny i pracą na budowie domu, gdzie w piwnicy mnie porzucił, że nie dostrzegał tego, co się dzieje z jego żoną. Dopiero po pewnym czasie uświadomiłam sobie, że dom, przy którym tak się uwija, ma być swego rodzaju pomnikiem dla nas. Stało się jasne, że Paul usiłuje odkupić winę Rebekki.

Dobrze się bawiłam. Dążyłam do celu. Mściłam się na tych, którzy mnie nie docenili. Przykręcałam śrubę za każdym razem, gdy oddychali z ulgą albo znajdowali pocieszenie w małżeństwie. Prawdziwa jazda zaczęła się wtedy, kiedy odnaleziono ciało Sashy. Nie miałam pojęcia, jak to się skończy, ale wiedziałam, że będzie się działo.

REBECCA

Mam w bagażniku tubkę euphellisu, którą owinęłam pięcioma warstwami folii aluminiowej kupionej w 7-Eleven niedaleko domu Marka. W sklepie wrzuciłam do koszyka również trzy opakowania ulubionych kompresów rozgrzewających Paula, paczkę maszynek do golenia i superklej. Potem pojechałam do Home Depot i zaopatrzyłam się w trzy pary mocnych rękawiczek nitrylowych w dużym, średnim i małym rozmiarze – założę po prostu jedną na drugą. Jestem gotowa.

Łup z basenu Marka postanowiłam przechować w bagażniku. Przeniosę zdobycz dziś w nocy, kiedy Paul zaśnie. Świadomość, że euphellis znajduje się na wyciągnięcie ręki, wywołuje wspomnienie ponurych dni w pracy, które wygodnie wypchnęłam lekami w niepamięć.

Kiedy ogłosiliśmy światu istnienie euphellisu, lek znalazł się na ustach wszystkich. Nasz produkt dawał dokładnie to, co obiecywał, czyli euforię. Pomysł na specyfik zrodził się z rozpoznania potrzeb pacjentów i badań nad środkiem przeciwbólowym do zastosowania pozajelitowego dla nieuleczalnie chorych w różnych stadiach bólu. Wcześniej najskuteczniejszymi remediami tego rodzaju, zwłaszcza dla osób, które nie mogą przełykać albo mają bolesne rany skóry, były morfina, dilaudid i fentanyl. Euphellis łączył w sobie właściwości wszystkich trzech substancji. Okazał się tak efektywny, że najbardziej cierpiących pozbawił nie tylko bólu, ale również opiekunów.

Jeśli byłeś pogodzony z perspektywą rychłej śmierci, euphellis pozwalał ci odejść w spokoju. Sęk jednak w tym, że połowę liczby osób, które pożegnały się z tym światem wskutek przyjęcia środka, stanowili ludzie zupełnie zdrowi, mający przed sobą jeszcze wiele lat życia.

Chemicy zatrudnieni w laboratoriach medycznych Launarii albo podchodzili do pracy z przesadną gorliwością i przyswajali bądź wdychali zbyt duże dawki własnego produktu, albo wykazywali się rażąco niekompetencją, ponieważ zaniedbywali wymóg drobiazgowej kontroli

odzieży ochronnej. Ci nieliczni, którzy zapodali sobie euphellis i przeżyli, porównali jego działanie do odurzenia ecstazy z jednoczesnym orgazmem w nieważkości. Byłoby to nawet niezłe hasło reklamowe. Kiedy wyszło na jaw, jak silny jest to preparat, zaczęły znikać ciężarówki rozwożące go do rozmaitych obiektów medycznych.

Zakończyło się totalnym fiaskiem. W krótkim czasie umarło mnóstwo ludzi. Nasze badanie euphellisu było zakrojone na szeroką skalę, zaangażowaliśmy znaczną liczbę pacjentów, nawiązaliśmy współpracę z hospicjami i oddziałami opieki paliatywnej. Do Launarii wrócił jedynie niewielki procent wycofanego produktu.

To, co udało się odzyskać, w tajemniczy sposób zniknęło z magazynu zwrotów, zanim przeprowadzono dochodzenie i zarządzono, aby zniszczyć pozostałe próbki. Mark uratował sytuację tym, że wobec braku materiału do analizy udało mu się wynegocjować niskie sumy ugód. To oczywiste, że został bohaterem dzięki sprawnej akcji pozbywania się resztek euphellisu. Launaria musiała wypłacić tylko trzynaście miliardów dolarów tytułem ugód – „tylko”, ponieważ prawnicy i analitycy giełdowi szacowali, że suma roszczeń pozwów zbiorowych może wynieść nawet pięćdziesiąt miliardów.

Nie wiem, jak dokładnie to zrobił, ale wystarczająco często współpracowałam z nim przy kontroli szkód, aby zdawać sobie sprawę, że na pewno znalazł takie wyjście z kryzysu, by na tym skorzystać. Afera euphellisu dotknęła pięć moich rewirów, zmarło dwanaście osób. Nie znałam ich nazwisk, nie wiedziałam, czy chorowały, czy cieszyły się doskonałym zdrowiem. Myślenie o tym sprawiało mi ból, dlatego postanowiłam odciąć się od szczegółów, nie wnikać. Mniej więcej w tym samym czasie Paul zamknął firmę, a ja zaczęłam poważnie uzależniać się od leków.



Wchodzę do domu, rzekomo po kolejnym dniu w biurze, i widzę, że Paul jak zahipnotyzowany wpatruje się w puste miejsce po podpórce do książek. Ciekawe, czy gdyby się odnalazła nietknięta, my też wyszlibyśmy bez szwanku z tej całej historii.

– Gołąbeczku? – odzywa się takim głosem, że przechodzi mnie dreszcz.

– Cześć. – Czekam na nieuniknione pytanie o to, gdzie się podział ceramiczny lew. Nasz pies, cały i zdrowy, leży zwinięty w kłębek na podłodze u stóp Paula; zastanawiam się, jak długo mój mąż stoi w tym samym miejscu.

– Chodź. – Rusza do mnie z otwartymi ramionami.

Duff podnosi głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje, po czym opuszcza ją uspokojony. Podchodzę do męża; serce wali mi wściekle. Każdy gest z jego strony może się zamienić w atak.

– Tęskniłem za tobą. Mam wrażenie, jakbyśmy się nie widzieli od kilku dni.

– Jestem tutaj. – Sztywnieję w jego objęciach.

Trzyma mnie mocno i nie wygląda na to, żeby chciał puścić.

– Przepraszam, że byłem tak strasznie zajęty. Jutro ci to wszystko wytłumaczę.

– Tak? – Mam ochotę wbić mu obcas w stopę i zdzielić go z całej siły. Nie musisz, kurwa, niczego wyjaśniać, bo wiem, co kombinujesz.

– Mam dla ciebie... niespodziankę – oznajmia. To zawahanie przed ostatnim słowem brzmi tak, jakby chciał mi wmówić, że ta okropna rzecz jest czymś, czego w istocie pragnę.

– Niespodziankę? Z jakiej okazji?

– Jutro się wszystkiego dowiesz. – Wreszcie odkleja się ode mnie. Spogląda mi w oczy. Robi taką minę, jakby miał wybuchnąć śmiechem. Wpuszcza mnie w kanał.

– Jutro? – Odsuwam się od niego, żeby nie wyczuł, jak się trzęsę.

Kiwa głową.

– Tak, kotku. Jutro stuknie nam dwadzieścia lat. – Wygląda na zmęczonego, ale spojrzenie ma klarowne i pełne entuzjazmu.

Zdumiewa mnie, że wykorzystuje naszą rocznicę jako wymówkę w swoim podstępnie, ale właściwie sama nie wiem, czemu mnie to dziwi. Okrucieństwo Paula wydaje się bezgraniczne. Szybko przywołuję się do porządku i wracam do roli dobrej żony. Kładę dłoń na czole.

– O matko, no przecież. Tyle się działo przez te ostatnie tygodnie... Zupełnie wyleciało mi z głowy, że to już jutro.

Jego twarz przybiera poważny wyraz. Boję się, że mogłam go zdenerwować.

– Paul, o co chodzi?

– O nic. Po prostu bardzo cię kocham. – Jest przerażająco przekonujący. Mój mąż socjopata. Mój mąż morderca. Czy powiedział Sashy, że ją kocha, zanim do niej strzelił?

– Ja też cię kocham – odpowiadam sztywno.

Pociąga nosem.

– Muszę jeszcze przygotować kilka rzeczy na jutro. Zjesz kolację beze mnie?

Oby tylko się nie zorientował, jak bardzo pragnę pozbyć się go z domu. Pośród wypełniających mnie złych emocji, pośród bólu i złości odzywa się słaby głos, który podpowiada, żeby uwierzyć Paulowi. Bo on nadal mnie kocha. Nie, ja wiem swoje. Wydarzyło się tak wiele, że nie mogę tego puścić w niepamięć. Z każdą chwilą uświadamiam sobie, jak mało czasu pozostało mi na przygotowania. Paul jest pewny siebie, śmieje się zadowolony z okrutnego, upokarzającego planu, który zamierza jutro wcielić w życie.

– Jasne, nie ma sprawy. Ja też powinnam jeszcze dokończyć to i owo.

Znowu mnie obejmuje, na co reaguję wzdrygnięciem. Na szczęście nie zauważa tego, całuje mnie bez zbędnych pytań.

Sięga po klucze i rusza w stronę drzwi.

– Paul? – mówię, nie spoglądając za nim. – Orientujesz się może, co się stało z drugą podpórką? – Kto wie, czy przyczyną tej całej serii nieszczęśliwych zdarzeń nie jest fakt, że ją roztrzaskałam.

– Kochanie, muszę ci się do czegoś przyznać. – Odchrząkuje nerwowo. – W ramach prezentu rocznicowego chciałem naprawić tego lwa z ukruszonym ogonem, ale niestety, zniszczył mi się po drodze. Upuściłem go na parkingu i rozbił się na tyle kawałków, że nie dało się go posklejać. Zastanawiałem się, jak ci to powiedzieć. Przepraszam. Okropnie się z tym czuję.

Łże bez mrugnięcia okiem. Jestem wściekła. Mam ochotę przywalić mu drugim lwem bez względu na konsekwencje. Odwracam głowę i posyłam mu ciepły uśmiech.

– Nie przejmuj się, kochanie. To tylko rzecz, tani bibelot. Wciąż przecież mamy drugą. – Zaciskam pięści z taką siłą, że paznokcie niemal przebijają skórę dłoni.

Widzę, jak bardzo mu ulżyło.

– Aha, Paul? – odzywam się najspokojniej, jak potrafię pomimo szalejącej we mnie furii.

– Tak?

– Jeśli będziesz w sklepie, nie bierz plastrów rozgrzewających. Kupiłam po drodze do domu, bo widziałam, że ci się kończą.

Odruchowo kładzie dłoń na swoim obolałym ramieniu.

– Kochana jesteś.

Kiedy Paul wyjeżdża z podjazdu na ulicę, drugi ceramiczny lew uderza o ścianę kominka i rozpryskuje się na tysiąc kawałków.

Pozbyłam się wszelkich wątpliwości i już wiem, że jutro będzie ten dzień.



Paul śpi od kilku godzin. Wrócił o północy, wsunął się pod kołdrę obok mnie i kilka minut później już chrapał. Czekałam w ciemności opętana myślami o tym, co się jutro wydarzy, i zastanawiałam się, dlaczego po prostu nie uciekłam, kiedy miałam okazję. Tyle że wcale tak naprawdę jej nie miałam. Zniknęły pieniądze. Przestałam panować nad uzależnieniem. Brakowało mi sił na to, by stawić czoło chaosowi, w jaki zamieniło się moje życie. Stale wracam do jedynej rzeczy, jaka mi jeszcze pozostała. Wciąż mogę się obronić.

Jest trzecia nad ranem. Schodzę do łazienki i nasączam plastry euphellisem. Założyłam trzy pary rękawiczek nitrylowych i maseczkę na twarz, otworzyłam okno i włączyłam wentylator. Kręci mi się w głowie pomimo wszystkich środków zapobiegawczych. Właściwie nie powinno mnie to dziwić, biorąc pod uwagę, jak zabójczo silny jest ten specyfik. Muszę się pospieszyć. Ostrożnie otwieram opakowanie plastra, wydaję go, rozkładam, nasączam, składam, chowam z powrotem i łączę dwie warstwy plastiku superklejem. To samo robię z pozostałymi dwoma opakowaniami, po czym przyklejam skrzydełko pudełka, które delikatnie podważyłam nożem do papieru. Na koniec wrzucam tubkę, rękawiczki, maseczkę i klej do plastikowej torebki, zawijam ją wiele razy i wkładam do kolejnej reklamówki. Na razie muszę to gdzieś ukryć. Idę do szafy, po drodze chowam nóż do papieru i opakowanie plastrów w torebce, która wisi w kuchni na oparciu krzesła.

Zawiniątko ląduje głęboko w szafie tam, gdzie są pokrowce z moimi zimowymi ubraniami. Rozpinam jeden z nich, wciskam reklamówkę

z euphellisem do rękawa kurtki i znów zapinam. Mam jeszcze mocniejsze zawroty głowy. Klękam w ciemnej szafie pomiędzy śniegowcami a odkurzaczem. Miejsca jest tyle, żebym mogła się zmieścić i oprzeć głowę o ścianę. Wsuwam się pod płaszcze i kurtki. Ogarnia mnie uczucie, w którym dobrze znane bezpieczeństwo przeradza się w zagrożenie. Zamykam oczy i przenoszę się do innego czasu.



Siedzę w swoim szafowym azylu. Słyszę, jak ojciec krzyczy. Matka zanosi się płaczem. Coś rozbija się o ścianę. Otwierają się drzwi. Zamykają się z trzaskiem. Ściany się trzęsą. Ojciec wrzeszczy. Matka rozpacza coraz głośniejsze, coraz bardziej błagalnym tonem woła: „Nie, nie. Jak możesz to robić? Co się z tobą dzieje?!”.

„To przez ciebie. To twoja wina. Tylko mnie kopiesz, kopiesz, kopiesz”. Z trudem rozpoznaję jego głos; brzmi jak zwierzę.

„Odejdź, zostaw nas w spokoju. Twoja córka jest jedyną dobrą rzeczą, jaką w życiu zrobiłeś, a mimo to nie potrafisz być dla niej ojcem. Do niczego się nie nadajesz”.

Słyszałam to już setki razy. To będzie długa noc w szafie.

„Chcesz, żebym się wyprowadził? Dom jest mój, ja tylko pozwoliłem ci w nim zamieszkać. Beze mnie nic byś nie miała!”

Matka wybucha śmiechem.

„Przestań się ze mnie śmiać, ty suko!”

Nie słucha go. Nie rozumiem, dlaczego się śmieje. Przecież nie ma w tym nic śmiesznego.

„Przestań!”

Kliknięcie. Huk. Uderzenie. Inne odgłosy niż zawsze. Wyteżam słuch, żeby usłyszeć matkę.

„Mówiłem, żebyś przestała”, odzywa się ojciec.

Siedzę w mroku szafy, staram się nie poruszać, ale cała się trzęsę. Zalega bardzo długa cisza. Wydaje mi się, że słyszę oddech ojca, ale może to tylko ja sama szybko i głęboko nabieram powietrza.

Nagle skrzypnięcie desek na podłodze, pstryk zapalniczki i stuknięcie szklanki odstawianej na stół albo blat. Ojciec raz i drugi wypowiada imię

matki. Ona nie odpowiada.

Ojciec wydaje westchnienie połączone z jękiem. Klik, a po nim kolejny głośny huk, który mąci ciszę nocy.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim w końcu decyduję się wyjść. Przyciskam poduszkę do piersi. Skradam się do sypialni rodziców i widzę, że matka leży na podłodze. Ma zamknięte oczy i otwarte usta. Nie reaguje, kiedy dotykam jej ręki. Klękam przy niej i dopiero wtedy zauważam krew. Wsiąka w moją koszulkę nocną. Pochylam się i szepczę do ucha: „Mamusiu? Wstawaj, śpiochu”. Nie rusza się. Szturcham ją – i nic. Nie wiem, co jest z nią nie tak, ale zdaję sobie sprawę, że nie śpi.

Słyszę ojca. Próbuje wypowiedzieć moje imię, ale z jego gardła wydobywa się bulgot. Krew płynie mu z ust i ścieka po policzkach. Wybucham płaczem, bo wygląda to strasznie.

Wyciąga do mnie rękę, która okropnie się trzęsie. Skapują z niej krople krwi. Przenoszę spojrzenie na drugą dłoń. Zasłania nią bok twarzy. Między palcami przesącza się krew. Ojciec patrzy na mnie oszalałym wzrokiem, boję się do niego podejść, ale widzę, jak rozpaczliwie tego pragnie. Zamyka i otwiera wyciągniętą dłoń. Przysuwam się bliżej, nadal osłaniając pierś i szyję poduszką. Podaję mu rękę. „Pomóż – prosi szeptem przez ściśnięte gardło. – Telefon”.

Obracam się w stronę stojącego na komodzie aparatu i wtedy dostrzegam smith & wessona na podłodze. Nagle załamuję, co się stało. To on to zrobił. Odwracam się z powrotem do ojca, który szerzej otwiera oczy i pokazuje brodą na telefon.

Spoglądam na nieruchome ciało matki – ogarnia mnie uczucie, jakiego dotąd nie znałam. Mam wrażenie, jakby coś się we mnie gotowało. Podejmuję decyzję, nie do końca rozumiejąc, co właściwie zamierzam zrobić.

Zasłaniam ojcu twarz poduszką i rzucam się na nią całym ciałem. Ojciec chwyta mnie mocno za rękę i ostro szarpie. Oślepia mnie eksplozja bólu w barku. Unieruchamiam mu ramię kolanem, żeby nie mógł drugi raz mnie złapać. Uczepia się palcami poduszki, a ja wciąż napieram. Zaciskam powieki i czekam, aż przestanie się ruszać. Trwam w tej pozycji jeszcze bardzo długo.

Z otępienia wyrywa mnie dopiero wtargnięcie policjantów.



Pukanie. Budzę się. Nadal siedzę w szafie w korytarzu. Stoi nade mną Duff i ziaje, waląc ogonem o drzwi. Za nim – za jego cielskiem, które w ciasnej przestrzeni wydaje się jeszcze większe niż zwykle – widzę wpadające przez okno promienie porannego słońca. Gramolę się z ukrycia. Po chwili z góry zbiega Paul, już ubrany i cały w skowronkach. Zamyka mnie w potężnym uścisku i podnosi.

– To dziś, gołąbeczku!

Chyba jeszcze nigdy nie widziałam go tak rozentuzjasmowanego.

PAUL i REBECCA

Zakłada mi przepaskę na oczy i mocno zawiązuje.

– Widzisz coś? – pyta.

Spoglądam w dół i na boki. Ciemno, dociera do mnie jedynie niewielki odprysk światła.

– Nic.

– Gotowa do drogi?

Troska, z jaką prowadzi mnie za rękę, kontrastuje z lekko złowieszczym tonem jego głosu. Ostatni raz zawiązywał mi oczy wiele lat temu i w zupełnie innych okolicznościach. Uświadamiam sobie, jak cienka może być granica pomiędzy strachem a pożądaniem. Dziś czuję to pierwsze.

Pomaga mi zająć miejsce w fotelu dla pasażera i zamyka drzwi. Przy tymczasowym braku bodźców dla wzroku muszę polegać na słuchu. Udaje mi się stłumić okrzyk zaskoczenia, kiedy tylne drzwi jeepa otwierają się ze znajomym skrzypnięciem i po chwili głośno zatrząskują. Ciepły oddech i dyszenie przy uchu chwilowo łagodzi moje rozstrojone nerwy. Dziwne, że Paul postanowił zabrać Duffa. Psiak wyczuwa napięcie i trąca mnie nosem w ramię.

Wsuwam dłoń do torebki, którą położyłam na kolanach, i zaciskam palce na rękojeści celtyckiego noża do papieru. Zimny dotyk metalu odrobinę mnie uspokaja. Dobrze, że zabrałam broń.

Paul siada za kierownicą, uruchamia auto. Kładzie mi dłoń na kolanie i ściska.

– Gotowa?



Idzie jak z płatka.

Duff zajmuje swoje stałe miejsce z tyłu, a Rebecca wygląda tak, jakby siedziała na szpilkach. Wyjeżdżam na ulicę, ale zanim ruszymy dalej, włączam odtwarzacz i puszcza kawałki, które przygotowałem i ułożyłem w określonej kolejności specjalnie na tę okazję. Wcisnę kam pedału gazu. W tej samej chwili z głośników płyną pierwsze dźwięki *Into the Mystic* Vana Morrisona.

Przechodzi mnie dreszcz radosnego podniecenia. Uwalnia się adrenalina i po chwili odzywa się tępe pulsowanie w bicepsie. Cicho stękam z bólu.

– Paul, co się dzieje? – pyta Rebecca.

– Nic takiego, kotku, zabolęła mnie ręka. Nie przejmuj się.

Zamykam jej dłoń w swojej i ściskam z determinacją – odpowiada tym samym, pozwala mi poczuć swoje emocje.



Poci mi się dłoń, którą Paul raz za razem ściska, jakby nieustannie przypominał mi, że nie mam dokąd uciec. Pomimo opaski na oczach widzę jednak światło w tunelu.

– No nie wiem... Słyszę, że cierpisz. Mam plastry w torebce, możesz sobie przykleić, kiedy dotrzemy na miejsce. – Jeśli *euphellis* zadziała odpowiednio szybko, nie będę potrzebowała noża do papieru.

Paul prowadzi w milczeniu. Kabinę wypełniają nuty, które pamiętam z czasów, kiedy dopiero co się poznaliśmy. Ta przygotowana przez niego składanka, ścieżka dźwiękowa naszej miłości, jest jak nóż. Paul wbija go i powoli obraca.

– Dokąd jedziemy? – pytam. Wyczuwam nerwowość we własnym głosie.

– Gołąbeczku, gdybym ci powiedział, nie byłoby niespodzianki, prawda?

Moja dłoń w torebce prześlizguje się z chłodnej rękojeści noża na gładką buteleczkę leków. Jej obecność podnosi mnie na duchu. Z zasłoniętymi oczami nie widzę, czy Paul patrzy na drogę, czy na mnie, ale kiedy słyszę, jak opuszcza szybę i zaczyna pogwizdywać do Elvisa śpiewającego półgłosem *Can't Help Falling in Love*, postanawiam zaryzykować. Nasza piosenka. Otwieram buteleczkę, wydaję pastylkę oxy – i się rozmyślam. Nie, muszę zachować trzeźwość umysłu. Pozwalam się ponieść melodii. Wracam wspomnieniami do naszego tańca przytulańca na planie przyszłego domu,

który tamtej nocy wydeptaliśmy w ziemi. Czuję zachodzącą we mnie zmianę. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo pożegnalnie brzmi ten utwór.

– Daleko jeszcze?

– Nie, już niedługo. Rozluźnij się.

Łatwo powiedzieć.



Jedziemy Northern State Parkway. Cofam się pamięcią do tamtej nocy, kiedy tuż przed świtem pędziłem tą samą trasą, wioząc inną kobietę. Wiele się wydarzyło od tamtej pory, pokonaliśmy długą drogę. Popełniliśmy wiele błędów, zarówno razem, jak i osobno.

Robi mi się jednocześnie ciężko i lekko na sercu. Dzisiejszy dzień wszystko naprostuje, od teraz będzie już tylko lepiej, moje życie – to, jakiego pragnąłem – odzyska ład i harmonię. Pozbędę się balastu, który ciągnął mnie na dno.

Już prawie jesteśmy. Jeszcze trochę i zaczniemy od nowa.



Paul wyłącza odtwarzacz, zanim wybrzmia ostatnie nuty *Romeo and Juliet* Dire Straits. Cisza wydobywa chrzęst kół na szutrowej drodze. Auto zwalnia, moje serce przeciwnie – gwałtownie przyspiesza.

– Kotku, zaczekaj w samochodzie, dobrze? Zaraz po ciebie przyjdę. – Rozgorączkowanie w jego głosie budzi mój głęboki niepokój.

Zamykają się drzwi po stronie kierowcy, a otwierają tylne. Duff radośnie wyskakuje z wozu i ląduje łapami na żwirze. Paul przywołuje go do siebie. Słyszę, jak przypina mu smycz. Odchodzą razem.

Zostaję sama. Uchylam schowek i wyczuwam pod palcami zimną lufę pistoletu. Już mam przełożyć broń do torebki, kiedy nagle słyszę szuranie butów na kamykach. Prędko zamykam schowek i w tej samej chwili Paul kładzie dłoń na klamce. Wstrzymuję oddech. Mąż sięga do kabiny, otwiera schowek i coś z niego wyjmuje.

Tu się wszystko skończy. Niech się dzieje, co chce.



– Gołąbeczku, już pora.

Biorę ją za rękę i pomagam wysiąść z jeepa. Tak bardzo nie może się doczekać, że aż pocą jej się dłonie. Obejmuję ją w pasie i prowadzę wysypaną drobnymi kamieniami ścieżką. Czuję, jak się trzęsie z niecierpliwości, z kolei przeze mnie przetacza się kolejna fala bólu mięśni.

– Wiesz co, kotku, chyba skorzystam z twojej propozycji – mówię.

– Dobrze – odpowiada, sięgając do torebki.

Podaje mi opakowanie plastrów. Wyjmuję jeden, podwijam rękaw i naklejam sobie na bicepsie.

Duff pobiegł przodem i zaczyna poszczekiwać zniecierpliwiony. Rebecca się spina. Nachylam się i szepczę jej do ucha:

– Kochanie, już prawie jesteśmy na miejscu. Jeszcze tylko kilka kroków.



Nakleił plaster. Teraz już nie ma odwrotu.

Czuję na karku jego ciepły oddech. Paul zdejmuje mi przepaskę. Nie otwieram oczu. Wolę nie widzieć. Wybuchają śmiechem.

– Otwórz oczy, gołąbeczku.

Jego silne ramiona obejmują mnie w talii. Odgarnia mi włosy z jednej strony, całuje odsłoniętą szyję, po czym opiera brodę na moim ramieniu. Przechodzi mnie dreszcz.

– Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy, skarbie.

Unoszę powieki i widok powoli nabiera ostrości. Paul uwalnia mnie z objęć i wchodzi po trzech szerokich stopniach, prowadzących do wielkich drewnianych drzwi. Ani na chwilę nie spuszcza mnie z oka. Cieszy się, że wręcz zaniemówiłam z wrażenia. Wyciąga rękę.

Zamiast podejść do niego, cofam się, oddalam. Szum wiatru w sosnach sprawia, że przenoszę uwagę z domu na korony rosnących nieopodal drzew. Wydają się znajome, za to budynek – nie. Dociera do mnie, że kiedyś już tu byłam.

Poszczególne elementy powoli same układają się w całość. Niebo nade mną, dom, przed którym stoję, ziemia pod stopami. Paul, Duff, próg. Zagadka oszczędności naszego życia. A nad drzwiami ptak z kutego żelaza.

Gołąb.



– Gołąbeczku.

Rebecca wydaje się przytłoczona. Zupełnie zdezorientowana pozwala się wprowadzić do naszego nowego domu. Niewiele brakowało, a nigdy by nie powstał.



Wchodzę za Paulem do środka i z zachwyty zapiera mi dech w piersi. Sufit jest tak wysoki, że wygląda, jakby znajdował się już w innej strefie czasowej. Chodzę po wnętrzu, rozglądając się na wszystkie strony, bo nie mogę uwierzyć w to, co widzę – i też nie jestem w stanie spojrzeć na Paula.

Przez okienko nad drzwiami wpadają promienie popołudniowego słońca. Każdy przedmiot, na którym ląduje mój wzrok, wydaje się posypany magicznym pyłem, każda powierzchnia odbija światło pod innym kątem, każde załamanie płaszczyzny rozszczepia je jak pryzmat.

Paul rozkłada ramiona – tym gestem obejmuje cały dom.

– Oto, czym się zajmowałem.

Brak mi słów.

– Dobrze się czujesz, gołąbeczku?

– Tak. Po prostu... nie wiem, co powiedzieć. – Usiłuję się uśmiechnąć. – Mogę się napić wody?

Jest zachwycony moją prośbą. Bierze mnie za rękę i prowadzi do oszałamiającej kuchni. Jest ogromna – mam wrażenie, że równie duża, jak nasz cały dom, w którym teraz mieszkamy – i widzę w niej wszystko, o czym kiedykolwiek rozmawialiśmy. W poprzek ciągnie się marmurowy blat, a po jednej stronie stoi rząd skórzanych stołków, można siedzieć i rozmawiać podczas przygotowywania kolacji. Tak jak zawsze chcieliśmy.

Za plecami Paula są nowe, chromowane sprzęty, na ścianie przeszklone szafki. Paul sięga po szklanę. Pogwizdując, nalewa wody z kranika w drzwiach lodówki. Wręcza mi szklanę z miną pełną wyczekiwania.

– Sam to wszystko zrobiłeś?

– No nie, miałem pomocników, ale sam wszystko zaprojektowałem, wybrałem sprzęty, wyposażenie i materiały. Zachowałem notatki i szkice, jakie robiliśmy przez lata. Pamiętasz tamto pudełko po pizzy, na którym rysowaliśmy w noc poślubną?

Potwierdzam skinieniem głowy. Pamiątka z innego życia.

Wskazuje na ścianę za moimi plecami. Odwracam się – wisi tam pięknie oprawiony kawałek kartonu, na którym Paul naszkicował układ naszego przyszłego gniazdka. Obok planu znajduje się sporządzona moim charakterem pisma lista rzeczy, które uważałam za absolutnie niezbędne w domu. Podchodzę i kładę dłoń na szybcie. Chyba nie wierzę, że mogę tego dotknąć. Łzy napływają mi do oczu.

– Paul, a ja myślałam...

– Wiem. Ja też nie sądziłem, że nam się uda.

– Nie o to chodzi. Myślałam, że ty...

– Naprawdę dziwne, że się nie domyśliłaś. Codziennie się zastanawiałem, kiedy na mnie naskoczysz w sprawie tych pieniędzy ze wspólnego konta. Na szczęście byłaś zbyt zajęta pracą.

Delikatnie mnie obraca. Na ścianie we wnęce jadalnej wisi lustro.

– Spójrz na nas, kochanie. Dwadzieścia lat. Udało nam się. Jest dziś lepiej niż kiedykolwiek.

Łzy płyną mi po policzkach. Usiłuję coś sobie przypomnieć, ale cokolwiek to jest, przepada w powodzi nowych bodźców. Moje odbicie wygląda nienaturalnie, jest zniekształcone.

– Paul, to niesamowite. Jak tego dokonałeś? Jakim cudem ukryłeś to przede mną?

– Zaczekaj, aż zobaczysz resztę pomieszczeń. – Nagle poważnieje. – Ale zanim cię oprowadzę, musimy o czymś porozmawiać.

Krew odpływa mi z twarzy.



Prowadzę Rebeccę na skórzane fotele – stoją w rogu salonu obok dwustronnego kominka. Pomagam jej usiąść, po czym sięgam do kieszeni, wydaję pudełeczko, które wozilem w schowku w samochodzie, i klękam na kolano.

– Gołąbeczku, oto pierścionek, jakiego zawsze pragnęłaś. I zawsze na niego zasługiwałaś, ale kiedyś nie było mnie stać. – Patrzy z niedowierzaniem. Zsuwam jej z palca stary pierścionek i wkładam nowy. Przerazenie na jej twarzy zbija mnie z tropu. – O co chodzi?

Rebecca zaczyna szlochać. Całuję jej dłonie. Kiedy wstaję, czuję, że trzęsą mi się kolana. Przetacza się przeze mnie fala mdłości. Kręci mi się w głowie. Siadam obok Rebekki, ale wtedy ona wstaje z fotela i odsuwa się ode mnie.

– A twoja druga rodzina? – pyta z wściekłością i lękiem jednocześnie.

– Jaka rodzina?

– Kim jest Dana?

– Dana? Moją terapeutką.

– Terapeutką?!

– Chodziłem do niej, kiedy byłem mały. „Doktor A.” to ona. Nazywa się Dana Atwell. Mówiłem ci o niej. Niedawno... po tym, co się wydarzyło... znów zacząłem się z nią spotykać.

– Przestań kłamać! Przecież jest młodsza od ciebie!

– Co takiego?

Wpada niemal w furję.

– Widziałam twoją rodzinę, całą waszą trójkę... Śliczny obrazek: ty, ona i chłopiec tak podobny do ciebie, że na pewno się go nie wyprzesz!

– O czym ty...? – Nagle do mnie dociera. – Kochanie, to córka Dany. I jej synek. Mieszkają u... – Ogarnia mnie euforia i w następnej chwili osuwam się na podłogę.



– Myślałam, że zamierzasz... O Boże!

Upada tak niespodziewanie, że nie udaje mi się go złapać. Wraca do mnie świadomość tego, co zrobiłam, a potem zapomniałam przysypana lawiną niespodzianek; pamięć odświeża się tak szybko, jak euphellis rozlewa się po organizmie Paula. I działa równie paralizująco. Nie potrafię objąć myślami rozmiarów własnej pomyłki.

– Paul, przepraszam cię, strasznie przepraszam. Mój Boże, co ja narobiłam.

– Gołąbeczku, co się dzieje? – Na jego twarzy maluje się błoga rozkosz przetykana konsternacją.

Kłękam i jedną ręką podtrzymuję mu głowę, a drugą rozpaczliwie zrywam plaster z ramienia. Patrzy na mnie pytająco.

– Paul, zrobiłam coś okropnego.

– Nie martw się, kochanie, wiem o lekach. Pomogę ci... – odpowiada jęklwym tonem, z trudem składając słowa.

Opieram mu głowę na swoich kolanach.

– Znalazłam list, w którym napisałeś, że chcesz mnie zabić! Musiałam się bronić – zawodzę przez łzy.

– Zabić? Nie żartuj, gołąbeczku. – Jego głowa opada to w jedną, to w drugą stronę. – Kocham cię.

Usiłuję sobie przypomnieć, gdzie mam telefon: w samochodzie czy w torebce, którą zostawiłam w korytarzu. Nie potrafię stwierdzić, jak duża ilość euphellisu przeniknęła do organizmu Paula i czy jest szansa, by zahamować jego działanie, odwrócić to, czego się dopuściłam.

– Gołąbeczku? – Spogląda na mnie spod półprzymkniętych powiek.

– Paul, nie mdlej! Sprowadzę pomoc!

– Tak, pomogę ci, gołąbeczku. Bardzo się o ciebie martwię, wiesz? Zaczęłam pisać listy do twojego uzależnienia... – Uśmiecha się głupio; euphellis zaczyna go pokonywać. – Żeby nie myśleć o nim jako części ciebie, bo wiem, że wcale taka nie jesteś.

Zaskakuje mnie to, jak wspaniale i beztrosko się czuję. Wpadam w chemiczny błogostan, mimo że od kilku godzin nic nie brałam. Spoglądam w dół: spomiędzy moich palców wystaje coś białego. W tej samej chwili uświadamiam sobie, że już nigdzie się stąd nie ruszę. Bo odchodząc od zmysłów z rozpaczy nad Paulem, przez cały czas ścisnęłam w rękę plaster z euphellisem.

Zamiast rozewrzeć pięść i pozbyć się go, jeszcze mocniej zamykam dłoń na plastrze, żeby wycisnąć z niego ostatnią kroplę.

Nie ma dla nas ratunku.



– Dlaczego, gołąbeczku? – udaje mi się wymamrotać.

– Chciałeś mnie zabić. Widziałam pistolet. Poza tym ciągle kłamałeś – odpowiada szeptem.

Kiedy się odzywam, mam wrażenie, jakby moją czaszkę wypełniał gęsty syrop.

– Pistolet? Kotku, bałem się o ciebie. Przez te leki. Wolałem, żeby w domu nie było nabitej broni.

Rebecca wygląda na załamana.

– Przepraszam. Myślałam, że już mnie nie chcesz.

Wpatruję się w miłość swojego życia. Przetacza się przeze mnie kolejna fala euforii. Czuję na szyi wilgotny pysk Duffa.

Powoli wtapiam się w deski, którymi wyłożyłem naszą podłogę.



Wodzę oczami po pokoju i naraz dostrzegam przedmioty na gzymsie kominka. Wyglądają niemal identycznie jak te, które roztrzaskałam.

– Ale... przecież je zniszczyłam. Jak to zrobiłeś? – Już sama nie wiem, co jest prawdą, a co złudzeniem.

Zamykają mu się oczy, ale wie, o czym mówię.

– Dwudziesta rocznica... porcelanowa. Trochę to zajęło, ale je znalazłem. Wszystkiego najlepszego, kochanie. Witaj w domu. – Wydaje tchnienie i jego ciało wiotczeje. Duff zaczyna skomleć, dziko ujadać. Jeszcze raz rozglądam się po domu, który dla mnie zbudował, i moje spojrzenie spoczywa na czuwających nad nami lwach.

SILVESTRI

Duff wzbija tumany piachu, pędząc za piłką tenisową, którą mu rzuciłem. Wolcott siedzi na ławce i sprawdza coś w notatniku. Jesienna bryza przybiera na sile, ale wody zatoki pozostają spokojne.

– No przynieś, kolego.

Psisko chwyta piłkę, biegnie z powrotem i omal mnie nie przewraca. Drapię Duffa za uszami, a on radośnie ślini mi się na nogawkę.

– Musimy wracać – woła partner.

– Już idę.

Patrzy na nas z rozbawieniem, kiedy z Duffem zbliżamy się do niego.

– Nie wiedziałem, że z ciebie taki poczciwina, Silvestri.

– No co, miałem go tam zostawić? Przy tej makabrycznej scenie? Nie, stary, mam trochę więcej przyzwoitości.

– Czyli po prostu zrobiłeś to, co należało. – Kręci głową.

– Coś w ten deseń – odpowiadam, tłumiąc śmiech.

– Skoro o tym mowa, to właśnie się dowiedziałem, że nieruchomość wystawiono na sprzedaż.

– Jezu. Nie rozumiem, jak można chcieć zamieszkać w takim domu ze świadomością, co się w nim wydarzyło.

– Niech się strzeże kupujący[6] – stwierdza sentencjonalnie Wolcott.

Dostrzegam w jego spojrzeniu charakterystyczny błysk zainteresowania.

– Domyślam się, że będziesz miał to miejsce na oku.

Posyła mi szeroki uśmiech.

– Chyba nie będę umiał się powstrzymać. Dobra, zbierajmy się.



Wracamy na komisariat. Nagle Duff, który usadowił się na tylnym siedzeniu, zaczyna wyć. Spoglądam w kierunku, w którym psisko ma zwrócony pysk, i widzę czarnego labradora na werandzie jakiegoś domu – siedzi i drapie łapą siatkowe drzwi.

– Wolcott, zwolnij.

– Co się dzieje?

– Słuchaj, czy mi się wydaje, czy to dom Sheili Maxwell?

– Hm, zgadza się. – Zatrzymujemy się przy krawężniku.

Wysiadam i otwieram tylne drzwi. Duff wyskakuje z auta i pędzi w stronę labradora. Spotykają się na trawniku i zaczynają się tarzać jak szalone. Podchodzi Wolcott. Wskazuje brodą sąsiadkę, która podlewa kwiatki w skrzynce pod oknem. Idziemy do niej.

– Najmocniej przepraszam – odzywa się mój partner.

Kobieta odwraca się i obdarza nas serdecznym uśmiechem.

– Tak?

– Proszę wybaczyć, że panią niepokoiśmy. Detektywi Wolcott i Silvestri.

– Dzień dobry. Coś się stało?

– Proszę się nie niepokoić – odpowiadam. – Piękne petunie.

– Och, dziękuję, miło z pana strony! Czym mogę służyć?

– Interesuje nas tamten dom. – Wolcott przenosi wzrok na budynek po sąsiedzku. – Czy zauważyła pani, żeby coś się tam działo?

– Ach, rety – wzdycha kobieta. – Kiedyś mieszkała tam młoda kobieta, ale kilka miesięcy temu któregoś dnia po prostu zniknęła. Suni też już nie widziałam od dłuższego czasu, ale ostatnio znów zaczęła się pojawiać. Pewnie biedactwo szuka właścicielki. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do towarzystwa opieki nad zwierzętami...

– Zajmiemy się tym. Dziękujemy za pomoc.

– Nie ma za co. Znajdźcie psinie dobry dom.

– Postaramy się, proszę pani – zapewniam.

Idziemy rozdzielić psy. Labrador podbiega i zaczyna lizać mnie po dłoniach, a Wolcott poklepuje Duffa. Sprawdzam identyfikator labradora. Z jednej strony na metalowej płytce wygrawerowano adres domu, przed

którym stoimy, z drugiej imię: Molly. Drapię ją za uszami, na co reaguje radosnym ziajaniem.

– Już dobrze, mała. Zabierzemy cię stąd.

Epilog

WES

Tylko spokojnie. Dasz radę.

Skrećam na podjazd i widzę ciemnografitowe audi zaparkowane prawie przed wejściem. Kobieta opiera się o drzwi od strony kierowcy i obejmuje wzrokiem spore podwórze. Przyjechała przed czasem – to z reguły dobrze wróży transakcji. W dodatku jest bardzo atrakcyjna. Dla mnie to dodatkowa przyjemność z wykonywania zawodu. Ważniejsze, że szczere spojrzenie i swobodna poza klientki świadczą o jej pozytywnym nastawieniu. Powinno się udać.

Słyszę stłumiony chrzęst kamyków. Łagodnie osiadają pod ciężarem mojego bmw, kiedy je zatrzymuję i wyłączam silnik. Robię głęboki wdech, zbieram się w sobie i wysiadam. Kobieta podchodzi, wita się ze mną ciepłym uściskiem dłoni.

- Pani Graves?
- Wolalabym: Molly.
- Wes.
- Dziękuję, że przyjechałeś.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
Zerka mi przez ramię na samochód.
- Krwista czerwień. Odważny wybór. Podziwiam.
- Skoro już o tym mowa, to pragnę zauważyć, że nosisz na palcu imponujący kamień.
- Dziękuję. Przypadł mi w udziale po pewnej osobie.
- No cóż, odważnym fortuna sprzyja, jak to się mówi.
Posyła mi znaczący uśmiezek.
- Ale chyba nie każesz mi wydawać fortuny na ten dom?

Odpowiadam uśmiechem.

– Obejdę się z tobą delikatnie.

– Są jeszcze prawdziwi dżentelmeni – rzuca z wyraźną kokieterią.

Otwieram drzwi i wchodzimy do środka. Obserwuję jej spojrzenie, które wędruje od jednego misternego elementu wystroju do drugiego, przesuwa się po wiśniowej podłodze, sosnowych belkach, kamiennym kominku, sklepionym suficie. Popołudniowe światło, wpadając przez panoramiczne okna, wydobywa fakturę każdej, nawet najmniejszej powierzchni. Z zazdrością pożeram wzrokiem kunsztowne detale. Kobieta spokojnie rozgląda się, nie spieszy, delectuje widokiem. W końcu odwraca się do mnie i oznajmia wyważonym tonem:

– Przejdźmy do sedna.

Czytała o sprawie i doskonale wie, co tu się wydarzyło – to znaczy, opiera swoją wiedzę na tym, co pisano w gazetach. Małżeństwo targane konfliktami, cudzołóstwo, podwójne samobójstwo. Tyle że media nigdy nie podają wszystkiego. Nie znają ofiar tak dobrze jak ich bliscy. Nie mają pojęcia o miłości i poświęceniu za fasadą tragedii i niezgody.

Wspominam, że zmarli byli moimi przyjaciółmi, czym zyskuję odrobinę jej współczucia, nie osłabiając determinacji. Molly zna rynek, dlatego kiedy przedstawiam cenę, za którą dom sprzedałby się w zwykłych okolicznościach, nie waha się podać swojej, celowo zaniżonej. Przerzucamy się liczbami. Ma w sobie tyle uroku, że szybko owija mnie wokół palca i doprowadza do tego, że zgadzam się na kwotę niższą, niż zakładałem.

Pieczętujemy umowę uściskiem dłoni. Mimo że negocjowała na chłodno, Molly emanuje ciepłem. Jestem zachwycony rezultatem spotkania. Widać, że kobieta wie, czego chce, i umie to zdobyć, co potwierdza czekiem na zadatek, który na miejscu wypisuje i mi wręcza. Wpatruję się zdumiony w widniejącą na nim sumę, mniejszą od tej, którą przyjąłem jako absolutne minimum. Co ta kobieta w sobie ma?

Obraca się, rozgląda po swoim nowym domu. Kładzie dłoń na policzku, jej palce zsuwają się do gardła i niżej, na obojczyk. Uśmiecha się do mnie.

– Powiedz, Wes, zdarzyło ci się wiedzieć coś po raz pierwszy i od razu wiedzieć, że zawsze tego pragnąłeś?

Podziękowania

Napisaliśmy *The Woman Inside* w nieco ponad rok, ale tak naprawdę ta historia rodziła się przez cały okres trwania naszej dwudziestotrzyletniej przyjaźni.

Książka nie powstałaby, gdyby nie miłość, wsparcie i zaangażowanie mnóstwa osób. Na okładce widnieje wprowadzie tylko jedno nazwisko, autorów jest dwoje, ale trzeba było całej armii ludzi, aby *The Woman Inside* ujrzała światło dzienne.

Za lekturę pierwszych wersji i bezcenne rady (a także za najlepszy na świecie chleb na zakwasie) wielkie dzięki dla naszego wspaniałego agenta Christophera Schellinga oraz dla Augustena Burroughsa. Słowa nie oddadzą naszej wdzięczności.

Mieliśmy niezwykle szczęście, że w Dutton zaopiekował się nami edytorski zespół marzeń w osobach: Johna Parsleya, wyjątkowo utalentowanego wydawcy, który entuzjastycznie przyjął naszą książkę i uwierzył w nią od samego początku, Mai Ziv, która była dla nas mądrym przewodnikiem na każdym etapie pracy nad tekstem, oraz Cassidy Sachs, której jesteśmy ogromnie wdzięczni za nieustające wsparcie i pomoc. Dziękujemy prężnej ekipie działu marketingu: Kayleigh George, Amandzie Walker, Jamiemu Knappowi, Kathleen Carter i Jonowi Reyesowi. Szczególne podziękowania dla Christine Ball za wsparcie już od pierwszej lektury, a także dla Madeline McIntosh, Alison Dobson i Lauren Monaco (oraz jej zespołu z działu handlowego) za okazany entuzjazm. Dziękujemy projektantowi okładki, Christopherowi Linowi, oraz wszystkim odpowiedzialnym za adiustację, skład, projekt itd.

Dziękujemy naszemu nieustępliwemu agentowi Pouyi Shabazianowi, który szybko dostrzegł serialowy potencjał *The Woman Inside* i oddał naszą powieść w ręce fantastycznego zespołu wytwórni Blumhouse: Jasona Bluma, Marcii Wiseman, Jeremy'ego Golda i wszystkich pozostałych, którzy pracują nad przeniesieniem tej historii na mały ekran; serdeczności przesyłamy także J.R. McGinnisowi z Felker Toczek Suddleson Abramson LLP.

Dziękujemy osobom odpowiedzialnym za sprzedaż praw do tłumaczeń: Chrisowi Lottsowi, Nicoli Barr, Larze Allen, Liberty Roach i Katie Brown z Trapeze w Wielkiej Brytanii – doceniamy waszą pracę; dzięki wam nasza książka trafi do wielu zakątków świata.

Dziękujemy członkom naszych niewiarygodnie wspaniałomyślnych rodzin: Anne, Susan, Gordonowi, Johnowi, Evie, Richowi, Veronice, Carole, Madeline, Johnowi, Charliemu, Thomasowi, Jesy i Bernadette. Dziękujemy Lori i Lis, a zwłaszcza Tomowi i Ninie za miłość do wszystkiego, co związane z książkami, pisaniem i opowiadaniem historii.

Dziękujemy członkom grup literackich, przez które przewinęliśmy się przez lata. Na wyróżnienie zasługują następujące osoby: Ruiyan Xui, Brian Selfon, Jason Boog, Joelle Renstrom, Sacha Wynne, Sarah Stodola, Erum Naqvi, Douglas Belford, Matthew Gilbert, David Litman, Matt Laird, Dave Hill, Sebastian Beacon, Jesse St. Louis, Michael Dowling, Eugene Cordero, Ron Petronicolos oraz Chris Swinko.

Dziękujemy Annie Dunne, której entuzjazm, wiara i miłość uczyniły z pracy nad książką pasjonującą przygodę.

Dziękujemy Treborowi Evansowi za policyjny żargon. Dzięki Tobie postaci Wolcotta i Silvestriego nabrały kolorów.

Dziękujemy Margery Masters, Maryellen LeClerc, Arthurowi Cardone'emu, Anthony'emu Mangano, Donowi Gilpinowi oraz Nancy Himsel za zaszczepienie w nas miłości do słowa pisanego.

Dziękujemy wszystkim w firmie Macmillan, Bobowi Millerowi i Amy Einhorn, oraz całemu zespołowi z Flatiron Books, a także Carisie Hays, która zawsze namawiała, by sięgać gwiazd. Za lekturę pierwszych wersji książki, porady, uwagi i wsparcie szczególnie dziękujemy Donowi Weisbergowi, Andrew Weberowi, Johnowi Sargentowi, Fritzowi Foyowi, Pace Barnes i Thomasowi Harrisowi.

Dziękujemy Melissie Shabazian za mistrzowskie wskazówki i niesamowity wkład w nasz rozwój osobisty. Brianowi Pedone'owi za natchnienie, motywację i bokerskie lekcje życia. Leslie Padgett za kosmiczne i bardziej przyziemne rady. Za wsparcie i rekomendacje dziękujemy również naszym wspaniałym przyjaciołom zajmującym się słowem pisanym: Maris Kreizman, Holly Bishop, Elizabeth Stein, Danielowi Mallory'emu, Hankowi Cochrane'owi, Rennie Dyball, Glennon Doyle i Jenny Lawson.

Dziękujemy wszystkim pracownikom Screaming Muse Productions, jak również Maurice'owi Smithowi, Jasonowi Weinerowi, Danieli Tedesco, Mike'owi Brombergerowi i Natashy Tsoutsouris za dozągoną przyjaźń na scenie i poza nią.

Jesteśmy szczególnie wdzięczni J.L. Stermer, której przyjaźń jest dla nas obojga źródłem siły, radości i motywacji do wspólnego opowiadania historii.

Pragniemy wyrazić wdzięczność tym, których nie ma już z nami, lecz byli dla nas ważni. Richardzie Wands, Billu Rosen, Elizabeth Calhoun, Carey Longmire, Tomie i Noro Keenan, Patricio i Gordonie Sabine, Paulu Williams – dziękujemy Wam i tęsknimy za Wami.

- [1] Substancja i lek o charakterze psychoaktywnym; mają działanie antydepresyjne, przeciwlękowe (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).
- [2] PCP [fencyklidyna] – psychodeliczna substancja psychoaktywna; osoby po zażyciu PCP mogą być na przemian apatyczne i niebezpiecznie agresywne; wykazują dużą siłę i odporność na ból.
- [3] *Larry i Balki* (ang. *Perfect Strangers*) – amerykański serial komediowy. Balki pochodzi z fikcyjnej greckiej wyspy Mypos.
- [4] Larry Holmes – zawodowy bokser; mistrz świata wagi ciężkiej.
- [5] Fred Rogers – amerykański aktor, kompozytor, osobowość telewizyjna.
- [6] *Caveat emptor* (łac.) – zasada ograniczonego zaufania w handlu.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz